

S M O





Odznaka Szkół Młodszych Ochotniczek

**KSIĄŻKA PAMIĄTKOWA
SZKÓŁ MŁODSZYCH
OCHOTNICZEK**

W Y D A W C A

ZWIĄZEK SZKÓŁ MŁODSZYCH OCHOTNICZEK

KOMITET REDAKCYJNY

Helena Bauer
Zofia Kosińska
Danuta Kossakowska
Maria Muchlińska
Iwona Romer
Aniela Stepan
Alina Terpilowska
Nuna Zakrzewska

P R Z E D M O W A

Książka S.M.O. powstała z inicjatywy komendantki Teodory Sychowskiej. Jej nieustannym pragnieniem było, aby po Szkole Młodszych Ochotniczek pozostał nie tylko suchy zapis historyczny, ale pamięć żywa, spisana ze wspomnień jej wychowanek.

W czasie pobytu Komendantki w Londynie w maju 1967 roku, z okazji 25-lecia założenia Szkoły, powstał komitet redakcyjny, którego duszą była komendantka Sychowska. Ona podjęła się wydania książki w Brazylii, a komitet redakcyjny miał zebrać i przygotować materiał.

Niestety już w następnym roku komendantka Sychowska umarła i przewodnictwo objęła dyrektorka Maria Kościalkowska. Pani Dyrektorka powierzyła pracę w zupełności komitetowi redakcyjnemu, ale bardzo żywo interesowała się książką. Zawsze była gotowa służyć radą, czy pomocą. Często przyjeżdżała z Oxfordu, gdzie mieszkała w ostatnich latach, nie zważając na zły stan zdrowia, aby być na zebraniu komitetu redakcyjnego. Nie raz pomagała nam porządkować materiały, nie raz rozpraszała nasze wątpliwości, czy podolamy tak wielkiemu przedsięwzięciu jak wydanie książki. Dziś wdzięczne jesteśmy jej, że dodała nam odwagi i z wielkim żalem myślimy o niej, że nie doczekała chwili wydania książki.

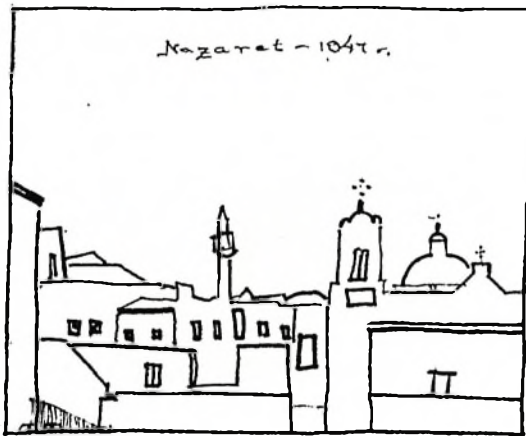
Książka ta jest wynikiem mozolnej pracy wielu osób i wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do jej wydania, serdecznie dziękujemy. Specjalnie jesteśmy wdzięczne śp. prof. Marii Dobkovej, która nie tylko zrobiła korektę całego materiału, ale dała nam dużo fachowych rad i zachęty do pracy.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza to część historyczna oparta na źródłach dokumentarnych. Jeżeli kiedyś ktoś będzie opracowywał historię szkolnictwa poza granicami Polski w czasie drugiej wojny światowej, znajdzie w niej podstawowe fakty o Szkole Młodszych Ochotniczek.

Druga część to część pamiętnikarska; artykuły pisane zarówno w latach istnienia Szkoły jak i teraz. Chciałyśmy, aby te różnorodne wspomnienia pokazały jak najwięcej przejawów życia naszej Szkoły, aby jak najlepiej oddały jej atmosferę.

Czytając poszczególne artykuły niejedna z byłych wychowanek Szkoły Młodszych Ochotniczek odnajdzie w nich siebie, niejedno wspomnienie wróci w całej swej intensywności, Szkoła stanie jak żywa. I wtedy niech każda pomyśli z wdzięcznością o tych wszystkich, którzy pracowali nad nami, niech pomyśli o komendantce Sychowskiej, której pamięci tę książkę poświęcamy.

KOMITET REDAKCYJNY





General Władysław Anders



Komendantka Teodora Zofia Sychowska



Dyrektorka Maria Kościalkowska

N A S Z G E N E R A Ł

Wstęp do tej książki miał napisać general Anders. Jemu należało się pierwsze miejsce jako temu, któremu szkoła zawdzięcza swoje powstanie, a dziewczęta nie tylko naukę, oparcie, ale często życie. Dziwna to była szkoła w swoich początkach. Setki dziecięcych szkieletów garnących się do wojska po łyżkę strawy, po opiekę.

Właśnie zaopiekowanie się dziećmi było najbardziej palącym pro-



W drodze z Rosji Sowieckiej do Iraku — 1942

blemem po stworzeniu Armii Polskiej w Z. S. S. R. w r. 1941. Tysiące rodzin wywiezionych z terenów okupowanych w głąb Z. S. S. R. ginęły na zesłaniu. Trzeba było je ratować. Matki i dzieci. Sieroty. Wygnędniałe, schorowane dzieci zostawiały mogiły najbliższych i ciągnęły na południe: do wojska. Każde dziecko przywoziło ze sobą tragedię tak bardzo podobną do innych:

... Naprzód umarła z głodu i wyczerpania babcia — staruszka. Potem matka zachorowała na tyfus. Nieprzytomna leżała bez opieki lekarskiej 2 tygodnie w „kibitce“. W końcu 15-letniej córce udało się ubłagać Uzbeka, aby zawiózł matkę, mimo rozmokłej deszczem drogi, do szpitala oddalonego o 30 km. Niestety, było już za późno. Gangrena w obydwóch nogach. Matka umarła przy amputacji. Rzucono ją do wspólnego grobu. Zagrzebano kilkoma łopatami mokrego piasku. W nocy na cmentarzu ujadały hieny.

... Inna 13-letnia opiekunka przywiozła z sobą dwoje młodszego rodzeństwa. Na „posiołku“ została chora matka. Ciężkie to było rozstanie.

General Anders zdawał sobie sprawę z ogromu tragedii dzieci. Bez wahania powziął śmiałą decyzję utworzenia szkoły przy Armii. I odłąd stał się naszym troskliwym opiekunem, a my Jego dziećmi.

Gdy zaświtała nadzieja wyjazdu z Z. S. S. R., kierownictwo szkoły niepokoilo się, co będzie z chorymi, których było 15% całego stanu szkoły. Nie można ich było zostawić, a były obawy, że władze wojskowe nie zgodzą się na transport chorych. Tymczasem przyjechał niespodziewanie do szkoły general Anders i wydał rozkaz, by wszystkie chore włączyć do transportu. Spośród chorych jedna tylko umarła w drodze do Pahlevi.

A potem, gdy byliśmy już w Palestynie odżywione, zdrowe, gdy głównym naszym zadaniem było ukończenie szkoły z jak najlepszym wynikiem, z entuzjazmem witaliśmy każdy przyjazd generała Andersa. General przyjeżdżał czasem oficjalnie z całą świtą, a czasem sam; w odwiedzinach do swojej szkoły.

Smukła sylwetka generała w czworoboku dziewcząt w mundurach. Setki przejętych oczu; każda chciałaby powiedzieć osobno: dziękuję. Setki wdzięcznych serc. I general mówiący o naszym obowiązku względem Ojczyzny, o nauce, o ciężkiej i krwawej drodze do Polski i... o uśmiechu. Tym szczerym, dziewczęcym uśmiechu, z którym powinniśmy iść przez życie, łagodzić cierpienia bliźnich. General intonujący: „Jeszcze Polska nie zginęła“ podchwycone setkami młodych głosów. bijących w palestyńskie niebo.

A potem część nieoficjalna. General każe ścieśnić szeregi. Zaczyna z nami rozmawiać, pytać, czy mamy jakieś osobiste problemy, prośby.



Z pobytu Gen. Andersa w Nazarecie

Jedna prosi o więcej książek do nauki. General mówi, że pamięta o tym, tylko że okręt, który właśnie wiózł dla nas książki, został storpedowany. Inna pyta, czy pan general wie coś o rodzinach pozostających w Rosji. General notuje nazwiska, adresy. Zapewnia, że ta sprawa bardzo leży mu na sercu. Rozpytuje o postępy w nauce. Jest nam bardzo bliski. Jest nasz.

Gdy odjeżdża, tworzymy długi szpaler. Każda chce być jak najbliżej i jak najdokładniej raz jeszcze zobaczyć Generała. Niekończące się okrzyki na cześć Generała. Sto lat... Sto lat... Aż w jednej chwili szpaler się łamie i wnosimy Generała na rękach do samochodu. General się śmieje i zapewnia, że znowu przyjedzie.

Odjeżdża. Tym razem na front włoski. A przed wyjazdem wpisuje do książki pamiątkowej S.M.O. pod datą 5. I. 1944:

„Wszyscy żołnierze A.P.W. rozpoczynając krwawy, a zaszczytny marsz ku Polsce, żegnają swoje ukochane dzieci. Szczęść Wam Boże! — General Anders.“

Wieńcem złożonym na cmentarzu na Monte Cassino 23-go maja 1970 roku, żegnaliśmy generała Andersa po raz ostatni, ale pamięć o Nim będzie żyła z nami.

ZOFIA RYMARSKA-KOSIŃSKA

PO TRZYDZIESTU LATACH

Stusznie oddałycie pierwsze miejsce w tej książce wspomnieniu o śp. Generale Władysławie Andersie, nazywając go Waszym ojcem i opiekunem. Był on tym człowiekiem, który przystępował do tworzenia wojska polskiego na terenie Z. S. R. R. po 20 miesiącach spędzonych w nieopalanym celach więzień sowieckich, w których był poddawany uciążliwym śledztwom, połączonym z torturami. Poznał dobrze na sobie samym okrutną prawdę życia sowieckiego i wiedział, że setki tysięcy naszych obywateli, wywiezionych z zagarniętych przez Czerwoną Armię i N. K. W. D. polskich Ziemi Wschodnich, skazane są na zglądę, jeśli im nie okazemy natychmiastowej pomocy.

Od samego początku współpracowałem z generałem Andersem, jako Szef Polskiej Misji Wojskowej w Moskwie i wiem ile wysiłków i starań poświęcił on sprawie ratowania tych ludzi, a przede wszystkim dzieci i młodzieży. Mimo nawału pracy, związanej z organizowaniem armii, mimo szeregu trudności, piętrzących się na naszej drodze, zawsze znalazł czas na zajęcie się tą sprawą i wywalczenie odpowiedniej zgody ze strony władz sowieckich.

Pragnę jednak podkreślić fakt, że w zagadnieniu tym General nie był samotny; dzielali jego troskę i pomagali w poczynaniach wszyscy bez wyjątku żołnierze wojska, które organizował. Przecież prawie każdy z nich miał rodzinę, przybywali z łagrów i innych miejsc przymusowej pracy, więc znalazłszy się na wolności w szeregach wojska, w warunkach bytu nieporównanie lepszych, każdy z tych żołnierzy starał się w miarę swych sił i możliwości ulżyć doli współbraci, którzy ze względu na wiek lub zły stan zdrowia, nie mogli być wcieleni do wojska.

Stały przed nami zagadnienia, których dowódca armii sam nie był w stanie rozwiązać. Były to przede wszystkim zagadnienia materialowe. Szczególnie w pierwszych kilku miesiącach ani wojsko, ani nasza ambasada w Moskwie nie miały pieniędzy na opiekę nad cywilną ludnością. Trzeba było odwołać się do ofiarności naszych żołnierzy i to nie zawiodło; każdy z nich przekazywał prawie połowę swego skromnego żołdu na ten cel. Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa

wyżywienia i odzieży. Nie z tego nie można było kupić w Rosji Sowieckiej, więc każdy z żołnierzy po otrzymaniu munduru przekazywał swoje cywilne ubranie, naturalnie jeśli nadawało się do użytku, dla cywilnej ludności i dzielił się z nią swoją głodową porcją wyżywienia. Porcja ta pod względem kalorycznym odpowiadała 30% żołnierskiej porcji angielskiej.

Nie ulega wątpliwości, że była to kropla w morzu wobec ogromu niedoli i potrzeb, związanych z położeniem naszej ludności w Sowietach. Nie mogliśmy dopomóc wszystkim, więc z konieczności otaczaliśmy opieką tylko tych, którzy zdolali dotrzeć do miejsc postoju naszych oddziałów. Główną uwagę, tak jak gen. Anders, otoczyli wszyscy bez wyjątku dowódcy naszej armii w Z. S. R. R. przede wszystkim dzieci. Od pierwszych dni istnienia każdego oddziału naszego wojska powstawały w nim sierociniec i szkoła. Serce każdemu z nas krajało się na widok przywożonych z terenu małych istotek, zagłodzonych tak, że były bardziej do szkielecików podobne, niż do żywych dzieci. Więc setek z tych dzieci nie udało się odratować i utrzymać przy życiu, ich małe mogiłki na naszych cmentarzach, pozostawionych w Rosji na pewno przestały już istnieć i ślad po nich pozostał jedynie w naszej pamięci i sercach.

Mówię o tym wszystkim, żeby przypomnieć Wam, dawnym Młodszym Ochotniczkom, że byłyście adoptowane zarówno przez gen. Andersa, jak i wszystkich jego żołnierzy. Oni wszyscy uważali Was za swoje dzieci i nie szczędzili wysiłków, by przywrócić Wam zdrowie i siły w Sowietach, dopomóc w nauce na Środkowym Wschodzie i ukończyć wyższe studia w Libanie, we Włoszech i w Anglii.

Gen. Anders dał Wam mundur żołnierski, ale nie był to tylko ubiór, razem z nim spadał na Wasze ramiona obowiązek wiernej, wytrwałej i nieustającej służby dla Ojczyzny. Gen. Anders odszedł już od nas na tamtą stronę bytu, odchodzą kolejno za nim jego dawni żołnierze, odchodzą Wasi ojcowie, matki i starsze koleżanki. Wy, najmłodsze z tego grona, być może doczekacie się nowej walki o byt i wolność Polski i będziecie musiały wziąć w niej udział, zadaniem więc Waszym jest dbać już dzisiaj o to, żebyście w tej walce nie były osamotnione, żeby obok Was stanęli w jednym z Wami szeregu Wasi synowie i córki. Przekażcie im testament żołnierski gen. Andersa, któremu zawdzięczacie wolność.

ZYGMUNT BOHUSZ-SZYSZKO
Gen. Dync.

Czerwiec 1972 r.

POWSTANIE I ORGANIZACJA SZKOŁY

Szkoła Junaczek, późniejsza Szkoła Młodszych Ochotniczek, została oficjalnie zatwierdzona rozkazem D-cy Polskich Sił Zbrojnych w Jangi Jul (Z. S. S. R.) 1. dz. 6344 z dnia 20. 5. 1942.

Rozkaz określał cel powstającej szkoły:

„Zaopiekowanie się polską młodzieżą żeńską pod względem moralnym, ułatwienie jej uzupełnienia swej wiedzy i danie wykształcenia w zakresie szkoły powszechnej i średniej.“

W 6-letnim okresie istnienia szkoły zaznaczyły się wyraźnie 4 fazy:

- 1) Pobyt w Z. S. S. R. od końca marca do sierpnia 1942 r. w warunkach nad wyraz ciężkich, nie sprzyjających ani nauczaniu, ani wychowaniu.
- 2) Okres od przekroczenia granicy Z. S. S. R. dnia 25. 8. 1942 do chwili ustabilizowania się szkoły w Nazarecie (1. 1. 1944). Był to okres stale polepszających się warunków materialnych przy częstej zmianie miejsca postoju.
- 3) 3½-letni pobyt w Nazarecie (1. 1. 44 — 25. 7. 47) w warunkach całkowicie sprzyjających tak nauczaniu jak i wychowaniu.
- 4) Końcowy okres istnienia szkoły od przybycia do Anglii 6. 8. 47 do rozwiązania szkoły 15. 4. 48.

Miejscem założenia szkoły był Karkin-Batasz (Uzbekistan, Z. S. S. R.), położony o 5 km. od Guzaru. Mimo tego, że szkoła Junaczek została oficjalnie zatwierdzona 20. 5. 1942, za dzień powstania szkoły trzeba uważać 30. marzec 1942. W tym dniu przyjechały do szkoły pierwsze cztery junaczki. W Karkin-Batasz był już oddział wojska polskiego i sierociniec. Na opiekunkę junaczek wyznaczono p. Helenę Świeżawską, która pracowała równocześnie w sierocińcu.

8-go kwietnia rozkazem D-cy P. S. Z. w Jangi Jul została zatwierdzona nazwa szkoły jako: Szkoła Junaczek przy Armii Polskiej w Z. S. S. R. Od tego momentu Szkoła Junaczek znalazła się pod bezpośrednią opieką D-wa P. S. Z. Na wychowawczynię przydzielono p. Hannę Miłkowską. W kilka dni później przyjechała do szkoły pierwsza nauczycielka mgr. Wacława Całowa. Pani Całowa zrobiła spis junaczek, ułożyła rozkład zajęć i regulamin. Wprowadzono podział na klasy i zaczęły się zajęcia szkolne. Lekcje odbywały się w formie

pogadank. Nie było żadnych podręczników szkolnych, papieru ani nawet ołówków. Zebrało się trochę przypadkowo przywiezionych książek, kilkanaście numerów „Orla Białego“ i jeden egzemplarz „Pana Tadeusza“.

Z początkiem maja p. Całowa została mianowana komendantką Szkoły Junaczek. Wkrótce potem wyznaczono na komendanta szkoły p. Hieronima Czelnego, który jednak ze względu na zły stan zdrowia nie mógł pełnić swoich obowiązków i wszystkie funkcje spoczywały w ręku p. Całowej.

Do Szkoły Junaczek zaczęły zjeżdżać liczne transporty dziewcząt, w różnym wieku, z poszczególnych garnizonów nowo-tworzącego się wojska polskiego w Z. S. S. R. Każda jednostka wojskowa miała swój sierociniec czy ochronkę.

Przyjeżdżały także dziewczęta na własną rękę, pojedynczo i grupami. 23-go maja było już w szkole 691 junaczek.

24-go maja przyjechała do Karkin-Batasz nowo-mianowana komendantka Szkoły Junaczek, mgr. Teodora Sychowska. Pełniła ona funkcję komendantki aż do czasu rozwiązania szkoły w Anglii.

Stan szkoły powiększał się z dnia na dzień i w lipcu doszedł do rekordowej liczby 1036 junaczek. W miarę przybywania dziewcząt powiększono ilość klas, utworzono szkołę powszechną i gimnazjum.

Z początkiem lipca wobec szerzących się chorób, przede wszystkim dyzenterii i żółtaczki, zaistniała konieczność przeniesienia szkoły na inne miejsce. Dzięki staraniom kom. Sychowskiej udało się umieścić część dziewcząt w Guzarze, a część przyjął gen. Tokarzewski do 6-tej Dywizji do Kitabu. Komendę nad kitabską grupą objęła p. Całowa, a nad grupą guzarską kom. Sychowska.

25. 8. 1942 obie grupy wyjechały z Z. S. S. R. wraz z oddziałami, do których przydzielone były ewidencyjnie, poprzez Krasnowodsk, morze Kaspijskie do Pahlevi w Iranie. W Pahlevi młodsze junaczki z grupy kitabskiej, których była większość, połączyły się z grupą guzarską w jedną całość pod kierownictwem kom. Sychowskiej. 8-go września dołączyła jeszcze szkoła z Wrewska (Z. S. S. R.). Stan szkoły w tym czasie wynosił 929 junaczek i 83 ochotniczek P. S. K. kadry.

Starsze junaczki z grupy kitabskiej, w liczbie około 90-ciu, pod komendą p. Całowej zostały przy 6 Dyw. i poprzez Iran, Irak przyjechały do Palestyny w październiku 1942. Grupa ta została rozwiązana w grudniu 1942 r. Najstarsze odeszły do wojska, młodsze, po przejściu egzaminów, wróciły pod komendę p. Sychowskiej. Komendantka Całowa przeszła do D-wa Szkół Junaków.

2-go października 1942 Szkoła Junaczek z kom. Sychowską wy-

ruszyła z Pahlevi na nowe miejsce postoju do Teheranu. Tam nastąpiła reorganizacja szkoły. Junaczki podzielono na dwie grupy. Starsze wyjechały poprzez Irak do Palestyny, młodsze zostały oddane pod opiekę Delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej i wyjechały do Isfahanu (Iran). Niewielka część junaczek odeszła do rodziców.

Po przyjeździe do Palestyny zmieniono nazwę szkoły na: Szkołę Młodszych Ochotniczek — rozkaz D-twa Armii Polskiej na Wschodzie, 1. dz. 1060/5. 12. 1942. Szkoła została podporządkowana D-twu Szkół Junaków. Podlegało ono D-twu Jednostek Wojskowych na Środkowym Wschodzie, które przez długi okres czasu było składową częścią II Korpusu. Pierwszym Dowódcą Szkół Junaków był ppłk. Ignacy Bobrowski, a od października 1944 r. aż do rozwiązania Szkół ppłk. Kazimierz Rzyziński.

Zależność S. M. O. od Inspektoratu P. W. S. K. była dyscyplinarna. Inspektorka P. W. S. K. miała prawo inspekcjonowania jako przełożona wszystkich ochotniczek bez wkraczania w kompetencje Komendantki Szkoły.

Podział i typy Szkół Młodszych Ochotniczek:

W Z. S. S. R. Szkoła Junaczek składała się ze:

- 1) Szkoły Powszechnej
- 2) Gimnazjum Ogólnokształcącego

Po przyjeździe do Palestyny powstały następujące szkoły:

- 3) Liceum Humanistyczne (16. 1. 1943)
- 4) Jednoroczny Kurs Spółdzielczo-Handlowy, pomyślany jako zaokrąglenie wiadomości dla tych dziewcząt, które z powodu wieku nie mogły ukończyć gimnazjum. Kurs ten przerodził się w
- 5) Gimnazjum Kupieckie (2. 9. 1943)
- 6) Drugie Gimnazjum Ogólnokształcące (14. 2. 1944)
- 7) Liceum Pedagogiczne (3. 9. 1944)
- 8) Liceum Administracyjno-Handlowe (1. 9. 1945)

Wszystkie te szkoły miały pełne prawa szkół państwowych, będąc równocześnie odpowiednikiem Szkół Kadeckich w Kraju.

Poszczególne szkoły tworzyły jedną całość: Szkołę Młodszych Ochotniczek pod dowództwem jednej komendantki. Na czele każdej szkoły stała kierowniczka nauczania (dyrektorka), pełniąca równocześnie obowiązki komendantki danej szkoły. Połączenie w jednej osobie obu tych funkcji było bardzo szczęśliwym i trafnym rozwiązaniem. W ten

sposób uzyskano jednolity kierunek wychowawczy, tak w życiu szkolnym jak i internatowym oraz wzmocniono autorytet kierowniczej nauczania.

Ilość oddziałów w każdej szkole ulegała dużym zmianom zależnie od przyływu i odpływu młodszych ochotniczek. Poniższa tabela ilustruje stan ilościowy uczennic i klas w poszczególnych latach szkolnych.

IŁOŚĆ KLAS (ODDZIAŁÓW)

Rok szkol.	Stan licz.	Szkoła powsz.	Kurs spól. hand.	Gim. Kup. Lic. A. H.	Gim. Og. Lic. Hum.	II Gim Lic. Ped.	Razem ilość klas
1942	1036	11	—	—	9	—	20
1943	546	7	2	—	10	—	19
1943/4	801	5	1	2	17	—	25
1944	593	8	—	3	9	7	27
1944/5	595	6	—	4	7	7	24
1945/6	564	3	—	6	8	5	22
1946/7	541	3	1*)	8	9	2	22
1947/8	404	—	—	8	7	2	17

*) 10-mies. kurs stenografii i handlu dla absolwentek liceum.

Szkoła Młodszych Ochotniczek zorganizowana była jako oddział wojskowy. Każda klasa stanowiła pluton. 4/5 plutonów kompanię. Na czele plutonów stały instruktorki. Na czele kompanii komendantki kompanii. W latach stabilizacji szkoły w Nazarecie każda kompania miała swego szefa, podoficera gospodarczego i materiałowego. Administracja i sanitariat był jeńcem dla całej szkoły.

Personel kierowniczy, nauczycielski, wychowawczy, instruktorski i sanitarny.

Według regulaminu Szkoły Ochotniczek, który był oparty na statucie Szkół Junackich, obsadę szkoły stanowiły:

Komendantka Szkoły Młodszych Ochotniczek z adiutantką.

Komendantki poszczególnych szkół, będące równocześnie kierowniczkami nauczania z personelem nauczycielskim, wychowawczym i administracyjnym danej szkoły.

Komendantki kompanii z personelem instruktorskim, wychowawczym i gospodarczym kompanii.

Zastępczyni komendantki do spraw gospodarczych.

Oficerowie: gospodarczy, materiałowy i zaopatrzenia ze swoim personelem.

Lekarz główny, zastępca i personel sanitarny.

Przez większość czasu nie było w S. M. O. zastępczyni komendantki szkoły do spraw administracyjnych i reprezentacyjnych. Prace związane z tą funkcją pełniła dyrektorka gimn. ogólnokształcącego. Dopiero w roku 1946 została wyznaczona przez inspektorat P. W. S. K. zastępczyni komendantki. Praca zastępczyni komendantki została skierowana głównie na dział szkolenia pozaszkolnego. Obejmowało ono kursy zawodowe dla kadry i absolwentek S. M. O., szkolenie wojskowe i prace kół samowychowawczych, jak samorząd i P. C. K.

Obowiązki nauczania i wychowania, które dotyczyły całości S. M. O., wykonywała nadal dyrektorka gimnazjum ogólnokształcącego.

Każda szkoła miała swój własny personel nauczycielski, poza tym, w miarę potrzeby, korzystała z nauczycieli będących na etacie innej szkoły S. M. O. W ten sposób ilość godzin pracy nauczycieli była wyzyskana maksymalnie, co było ułatwione zgromadzeniem szkół na jednym terenie. Personel nauczycielski był w zupełności wystarczający. Ilość nauczycieli ulegała zmianom, zależnie od stanu liczebnego młodzieży. Szkoła Junaczek w początkach swego istnienia na terenie Z. S. S. R. miała personel składający się wyłącznie z ochotniczek P. W. S. K., odkomenderowanych do szkoły przez inspektorę P. W. S. K. W Palestynie, w miarę rozrastania się i tworzenia nowych typów szkół zawodowych i braku wykwalifikowanych sił kobiecych, musiano uciekać się do sił męskich, przydzielonych przez D-cę Szkół Junaków.

Nauczyciele pracujący w S. M. O. posiadali pełne kwalifikacje naukowe i pedagogiczne, przeważnie z kilkuletnią praktyką. Było tylko kilka osób, które miały kwalifikacje naukowe bez dyplomu nauczycielskiego i które uczyły na podstawie zezwolenia Delegata Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

W późniejszych latach kilka absolwentek Liceum Pedagogicznego, po ukończeniu kursów języka angielskiego i stenografii, pisania na maszynie i odbyciu praktyki pod kierownictwem starszych nauczycieli, objęło stanowiska nauczycielek.

Liczba godzin nauki nauczycieli wahała się między 18 a 24 godzin tygodniowo. Do tego dochodziło: wychowanie klasowe, poprawa zadań, dyżury na nauce własnej, opieka nad organizacjami młodzieżowymi, prowadzenie biblioteki i gabinetów.

Przeciętny pobyt nauczycieli w S. M. O. trwał 4-5 lat i dodatnio wpływał na ciągłość pracy dydaktycznej i pedagogicznej. Tam gdzie ciągłość ta mogła być przez nauczyciela utrzymana (język polski, historia, geografia), dochodziło się oczywiście do lepszych wyników nauczania niż w przedmiotach (np. matematyka), gdzie następowały częste zmiany. Największe zmiany personelu nauczycielskiego nastąpiły w pierwszym roku istnienia szkoły i przed wyjazdem do Anglii.

Za tok życia internatowego odpowiedzialny był personel kompanijny z komendantką kompanii na czele. Wprowadzenie organizacji wojskowej — podział na kompanie i plutony — dało możliwość wykorzystania dodatnich stron wychowawczych i porządkowych dyscypliny wojskowej. Zadaniem kadry kompanijnej było stworzenie atmosfery zbliżonej do domowej, nie zatracając równocześnie karności zewnętrznej i wewnętrznej. Komendantki kompanii współpracowały ściśle z wychowawczyniami klasowymi, którymi były nauczycielki. Do pomocy miały szefa kompanii, instruktorki Przysposobienia Wojskowego i podoficera gospodarczego. W późniejszych latach Komendantka stworzyła funkcje wychowawczyń internatowych, aby częściowo odciążyć w pracy komendantki kompanii. Funkcje te pełniły dodatkowo osoby z kadry administracyjnej S. M. O.

Dział gospodarczy:

W okresie pobytu w Z. S. S. R. Szkoła Junaczek gospodarczo przydzielona była do podkwatmistrzostwa Karkin-Batasz; organizacyjnie od samego początku szkoła była samodzielnym oddziałem.

Do czasu przyjazdu do Rehowothu S. M. O. gospodarczo podlegała zawsze ośrodkowi wojskowemu, w którym stacjonowała. Dopiero w maju 1943 w Rehowothie szkoła stała się jednostką samodzielną pod względem zaopatrzenia i materiałowym. Pod względem pieniężnym S. M. O. należała do D-twa Szkół Junaków. Ten stan utrzymał się do 1.3.1945, kiedy to S. M. O. nadano charakter oddziału gospodarczego i od tej pory aż do przybycia do Anglii S. M. O. była jednostką samodzielną pod względem pieniężnym, materiałowym i zaopatrzenia. W okresie pobytu szkoły w Nazariacie do S. M. O. przydzielono gospodarczo inne Szkoły Junackie, stacjonujące w północnej Palestynie. Ilość żywności we wszystkich oddziałach wahała się między 1350 a 1500. Po przejeździe do Anglii samodzielny oddział gospodarczy S. M. O. uległ likwidacji.

Przed cały czas istnienia S. M. O. ochotniczki i młodsze ochotniczki otrzymywały żołd, umundurowanie, wyżywienie i zakwaterowanie jako oddział Polskich Sił Zbrojnych.

Dział pieniężny:

S. M. O. dostawała przydział kredytów wojskowych od Szefa Służby Pieniężnej J. W. S. W. na ogólne potrzeby oraz wypłatę uposażeń i żołdu. Uczennice odkomenderowane z wojska dostawały żołd ochotniczki: £1.00 na dekadę. Uczennice powyżej lat 16 nieočkomenderowane z wojska dostawały żołd młodszej ochotniczki: 10/- (500 milsów palestyńskich) na dekadę, a te poniżej 16 lat dostawały z Delegatury M. O. S. 5/- na dekadę.

Oprócz kredytów wojskowych S. M. O. otrzymawała przydział funduszków z Delegatury M. O. S. na dożywanie, lecznictwo, pranie, utrzymywanie czystości. Delegatura finansowała wydatki związane z prowadzeniem szkoły a nie mające pokrycia w normalnym budżecie wojskowym: jak np. zakup pomocy szkolnych, książek, koszty wycieczek. Oprócz tego Delegatura dopłacała do pensji nauczycielom. Nauczyciele zazwyczaj nie posiadali stopni oficerskich; na wniosek władz wojskowych, aby uposażenie nauczycieli było współmierne do wykonywanych funkcji. Delegatura dopłacała w pierwszym okresie £10 pał. miesięcznie a następnie podniosła dopłatę do £21 pał. dla nauczycieli szkół średnich a £18 pał. dla nauczycieli szkoły powszechnej. Dopłatę do żołdu rozszerzono też na resztę personelu szkolnego np. świetliczarki, wychowawczynie internatowe dając im £5 dopłaty do żołdu miesięcznie.

Oprócz stałej dotacji z funduszków M. O. S. i Min. W. R. i O. P. szkoła otrzymywała dary pieniężne od oddziałów II Korpusu, szczególnie od 5 D. P., która opiekowała się Szkołą Powszechną i Gimn. i Lic. Humanistycznym, i od 6 D. P., która opiekowała się Gimn. Kupieckim i Lic. Adm.-Handlowym.

Fundusz gospodarczy S. M. O. zasilany był również przez dochody z pracowni krawieckiej, ze sklepiku żołnierskiego, oraz ze sprzedaży odpadków kuchennych. Istniał również fundusz kulturalno-oświatowy, który miał dochody z imprez oraz kin arabskich, od których szkoła dostawała pewien procent zarobku.

Po przejeździe do Anglii wszystkie dotacje i fundusze przestały istnieć. Szkoła dostała jednorazowo £100 na wydatki administracyjne.

Dział gospodarczy:

Do początku 1945 roku jeden oddział gospodarczy obsługiwał całą szkołę. W 1945 roku rozbito gospodarkę centralną na poszczególne kompanie i tak powstało 6 kompanii — pododdziałów gospodarczych młodzieżowych, jedna kompania żeńska i jedna męska wartownicza.

Wszystkie pododdziały gospodarcze podlegały jednemu oficerowi gospodarczemu. Podzielenie szkoły na małe komórki gospodarcze dało możliwość lepszego wglądu w potrzeby uczennic i kadry S. M. O. i pozwoliło na robienie częstych apelów i inwentarzy wykrywających szkody i straty. Od czasu do czasu odbywały się inspekcje z zewnątrz władz polskich i angielskich.

Dział zaopatrzenia:

Szkoła zaopatrywana była według racji angielskich i pobierała suchy prowiant dla siebie i przedzielonych jej oddziałów z Głównej Składnicy Żywnościowej raz na tydzień. Artykuły świeże przywożono codziennie. Oprócz żywności szkoła pobierała materiały pędne, środki dezynfekcyjne, maszyny do pisania i materiały kancelaryjne. Oficer gospodarczy dawał miesięczne wyliczenia co do zużycia materiałów pobieranych z Głównej Składnicy Żywnościowej.

Sanitariat:

Do póki szkoła nie była jednostką samodzielną, korzystała z usług personelu lekarskiego i sanitarnego ośrodka, w którym się znajdowała. Od lata 1943 r. S. M. O. dostała przydział lekarza, zastępcy i własnego personelu sanitarnego.

S. M. O. miała własne ambulatorium i izbę chorych na 30 łóżek. Wypadki ciężkie skierowywano do szpitali angielskich; przy wielu z nich były sekcje polskie. Na rekonwalescencje odsyłano do Ośrodka Uzdrowieńców w Tyberiadzie, uruchomionego na wiosnę 1943 r. przez D-wo Szkół Junackich.

Lekarstwa otrzymywano z apteki D-wa Szkół Junaków, zaopatrywanej ze składnicy brytyjskiej. Te lekarstwa, których wojsko nie dostarczało, kupowano za specjalne fundusze. Comiesięczne dotacje na izbę chorych przychodziły z Ministerstwa Opieki Społecznej. Z funduszy tych powstała kuchnia dietetyczna i prowadzono dożywianie dla najsłabszych uczennic (30/50). Dary P. C. K. pozwoliły wyposażyć izbę chorych w zasadniczy sprzęt sanitarny jak strzykawki, termometry, sterylizatory, narzędzia chirurgiczne a także zakupić szlafroki dla chorych, szafki nocne, leżaki i inny niezbędny ekwipunek. Dar Akeji Katolickiej wyposażył gabinet dentystryczny w fotel i zasadnicze przyrządy.

Pieniądze z darów wykorzystywano na opłatę specjalnych badań nie dających się wykonać w szpitalu a także na porady u lekarzy specjalistów i na zakup okularów, których składnice wojskowe nie dostarczały.

Stan zdrowia młodzieży po przejściach w Rosji był bardzo zły. Głód, tyfus płamisty i brzuszny, malaria, czerwonka — były powodem wielkiego wycieńczenia. Na terenie Iranu i Iraku intensywne odżywianie i dostateczne środki lecznicze szybko stan zdrowotny młodzieży poprawiły. W Palestynie częste nawroty malarii, mającej największe nasilenie w Jeninie, który okazał się terenem malarycznym, wywołały duży procent niedokrwistości i nerwic. Po przeniesieniu szkoły do Nazaretu nawroty malarii zmniejszyły się i stan ogólny młodzieży bardzo się poprawił. Obóz letni w Cedrach w 1944 r. wybitnie dodatnio wpłynął na stan zdrowia dziewcząt. Obóz letni w Athlicie w 1945 roku dał dobre rezultaty w ogólnym rozwoju fizycznym. Pływanie, kąpiele słoneczne, przebywanie na wolnym powietrzu w Athlicie dały świetne wyniki.

Od przekroczenia granicy sowieckiej, śmiertelność w S. M. O. była znikoma: wszystkiego trzy zgony, w tym jeden spowodowany wypadkiem samochodowym. Duża śmiertelność była w Z. S. S. R. W okresie maj/lipiec 1942 r. zanotowano 88 zgonów na ogólny stan 1036 junaczek.

WARUNKI ŻYCIA I NAUCZANIA

Najtrudniejszy pod wszelkimi względami był okres pierwszy w Z. S. S. R. (Karkin-Batasz, Guzar i Kitab). Pomijając zupełny brak książek, podręczników, zeszytów, wszelkich pomocy naukowych i odpowiedniego pomieszczenia, sprawę pogarszał jeszcze fatalny stan zdrowia wycieńczonej głodem młodzieży oraz szerząca się wśród niej epidemia czerwonki i tyfusu płamistego. W Karkin-Batasz klimat pustynno-stepowy, bardzo suchy i bardzo gorący, powodował ogromny upadek sił. Nawet te nieliczne junaczki, które przyjeżdżały z kolchozów względnie zdrowe, stawały się bierne, apatyczne, zapadały na różne choroby i nawet wśród nich zdarzały się wypadki śmierci. Częste wypadki porażenia słonecznego, bo teren zupełnie niezadrzewiony. Woda do mycia błotnista, powodująca zadrażnienia skóry. Woda do picia niesmaczna, zakażona zarazkiem „amoeba desinterica“. Szkoła tuż obok kolchozu uzbeckiego hodującego barany i owce — rozsadniaki much i wszelkich pasożytów. Wśród dziewcząt żywności nieracjonalnie częste wypadki awitaminozy i pelagry.

Dzięki niestrudżonym zabieganiom kom. Sychowskiej przy pomocy D-cy Organizacji Armii, płk. Koca, udało się część szkoły ulokować w miasteczku Guzar, a część przyjął gen. Tokarzewski do 6 Dyw. Piechoty do Kitabu, w okolicy Szachriziabsu. Grupie tej zapewnił generał wyżywienie, opiekę a nawet mundury.

Kitab, po kilku miesięcznym pobycie na szczerej pustyni, wydał się dziewczętom oazą zieleni. Wielkie drzewa włoskich orzechów ze zwisającymi festonami winorośli. Bujne zielone krzewy, kwiaty, strumyczki. Opodal bystra rzeczka Kaszka-Daria o urwistych brzegach porośnięta drzewami i krzewami. Niestety, rzeczka ta była wylegarnią komarów i na miejsce czerwonki i tyfusu przyszła malaria, papataci i śpiączka. Dzięki lepszym warunkom i troskliwej opiece lekarskiej rzadkie były wypadki śmierci, ale malaria, często z groźnymi następstwami, nękała dziewczęta i kadrę przez kilka następnych lat.

25. 8. 1942 — wyjazd Szkoły Junaczek z Z. S. S. R. do Iranu. Pierwszy postój w Pahlevi nad brzegiem morza Kaspijskiego.

W Pahlevi nie była już konieczna opieka Armii nad dziećmi, po które zgłosiły się władze cywilne. Groziło rozwiązanie wojskowej szkoły dziewczęcej. W końcu powstała koncepcja podziału szkoły na wojskową i cywilną. W szalasach, nad brzegiem morza Kaspijskiego, odbywała się walka w sercach dziewcząt, które stanowczo nie chciały iść do cywila. Nie chciały się rozstać ze Szkołą Junaczek, z mundurem, z furazerką z orzełkiem, z Armią.

Sprawa podziału szkoły na wojskową i cywilną stała się naprawdę aktualna w Tcheranie. Wysiłki kom. Sychowskiej poszły po linii nastrojów Junaczek. Jedynie młodsze Junaczki odeszły do szkoły cywilnej.

Po przyjeździe do Palestyny w grudniu 1942 roku szkołę umieszczono w Gederze. Nie było to odpowiednie miejsce i dlatego w miesiąc później — przeniesiono Szkołę Młodszych Ochotniczek (bo taką już miała nazwę) do Rehowoth'u. Warunki pracy były dobre, zwłaszcza od momentu, gdy obóz, doskonale zorganizowany przez Komendę Centrum Szkolenia Pomocniczej Służby Kobiet (insp. Wachłowska), został całkowicie przekazany Komendzie Szkół Młodszych Ochotniczek. S. M. O. uzyskała upragnioną atmosferę szkolną w obozie niemal zamkniętym.

Po 5 miesiącach przeniesiono S. M. O. do Quastiny, gdzie znajdowały się szkoły męskie D-wa Szkół Junaków i umieszczono ją pod namiotami. W Quastynie szkoła stacjonowała niecałe 4 miesiące.

Pod koniec września 1943 roku szkoła została przeniesiona do Jeninu. Jenin był ładnie położony, pomieszczenie było wygodne: osobne baraki sypialne, osobne sale szkolne. Okazało się jednak, że okolica była bardzo malaryczna, co spowodowało liczne zachorowania. Klimat Jeninu, szczególnie w czasie hamsinu we wrześniu, był ciężki do zniesienia i wpływał hamująco na intensywność pracy.

1-go stycznia 1944 roku przeniesiono Szkołę Młodszych Ochotniczek

do Nazaretu, gdzie pozostała aż do wyjazdu do Anglii w lipcu 1947 roku.

Po stałym przerwaniu szkoły z miejsca na miejsce trzy i pół letni okres nazaretański przyniósł stabilizację i szczytowy rozwój S. M. O.

Nazaret położony w kotlinie na granicy Gór Galilejskich i Doliny Ezdreałońskiej swoim klimatem śródziemnomorskim dobrze wpływał na młodzież. W porze deszczowej dużo opadów, przy zupełnym braku błota, bowiem miasto rozbudowane jest na zboczach o twardym podłożu wapiennym. Te skaliste, nagie zbocza pokrywały się na wiosnę bujną zielenią i kwiatami. Pora ta była okresem intensywnych ćwiczeń fizycznych i długich spacerów w przepiękne okolice Nazaretu. W czasie deszczów ogromne miejskie zbiorniki napełniały się wodą, która musiała wystarczyć mieszkańcom na porę suchą, toteż latem szkoła miała nieraz trudności z dostateczną ilością wody.

Lato gorące, nieco łagodzone wzniesieniem Nazaretu. W dzień nasłonecznienie duże, ale noce świeże, dające pożądany wypoczynek. Najcięższy był okres hamsinów. Gorące powietrze wciskające się w każdą szparę, lepkie i omdlewające. W dnie hamsinu nie można było prowadzić zajęć.

Nazaret był miasteczkiem czysto arabskim. Ludność — katolicka i mahometañska. Mahometanie dzielili się na liczne sekty. Mieszkańcy na ogół byli przychylnie nastawieni do Polaków. Wielu z nich starało się nawet nauczyć po polsku. W pobycie S. M. O. widzieli dobry interes; otworzono i rozbudowano liczne sklepy. Bardziej postępową część społeczeństwa arabskiego starała się nawiązać kontakt ze szkołą. Było kilka domów inteligencji arabskiej (nauczyciele, urzędnicy, kupcy), z którymi kadra utrzymywała stosunki towarzyskie.

Natomiast zacofany odłam społeczeństwa arabskiego sprawiał Komendzie S. M. O. dużo kłopotu. Gorszono się nie tylko ubiorem gimnastycznym dziewcząt na placu sportowym, ale nawet mundurem z krótkimi rękawami. Spowodowało to bardzo rygorystyczne przepisy co do przebywania młodszych ochotniczek na mieście i pozbawiało szkołę możliwości używania jedynego placu sportowego. Szkoła musiała korzystać z małego boiska otoczonego wysokim murem. Brak odpowiedniego boiska sportowego był największym minusem Nazaretu.

Poza tym warunki w Nazarecie były bardzo sprzyjające rozwojowi szkoły. Tu powstało II-gie Gimnazjum Ogóln.-Kształcące, Liceum Pedagogiczne i Liceum Administracyjno-Handlowe.

Szkoła Młodszych Ochotniczek mieściła się w 5-ciu budynkach murowanych, ze wszystkimi urządzeniami sanitarnymi. Sale były

obszerne i widne. Powstał gabinet przyrodniczy, fizyczny, pracownie zajęć praktycznych, duża biblioteka.

Budynek Główny położony był między Bazyliką Zwiastowania a kościołem św. Józefa. Był to klasztor O. O. Franciszkanów, który tak jak wszystkie inne budynki oddane szkole, zarekwirowany był przez władze angielskie. Właściciele co pewien czas domagali się zwrotu swoich posiadłości i trzeba było nie lada dyplomacji ze strony naszej komendy, aby utrzymać dobre stosunki z ludnością i klerem. Kilka razy następowały wskutek tego zmiany zakwaterowania poszczególnych szkół, przede wszystkim Szkoły Powszechnej.

Uczennice mieszkały w małych pokojach po 5-7. Mieszkania komendy, kadry nauczycielskiej i administracyjnej mieściły się w osobnym budynku w pobliżu Gmachu Głównego.

Każda szkoła miała swoją kuchnię i jadalnię. Kadra kasyno.

W sierpniu 1947 roku przeniesiono Szkołę Młodszych Ochotniczek, w ramach ewakuacji Wojska Polskiego ze Środkowego Wschodu do Anglii do obozu Foxley koło Herefordu. Obóz nie był zupełnie przystosowany do potrzeb szkoły, rozrzuconej po barakach, odległych od siebie, nie wystarczających objętościowo, zimnych, umieszczonych na błotnistym terenie.

CHARAKTERYSTYKA MŁODZIEŻY

W S. M. O. zgromadzono młodzież pochodzącą ze wszystkich dzielnic Polski i ze wszystkich warstw społecznych. Przewagę jednak stanowiła młodzież pochodząca ze wschodnich terenów Polski, okupowanych przez Z. S. S. R. w 1939 r., wywieziona na zsyłkę. 40% stanowiły dzieci rolników i osadników. W pierwszych latach istnienia szkoły procent młodzieży z województw centralnych był minimalny, wzrósł w 1945 r. po przybyciu do szkoły dziewcząt z Armii Krajowej.

W klasach zarysowywała się duża rozbieżność wieku z opóźnieniem od 2 do 6 lat, co ze względu na okres wojny i stratę lat nauki było zrozumiałe. Prawie w każdej klasie można było wyróżnić 3 grupy: pierwsza — to dziewczęta mniej więcej w normalnym wieku dla danej klasy, które do S. M. O. wstąpiły na terenie Z. S. S. R., lub zaraz po przyjeździe do Palestyny. Skrócone lata nauki pozwoliły im na wyrównanie straconego czasu.

Druga grupa — to dziewczęta, które po wstąpieniu do P. S. K. pracowały na funkcjach jakiś czas nim zostały odkomenderowane na naukę do szkoły.

Trzecia grupa — to dziewczęta przybyłe w 1945 r. z Armii Krajowej.

Ostatnie dwie grupy cechowała większa samodzielność i wyrobienie życiowe, duży zapał do pracy i wytrwałość.

Dziewczęta z Armii Krajowej wyróżniały się swoją indywidualnością, która początkowo bardzo utrudniała nagięcie się do dyscypliny szkolnej. Życie konspiracyjne wytworzyło u nich negatywny stosunek do wszelkich rozkazów władz legalnych.

Trzeba było ogromnego nakładu pracy, zarówno ze strony wychowawców, jak ze strony samej młodzieży, aby zespolić tak bardzo różny element w jeden organizm szkolny. Trzeba było też doskonale zorganizowanego życia szkolnego i internatowego oraz stałej i umiejętnej opieki, aby dziewczętom dać nie tylko naukę ale także namiastkę domu.

Jednym z najważniejszych zagadnień w S. M. O. była tragiczna sprawa sieroctwa. 31,5% dziewcząt było zupełnymi sierotami (zgony stwierdzone), lub takimi, których rodzice figurowali w rubryce „zaginieni“ tylko dlatego, że dziewczęta broniły się przed ostatecznym faktem ich utraty. Czyli na każde 3 dziewczynki w S. M. O. jedna była zupełną sierotą. 30% dziewcząt miało tylko jedno z rodziców, a z 38,5% dziewcząt, które posiadały oboje rodziców, tylko znikoma ilość mogła kontaktować się z nimi. W rzeczywistości cała odpowiedzialność za wychowanie spoczywała na szkole i wychowawcach.

Bardzo ważnym zagadnieniem związanym z wychowaniem młodzieży było zatrudnienie matek uczennic na funkcjach w S. M. O. Od 1944 r. zaznaczyła się dążność do przydzielenia matek do obsady szkoły. W roku 1945/6 w obsadzie S. M. O. zatrudnione były 82 matki na 166 zatrudnionych ochotniczek. Stan rodzinny nie był bez wpływu na wybór typu szkoły; młodzież pozbawiona rodziców czuła cały ciężar obowiązku spoczywającego na niej z racji przyszłej pracy zarobkowej, toteż do szkół zawodowych szły przeważnie dziewczęta nie mające rodziców.

NAUCZANIE

Praca szkolna w Z. S. S. R. trwała zaledwie parę miesięcy. Ze względu na brak jakichkolwiek podręczników lekcje odbywały się w formie pogadanek. Chodziło raczej o to, aby młodzież czymś zająć, niż uczyć według jakiegoś programu. Duża ilość zachorowań wśród młodzieży i nauczycielstwa utrudniała naukę.

Istotna nauka zaczęła się dopiero po przyjeździe do Palestyny. Pierwszy rok szkolny rozpoczęty w Z. S. S. R. był poświęcony ponownemu wdrożeniu młodzieży do pracy po paroletniej przerwie.

Największy nacisk położono na przypomnienie materiału przerobionego w Polsce.

Następne lata szkolne od stycznia 1943 do września 1945 roku były skrócone — trwały 6 do 8 miesięcy i wobec tego musiano skrócić program nauczania. Młodzież wskutek przerwy w nauce miała mniejszy zasób wiadomości, niż w normalnych czasach, ale po przejściach w Rosji była bardziej dojrzała. Poważne podejście do nauki i niezwykła pilność pomagały w nadrobieniu straconych lat.

Lata 1945/6 i 1946/7 miały już normalny 10-miesięczny rok szkolny. Pozwoliło to nie tylko na przerobienie materiału przepisane go programem, ale i na ugruntowanie i utrwalenie nabytych wiadomości.

Po utworzeniu w S. M. O. szeregu szkół o zróżnicowanych programach, praca w nich przedstawiała się następująco:

1) W Gimnazjum Ogólnokształcącym i Liceum Humanistycznym nauka oparta była na programie Min. W. R. i O. P. z 1932 r. Nauka w Liceum, prowadzona według programu przedwojennego, podlegała ciągłej aktualizacji.

2) W Gimnazjum Kupieckim nauka prowadzona była według programu z 1935 r.

3) W Liceum Administracyjno-Handlowym uczono według programu ułożonego przez Komisję Programową, złożoną z nauczycieli S. M. O. (Nazaret — 1945 r.).

Celem Liceum Adm.-Handlowego było danie absolwentkom Gimn. Kupieckiego możliwości gruntownej specjalizacji w obranym kierunku. Ważną rzeczą było odbywanie praktyk zawodowych przepisanych programem. Terenem praktyki był przede wszystkim sklepik żołnierski S. M. O. i agencja szkolna P. K. O. W czasie wakacji uczennice praktykowały też w sklepach arabskich w Nazarecie, bankach, zakładach handlowych i przemysłowych w Tel-Awivie a także w działach gospodarczych A. P. W. w Palestynie i Egipcie.

Brak podręczników do przedmiotów zawodowych spowodował powołanie w drugiej połowie roku szkolnego 1945/6 Komisji Skryptowej. Komisja złożona z nauczycieli Gimn. Kupieckiego i Liceum Adm.-Handlowego opracowała i oddała do użytku szkoły szereg najważniejszych skryptów. Druk i powielanie wykonano we własnym zakresie w S. M. O.

4) Liceum Pedagogiczne rozpoczynając swą pracę w lutym 1944 r. nie posiadało programu nauczania. Grono nauczycielskie opracowało projekt, który uzyskał zatwierdzenie władz szkolnych jako tymczasowy program. W roku szkolnym 1945/6 otrzymano program nauczania z Min. W. R. i O. P. w Londynie. Program ten nie odbiegał w zasadzie od pierwszego projektu Liceum Pedagogicznego.

Liceum Pedagogiczne zostało zatwierdzone jako 2-letnie, o programie wzorowanym na trzyletnim Liceum Pedagogicznym w Kraju. Licealistki praktykowały w Szkole Powszechnej w S. M. O., w junackiej Szkole Powszechnej w Nazarecie, a także w cywilnej szkole w Ain-Karem i w przedszkolu w Jeruzolimie.

5) Szkoła Powszechna, po pierwszych latach rozwoju, przeszła w stadium szkoły zanikającej. Nie było nowego napływu dzieci w odpowiednim wieku.

MATURY

Liceum Humanistyczne:

Pierwsza matura odbyła się w Quastinie (Palestyna) w sierpniu 1943 r. W tym czasie Liceum S. M. O. było jedynym pełnym liceum wśród Szkół Junackich na Środkowym Wschodzie, a wydanie świadectw dojrzałości w 1943 r. w S. M. O. wyprzedziło o dwa lata szkolne męskie Szkoły Junackie.

Przewodniczącym pierwszej Komisji Egzaminacyjnej był doc. dr. Łukasz Kurdybacha. Spośród 22 uczennic II-giej licealnej do egzaminu dojrzałości dopuszczono 20, z czego zdało 18. W swoim poegzaminacyjnym sprawozdaniu dr. Kurdybacha podkreślił fakt, że większość maturzystek poziomem wiedzy i rozwojem intelektualnym nie ustępowała poziomowi abiturientek szkoły średniej w Polsce.

Drugi egzamin dojrzałości odbył się w Nazarecie w lutym 1944 r. Przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej był dyrektor nauk Szkół Junaków i Młodszych Ochotniczek dr. Tadeusz Poźniak. Po bardzo ostrej selekcji ze strony rady pedagogicznej — na 60 uczennic nie dopuszczono 11 — świadectwo dojrzałości otrzymało 48; 35 wyników było bardzo dobrych i dobrych. W sprawozdaniu poegzaminacyjnym podkreślono dobre opanowanie przepisane go materiału oraz duże czytanie kandydatek w zakresie literatury polskiej. W dwóch wypadkach wyróżniono odpowiedzi kandydatek jako wybijające się ponad poziom wymagany od absolwentek szkoły średniej.

Począwszy od trzeciego egzaminu dojrzałości, który odbył się w lipcu 1944 r. aż do rozwiązania szkoły przewodnictwo Komisji Egzaminacyjnej oddane było dyrektorze Gimnazjum Ogólnokształcącego i Liceum Humanistycznego, p. Marii Kościalkowskiej.

Do trzeciego egzaminu dojrzałości przystępowało 45 kandydatek i wszystkie otrzymały świadectwo dojrzałości.

Czwarta z kolei matura S. M. O. odbyła się w czerwcu 1945 r. Dwie kandydatki nie zostały dopuszczone do matury; jedna ze względu na chorobę, druga ze względu na późne przybycie z wojska do

szkoły. 51 kandydatek zasiadło do egzaminu dojrzałości i wszystkie zdały. Odpowiedzi dwóch zostały wyróżnione przez Komisję Egzaminacyjną jako wybitne pod względem treści i formy. Wyniki tej matury były dzięki temu dobre, że większość uczennic spędziła w szkole kilka lat; 12 było takich, które przyszły do szkoły jeszcze w Z. S. S. R. i w Iranie.

Za pierwszą całkowicie „normalną“ maturę należy uważać maturę piątą, która odbyła się w czerwcu 1946 r. w Nazarecie. Był to pierwszy pełny 10-miesięczny rok szkolny. Dopuszczone zostały wszystkie uczennice dwóch klas licealnych w liczbie 40; jedna nie zdała; 25 otrzymało wynik b. dobry i dobry; a w dwóch wypadkach Komisja wyróżniła odpowiedzi jako wybitne. Po raz pierwszy 4 abiturientki zdawały z języka angielskiego. Kandydatki wykazały zupełnie dobre opanowanie języka, swobodę wypowiedzania się, zrozumienie przeczytanej lektury a także dostateczne wiadomości z literatury angielskiej.

Szósty egzamin dojrzałości, ostatni w Nazarecie, odbył się w czerwcu 1947 roku. Jedna uczennica była nieklasyfikowana z powodu choroby; z 42 dopuszczonych — wszystkie zdały; 24 z wynikiem b. dobrym i dobrym.

Siódma, ostatnia matura w S. M. O., odbyła się w lutym 1948 r. w obozie Foxley w Anglii, po zaledwie 6½ mies. roku szkolnym. Do egzaminu przystąpiły 42 uczennice. Wszystkie otrzymały świadectwo dojrzałości. Pomimo jednak procentowo pomyślnego wyniku, ogólny poziom abiturientek był niższy, niż w latach poprzednich. Wpłynęła na to zmiana b. dobrych warunków nazaretańskich na złe warunki w Foxley, odejście wielu nauczycieli po przyjeździe do Anglii, skrócony rok szkolny oraz nastrój niepewności i zniechęcenia panujący wśród młodzieży. Odbiło się to na słabych wynikach maturalnych: na 42 kandydatek tylko 15 zdało z wynikiem b. dobrym i dobrym.

Matury w Liceum Pedagogicznym:

Matury w Liceum Pedagogicznym przeprowadzone były już po okrzepnięciu Szkoły Młodszych Ochotniczek, Dziewczęta, które znalazły się w Liceum Pedagogicznym, miały ukończonych kilka klas Gimnazjum Ogólno-kształcącego S. M. O.

Pierwszy egzamin dojrzałości w Liceum Pedagogicznym był w czerwcu 1945 r. W sumie Liceum Pedagogiczne S. M. O. przeprowadziło 4 egzaminy dojrzałości, rezultatem których było wydanie 106 dyplomów na nauczycieli szkół powszechnych. W liczbie tej

były 2 osoby cywilne, składające egzamin jako eksterniści, i 4 uczennice Liceum Pedagogicznego w Vliyade w Indiach.

Przewodniczącą Komisji Egzaminacyjnej wszystkich matur w Liceum Pedagogicznym była dyrektorka Lic. Pedagogicznego dr. Emilia Zdziarska.

Matury w Liceum Administracyjno-Handlowym:

Pierwsza matura odbyła się w Nazarecie w czerwcu 1947 r. w warunkach normalnych, po pełnym roku nauczania w/g regulaminu zatwierdzonego przez Delegata Min. W. R. i O. P. na Szkoły Junackie pod przewodnictwem Dyrektorki Liceum Adm.-Handlowego, mgr. Danuty Marszałik. Do egzaminu zostały dopuszczone wszystkie uczennice II licealnej (w sumie 45). Z wynikiem b. dobrym zdało 9 uczennic, z dobrym 29, dostatecznym 24, relegowano 3 uczennice.

Drugi, ostatni, egzamin dojrzałości w Liceum Adm.-Handlowym został przeprowadzony w W. Brytanii w Foxley po skróconym roku szkolnym w lutym/marcu 1948 r. Egzamin odbył się w bardzo niesprzyjających do nauki warunkach, 7 uczennic odeszło ze szkoły przed egzaminem, 4 odstąpiły od egzaminu. Do matury przystąpiło 33 uczennic, z czego 3 zdały z wynikiem b. dobrym, 16 z dobrym, 10 z dostatecznym, 4 uczennice zostały reprobowane.

Poniższa tabela daje bilans 6-ciu lat pracy w S. M. O.

ŚWIADECTWA KOŃCOWE POSZCZEGÓLNYCH TYPÓW SZKÓŁ MŁODSZYCH OCHOTNICZEK

Rok szkolny	Świadectwo ukończenia			Świadectwo dojrzałości		
	Szkoła Powsz.	Gimn. Og. Kszt.	Gimn. Kupiec.	Lic. Hum.	Lic. Ped.	Liceum Ad. Handl.
1942/3	35	63	—	18	—	—
1943/4	52	136	—	48	—	—
1944	59	97	—	45	—	—
1944/5	56	88	19	51	31	—
1945/6	21	85	20	43	23	—
1946/7	12	70	21	43	29+2*)	42
1947/8	—	31	15	42	17+4*)	29

*) eksternistycznie

OŚWIATA POZASZKOLNA

Studia uniwersyteckie absolwentek S. M. O.

W 1943 r. po pierwszej maturze Liceum Humanistycznego komenda Szkół Młodszych Ochotniczek robiła starania o odkomenderowanie

10 najzdolniejszych absolwentek na studia wyższe do Bejrutu. Poparł te starania ówczesny przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej dr. Kurdybacha. Niestety, starania te i rekomendacje spotkały się z odmową inspektorki P. W. S. K. i wszystkie absolwentki wróciły do swoich oddziałów.

W 1944 roku ponowiono starania, tym razem dla 19 absolwentek, dla których komenda S. M. O. uzyskała zapewnienie miejsc na uniwersytecie bejruckim. I tym razem starania te nie odniosły pozytywnego rezultatu bowiem inspektorka P. W. S. K. uważała, że wszystkie młode siły powinny być skierowane do pracy w Armii Polskiej.

Dopiero po zakończeniu wojny w 1945 r. stała się aktualna sprawa dalszych studiów. Odkomenderowano wówczas około 30 absolwentek S. M. O. na uniwersytet w Bejrucie. Niestety, po roku studiów odkomenderowane ochotniczki zostały odwołane do oddziałów, ponieważ władze libańskie zażądały opuszczenia kraju przez wszystkie wojska alianckie. W Bejrucie na studiach pozostała tylko nieliczna grupa studentek, które zdecydowały się wystąpić z wojska.

Kursy doształcające i zawodowe

Grono nauczycielskie brało udział w ogniskach metodycznych, organizowanych przez D-two Szkół Junaków w Barbarze (Palestyna). Program obejmował wykłady z metodyki, nauki geografii i przyrody, lekcje praktyczne, ćwiczenia, referaty. Ponadto dyskusje ogólnowychowawcze i wycieczki. Dla polonistów i historyków zorganizowano w 1946 w Jerozolimie specjalny kurs.

W 1945 r. w Nazarecie zorganizowano 4-miesięczny kurs języka angielskiego dla nauczycieli. Oprócz nauczycieli wzięły w nim udział absolwentki Liceum Pedagogicznego. Po zdaniu egzaminów końcowych cztery z nich uzyskały stanowiska nauczycielek języka angielskiego w Szkołach Junackich.

W czasie wakacji 1945 r. urządzono 6-tyg. kurs P. C. K. dla kadry i absolwentek S. M. O.

W 1946 r. zorganizowano dla absolwentek 3 mies. kurs języka angielskiego w Jerozolimie.

W 1947 r. odbył się kurs samochodowy.

Od 1946 r. przed S. M. O. stanęło zagadnienie praktycznego wykształcenia absolwentek Liceum Humanistycznego w przygotowaniu do wyjazdu i pracy w Anglii. Stworzono jednoroczny kurs handlowy a także kursy kroju i szycia dla kadry i uczennic S. M. O. Zorganizowano kurs fotograficzny.

POMOCE SZKOLNE

Dzięki dużemu wysiłkowi Komendantki Szkoły, Kierowniczek Nauczania, Kadry a także pomocy wojska oraz Ministerstwa Oświaty — za pośrednictwem Delegatury w Jerozolimie — S. M. O. w okresie swego szczytowego rozwoju w Nazarecie wyposażona była w obfitą ilość pomocy szkolnych.

Sprzęt — wszystkie szkoły miały jednakowy sprzęt klasowy: stoły, ławki typu wojskowego, tablice zakupione z funduszków Min. W. R. i O. P. Ilość sprzętu była wystarczająca. Świetlice urządzone były przez War Relief Service; w każdej było radio, czasopisma, gry, w niektórych patefon. W gmachu głównym w Nazarecie oprócz świetlicy była też czytelnia zaopatrzona w książki naukowe, z których uczennice korzystały na miejscu.

Pomoce naukowe: Pomoce naukowe do przyrody, fizyki, geografii, zajęć praktycznych i rysunków mieściły się w oddzielnych gabinetach i stanowiły — tak jak i biblioteka szkolna — wspólną własność wszystkich Szkół Młodszych Ochotniczek. Poza tym Gimn. Kupieckie, jako szkoła zawodowa, prowadziło pracownie: maszyn, reklamy i towaroznawstwa.

a) Pracownia biologiczna: założona zaraz po przyjeździe do Palestyny, z bardzo skromnych początkowo rozmiarów urosła do pracowni pozwalającej na prowadzenie ćwiczeń biologicznych, obserwacji i hodowli roślin. Zaopatrzona była w mikroskopy, epidiaskop, preparaty mikroskopowe, tablice przyrodnicze, zoologiczne i botaniczne, zbiory fauny i flory Środkowego Wschodu (prace uczennic). Obok pracowni znajdowała się specjalna sala hodowlana.

b) Pracownia geograficzna miała zbiory mineralogiczne, nagromadzone przez uczennice: diagramy, modele geologiczne, mapy i stół plastyczny okolic Nazaretu. Modele i część map geograficznych, a także komplety map do nauki historii Polski i historii powszechnej wykonane były przez uczennice pod kierunkiem nauczycieli.

c) Gabinet fizyczny: celem początkowym było zdobycie przyrządów do demonstracji przy nauce fizyki. Skompletowanie takiego zbioru było bardzo trudne, gdyż rynek palestyński był słabo zaopatrzony. Niektóre przedmioty zakupywano w Egipcie a kilka zostało zrobionych przez uczniów Junackiego Gimn. i Lic. Mechanicznego w Kiriat-Motzkin. Charakter demonstracyjny gabinetu zmieniał się powoli na pracownię do ćwiczeń. W 1945 r. zakupiono z funduszków Delegatury M. W. R. i O. P. sprzęt potrzebny do ćwiczeń chemicznych.

Szkoła Powszechna ze względu na swój charakter nie mogła korzystać z gimnazjalnych pomocy naukowych; posiadała swój własny

miały gabinet przyrodniczy, zawierający komplet przyborów do przyrody martwej, tablice przyrodnicze, wykonane przez nauczycieli i uczennice Liceum Pedagogicznego, dużą ilość map do nauki geografii, albumy zestawione z rycin, zdjęć fotograficznych i wycinków z gazet.

Pracownie Szkół Zawodowych: Gimnazjum Kupieckie i Liceum Adm. Handlowe posiadało pracownię maszyn do pisania, pracownię towaroznawstwa i pracownię reklamy. W pracowni reklamy było dużo materiałów pomocniczych, zebranych i opracowanych przez nauczycieli. Lokal oświetlony silnym światłem elektrycznym służył jako pracownia do nauki ozdabiania witryn sklepowych, dekoracji.

Biblioteka: biblioteka centralna w gmachu głównym w Nazarecie obsługiwała wszystkie szkoły. Włączając podręczniki szkolne, biblioteka główna miała ponad 14 tys. książek. Nauczycielstwo, Szkoła Powszechna i Gimn. Kupieckie miały swoje podręczne biblioteki. Ogółem S. M. O. miała ponad 19 tys. książek.

Podręczniki szkolne: Gimnazjum Ogólnokształcące zaopatrzone było w podręczniki wydane na terenie Środkowego Wschodu przez Sekcję Wydawniczą. Liceum Humanistyczne i Pedagogiczne miało tylko podręczniki do języka polskiego, historii, chemii i częściowo do języka angielskiego. W 1945 r. wyszła pierwsza część propedeutyki filozofii Ajdukiewicza dla II klas licealnych. Posługiwano się książkami zastępczymi, skryptami i notatkami z wykładów nauczycieli.

WYCHOWANIE

Wychowanie spoczywało w rękach przede wszystkim wychowawczyń klasowych — nauczycielek, które poświęcały dziewczętom wiele czasu poza godzinami szkolnymi, i w rękach całego grona nauczycielskiego, które było świadome swego obowiązku nie tylko uczenia ale też wpływu na młodzież.

Życie internatowe powierzone było komendantkom kompanii, instruktorkom i personelowi kompanijnemu, który czuwał nad wychowaniem młodzieży w życiu codziennym.

W S. M. O. stworzono liczne organizacje i kółka młodzieżowe, aby dać dziewczętom możliwość pracy nad sobą i rozwinąć inicjatywę: Sodalicia Mariańska pracowała nad wyrobieniem charakterów w oparciu o etykę chrześcijańską. Harcerstwo i P. C. K. dawało podkład do pracy społeczno-obywatelskiej. Kółka geograficzne, przyrodnicze i fotograficzne rozszerzały wiadomości naukowe i fachowe. Samopomoc koleżeńska i samorząd szkolny ćwiczyły w rozwijaniu poczucia odpowiedzialności indywidualnej i zbiorowej.

W 1946 r. powstały „szarże młodzieżowe“. Kompanie, które podzielone były na plutony, rozbito na jeszcze mniejsze komórki: drużyny. Na czele drużyn stały same uczennice. Każda drużyna składała się z zespołu dziewcząt dobrze z sobą żyjących, które nawzajem na siebie oddziaływały. Przerzucenie pewnej odpowiedzialności za wychowanie na samą młodzież dało bardzo dobre wyniki. Ścisła współpraca szarż młodzieżowych z wychowawcami zbliżyła młodzież do przełożonych. Cotygodniowa odprawa szarż z Komendantką szkoły dała jej bezpośredni kontakt z uczennicami, a uczennicom — możliwość przedyskutowania swoich problemów na najwyższym szczeblu i wspólnego szukania rozwiązań. Młodzież dostała głos w zasadniczej rzeczy: sprawnego prowadzenia szkoły!

Charakter wojskowy szkoły narzucał młodzieży pewne obowiązki, które pomagały w utrzymaniu dyscypliny i subordynacji. Dziewczęta pełniły służbę podoficera służbowego i łącznika, raz na tydzień miały wykłady przysposobienia wojskowego i musztry. S. M. O. miała także przygotować kadry świetnych ochotniczek-żołnierzy.

Związek szkoły z armią był bardzo ścisły i wyrażał się nie tylko w formalnej zależności S. M. O. od wojska. Fakt, że wiele dziewcząt miało w wojsku ojców i braci, narzeczonych, że sporo starszych uczennic przyszło do szkoły po pełnieniu funkcji w różnych jednostkach wojska, dawał dziewczętom poczucie wspólnoty z armią polską. Opieka oddziałów A. P. W., a w szczególności 5 Dywizji Kresowej nad S. M. O. była wyrazem łączności wojska z młodzieżą. Uczennice S. M. O. z dumą nosiły na rękawach odznaki Żubra (5 Dyw.) czy Lwa (6 Dyw.) podkreślając swoją przynależność do II-go Korpusu.

Plan wychowawczy opracowany był wspólnie dla wszystkich Szkół Młodszych Ochotniczek w oparciu o wytyczne D-twa Szkół Junaków i na pierwsze miejsce wysuwał wykształcenie świadomej swoich obowiązków Polki, wyrobienie silnej, pełnowartościowej jednostki, przygotowanie do samodzielnej pracy zawodowej.

Przed S. M. O. stały problemy nieznanie normalnej szkole. Przede wszystkim młodzież po przeżyciach w Z. S. S. R. czy w Armii Krajowej była ponad wiek dojrzała. Nie mając przy sobie rodziny, dziewczęta zdane były wyłącznie na szkołę. Szkoła musiała dać im nie tylko naukę, ale też zastąpić dom rodzinny. W obcym środowisku stworzyć atmosferę polskości. W trudnej sytuacji politycznej bronić przed wpływami wynaradawiającymi. Praca nad wychowaniem była utrudniona stałym przepływem uczennic. (Znikomy był procent uczennic, które przebywały w szkole przez cały okres jej istnienia).

Życie w grupie nie dawało dziewczętom wystarczającego odprę-

zenia, co powodowało często drażliwość i nerwowość. Oderwania się od monotonnej atmosfery internatowej szukały dziewczęta w rozrywkach świetlicowych, gdzie pod nadzorem świetliczarek urządzano gry, zabawy, potańcówki — czasem przy współudziale kadetów. Organizowano odczyty, na które zapraszano prelegentów spoza szkoły, urządzano (we własnym zakresie) koncerty. Wszystkie te rozrywki nie wychodziły jednak poza ramy szkoły i poza pójściem na dozwolone filmy w niedzielę i wyjazd czasem na przepustkę, młodzież nie miała zupełnie kontaktu z życiem zewnętrznym. Brak boiska sportowego w Nazarecie utrudniał wychowanie fizyczne.

Aby temu w jakiś sposób zaradzić, organizowano obozy letnie w czasie wakacji. Nieznaczna tylko ilość uczennic mogła spędzić wakacje z rodziną.

Najbardziej udanym obozem był obóz w Cedrach w Libanie w sierpniu 1944 roku. Zmiana klimatu z gorącego na wysokogórski, kąpiel w basenie, ciągle przebywanie na świeżym powietrzu i zupełna swoboda z dala od miasta, wpłynęła na poprawę stanu fizycznego i psychicznego dziewcząt. Znikły wypadki stale powtarzające się jeszcze malarii.

W lecie 1945 i 1946 roku część uczennic spędziła wakacje nad morzem w Athlicie. Mieszkanie w namiotach, tuż nad morzem, kąpiel i opalanie dały dużo zadowolenia i radości. Urządzane, w tym samym czasie, obozy dla Mł. Ochotniczek w D-twie Szkół Junaków, w Barbarze, cieszyły się dużą popularnością. Zawody na boisku sportowym, zabawy w świetlicach dały upust nagromadzonej energii.

Obozy letnie w Jerozolimie i w Tyberiadzie, oprócz wypoczynku i zmiany środowiska miały też na celu kształcenie. Urządzano liczne wycieczki do miejsc związanych z życiem Chrystusa. Wycieczki były bardzo ważnym czynnikiem wychowawczym i naukowym w S. M. O. W ciągu roku szkolnego, jak też w czasie wakacji, kierownictwo szkoły starało się, aby dziewczęta jak najlepiej poznały Ziemię Świętą i jak najwięcej miały z niej wrażeń. Oprócz wycieczek o charakterze czysto religijnym urządzano wycieczki przyrodniczo-geograficzne, które również pogłębiały wiadomości o tym tak bardzo ciekawym kraju. Akcja wycieczek popierana była przez Delegaturę Oświaty, która dawała pieniądze na ten cel.

Jeszcze jedną odskocznią od codziennego życia internatowego były liczne imprezy urządzone bądź to pod egidą nauczycielstwa, bądź przez same uczennice. Już w roku 1943 powstało kółko literacko-artystyczne, które zajmowało się organizowaniem ognisk, poranków i wieczorów świetlicowych. W szybkim czasie rozszerzyło ono swoją działalność na całą młodzież szkolną, a następnie wyszło poza ramy

S. M. O. Owo wyjście poza szkołę zaczęło się od udziału w imprezach ogólnojunackich. I tak w roku 1943 uczennice S. M. O. brały udział w wystawionych przez Junaków wyjątkach z „Halki“, a potem ze „Straszego Dworu“. Następnie — w imprezach organizowanych przez ośrodki polskie w Palestynie, w radiu polskim w Jerozolimie, a nawet jeździły z popisami do Bejrutu i Damaszku. Próbowano samodzielnego wystawiania utworów klasycznych jak „Warszawianka“ i „Wyzwolenie“. Kilkakrotnie widowiska urządzone wprawdzie tylko dla S. M. O. powtarzano dla publiczności Nazaretu. Polskie tańce i śpiewy cieszyły się wielką popularnością i uznaniem wśród miejscowej ludności arabskiej. Z czasem imprezy stały się najpoważniejszym czynnikiem w propagowaniu polskości wśród cudzoziemców.

Imprezy dawały dużo wrażeń i emocji nie tylko uczestniczkom, ale całej szkole. Pisano o nich w gazetach ściennych poszczególnych klas, w artykułach i korespondencji do ogólnojunackiego czasopisma „Junak“. Kilka numerów „Junaka“ poświęconych było wyłącznie S. M. O. i redagowanych przez S. M. O. W zakresie własnym wydano szereg jednodniówek, z których najważniejsza „Uśmiech“ wydana była na imieniny Komendantki Sychowskiej w listopadzie 1946 roku w formie powielanej książki.

OKRES W WIELKIEJ BRYTANII

Szkoły Młodszych Ochotniczek przybyły do Anglii 5 sierpnia 1947 roku. Stan wynosił 404 uczennice — włącznie z absolwentkami trzech liceów, które zaraz po przyjeździe odeszły częściowo do obozu akademickiego, częściowo do pracy — i 59 osób kadry. S. M. O. przyjechała jako dobrze zorganizowana, niezależna jednostka, przywożąc ze sobą całe wyposażenie i wszystkie pomoce naukowe.

Po wylądowaniu w Liverpoolu zaczęły się trudności i próby rozbicia szkoły. Uczennice i kadra żeńska zostały skierowane do obozu w Foxley, koło Herefordu: kadra męska dostała przydział do innego obozu. Groziło to rozbiciem przede wszystkim Gimn. Kupieckiego i Lic. Adm. Handlowego, w których większość nauczycieli rekrutowała się z mężczyzn. Po zabiegach Komendantki pozwolono w końcu personelowi męskiemu zostać w szkole.

W Foxley kadrę administracyjną wciągnięto do D-twa 3 Grupy ATS/PRS wobec czego szkoła przestała być samodzielną jednostką gospodarczą.

Już w tydzień po przyjeździe szkoły do Foxley rozpoczęto naukę. Głównym powodem do natychmiastowego puszczania szkoły w ruch było pismo administratora Polskich Sił Zbrojnych zapowiadające roz-

wiązanie S. M. O. — na równi z innymi szkołami przybywającymi do Anglii. Jako rzecznik Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, administrator Sił Zbrojnych wyrażał zdanie, że szkoły o typie gimnazjalnym nie są środkiem prowadzącym do rozmieszczenia Polaków w Wielkiej Brytanii, a będąc dużym obciążeniem administracyjnym, nie mają racji istnienia.

Komenda S. M. O. chciała ubiec to zarządzenie i postawić władze P. K. P. R. wobec faktu istnienia i funkcjonowania szkoły. Dlatego nie czekając na zarządzenia, za zgodą inspektorki PSK/PKPR p. k. Leśniakowej, rozpoczęto natychmiast po przyjeździe naukę.

Mimo piętujących się trudności jak: sprzeczne zarządzenia władz pośrednich, stały nacisk „Ministry of Labour“ na odejście dziewcząt do pracy, brak pozwolenia na naukę dla prawie połowy uczennic (Anglicy nie chcieli się zgodzić na prowadzenie szkół zawodowych), zmniejszenie etatów nauczycielskich, praca szkolna postępowała naprzód.

Dużą pomoc w tych ciężkich dla szkoły czasach okazał D-ca 4 Grupy Dyw. P. K. P. R. Gen. Bohusz-Szyszko. W tydzień po przybyciu do Foxley General opracował wraz z komendą S. M. O. — zasadnicze postulaty i potrzeby szkoły i przedstawił je do Inspektoratu Szkolenia P. K. P. R. Chodziło przede wszystkim o pozwolenie prowadzenia szkoły do końca 1948 roku, t. j. do ukończenia nauki przez II-gie klasy licealne, oraz o ustalenie etatu szkoły i przydzielenie kredytów na pokrycie potrzeb szkolnych. To przychylne i rzeczowe nastawienie gen. Bohusza-Szyszki bardzo zaważyło na dalszych losach szkoły. I chociaż w końcowym rezultacie komenda S. M. O. stanęła wobec nieodwołanego faktu rozwiązania szkoły, to jednak udało się wywalczyć doprowadzenie zaczętego roku szkolnego do końca i zapewnić dalszą naukę i opiekę dla tych dziewcząt, które były za młode aby szkołę ukończyć.

Początkowo Komitet dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii zgodził się na przyjęcie tylko znikomej liczby Młodszych Ochotniczek do swoich szkół. Reszta miała przejść do P. K. P. R. a najmłodsze do sierocińców pod opiekę Assistance Board. Dzięki niestrudżonym staraniom komendy S. M. O., a przede wszystkim kom. Sychowskiej, udało się umieścić 42 uczennice w szkołach Komitetu, 40 z klas licealnych poszło na 14-miesięczny kurs maturalny prowadzony przez Komitet Generalny, a najmłodsze przeszły pod opiekę Komitetu Oświaty, co uchroniło je przed odesłaniem do sierocińców.

Ostatni rok szkolny w S. M. O. został zakończony 29-go lutego 1948 roku, ale praca w szkole nadal trwała. Nauczycielki-opiekunki klas zajęły się same rozmieszczeniem dziewcząt, które skończyły

naukę, nie chcąc dopuścić do przypadkowego przydzielenia ich do pracy przez Labour Exchange.

Ośrodek Szkół Ogólnokształcących, do którego S. M. O. została włączona, został rozwiązany 15-go kwietnia 1948 roku nie zostawiając po sobie żadnej komórki likwidacyjnej. Mimo tego akta szkolne zostały posegregowane, ewidencja uporządkowana, sprawozdanie napisane, i odesłane do archiwum. Była to praca kilkunastu członków kadry S. M. O., którzy zawsze traktowali Szkołę Młodszych Ochotniczek jako drogi i własny warsztat pracy i nie opuścili jej do końca. Trudno jest dziś wymieniać poszczególne nazwiska w obawie, że się o kimś zapomni, ale nie można nie wymienić komendantki Teodory Sychowskiej, która przez cały okres istnienia szkoły walczyła niezłomnie, aby stworzyć swoim dziewczętom jak najlepsze warunki do nauki i nie opuściła szkoły, dopóki nie zapewniła opieki wszystkim tym, które nauki jeszcze nie skończyły.

Powyższe oparte na podstawie sprawozdania dyr. Marii Kościalkowskiej i Kroniki szkolnej. Oba dokumenty złożone w Archiwum Wojska Polskiego w Instytucie Generała Sikorskiego w Londynie.

SZLAK WEDROWKI 1940-1948



KOMENDANTKA TEODORA ZOFIA SYCHOWSKA

Teodora Zofia Sychowska urodziła się we Lwowie 1910 r. Ojciec jej, Teodor z Sychowa na Kaszubach, osierocił ją w dzieciństwie. Teodora Sychowska kształciła się w Poznaniu, gdzie po zdaniu egzaminu dojrzałości pracowała jako nauczycielka szkoły powszechnej w Szkole św. Kazimierza. Będąc już nauczycielką, studiowała na wydziale matematyczno-przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego. W 1934 r. otrzymała stopień magistra filozofii, kończąc równocześnie wydział wychowania fizycznego tegoż uniwersytetu. Podczas studiów należała do wielu organizacji akademickich, ale ponad wszystko górowała w niej pasja poznawania ojczyzestego kraju i krajów obcych.

Po ukończeniu studiów objęła stanowisko nauczycielki geografii w Gimn. S. S. Urszulanek a następnie w gimnazjum męskim w Gdyni. Utrzymując bliski kontakt z wujem swoim Milanem, gorącym piewą morza polskiego (zginął on później w obronie polskiego wybrzeża) w Gdyni, napisała bardzo oryginalną książkę pt. „Pędziwiatr w porcie gdyńskim“. Książka ta została zakwalifikowana do bibliotek szkolnych. W roku 1938 Teodora Sychowska zwiedziła na „Batorym“ fiordy Norwegii, a w sierpniu następnego roku Estonię i Finlandię. Z tej ostatniej podróży wróciła we wrześniu 1939 r. ostatnim samolotem, który wylądował w Wilnie. Została w Wilnie i uczyła w gimnazjum dla dzieci uchodźców z innych części Polski. W czerwcu 1941 została wywieziona do Z. S. S. R. i skazana na pobyt w łagrze Stupinowo. Zwolniona w styczniu 1942 r. dołączyła do Armii Polskiej w Czok-Paku, gdzie wyznaczono ją na komendantkę Szkoły Junaczek w Karkin-Batasz. Funkcję komendantki pełniła przez cały 6-letni okres istnienia szkoły, aż do jej rozwiązania w Anglii w kwietniu 1948 r.

Przed wyjazdem z Palestyny w 1947 r. Teodora Sychowska wyszła za mąż za inż. Bohdana Czarlińskiego, wykładowcę w Junackim Gimnazjum Mechanicznym w Palestynie.

W grudniu 1949 r. państwo Czarlińscy wyjechali do Brazylii, gdzie osiedli na stałe. W Brazylii Teodora Sychowska-Czarlińska, matka dwojga dzieci, była nadal czynna w życiu społecznym. Założyła prywatną szkołę z nauką języka polskiego, angielskiego, geografii i historii. Wśród rodaków dawno osiadłych w Brazylii i tych nowo

przybyłych podtrzymywała poczucie narodowe, kult rodzimych obyczajów, folkloru, pieśni polskiej. Pisała o Polsce dla Brazylijczyków, o Brazylii dla Polaków. Pracowała w Komitecie Millenijnym, współdziałała z brazylijskim instytutem dla niewidomych. A przy tym wszystkim jeszcze znajdowała czas, by utrzymywać szeroką korespondencję ze swoimi „dziewczętami“ rozrzuconymi po całym świecie.

W sierpniu 1966 roku komendantka Sychowska w przejeździe z Brazylii z wizytą do Polski odwiedziła Londyn, gdzie była serdecznie witana przez swoje wychowanki. W czerwcu 1967 r. Komendantka przyjechała na dłużej do Londynu i była obecna na uroczystościach związanych z 25-leciem Szkół Młodszych Ochotniczek. Było to już niestety ostatnie radosne spotkanie. 30-go czerwca 1968 r. komendantka Teodora Sychowska-Czarlińska zmarła w miejscowości ACESSITA w Brazylii.

Komendantka Sychowska żywiła specjalny kult do Wandy Malczewskiej, który zaczął się jeszcze w Polsce a ugrutował w czasie pobytu komendantki w łagrze sowieckim. W piśmie „Sodalis“ z grudnia 1949 r. tak komendantka pisze o laskach doznanych za wstawiennictwem Wandy Malczewskiej:

„Łagier Studio 2 w północnym Uralu po stronie azjatyckiej. Nędzne baraki postawione na moczarach, pełnych komarów i innych gryzących muszek, otoczone zewsząd tajgą syberyjską. Nie dochodzą tam listy ani paczki od rodzin. Nie wychodzą stamtąd żadne wiadomości

W roku 1941 był to obóz dla 900 więźniów estońskich. Tam — w lipcu tegoż roku — przysłano z więzienia starobielskiego 22 Polki. W obozie z dniem każdym było coraz gorzej: głodowe racje żywnościowe stawały się coraz mniejsze, śmiertelność coraz większa, wczesna zima coraz groźniejsza, a organizm coraz bardziej wyczerpany głodem, ciężką pracą, zimnem, tęsknotą.

W tym zagubionym w głębi tajg obozie postanowiliśmy powierzyć nasze losy Wandzie Malczewskiej. Każdego wieczora zbierałyśmy się wbrew zakazom i groźbom na modlitwę prosząc Ją o pomoc w odzyskaniu wolności, o uchronienie nas wszystkich od kalectwa, nieuleczalnej choroby lub śmierci, o powrót do Polski. Prosiłyśmy Ją, może trochę dziecinnie, abyśmy już na Wielkanoc w dzień Zmartwychwstania Pańskiego mogły być w Polsce. Stawiałyśmy warunki, oznaczały termin. Pragnęłyśmy cudu!

Wanda Malczewska stała się nam dziwnie bliska, choć nie wiele o jej życiu i objawieniach wiedziałyśmy. Nawet siostrzyczki zakonne — a było ich sześć między nami — niewiele umiały o Niej powiedzieć: że Pan Jezus do Niej przemówił, gdy była małą dziewczynką; że w okresie szczęśliwego dzieciństwa czas swój dzieliła między

modlitwę a pracę, otaczając opieką służbę domową i dzieci wiejskie, nie znając zwykłych zabaw dziecięcych z ich beztrudną swobodą;

że po śmierci matki, pozbawiona domu i dobrobytu, w milczeniu i bez skargi znosiła twardy los;

że w czasie powstania styczniowego ukrywała i opatrywała powstańców dbając jednocześnie o duchowe potrzeby rannych;

że rozpowszechniała nabożeństwo majowe, bardzo mało wówczas znane;

że o cokolwiek prosiła Boga, nigdy nie zostało jej odmówione;

że całe życie Jej składało się z niesienia nieustannej pomocy chorym, potrzebującym, strapionym.

„Błogosławieni cisi, którzy zdobędą ziemię“, przypominała p. Stenia, towarzyska niedoli, a późniejsza kronikarka S. M. O. A siostra Monika opowiadała o Wandy piątkowych widzeniach i zapoznawała nas z okolicznościami Jej przepowiedni „Cudu nad Wisłą“.

Miesiące mijały wolno i beznadziejnie. Przyszedł grudzień. Któregoś dnia przeniknęła do obozu wiadomość o umowie polsko-sowieckiej. Wiadomość ta rozbudziła w nas fale nadziei, chociaż w łagrze nic się nie zmieniło. Po miesiącu niecierpliwego czekania zwróciliśmy się do kierownika obozu. Patrzał zdumiony: „Umowa dotyczy tylko mężczyzn zdolnych do wojska“ — skłamał gładko. Byliśmy przeczzone.

Podstępem dotarliśmy do samego prokuratora i 19. 1. 42 r. byliśmy wolne! Mimo niesłychanego osłabienia — zdrowe, mimo niebezpiecznej pracy leśnej — całe i wszystkie razem. Wanda Malczewska nas wysłuchiwała. Ona wyprosiła nam łaskę wolności, choć jeszcze na obcej ziemi.

W drodze z łagru na południe grupa nasza rozdzieliła się. My obie z p. Stenią na Wielkanoc byliśmy już w wojsku polskim przy 8-ej Dywizji.

Im więcej lat mnie dzieli od tych wypadków, tym są one dla mnie „dziwniejsze“. W obozie śmiertelność była ogromna. Z Polek nie umarła żadna. Wypadki odmrożeń, kończące się niekiedy amputacją palców, były bardzo częste. Nas one ominęły. A przecież pracowaliśmy lekko ubrane przy 40° mrozu. Cynga z okropnymi wrzodami i tyfus brzuszny grasowały po obozie. Nas nie tknęły. Zwolniczo nas wszystkie razem, a jak później dowiedziałyśmy się z innych obozów zwalniano małymi grupkami, tak że często ślady po pozostałych ginęły. W obozie nas nie rozdzielono, choć przerzucanie z obozu do obozu nie należało do rzadkości.

A sam fakt uwolnienia? Niespełna 115.000 Polaków opuściło Związek Radziecki na półtora miliona wywiezionych. Czy nie musi się

wydawać to trochę „dziwne“, że w tej liczbie znalazłyśmy się my, więźniarki z dalekiej północy, z obozu niepolskiego, o którym Bóg i ludzie mogli łatwo zapomnieć.“

Po wyjściu z obozu komendantka Sychowska korzystała z każdej okazji, aby szerzyć kult Wandy Małczewskiej. Wanda Małczewska została patronką Szkoły Młodszych Ochotniczek i kto wie, czy właśnie tej Wybrance Bożej nie należy dziękować za wstawiennictwo u Boga za naszą szkołę, która dała opiekę i wykształcenie setkom polskich dziewcząt, uratowanych prawie cudem z otchłani sowieckiej.

Na specjalną prośbę Komendantki, Włastimil Hofman namalował obraz Wandy Małczewskiej. Dziś znajduje się on wraz z historią S. M. O. w Instytucie Gen. Sikorskiego, a my, które tyle szkole zawdzięczamy, powinniśmy obrać ją sobie za opiekurkę naszych domów, kontynuując tradycje tego pierwszego naszego wspólnego domu: Szkoły Młodszych Ochotniczek i wypełniając tym jakoby testament naszej Komendantki.

Opracowała
Danuta Polniaszek-Kossakowska

W OBOZIE STUPINOWO

Nie wiem co Tołę młodą, i pełną życia, pociągnęło do mnie starszej, złamanej kobiety. Może wspomnienie matki... Wiem jednak, co ukształtowało moje uczucie dla niej: jej głęboka, niezłomna wiara, ukochanie Polski ponad wszystko i niezwykle przywiązanie do rodziny, dziecięce niemal uwielbienie dla matki.

Z 20 Polek w obozie byłem najstarszą, a więc najmniej nadającą się do ciężkiej pracy i ekwilibrystycznych sztuk: jak maszerowanie na codzienną pracę 12 do 16 km, po kolejowych pokładach bez nasypu, przełożonych nad kilkumetrowymi przepaściami pełnymi wody, lub wskakiwanie i zeskakiwanie w ruchu pociągu z platformy, z której zsypywałyśmy żwir przy reperacji toru itp. Toła zawsze znalazła się przy mnie, by mi pomóc, podtrzymać — zastąpić, gdy sił już brakło.

Gdy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia posłano mnie do szorowania podłogi w baraku jadalnym 100 metrów na 50, gdzie wylewana woda natychmiast zamarzała, tworząc ślizgawkę, Toła dobrowolnie poszła ze mną, by mi pomóc.

Pewnego razu naznaczono mi za niewykonanie rozkazu trzy dni aresztu w tzw. „izolatorze“, ohydnej śmierdzącej dziurze, gdzie

jedynym sprzętem była „parasza“ pełna po brzegi, od tygo...ni nie uprzęta. Tola uparła się, że mnie samej nie puści, pójdzie z mną. Dużo NKWDziści mieli z nią kłopotu i ledwo ją uprosiłam, by zostawiła mnie samą, gdy stało się jasne, że i tak nas razem nie posadzą.

Tola nigdy nie opuszczała rąk, była pełna inicjatywy i zdecydowania, nie bała się wziąć na siebie odpowiedzialności za powziętą decyzję, a każdą rzecz przed wykonaniem najdokładniej obmyślała i planowała.

Pamiętam, któregoś beznadziejnego, grudniowego wieczora Tola po powrocie z pracy przypelzła do mnie na pryczę i zaczęła szeptać: „musimy coś robić, bo zagubione jesteśmy w tym męskim łagrze wśród Estończyków, a przecież po zawarciu umowy polsko-sowieckiej (o której nas słuchy dochodziły) Polaków wypuszczają na wolność“. Wiedziałyśmy, że właśnie jest w łagrze prokurator z Moskwy ze świtą, sądzi i wymierza karę Estończykom. „Musimy dostać się do niego i żądać uwolnienia“. Ba! Łatwo powiedzieć, ale jak wykonać? Jesteśmy pilnie strzeżone, pod konwojem wygariane na robotę, prokurator zaś urzęduje w małym domku już za „zoną“.

Tola przyszła z gotowym planem: Pójdziemy do ambulatorium. Chorzy zgłaszają się tam o 3-ciej w nocy, aby lekarz zdążył przed wypędzeniem na robotę zbadać i ewentualnie dać zwolnienie. Spróbujemy udać chore, poprosimy aby nam tego dnia pozwolono zostać w obozie na lżejszej robocie. A nuż się uda? A wtedy spróbujemy dostać się do prokuratora. Szanse były minimalne, bo zwalniano tylko z temperaturą ponad 39 stopni, a w ogóle tylko 25% ze zgłaszających się chorych. A jednak do śmiałych świat należy! Udało się ponad spodziewanie, gdyż temperaturę na termometrze potrafiłyśmy podnieść do... 39°. Wzięłyśmy szmaty, miotłę i dziurawe wiadro. Na wartowni nas zatrzymano, pytając o rozkaz na piśmie, aleśmy się wykłamały, że musimy jak najspieszniej posprzątać u prokuratora, a wartownik niech sprawdzi rozkaz telefonicznie. Nim ciężko myślący „Wańka“ odwrócił się do telefonu, jużesmy się prześlizgnęły za kołowrót.

Śmiało i bezczelnie wtargnęłyśmy do izby prokuratora. Wytrzeszczył na nas zdumione i przerażone oczy: „Czewo wy zdzieś?“ Wytłumaczyłyśmy mu pośpiesznie żeśmy Polki, a więc bezprawnie przetrzymywane nadal na ciężkich robotach w łagrze. Udawał, że nie wierzy. „Ależ wy jesteście Estonki!“ Nie. Polki. „Ale chyba deportowane z Estonii?“ Nie, z Polski, z Wilna.

Widząc, że umowa polsko-sowiecka jest nam znana, dał słowo, że jeżeli to co mówimy okaże się prawdą — za miesiąc będziemy wolne.

Słowa dotrzymał. Równy w miesiąc 19. 1. 1942 odzyskałyśmy wolność.

Stefania Dąmbrowska

W CZOK-PAKU

Spotkaliśmy się zwyczajnie. Gdzieś niedaleko delegatury w uzbeki-
stańskiej Georgiewce. Siedziałam na zczerniałym od wilgotnych
wiatrów niedalekiej już wiosny zwale śniegu i dziwiłam się jak
czysto błękitnieje powietrze i jak słońce, nie zważając na to, że
przyświeca w najokrutniejszym z krajów, delikatnie maluje pastelcwe
cienie na uzbeckich lepiankach.

Wtedy przyszła Tola. Cała w uśmiechu, z plecakiem zarzuconym
na plecy, przysiadła na chwilę koło mnie, jakby знаła mnie już od lat.

Tak to z Tolą bywało. Przyjazna życzliwość, bezpośredni gest —
wytwarzały od razu atmosferę serdeczności. Bogata osobowość Toli,
szumiąca młodzieńczym idealizmem, nie mieściła się sama w sobie,
musiała emanować na otoczenie.

Rozmowa toczyła się gładko. Dzieliłyśmy się opowieściami z nie-
wiarygodnej przeszłości, która wciąż ciążyła nad nami jak koszmarowy
sen. Snułyśmy plany pełne radosnych nadziei na przyszłość.
Gawędziłyśmy swobodnie o bliskich i sprawach tego świata. Tematu
nam nie brakło. Czas przesunął tarczę słoneczną na widnokrąg ziemi
i wybielił zmierzchem niebo. Trzeba było wracać do natarczywej
codziennosci. Przyrzekłyśmy sobie, że spotkamy się niedługo w polskim
wojsku formującym się w Czok-Paku, Diabelskiej Dolinie.

Miesiące później Tola witała mnie tam na progu namiotu. Zajęła
się z właściwą sobie energią przyjęciem nas, maruderów. Od tego
dnia dzieliłam z Tolą dwie deski, które służyły nam za prycze
i dwa tygodnie burzliwych przeżyć.

Było nas 200 kobiet. Młodych i starszych, zbiedzonych więźniari i
i zsyłką, zniszczonych chorobami. Udawałyśmy żarliwie wojsko, dźwi-
gając ogromne buciory i dużo za obszerne męskie mundury. Chodzi-
łyśmy na musztrę i na zbiórki i ponad wszystko czekałyśmy na trans-
port do Persji, wierząc w ten cud mocniej niż kiedykolwiek.

I nagle, jak grom z jasnego nieba, spada na nas rozkaz komendanta
obozu. Kobiety muszą zdać mundury i wrócić do kolchozów.

O nie! 200 głosów podniosło się w proteście. Wybrano delegację.
Pojedzie do Sztabu Armii w Jangi-Julu walczyć o prawo kobiet
pozostania w wojsku. Na czele wydelegowanej piątki stanęła Tola
Sychowska.

Przyjechałyśmy do Jangi-Julu w pełni ukwieconej wiosny. 19-go
kwietnia stanęłyśmy w Sztabie. Pani Wysłouchowa, inspektor^{ka}
Pomocniczej Służby Kobiet, wysłuchała gorącej przemowy Toli
i wyciągając do niej rękę — rostrzygnęła losy kobiecej gromady
w Czok-Paku. O zdjęciu mundurów nie było mowy. Wszystkie zostały

wcielone do Armii. Tola Sychowska dostała przydział do nowo formującej się Szkoły Junaczek w Karkin-Batasz jako jej Komendantka.

Usłyszawszy decyzję Inspektorki, spojrzaliśmy na Tolę. Zmarszczka zatroskana usiadła między jej brwiami. Przez jasne jej włosy dzień przesiewał okruchy złota. Wyglądała jak mała dziewczynka, która za chwilę się rozplacze. Za oknem ptaki rozbijały świergotem ciszę południa. Wysoko pod białym pułapem pokoju brzęczały natrętne muchy. Z napięcia wyczekiwania wyrwał nas nagle dziewczęcy śpiew: „Rozkwitały pęki białych róż“.

Wahanie i niepewność minęły bezpowrotnie. Wśród nas stała znowu prawdziwa, dzielna Tola. Mały uśmiešek wymknął się z kącików jej ust, nappełnił teraz dwa dołeczki w buzi, rozświetlił oczy, stał się nagle uśmiechem. Uśmiechem Komendantki, symbolem naszej szkoły.

Janina Schramm-Hening

W SZKOLE

Moje pierwsze spotkanie z Komendantką Sychowską było na izbie chorych w Karkin-Batasz, gdzie leżałam chora na dyzenterię i żółtaczkę. Komendantka przychodziła do nas chorych często. Patrzyliśmy w nią z naiwną wiarą małego dziecka, że ona coś poradzi. Leżałyśmy jedna obok drugiej na piasku w „kibitee“. Było duszno. Gryzły muchy. Co raz wynoszono trupy. Komendantki determinacja, a równocześnie serdeczność (bo każdej z nas zdawało się, że właśnie o nią Komendantka specjalnie się troszczy) dośwajały otuchy.

W grudniu 1942 roku przyjechałyśmy do Palestyny. W Gederze podzielono nas na klasy. Szkoła zaczęła nabierać charakteru pensji dla dziewcząt. A my pensjonarki w mundurach zaczęłyśmy się podkochiwać w Komendantce. Niejedna z nas uczyła się w pobliżu jej baraku, aby — niby przypadkowo — ją spotkać i powiedzieć jej dobranoc. Wrzucałyśmy listy przez okno do jej pokoju a potem, ukryte w krzakach, podpatrywałyśmy czy już je przeczytała. Pisałyśmy — całą klasą — prośby w rodzaju aby p. Komendantka uśmiechała się do nas, gdy będziemy wracać z musztry. Pisałyśmy zażalenia, że nie wstąpiła do naszej klasy powiedzieć nam dobranoc.

Komendantka z serdecznością i zrozumieniem przyjmowała te nasze szczeniące oznaki sympatii. Po otrzymaniu zażalenia przyszła do nas następnego wieczora i na przejednanie przyniosła 2 tabliczki czekolady. Byłyśmy oczywiście wniebowzięte.

Mimo że były nas setki, Komendantka starała się każdą z nas poznać i podejść do każdej indywidualnie.

Kiedyś zgubiłam się podczas wycieczki do Jerozolimy. Nikomu nie mówiąc, wybrałam się kupić kwiaty. Zabłądziłam. Gdy w końcu znalazłam swoje koleżanki, siedziały już w autobusie i czekały na mnie. Przed autobusem wychowawczyni z okropną awanturą. Bardzo byłam zdenerwowana i przerażona, ale moja skrucha utonęła w potoku słów wychowawczyni. Komendantka, która była z nami, nic nie powiedziała. Dopiero w drodze powrotnej, gdy zatrzymałyśmy się na krótki postój i jak zwykle Arabowie zlecieli się z kwiatami i owocami, Komendantka dała mi swoją portmonetkę i powiedziała: „teraz kup sobie tyle kwiatów, ile chcesz“. Zrobiło mi się naprawdę przykro i zaczęłam płakać.

A raz zgubiła nam się Komendantka. Aby nauczyć się angielskiego i utrzymać dobre stosunki z Anglikami, jeździliśmy od czasu do czasu na zabawy do wojskowych obozów. Pamiętam jedną taką wyprawę. Po kolacji, wypucowane, czekałyśmy na transport. Przyjechała bardzo elegancka limuzyna i zabrała Komendantkę i kilka dziewcząt. Reszta pojechała, pod opiekuńczym okiem p. Dyrektorki i kilku wychowawczyń, ciężarówką. Po przyjeździe na zabawę zobaczyłyśmy, że nie ma naszej Komendantki. Zwróciłyśmy się do organizatorów zabawy. Nic nie wiedzieli o wysłaniu limuzyny. Wpadłyśmy w panikę. Porwali nam Komendantkę! Zaczęto nadawać szyfry do wszystkich obozów w Palestynie, że o godz. 20.45 wyjechało z Rehovoth'u 5 kobiet, Polek, jedna z nich porucznik, Komendantka, limuzyną prowadzoną przez cudzoziemca, znającego język niemiecki, ubranego w czarny mundur. Po jakiejś godzinie przyszła odpowiedź z Sarafandy, że są, bawią się świetnie na zabawie w klubie oficerskim. Na skutek jakiegoś nieporozumienia zostały zabrane na inną zabawę. Komendantka szybko dołączyła do nas. Do szkoły wróciłyśmy już wszystkie razem, tą samą ciężarówką.

Z biegiem lat dorastałyśmy. Przestałyśmy się podkochiwać w Komendantce. Zaczęłyśmy patrzeć na nią krytycznymi oczyma 18 i 19 latek. Nasze szczenięce uwielbienie przekształciło się w sympatię i przekonanie, że jest ona najbardziej odpowiednią osobą, aby nami rządzić. Ceniłyśmy jej pracę i stała walkę o szkołę.

Gdy, po ukończeniu IV kl. gimn., dziewczętom groziło odejście do wojska, z wielkim wpierrw zdziwieniem a potem wdzięcznością przyjęłyśmy wiadomość, że wszystkie najlepsze uczennice dostały kategorię „E“ na komisji poborowej. Nie wiedziałyśmy, czy wypada dziękować Komendantce. Nigdy jej tego nie zapomniłyśmy.

W liceum Komendantka traktowała nas już zupełnie jak dorosłe. Płatałyśmy jeszcze i wtedy różne figle, ale właśnie dlatego, że Komendantka brała nas poważnie, było nam nieprzyjemnie gdy złapała nas na jakimś przewinieniu.

Która z nas nie pamięta wagarów na Piotra i Pawła! Liczyłyśmy na tych świętych, na dzień wolny od nauki. Tymczasem, wiadomo, święci splatali figla. Oznajmiono nam — dopiero po mołitwie poprzedniego wieczoru — że jutro tylko nabożeństwo a potem normalne zajęcia. Pomysł wagarów powstał spontanicznie. Po nabożeństwie odmaszerowałyśmy, ale nie do klas, tylko na okoliczne łąki. Wróciliśmy dopiero na obiad. Pełne kwiatów i słońca, rozśpiewane, w sprawnie uformowanych szeregach. Szczyt dobrej organizacji! Komendantce może to się nawet podobało, ale dla utrzymania dyscypliny naganę musiałyśmy dostać. Komendantka powiedziała krótko, że dotąd zawsze mówiła o szkole: MY a teraz będzie mówiła: JA i WY. Młodsze koleżanki miały łzy w oczach, a my, już prawie maturzystki, zaczęłyśmy wątpić, czy pomysł wagarów był rzeczywiście aż taki wspaniały. Było nam przykro.

Jasne było zawsze wszystkim, że Młodsze Ochotniczki z Komendantką Sychowską na czele to MY. Nikt nie wyobrażał sobie naszej szkoły bez niej.

Zofia Rymarska-Kosińska

OD WDZIĘCZNYCH UCZENNIC Z USA

Gdy w 1970 roku byłam w Południowej Ameryce, wdzięczność ta skłoniła mnie i pomogła pokonać wszelkie trudności w odnalezieniu grobu śp. Komendantki Sychowskiej, aby w 25-tą rocznicę zdania matury złożyć na nim kwiaty.

Przed wyjazdem z domu starałam się bezskutecznie skontaktować z zamieszkałą w Brazylii rodziną Komendantki (urząd pocztowy nie zawsze i nie wszędzie działa bez zarzutu).

Zwróciłam się również do Związku Polskich Kombatantów w Sao Paulo z prośbą o informacje i ewentualną pomoc.

W Sao Paulo mogłam zatrzymać się tylko parę godzin w drodze z Rio de Janeiro do Buenos Aires; gdzie już czekały na mnie otwarte ramiona serdecznej koleżanki z Nazaretu.

W przeddzień wyjazdu z Rio wciąż jeszcze byłam bez adresu ementarza, na którym spoczywa Komendantka. Ale nie dawałam za wygraną.,

Chyba żadna z nas nie zapomni bodajże najlepszej rady życiowej jaką Komendantka nam dała; pamiętam jak dzisiaj — stałyśmy ustawione kompaniami na dziedzińcu szkolnym — „Pamiętajcie“ — mówiła Komendantka, — „Gdy walczyacie o sprawę ważną i wyrzucają was drzwiami, są okna, którymi można wejść“. I teraz w poszukiwaniu tego okna, o 11-tej rano zadzwoniłam do centralnego biura Acesita

w Rio de Janeiro, gdzie powiedziano mi, że owszem, zatrudniamy inżyniera Czarlińskiego, ale w kopalniach Minas Gerais. Musiałam bardzo wzruszyć oficera personalnego moją niezwykle prośbą i historią jaka jej towarzyszyła, bo otóż dzieje się rzecz niebywała jak na brazylijskie stosunki, gdzie na ogół jest dość trudno coś załatwić. Obiecuje, że z miejsca skomunikuje się z biurem w Minas Gerais, poprosi ich, aby zebrali potrzebne informacje od inżyniera Czarlińskiego i radiem je przekazali. O 4-tej popołudniu była już odpowiedź.

Na drugi dzień rano, uzbrojona w adres cmentarza, numer alci i grobu, odleciałam do Sao Paulo z 3-godzinnym opóźnieniem z powodu mgły porannej.

Na lotnisku w Sao Paulo cóż za miła niespodzianka! Czeka na mnie przedstawiciel Polskich Kombatantów, p. Feliks Piotrowski. Było dla mnie i pozostaje tajemnicą, jak rozpoznają się nawzajem rozrzucony po świecie Polacy — bez wahania podeszliśmy do siebie. Od tego momentu pan Piotrowski wziął na siebie rolę przewodnika. Chyba nigdy nie znajdę dostatecznych słów, aby wyrazić moją wdzięczność obojgu pp. Piotrowskim, którzy bardzo gościnnie przyjęli w swoim domu zupełnie obcego człowieka i pokrzepili na duchu i ciele smacznym polskim obiadem i serdecznością. Trudno też mi znaleźć wystarczające słowa podziękii Związkowi Polskich Kombatantów w Sao Paulo.

Z lotniska jechaliśmy wprost na cmentarz; w drodze po kilku pytaniach i wyjaśnieniach dowiaduję się o życiu Komendantki w Sao Paulo: „była działaczką w tutejszej Polonii, pracowała społecznie, założyła polską szkołę — zresztą żona coś więcej będzie mogła pani powiedzieć — znały się dobrze — umarła nagle, na atak serca.“

Na moją prośbę zatrzymujemy się w kwieciarni, gdzie wykupuję wszystkie białe i czerwone róże.

Cmentarz położony na wzgórzu, poza miastem, z daleka od zgiełku 8-milionowego mrowiska ludzkiego, otoczony zielenią i krzakami, które obsypane są teraz kwiatami w kolorach malinowo-różowych, lila i żółtych.

Wchodzimy przez masywną bramę do Cemiterio Pedreira Santo Amaro; uliczki czyściutkie, oznaczone aleje, groby wzorowo utrzymane — miasto umarłych — w którym panuje niczym niezakłócona cisza i spokój.

Na Rua 12-A Direita stoi drzewo, pod nim prosty granitowy krzyż, na płycie wryte nazwisko: Teodora Sychowska-Czarlińska. Stoję i przez lzy patrzę na to drzewo i nazwisko na płycie — nie jestem w stanie złożyć kwiatów na grobie ani też modlić się. Widzę ją, jak młodzianka, ubrana w wojskowy mundur idzie zakurzonymi ulicz-

kami Karkin-Batasz. Pamiętam, jak w poszukiwaniu cienia siadałyśmy pod „kibitkami“ wciągając otwartymi ustami gorące, suche powietrze. Nie było drzew w Karkin-Batasz.

„Jak to dobrze, że ma drzewo“ — myślę — podziwiam je — jest piękne, rozłożyste, daje cień.

Składałam kwiaty na grobie, ale żadna z konwencjonalnych, z dzieciństwa zapamiętanych modlitw, nie może oddać tego, co czuję. Kotłują się dóźne wspomnienia i myśli. Przypomina mi się wyjątek z „Rozmowy Mnicha z Bogiem“:

...gdy byłem głodny —
dałeś mi jeść...
Gdy byłem spragniony —
napoiłeś mię...
Gdy byłem nagi —
okryłeś mię...

Uklękałam i zaczęłam się modlić.

Wśród róż na płycie leżała karteczka z napisem:

„Od wdzięcznych uczennic z U. S. A.“

Zofia Strzelec-Pietrzak

DYREKTORKA MARIA KOŚCIAŁKOWSKA

Są ludzie, którzy swoją indywidualnością oddziałują tak na otoczenie, że wkoło siebie zaczynają stwarzać legendę. W historii S. M. O. taką postacią była dyrektorka p. Maria Kościałkowska.

Która z nas, starych junaczek, nie pamięta p. Kościałkowskiej z Karkin-Batasz? Sama wybiedzona pobytem w łagrze dodawała otuchy, gdy nam wygłodniałym dzieciom siły opadały. Pamiętam ją jak energicznie krzątała się po obozie, układała plan zajęć, a długo w nocy radziła z kom. Sychowską nad losem swoich junaczek.

P. Kościałkowska od pierwszych dni w Karkin-Batasz aż do rozwiązania szkoły w Foxley była najbliższą współpracownicą kom. Sychowskiej. Koło tych dwóch Pań wyrosła historia szkoły. Ich bliska i serdeczna współpraca była nadzwyczaj pomyślna dla szkoły. Odwaga i wigor młodej, stale walczącej o szkołę komendantki, równoważyła się doświadczeniem starszej, trzeźwo patrzącej p. Kościałkowskiej.

Kto może lepiej oddać atmosferę tej współpracy, a równocześnie wyrazić nasze uczucia do dyrektorki Kościałkowskiej, jak nie kom.

Sychowska, która tak pisze w Kronice Szkoły z dnia 8 grudnia 1946 roku:

„Dziś są imieniny Pani Marii, przepraszam... kpt. Marii Kościalkowskiej. Etatowo kpt. M. Kościalkowska jest dyrektorką I-go Gimn. Ogólno-kształcącego i Liceum Humanistycznego. A w rzeczywistości? Dla mnie jest najmędrszym Doradcą i największym Przyjacielem. A dla innych? Jest... zwyczajnie: Panią Marią, lub poprostu: Dyrektorką.

„Poproś Panią Dyrektorkę“

„To Pani Dyrektorka zrobi“.

Każdy wie, że to nie kto inny tylko p. Maria.

A przecież dyrektorek jest kilka. Nie, bo dyrektorka Lic. Pedagogicznego — kpt. Emilia Zdziarska — jest poprostu Panią Doktor (stąd częste pomyłki z dr. Marią Lisowską) a por. Danuta Marszałik jest dyrektorką z dumnym dodatkiem: dyrektorka Gimnazjum Kupieckiego i Liceum Handlowego. A dyrektorka Szkoły Powszechnej, por. Zofia Lisowska? Jest Zosią Lisowską, panią Wygwizdowa. Tak się utarło. Nic na to nie poradzę.

Więc dyrektorką — bez żadnych dodatków — jest właśnie p. Maria. Cemu? Bo jest pierwszą dyrektorką w S. M. O. z tamtych jeszcze czasów. gdy nie było tyle typów szkół, gdy było dużo dzieci, a tylko jedna szkoła, której dyrektorka była Ona, jedyna, dźwigająca ciężar unormowania całej nauki, przydziału dziełeczek do klas, układania nowych programów, szukania i kaptowania nauczycielstwa, organizowania szkoły.

Czy więc może ktoś się dziwić, czy więc może ktoś wątpić, że właśnie dyrektorka jest — bo musi być — najbliższą współpracownicą komendantki S. M. O. Jest jej nieodzownym i najpoważniejszym doradcą. Bo przecież jest tą, z którą się najwięcej ma do omówienia, obgadania, rozważania w sprawach najważniejszych, w sprawie nauczania, ba — w sprawie jeszcze ważniejszej, w sprawie wychowania.

Czy pamiętasz, dyrektorko moja, jak to władze chciały w statucie szkół przerzucić odpowiedzialność wychowania na kierowników nauczania, a reprezentacje i administrację na komendantów? Buntowałam się wtedy okropnie, przysięgałam, że ani jednej sekundy nie zostanę dłużej komendantką, gdy sens tej funkcji sprowadzi się do formy. Ty — moja dyrektorko — pomagałaś mi w tym „buncie“ dzielnie. Zrozumiałaś wtedy odrazu tę wielką prawdę, że za wychowanie, za dusze dorosłych i młodzieży, za tworzenie z ludzi „człowieka“, odpowiedzialność ciążyć musi na wszystkich, od komendantki, poprzez dyrektorki, nauczycielstwo, komendantki kompanii, do samej młodzieży włącznie. I wierz mi, gdy patrzę wstecz na naszą wspólną czteroletnią

pracę, to widzę, że w tym właśnie leży tajemnica tej naszej gromadnej solidarności, tej naszej jednolitości myślenia i postępowania, tego braku rozłamu między kierowniczymi stanowiskami S. M. O., właśnie tu, w tym poczuciu wspólnej odpowiedzialności za duszę szkoły.

A już odpowiedzialności Ty, moja dyrektorko, brać na siebie się nie boisz. Odwagę myśli masz największą z nas wszystkich, odwagę słowa równą Carlii, odwagę czynu równą Zosi i Werze.

Taka jest Pani Maria.

Pani Maria nie posiada aktu mianowania Jej dyrektorką. Gdy p. Czelnny, kierownik nauczania w naszej Szkole Junaczek, zachorował ciężko w Pahlevi i miał zamiar w ogóle zostać w szkołach cywilnych, szkoła została bez kierownika nauczania. Wtedy, jak zwykle we wszystkich kłopotach, zwróciłam się do Pani Marii, „Nie mamy dyrektora“. „Może Pani by nim została?“ „Czy zna Pani programy szkolne?“. Pani Maria się nie bronila. Zgodziła się. Jestem głęboko przeświadczona — choć nigdy z Nią o tym nie mówiłam — że zrobiła to tylko dlatego, że w momencie tym ujrzała cały ogrom związanych z tym obowiązków. Poza tym... chciała mi pomóc. Bo nigdy, nigdy przez tyle lat wspólnej pracy, nigdy nie odmówiła mi pomocy w najgłębszych nawet drobiazgach. Jak więc mogłaby mi odmówić tak ważnej rzeczy, tak wielkiej pomocy!

Kiedys — wtedy gdy z tą funkcją zaczęły się już łączyć „zaszczyty“ — zapytała mnie p. Maria: „Dlaczego mnie właśnie „mianowałaś dyrektorką?“ Na to pytanie nawet nie odpowiedziałam. Bo czyż można sobie wyobrazić jako dyrektorkę kogoś innego? Nie.

Właśnie taka: niewielka, bardzo ruchliwa, zawsze gładko uczesana, w okularach kryjących bardzo mądre oczy o swoim własnym spojrzeniu, o regularnych, spokojnych rysach, o pewnej zewnętrznej — bardzo często mylących obcych — „surowości“, i o bardzo gorącym głęboko odczuwającym, współczującym, wszystko rozumiejącym i kochającym sercu.

I tak jak Pani Stenia jest „sercem“ szkoły, tak Pani Maria — dyrektorką — jest nie tyle może mózgiem szkoły, ile jego rozumną, czujną, w sercu poczętą i w czyn wcieloną MYŚLĄ“.

Pani dyrektorka Kościalkowska posiadała niezwykle dar rozumienia młodzieży. Lubiła młodzież i dlatego wydawało się, że sprawowanie funkcji dyrektorki przychodzi Jej bardzo łatwo. Żyła szkołą. Zawsze miała dla nas czas, była zawsze z nami i dla nas. Jest takie wzruszające zdjęcie dyr. Kościalkowskiej siedzącej na murku przed gmachem głównym w Nazarecie, udzielającej korepetycji z matematyki. Zdjęcie raczej nieoczekiwane dla dyrektorki szkoły. Wiedzieliśmy, że w każdej chwili możemy się zwrócić do dyrektorki

i że znajdziemy u niej zrozumienie, pomoc i ponad wszystko serdeczność. Ceniłyśmy Jej całkowite oddanie się szkole. Szanowały za sposób postępowania z nami nawet w sprawach dyscyplinarnych. Przyłapanę na nauce w nocy, na dyrektorki energiczne: „dobranoc dziewczynki“, gasiłyśmy światło posłusznie idąc naprawdę spać.

Jej niespożyte siły fizyczne były zdumiewające dla otoczenia chociaż sama dyrektorka nie widziała w tym nic nadzwyczajnego. Pani dyrektorka nie mogła zrozumieć jak w naszym wieku można źle się czuć, czy można być zmęczoną. Nieraz, po jakiejś z Nią wycieczce, ledwo żywe, padałyśmy na łóżka. Wtem wchodzi energicznym krokiem dyrektorka. Przyszła zobaczyć czy u nas wszystko w porządku. Podnosimy się oceniając Jej troskę o nas, ale w duchu myśląc: „że ta nasza dyrektorka nigdy nie jest zmęczona, położyłaby się już odpocząć“.

Dyrektorka może i była kiedyś zmęczona, ale w tych czasach nigdy nie myślała o sobie. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, jak to pani dyrektorka poszła w ataku malarii na maturę. Perswadowano Jej żeby się położyła. Nie chciała o tym słyszeć, bowiem była przewodniczącą komisji maturalnej i bez Niej matura musiałaby być odłożona. Nie chciała zrobić zawodu swoim dziewczynkom.

A z innej matury jeszcze do dzisiaj wspomina jedna wdzięczna abiturientka jak to pani dyrektorka, korzystając z chwilowego zamieszania, podszeptała jej „q5“ i cały dowód, nad którym ugrzęzła, stał się jasnym.

Stosunek nasz do pani dyrektorki był tak samo serdeczny jak Jej do nas. I dlatego dziś każda z nas, z prawdziwym uczuciem wspomina panią Kościalkowską. A nasza pani dyrektorka, do ostatniej chwili — zmarła w styczniu 1970 roku — żywo interesowała się swoimi „dziewczynkami“. Rozmawiając z Nią zawsze wydawało się że w S. M. O. zamknęło się Jej całe życie, chociaż obejmowało ono tylko 6 lat. W szkołę włożyła pani Maria Kościalkowska całe swoje serce i wszystkie swoje twórcze siły, a my dzisiaj jesteśmy wdzięczne losowi, że dał nam taką dyrektorkę.

Opracowała
Zofia Rymarska-Kosińska

KOMENDANTKA O KRONIKARCE

Kronikarka p. Stefania Dąmbrowska zamknęła „swoją“ rozdział kroniki z dniem 26. I. 1945 wyjeżdżając z Nazaretu do Anglii do chorego brata. Rozdział ten — zaczęty przez nią w pierwszych

dniach istnienia Szkoły Junacek prowadzony był z niewypowiedzianym oddaniem bez przerwy prawie przez 3 lata.

Gdy w Karkin-Batasz wspólną decyzją niewielkiej grupy uradziliśmy, że trzeba pisać kronikę — los padł bez wahania na „p. Stenieczkę“. Nie wiem, czy dlatego, że jako główna sekretarka Szkoły Junacek posiadała pióro i — rzadkość w owym czasie — trochę papieru, czy dlatego że znane nam były jej bardzo wnikliwe opowiadania o swoim domu na Wileńszczyźnie, o swej jedynaczce, o psach, kwiatkach i łąkach Orwidowa.



Na spacerze w Nazarecie z „Sercem Szkoły“
panią Stenią

Dięń i noc, ranki i wieczory widzieć można było maleńką, drobną, panią siedzącą na progu kibitki, na pryczy czy przy stole drewnianym — piszącą, piszącą, piszącą. Zmieniały się pióra, zmieniały zeszyty, zmieniały warunki, zmieniali się ludzie, a nasz obozowy dobry i mądry Koszałek-Opalek pozostawał zawsze ten sam, gromadził materiał, obeserwował ludzi, notował fakty i ewidencje przeplatał opisami: krajobrazów, a długie meldunki od „władz“ opisywał swoimi słowami w kronice.

Największą dla mnie tajemnicą w osobie p. Steni jest jej cudowny dar darzenia dużej ilości ludzi jednakową gorącą miłością przy zachowaniu dla każdej osoby pełnej wyłączności. Dużo dając i dużo uczucia biorąc uzyskała miano: „Serca Szkoły“.

Wrażliwa jak „rasowy koń“, taktowna i ujmująca, dobra i kochana — była wszędzie zapraszana, wszędzie upragniona, wszędzie mile widziana. Znała wszystkie tajemnice sercowe, wszystkie najtajniejsze kłopoty rodzinne i służbowe mnóstwa ludzi.

Wymarzona bezcenna kronikarka!

Teodora Sychowska
styczeń 1945 roku

O S. M. O. TO I OWO

Wielki, nowoczesny gmach, najwspanialszy chyba w Nazarecie, szeroki podjazd z ciasnej uliczki, gromadki kręcących się po nim dziewcząt w wojskowych mundurkach, potem zaś wędrówka wzdłuż przestronnych korytarzy na spotkanie z przemiłą dr. Lisowską, czy z samą Komendantką Szkoły — wszystko to staje mi w oczach jak żywe, gdy wspominam moje okresowe inspekcje lekarskie w Szkole Młodych Ochotniczek.

A i tło było nielada jakie. Kiedy pokonało się śmiałą serpentyną próg górski, dzielący Nazaret od doliny Ezdrelonńskiej, ukazywało się naraz oczom to uroczne miasteczko biblijne, wspinające się niemal po sam szczyt stromej zbocza jak stado białych kóz. Im wyżej wchodziło się potem po kamiennych stopniach jego wąskich uliczek, przejścia stawały się jeszcze ciaśniejsze, białe domki mniejsze, a za to coraz bujniej obrastała je zielen ogromnych kaktusów, orzechów i wszelkiej innej pół-tropikalnej roślinności. U samej zaś góry, z wysokiego tarasu panował całemu zboczowi długi prostokąt klasztoru, w którym zagnieździła się w owym czasie Junacka Szkoła Powszechna.

Wracam jednak do Młodszych Ochotniczek. Mieliśmy wtedy conajmniej dziesięć Szkół Junackich, rozrzuconych na terenie Palestyny i Egiptu, które co pewien czas odwiedzałem w moich objazdach. Ale o ile wszystkie inne szkoły to były poprostu „prowincje“, poddane naszemu władzom w Barbarze, dziewczęcy Nazaret pozostawał zawsze czymś odrębnym i swoistym, rodzajem udzielnego księstwa, czy nawet królestwa. Gdy się tam przybywało, wkraczało się od razu w inny, specyficzny klimat.

Nie ulega wątpliwości, że klimat ten i suwerenność Szkoły Młodszych Ochotniczek zawdzięczały dziewczęta w dużym stopniu swojej Komendantce Sychowskiej i nie sposób, mówiąc o szkole, nie zacząć

od pani Teodory. Ona była ich właściwą twórczynią i duchem przewodnim, a w praktyce także najwyższą władzą. Ta niewielka, puciułowata i roześmiana osóбка, potrafiła owinąć sobie dokoła palca wszystkich dowódców Szkół. Mimo że formalnie podlegała Naczelnemu Dowództwu w Barbarze, inspekcje dowódcze pułkownika Bobrowskiego czy później Ryzińskiego były w istocie wizytami oddawanymi udzielnej władczyni. Kiedy zaś Pani Nazaretu zjawiała się w Barbarze, miało to prawie charakter odwiedzin królowej Saby u króla Salomona.



Dowódca Szkół Junaków i Młodszych Ochotniczek pplk. Kazimierz Ryziński wśród rozbawionych młodszych ochotniczek w Barbarze 1945

W szkołach, wśród dziewcząt, umiała rozwinąć wokół siebie to, co nazywamy dzisiaj „kultem jednostki“. Jej imieniny bywały dla szkoły narodowym świętem. Dziewczęta dałyby się za nią posiekać.

Osobiście nie lubię kultów jednostki, ani wielkiej pewności siebie, jaka niewątpliwie cechowała Komendantkę; toteż zdarzało się, że mimo dobrych stosunków i wzajemnego szacunku ścieraliśmy się nie raz w tym lub owym. Teodorę Sychowską doceniłem dopiero naprawdę po przybyciu do Anglii. Gdy dowódcy szkół męskich opuścili ręce, ona jedna potrafiła podjąć walkę z władzami angielskimi, w obronie swoich dziewcząt, by mogły kontynuować naukę zamiast iść na robotnice do fabryk. Nie była to na pewno w ówczesnych warunkach

walka łatwa. Może odwagi i sił dodawało Komendantce pragnienie, ażeby pozostać kochaną i pamiętaną przez dziewczęta swoich szkół do końca. To w pełni osiągnęła. Nawet śmierć nie naruszyła jej mitu.

Druga postać, która ożywa natychmiast w mojej pamięci ilekroć pomyślę o Nazaracie, to lekarka szkoły dr. Marta Lisowska. Jeżeli komendantka Sychowska była uwielbianą i kochaną królową S. M. O., dr. Lisowska, ze swoim dobrotliwym uśmiechem a równocześnie wyrazem wiecznego zatroskania o zdrowie i dobrobyt dziewcząt, wydawała się jakby matką szkoły. Ileż to przegadaliśmy godzin, omawiając potrzeby zdrowotne jej gromadki, jakże potrafiła sama swoją dobrocią i troską wycisnąć ze mnie fundusze na sanitarne potrzeby, które powinienem był rozdzielać sprawiedliwiej między wszystkie szkoły. Ileż także razy, gdy wkraczaliśmy w tych naszych rozmowach poza granice zdrowia czysto fizycznego jej szkolnej rodziny, zaimponowała mi swoim rozumieniem młodych, serdeczną mądrością.



Na Izbie Chorych

i wyrozumiałością, nawet tam gdzie sama Komendantka zakreślała surowsze granice. Nikogo też z moich lekarzy nie żegnałem z takim żalem, jak dr. Lisowską kiedy postanowiła wrócić do rodziny w Polsce.

O sprawach szkoły można by całe tomy napisać — i taki tom właśnie tutaj powstaje zbiorowym wysiłkiem, lecz mnie jako Naczelnego

Lekarza Szkół musiały oczywiście obchodzić przede wszystkim problemy zdrowotne. Otóż jednym z najbardziej zdumiewających fenomenów, jakie miałem sposobność oglądać w swym długim lekarskim życiu było fizyczne odrodzenie młodzieży, która znalazła się w Szkołach po wyjściu z rosyjskiego piekła.

Dwóch obrazów z tamtego czasu nigdy nie zapomnę: przybycia w roku 1942 młodzieży męskiej do piaszczystego Baszytu — zaiste szkielecików obleczonych skórą, w ogromnych tropikalnych hełmach i szortach, które sięgały do pięt, oraz naddciągania w kilka miesięcy później już do obozu w Quastinie oddziałków S. M. O. — dziewcząt chudych, niedorozwiniętych i niedożywionych. Chodziło to gromadkami po ulicach obozu, niepewne, ciche, jakby jeszcze przestraszone Rosją, no i oczywiście zaludniało Izbę Chorych.

Toteż trudno poprostu było oczom wierzyć, gdy się w rok później przyjeżdżało do nazaretańskiej szkoły i patrzyło na jej zdrowe, bujne (czasem aż nadto bujne!) przelewające się z brzegów życie.

Złożyło się na tę przemianę oczywiście szereg czynników: idealne warunki szkoły, zdrowy klimat Nazaretu, dobre odżywianie, nade wszystko zaś niezłomna siła młodości, która potrafiła podnieść się z każdej klęski.

Jeżeli idzie o opiekę zdrowotną która, rzecz jasna odegrała także nieamałą rolę w tym nieprawdopodobnym odrodzeniu, pragnę tutaj wspomnieć o dwu jej epizodach pierwszorzędnej wagi: o Ośrodku Tyberiadzkim i wakacjach pod Cedrami.

O powstaniu Ośrodka i jego pierwszych latach piszę szerzej w innym miejscu, tu więc wskażę tylko, że znaczenie Ośrodka dla zdrowia Szkół polegało przede wszystkim na tym, że nie była to dorywcza i ograniczona do jednej bolączki kampania z jakimś zdrowotnym niedomaganiem, lecz stały warsztat, w którym przez pięć lat, aż do wyjazdu Szkół z Palestyny można było naprawiać wszelkie niedomogi i załamania zdrowia młodzieży oraz utrwalić skutki innych leceń.

Najbardziej jednak niezapomniany i porywający był drugi epizod w walce o zdrowie szkół: wyprawa całych szkół na wakacje wśród szczytów Libanu. Początek wszystkiemu dało zagadnienie malarii wywiezionych z bagnisk azjatyckich. Przerażający procent bo 800 malaryków chłopców i dziewcząt, zapadało w szkołach regularnie ra jej nawroty. Szpitalne leczenie przerywało ataki ale nie zapobiegało następnym. Tak ciągnęło się już przez dwa lata.

W roku 1944 zdecydowaliśmy się z płk. Bobrowskim na śmiały eksperyment: stworzyć dla malaryków obóz w górach. Malaria na wyżynach na ogół wygasa. Ale czy nie odżyje po powrocie w dół?

Niemniej postanowiliśmy próbę podjąć. Major Johnstone, angielski oficer łącznikowy szkół, wytrzasnął nam zaproszenie 9-tej Armii w Libanie — dosłownie zaproszenie w gościnę, gdzie armia obiecywała dostarczyć wszystkiego.: od obozu w górach do wszelkich ułatwień w zaopatrzeniu i transporcie. Zaproszenie obejmowało wszystkich, nie tylko chorych na malarię, ale całe szkoły.

Obozy dostaliśmy dwa. Najpierw, Sanin, wysoko nad Bejrutem do którego została wysłana młodzież męska. Później zaś wspaniały obóz „Pod Cedrami“ — wykorzystany przede wszystkim przez Młodsze Ochotniczki.

Były to wakacje prawdziwie jak z bajki. Któraż z uczestniczek nie pamięta karkołomnych wyjazdów i zjazdów po serpentynie wiodącej pod cedry, zachodów słońca nad Bejrutem oglądanych z wysokości 2,000 metrów, kiedy ogromna kula ognista rozlewała się w nadmorskich mgłach w nieprawdopodobne niemal kształty i barwy sławnych cedrów libańskich, rozkładających tuż za obozem swe odwieczne, dalekosiężne konary?

A najważniejsze, że po tych górskich wakacjach zagadnienie malarii w szkołach przestało istnieć. Chorowali coprawda nadal starsi, ale już prawie nikt z młodzieży. Jeszcze jedna bitwa o zdrowie została wygrana.

Czas już kończyć. Nie wiele tego: dwie sylwetki, kilka migawek. Ale tym czytelniczkom niniejszej książki, które przeszły przez Nazaret może wystarczy, by wywołać choćby na chwilę widzenie miejsca i czasu, które na pewno pozostają niezapomniane w ich życiu.

Dr. Wit Tarnawski



KRAJ LAT DZIECINNYCH

Nieduża była moja rodzinna wioska i niebogata. Chaty stały daleko jedna od drugiej, otaczały je zielone sady. Z jednej strony wioski rozciągały się pola uprawne, a z drugiej rozpościerały się łąki, przez które płynęła wolno mała rzeczka z bagiennymi brzegami.

W dali, gdzie grunt się podnosił i stawał się piaszczysty, czerniał duży sosnowy las. Za polami widać było miasto, nad którym błyszczała wieża kościelna i wspaniałe kopuły cerkiewne.

Wszystko to dobrze pamiętam i bardzo kocham. Z moją wioską, Tarnówką, wiążą się moje najmiłsze i najdroższe wspomnienia. Tam się urodziłam, tam się bawiłam, uczyłam i pomagałam w pracy rodzicom. Znam rzekę, w której się kąpałam. Znam dobrze ten bór sosnowy, gdzie zbierałam jagody.

W dzień gorący, letni, z radością biegłam do lasu, bo tam był chłód, rozchodził się przyjemny zapach żywicy. A co za rozkosz brodzić po kolana w mechu i w trawie i oglądać przeróżne jajeczka w gniazdkach, które opuściły spłoszone ptaki. Czasem wśród zielonych strzępiastych paproci przemknęła się jaszczurka, czasem nagle zakrakąła przelatująca nad wierzchołkami drzew wrona, która zwiastowała nieszczęście; czasem słyhać było miarowe, odbijane przez echo, kucie dzięcioła.

Nad rzeką unosiły się chmury ptactwa. Lubiłam rozmawiać z czajkami, które mnie pytały wciąż: „Czyjeś“. Czaple osiadały nad rzeką całymi stadami, bociany kroczyły poważnie po łące szukając żab. Gdy krowy spokojnie się pasły, mogłam zobaczyć, jak żaby gromadnie uciekały do wody przed boćkiem i jego długim dziobem.

Najpiękniejszym dniem w całym tygodniu była niedziela. Rano wkładałam moją najładniejszą sukienkę, buciki, a mama wiązała mi we włosach kokardę. Tak ubrana, wraz z ojcem, szłam do kościoła. Zawsze zrywałam w ogródku bukiet kwiatów, aby zanieść go do kościoła. Mijałyśmy chaty, nie bardzo różniące się od naszej — były one pokryte słomianymi dachami, miały białe ściany i duże okna. Mijałyśmy na górcie cmentarz mały, na którym oprócz krzyżów i dzikiej gruszy nic więcej nie było. Szliśmy wśród pól: tu łąn złotej pszenicy faluje, tam widnieje zagon zielonych kartofli, dalej wysokie

żyto pochyliło dojrzałe i ciężkie kłosa, jeszcze dalej zielone proso odbija od innych zbóż barwą. Nad polem wzbijały się skowronki, wydzwaniając swoje pieśni. W życie odzywały się przepiórki.

Wreszcie weszliśmy do miasteczka. Z wieży kościelnej odezwał się dzwon. Przepiękny był nasz kościół, otoczony jaworami i lipami. Duży z małymi oknami, był ciekawym zabytkiem z dawnych wieków. W środku ciemno, ale tym piękniej, bo gdy zapalono świece, panował wzniosły nastrój. Z obrazu patrzyła Matka Boska, a z Jej oblicza biła dobroć. Do Niej modliłam się o zdrowie dla rodziców, prosiłam Ją o różne rzeczy. W kościele panował poważny nastrój, płynęły ku ołtarzowi pieśni i modlitwy, rozchodziła się woń kadzidel.

Teraz, gdy jestem na obczyźnie, z tęsknotą wspominam mój kraj rodzinny.

Chciałabym być jeszcze dzieckiem i żyć z rodzicami w tej wiosce. Ale niestety, rodziców już nie mam, a chata moja daleko. Pozostały mi tylko wspomnienia.

Aniela Wielgosz
IV kl Gimn.
„Junak“ 1946.

DWIE SZKOŁY

Niežnośne wróble huśtały się na czarnych wskazówkach zegara katedralnej wieży, przesuwając je, zależnie od swych wróblích upodobań, w prawo lub w lewo. Która wtedy była godzina? Och, nie pamiętam, nigdy nie liczyłam godzin, dni... Po co? Nie czekałam na nic... Słońce lało szczerze złoto promieni, przetykało nimi niebo, chmury i błyszczące druty chudych anten. Było ciepło. Ciepło i dobrze... Wracało nas dwie ze szkoły. Wakacje, wakacje! Śpiewały domy, wystawy sklepowe, rozgrzany bruk. Wakacje! — krzyczało szczęście beztroskim głosem. Wszystko rozdygotało się wakacyjną swobodą. Ściskamy świadectwa. Dostałyśmy je przed chwilą. W szkole pełno uśmiechów, życzeń, kwiatów. Żegnajcie ławki, ściany, podwórko, drzewa. Żegnaj każda częsteczeko szkoły, za dwa miesiące wrócimy, a teraz żegnajcie, żegnajcie, żegnajcie. Dlaczego wszystkie tak się śmieją?... Chcę skakać, śpiewać i biec przed siebie tak szybko, bym tchu złapać nie mogła. Pomóżcie udźwignąć mi ten bezmiar szczęścia. Och, jak mi dobrze, jak dobrze! Pa, pa Inga, za dwa miesiące w szkole znowu razem!...

To nieprawda, że gdy komuś źle, to świat jest też smutny i szary. To nieprawda!

Październik był cudny. Ciepły, słoneczny, liście wciąż soczyście

zielone, niebo pogodne, błękitne, a ziemia rozłożona, strojna całym jesiennym przepychem kras, roześmiana w tych strasznych dniach grozy, beztroska po bezsennych nocach. To okropne!!

„Pamiętajcie, jeżeli któraś z was przestanie uczyć się do szkoły, wasi rodzice odpowiadać będą.“ O Boże! Dosyć! Dosyć! Przestańcie już mówić, straszyć, wy w dzień, a oni w nocy.

Czy to możliwe? — Ta sama szkoła, klasa, podwórko, znowu jesteśmy razem — Inga i ja. Lecz gdzie ta szkoła, którą w czerwcowy, jasny dzień zostawiłam? — gdzie znikła? — gdzie się podziała? — Chyba odeszła razem z beztroską i szczęściem naszego przerwane brutalnie, zniszczonego dzieciństwa. Teraz masz nową szkołę — jakąś inną, nową — wrogą ci i dziwnie obcą, do której masz się dostosować, w której musisz się przeistoczyć, przestać być sobą, stać się kimś innym kim oni każą. Pamiętaj, bo „rodzice wasi odpowiadać będą“. O nie — nigdy! Przenigdy! Nienawidzę szkoły, nauki, ławek, ścian, nienawidzę budynku. Czy to możliwe, żeby to była ta sama, kochana szkoła, którą tak dziecinnie czule żegnałam dwa miesiące temu. Patrz, wygląda tak samo, te same stare kąty, siedzisz w tej samej ławce. Dlaczego jej nienawidzisz? Dlaczego wszystko, co było zrozumiałe, przyjazne, bliskie, stało się naraz wrogiem — nienawistne, obce. Jest mi źle, coraz gorzej.

Czego się uczyć? — niczego, niczego, wszystko wsiąkło w czerwoną płachtę sztandaru. Język polski? — tak, jeszcze pozwalają ci mówić po polsku, ale wolisz milczeć, zaciąć wargi do krwi, niż deklamować wiersze o wkroczeniu czerwonej armii, radości, szczęściu. Kłamstwo! Kłamstwo! Już niech się raczej nie uczyć polskiego...

Chociaż to wszystko jedno. Gdzie się schronisz przed tym deszczem obleśnych kłamstw, tchórzliwych, podłych pochlebstw, które słyszysz na każdej lekcji, na każdym kroku?

Nie słyszeć, nie chodzić na lekcje, nie widzieć i nie czuć...

O szko!o! Jak ja ciebie nienawidzę, nic znoszę, nie cierpię!

Luna Klausner
Kl. II Gimn.
„Junak“ 1944.

SYBIR 1941

1)

Upływał dzień za dniem, pogodny, jasny, jak słońce na wiosnę. Byłoby się wszystko, o czym tak bardzo marzyłam, spełniło, gdyby... gdyby nagle czarne chmury nie zaćmiły pogodnego nieba.

Wojna... Słowo to obiegło jak błyskawica kulę ziemską, powtarzano

je o każdej porze dnia. Zgroza i przerażenie wyglądały zza każdego żalomu ulicy; nadchodziły straszne wieści.

A później? — Później żegnaj ma Ojczyzno, żegnaj ukochana ziemio! Rzucam ostatnie spojrzenie na zakręty ulic, na dachy domów. Rusza pociąg towarowy, długi bez końca, wiezie nas w nieznane zło. Przez zakratowane okno widzę pola, lasy, chaty wiejskie, widzę złocące się kaczeńcem łąki i one wierzby płaczące, co swe liście nurzają w przydrożnych strumieniach. Na chwilę zaświeciło słońce, lecz serca wygnańców tłoczy jeno smutek i żal. Żegnamy ziemię naszych ojców.

Kilka mizernych chałup sowchozu ukazuje się naszym oczom, tu nas wyładowują.

Krótki odpoczynek, nazajutrz już praca.

Dookoła, dokąd oko sięga, falują wysokie trawy stepowe. Step i step... Tylko w małym wąwozie rośnie kilka karłowatych brzołek. Odtąd jesteśmy zdani na własne siły. Monotonnie w pracy i znoju płynie czas na wygnaniu.

Ledwie nikłe promienie tarczy słonecznej wylaniają się zza widnokręgu, rozpraszając chyżo cienie nocy w izbie lepianki, zamieszkaanej przez wygnańców, budzi się wszystko do pracy. Z jaką niechęcią otwieram oczy. Członki jeszcze niewypoczęte po wczorajszej pracy w żaden sposób nie chciały się poddać ruchowi. Ale myśl, że to się stać musi, że tego nic narazie zmienić nie może, wygania mnie z posłania. Wodna polewka zaspakaja wymagania żołądka. Ruszam do pracy. Chłodna rosa perli się na listkach trawy, lecz nie ma czasu na zastanawianie się nad jej urokiem. W tej chwili, a było to podczas żniw, martwię się, że jeden byk z pary, którą jeździłam, okulał i będą musiała wziąć innego. A był taki dobry...

Jeździłam nieraz sama w step ponad 12 mil od osiedli ludzkich. Jedynym moim towarzyszem był zazwyczaj mały, czarny pies. Tak schodził czas do obiadu. Obiad wywozili nam w pole: marna zupa i 150 gr. chleba. Nie pomaga, że w południe słońce praży, że znużone woły, z opuszczonymi łbami, wloką się noga za nogą, trzeba ciągle odbierać pszenicę, by „kombajny“ nie ustawały w pracy. Tę na pozór lekką pracę kończy zapadający zmrok. Ostatni wóz, pełen pszenicy, wraca z pola. Byki idą niespokojnie, cięte przez bąki i komary, rzucają się naprzód, skaczą i ryczą. Wóz się trzęsie, pszenica się sypie, ja zaś na nic nie zważam i zdając się na rozsądek mych przyjaciół, puszczam je wolno.

Nareszcie są na miejscu. Z trudem zatrzymuję rozpędzone byki, wyprzęgam i puszczam na zasłużoną paszę. Nie idę, lecz wlokę się do domu. Upał wyczerpał bardziej me siły, niż ta praca. Wreszcie,

po umyciu się i oszukaniu żołądka, kładę się spać. Nie wiem kiedy zasypiam, wiem, że się kładę — a co dalej?...

Zapewne księżyc świeci, rozjaśnia mroki nocy i śle swój blask do naszych ubogich izb. Przychodzą piękne sny, przenosząc wygnańców na kilka godzin w świat dawny, inny, szczęśliwy, pogodny, jasny jak słońce...

Danuta Glińska
kl. I. Gimn. Kup.
„Junak“ 1944

2)

Jednego razu tatuś przychodzi i ma łzy w oczach, mnie to zdziwiło i pytam się czego tatuś smutny? Po dłuższej chwili dowiedziałam się, że Marysia jest bardzo chora i jeżeli nie damy jej dostatecznie mleka, to może umrzeć.

Uradziłam z tatusiem, że trzeba kupić kozę. Długo nie namyślając się pożyczyłam pieniądze i parę łachmanów na plecy i poszłam szukać kozy. Na moje szczęście jechał tatusia znajomy z kołchozu i zawiózł mnie do Solicy. Tam przenocowałam i rano udałam się na inne kołchozy. Na szczęście idzie jakiś wieśniak i pyta się, czy nie chcę kupić kozy i tak jakoś Pan Bóg sam mi ją kupił. Wróciłam do tego gospodarza co nocowałam tam, pokarmiłam kozę i ruszyłam w drogę. Droga była niebliska, bo trzydzieści km. Kozą w drodze mi przystawała ze zmęczenia, ja ją popędzałam, bo bałam się iść przez las sama, ona pada ze zmęczenia, ja ją biore na ręce, chociaż była bardzo ciężka. Rozpłakałam się aż przy niej, ale jakoś dotarłam do bazy, tam gdzie był tatuś.

Wieczorem podoiliśmy kozę i przyniosłam jej liści na noc. Marysia była już w domu i z niecierpliwością czekała na mnie. Ucieszyła się bardzo, gdy zobaczyła mnie zdrową, bo droga była bardzo niebezpieczna.

Z kozy byłam bardzo zadowolona, bo była taka wierna, że nie ruszyła się beze mnie, cieszyło mnie moje gospodarstwo. A najważniejsze, że Marysia miała pod dostatkiem mleka.

K. B.

Z pamiętnika junaczki.
Szkoła Powszechna Karkin-Batasz
1942 rok.

3)

Jest noc. Elektryczne lampki przy „lentach“ świecą przeraźliwie jasno i zimno. Jednostajny huk motorów, prędkie stukot maszyn i śpiewy dziewcząt zlewają się w jedną potworną melodię.

Ręce nerwowymi ruchami przewracają materiał, nawlekają igłę. — Boże! Jak strasznie jestem zmęczona, a to dopiero trzecia godzina, jeszcze cztery do końca zmiany. Podnoszę siłą ociężałe powieki i nie chcąc usnąć, zmuszam się do śpiewu. Ale głowa opada ciężko na maszynę, zamykają się oczy, milknie a chwilę straszliwa muzyka pracy. Jest mi lekko i dobrze; wokół widzę białą równinę przeciętą śladami nart, w iskierekach śniegu połyskuje słońce... , tylko dzwonek jęczy dziwnie przeraźliwie. Otwieram oczy: znów widzę jasne, aż boleśnie jasne światło lamp. Dzwonek terkocze chrypliwym głosem — to kilkuminutowa przerwa. Wstaję ze stołka, aby rozprostować plecy; idę do umywalni, próbując choć na chwilę zmyć sen z powiek...

Wreszcie — siódma rano, koniec zmiany. Niebo jest tak samo czarne, jak przedtem. Idę sama, chwiejąc się na nogach z głodu i zmęczenia. Śnieg kłującymi płatkami kładzie się na twadzy mroźny wiatr przejmującym chłodem wciska się pod cienki płaszcz i dreszczem przechodzi po plecach. Dwóch zataczających się pijanych idzie drogą. Aby ich minąć, skręcam w pole i zapadam się po pas w śniegu. Przeszli. Powoli wracam na drogę, nie otrzępuję się, brak mi już sił. Z daleka widzę kolorowe światła na Obi, most. Wchodzę na „ulicę“ Krasnowielską. Numer 10. Idę w dół po krzywych schodach, otwieram drzwi. W ciemności podchodzę do swego pośłania, rozbieram się. W imię Ojca i Syna.

Usypiam. I znów rozciąga się wokół biała płaszczyzna, zalana potokiem słonecznego światła. Ale nie czuję pędu snów, nie słyszę dzwonka. W uszach dzwoni mi wciąż straszliwa melodia niewolniczej pracy.

Halina Korbińska

Kl. I Lic.

„Junak“ 1943.

KARKIN-BATASZ

Nowina, dziwna nowina błyskawicznie obiegła kolchozy i posesiówki, docierając do każdego kąta, gdzie była jakaś polska dusza. Nowina nieprawdopodobna, jednak prawdziwa. Przechodziła z ust do ust, elektryzowała ludzi.

Oto z inicyjatywy i pod egidą Armii Polskiej w Z. S. S. R. tworzyły się szkoły junackie dla chłopców i dziewcząt. Rodzice decydowali

się szybko. Dzieci muszą iść do tej szkoły, muszą się znowu uczyć w polskiej szkole; trudno się z nimi rozstać i straszno, ale trzeba się na to zdobyć. W umysłach dziecięcych, gdy i one dowiedziały się o tej wieści, powstały reminiscencje szkoły w Polsce; najpiękniejsza chata we wsi, obrośnięta fasolą i powojem, przed nią ogródek pełen malw, pachnącego groszku, mięty i ruty; — czysto wybielona izba z szeregiem ławek, a w nich płowe i ciemne główki schylone nad książką. I już o niczym innym niezdolne są myśleć i marzyć, tylko już żeby prędzej dostać się do tej szkoły.

Rzeczywistość jednak nic a nic nie jest podobna do marzeń.

Bezkresny step wokół szeroko rozrzuconej wsi uzbeckiej, składającej się z glinianych, na wpół rozwalonych chałup, zamieszkałych przez Uzbeków, olbrzymie stada baranów, kilka osiołków, a w pół-kilometrowej odległości kilkanaście „urukowych“ drzewek (dzikie morele). Czy tu ma być ta Polska Szkoła Junacka?

Wieś nazywa się Karkin-Batasz. Że w tłumaczeniu to miało znaczyć „Dolina Śmierci“, dowiedziałyśmy się dopiero później. Później też dopiero okazało się, jak niefortunnym był wybór miejsca: w kraju tym bowiem nie tylko ludziom nie można ufać i wierzyć, również



Przed „kibitką“ w Karkin-Batasz

przyroda kryje pełno zasadzek i zdradliwych niespodzianek. Zresztą nie było wyboru. Trzeba było brać to, co łaskawie udzielić raczyli świeżo upieczeni sprzymierzeńcy. Było to zaraz po porze deszczowej. Step zieleniał się pięknie, słońce niezbyt paliło, przepływający niedaleko „arik“ pełen był wody po brzegi, od widniejących na horyzoncie gór Pamiru płynął orzeźwiający powiew.

I zaczęły przybywać transporty jeden za drugim, wysyłane z punktów zbórnych przez władze wojskowe pod opieką nauczycieli i wojskowego opiekuna — przewodnika. Zaczęło się od 4-ch dziewczynek, nazajutrz było 33, wkrótce 100, 200, 900, 1036.

Dziewczęta przyjeżdżały z kolchozów w oplakany stan zdrowia i czystości. Zagłodzone, ledwo trzymające się na nogach, w jednej sukieneczynie, nieraz bez bielizny, w obdartych łapciach, lub zupełnie bose. Brudne, zawszone, apatyczne. Zaczęły zdarzać się coraz częściej wypadki tyfusu plamistego, czerwonki, biegunki, pelagry, awitaminoz. Tworzyły się wciąż jakieś rany i wrzody, nie chcące się goić. Lekarstw i opatrunków było bardzo mało.

Przed ambulatorium wystawały duże ogonki. Izba Chorych była przepelniona. Dziewczęta leżały ciasno na podłodze, jedna koło drugiej, a że miejsca w Izbie Chorych wkrótce zabrakło, poukładano chore na piasku podwórza; nad chorymi unosiły się roje much roznosząc zarazę. Otwarte prymitywne ustępy przyczyniały się do rozszerzania chorób. Szpital, w pobliskim miasteczku Guzar, przyjmował, na skutek przepelnienia, tylko najgroźniejsze wypadki. Często chore umierały na wozie w drodze do szpitala.

W namiotach również zdarzały się wypadki śmierci, gdyż chore bały się szpitala i Izby Chorych i starały się jak najdłużej ukryć chorobę.

Trupy układano w otwartej bez dachu kibitce, gdzie leżały nieraz przez całą dobę. Działo to fatalnie na młodzież. Trzeba było wciąż zwalczać kompletny upadek na duchu i załamanie psychiczne. Niby zdrowe dzieci niewiele różniły się od umierających. Pomimo tak dużej ilości młodzieży obóz w czasie dnia był jak wymarły. Grobowa cisza panowała wszędzie. Apatyczne, blade leżały dziewczynki w namiotach i kibitkach, jak gdyby oczekując już tylko śmierci. I przychodziła często zabierać nam dzieci. Wiele dziewcząt chciało uciekać nie zastanawiając się nad tym, że czekać je może znowu głód i tułaczka. Rozsądniejsze uważały szkołę za przystań spokojną i starały się bliżej niej ściągnąć rodzinę. Nieraz wykazywały wprost bohaterkie samozaparcie się.

Pamiętam wypadek Jadzi Wróblewskiej. Prosiła o urlop mówiąc, że chce koniecznie przywieść do Guzaru — bliżej szkoły — umierającą w nędzy matkę i rodzeństwo. Komendantka była zmuszona odmówić urlopu, wiedząc z własnego doświadczenia czym jest podróżowanie w Z. S. S. R. Pomimo to Jadzia znikła bez karty zaprowiantowania, dokumentu podróży i wszelkich papierów. Wszyscy ją posadzili o dezercję. Po tygodniu, skruszona, melduje się u Komendantki. Okazało się, że dzielna dziewczyna potrafiła zwalczyć wszystkie trudności i przywieść

matkę i kilkoro rodzeństwa; wszyscy wygłodzeni i bliżsi śmierci, niż życia.

Częste były wypadki, że dziewczęta samotne, które nie miały rodziców ani opiekunów, wędrowały i przybywały na własną rękę.

Przyszły jednego dnia — nie, przywlekły się — takie cztery: z małutkimi węzłkami w ręku, nawpół ubrane, zawszone, wychudłe jak szkielety, raczej do widm, niż do żywych dzieci podobne. Miały lat 15-16. Nie posiadały żadnych dokumentów ani żadnego skierowania.

Przyszły i słaniając się ze znużenia usiadły w skąym cieniu kibitki, szumnie nazwanej kancelarią.

„Kto was tu skierował? Czy macie jakieś dokumenty osobiste?“

Nie miały nic. Usłyszały o Szkole Junacek, więc postanowiły do niej dotrzeć, bo chcą się uczyć w polskiej szkole. Nie odejdą stąd za nic, wszyscy bliscy pomarli, nie mają do kogo wracać — tu zostaną.

Komendantka nie miała prawa przyjmować bez skierowania i dokumentów, ale nie miała też serca odegnąć. Za dokumenty musiało wystarczyć, że to polskie dzieci.

Nikt nie spodziewał się takiego olbrzymiego napływu dziewcząt, nie było ani pomieszczeń, ani dostatecznej ilości personelu wychowawczego i administracyjnego.

Za przykładem Komendantki zbierałyśmy siły i energię, chociaż same dopiero co wyszłyśmy z więzień i łagrów, i pracowałyśmy za dwie, trzy, dziesięć. Trzeba było ratować dzieci. A ratować, wydzierać śmierci, trzeba je było codzień, co godzinę.

Trudności były olbrzymie. Wszystkie zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że przy takim napływie młodzieży, wobec braku pomieszczeń, gdy nie można było przeprowadzić kwarantanny, groził wybuch epidemii. Już w maju rozpoczęły się nieprawdopodobne upały (ani w dzień, ani w nocy nie opadające poniżej 70° C). Step szybko zamienił się w piaszczystą pustynię a woda w „ariku“ i jedynej płytkiej studzińce wyschła nieomal zupełnie.

Cóż z tego, że teoretycznie każdy transport miał być natychmiast wykąpany, a włosy krótko ostrzyżone. Pierwszej części zarządzenia wykonać nie było można z powodu braku wody (mydło było rzadkością), a z braku pomieszczenia nie było można przeprowadzić dezynfekcji.

Groza sytuacji narastała z każdym dniem. Stawało się jasne, że tu szkoła pozostać nie może.

Komendantka najlepiej zdawała sobie z tego sprawę i postanowiła za wszelką cenę zmienić miejsce postoju. Nie było chwili do stracenia. Czas był najwyższy — okazało się bowiem, że nawet miejscowi

Uzbecy w lipcu opuszczali wieś, przenosząc się w niezbyt odległe, widniejące na horyzoncie góry, gdyż letnie miesiące w tej Dolinie Śmierci były nawet dla tubylców zabójcze.

Nietrudno było przekonać nasze władze o konieczności zmiany miejsca. O wiele trudniejszym zadaniem było znalezienie jakiejś zdrowszej, odpowiedniejszej miejscowości.

Komendantka sama chora, z wysoką temperaturą, nie bacząc na swój stan zdrowia, wspólnie z D-cą Organizacji Armii płk. Kocem wybrała się na poszukiwanie lepszego miejsca dla szkoły. Po niestrudzonych zabiegach udało się jej uzyskać miejsce na terenie zajmowanym przez łączność w miasteczku Guzar, lecz niestety ze względu na szczupłość miejsca zaledwie połowa szkoły mogła tam



Nad rzeczką w Guzarze

być przeniesiona. Komendantka wobec tego wysłała tam te najsłabsze i najwięcej ratunku potrzebujące, a sama z resztą pozostała w starym miejscu.

Generał Tokarzewski — Dowódca 6 D. P. — przyjął 150 dziewcząt na teren swojej Dywizji w rejonie Szachrisjabsu, zapewniając im wyżywienie, opiekę i wszelką pomoc, nawet umundurowanie.

Ale i to nie rozwiązało ostatecznie Karkin-Bataszu, gdzie pozostało jeszcze 200 dzieci. Więc Komendantka w trosce o „swoje“ dzieci które już pokochała gorąco, przypuszcza nowy szturm do generała i w końcu starania Komendantki uwięzione zostają pomyślnym rezultatem. Generał przyjmuje 200 starszych dziewcząt, a na ich miejsce w Guzarze przyjeżdża szkoła powszechna z Karkin-Batasz. Tak likwiduje się zupełnie obóz junaczek w Karkin-Batasz.

Żadna z nas, od najmłodszych do najstarszych, nigdy nie zapomni marszu ze stacji Kitab do odległego o 2 km. kolchozu Mołotow, miejsca postoju 16-go pułku piechoty, pod którego opiekę dostałyśmy się. Zrozumieć to mógłby tylko ten, kto jak my po kilkumiesięcznym pobycie na szczerej pustyni, wśród tumanów gliniastego pyłu, przysyłającego nawet błękit nieba, z ustami spieczonymi od ciągłej gorączki i niezaspokojonego pragnienia, nareszcie odetchnął pełną piersią.

Wielkie drzewa włoskich orzechów ze zwisającymi z nich festonami winorośli, bujne zielone krzewy, kwiaty, strumyczki, przepływające w poprzek drogi, wszystko to wprowadzało w zachwyt, a gdyśmy przy końcu drogi weszły na wąską grobelkę, zarośniętą wierzbami i trzciną, a zachodzące słońce rzucało na nią czerwono-złote promienie, obudziło się w sercach wspomnienie podobnych grobelek, a wyobraźnia dopełniła obraz, zmieniając obce drzewa w rodzime białe brzozy na kobiercu liliowych wrzosów. Zrobiło się na duszy błogo i rzewnie, jednocześnie odżyła na nowo utracona nadzieja... Przetrywamy... Wrócimy...

Nam starszym wstępowała do serca otucha, że już nie będziemy musiały patrzeć bezradnie na zamykające się na zawsze oczy i cicho gasnące życie powierzonych nam dzieci.

Nazajutrz dziewczęta obudziły się w zupełnie innym nastroju. Za sobą pozostawiły grozę śmierci, choroby i beznadziejność jednostajnie płynących dni. Młodzież tak prędko umie otrząsnąć się z przygnębienia!

Źródłem niewyczerpanej rozkoszy stała się bystra rzeczka Kaszka Daria, o urwistych brzegach, porośniętych drzewami i krzewami, a po drugiej stronie rzeki błękitniały zarysy gór.

I znowu trudno było się domyślić, że i tu kryło się siedlisko nowych cierpień i chorób. Po zachodzie słońca unosiły się w pobliżu

rzeki chmary komarów, które niestety okazały się mniej niewinne niż nasze polskie. Tropikalne choroby jak malaria, papatacz, żółtaczka, śpiączka nawet, przyszły na miejsce awitaminozy i pelagry. Zaatakowały z taką siłą, że nieomal nikogo nie oszczędziły, tylko że tutaj, zawdzięczając 6 D. P., opieka lekarska i lepsze warunki spowodowały śmiertelność prawie do zera. Niestety malaria, straszliwa ta choroba, nękała każdą z nas przez kilka lat, wywołując w wielu wypadkach groźne następstwa.

Komendantka, mając stale miejsce pobytu w Guzarze, przyjeżdżała do Molotowa często, interesując się każdym szczegółem i troszcząc się o wszystko.

Z końcem lipca przyszła wyczekiwana przez nas wszystkich wiadomość: „Sprawa wyjazdu z Z. S. S. R. jest już zdecydowana — jedziemy do Iranu, na wolność.“

I tak przyszło nowe życie.

Stefania Dąmbrowska
„Uśmiech“
Rok 1946.

BYŁAM JEDNĄ Z PIERWSZYCH

Mieszkaliśmy w kolchozie, kilkanaście kilometrów od Guzaru, jednego z punktów zbornych wojska polskiego. O nowo tworzącej się Szkole Junacek dowiedzieliśmy się na wiosnę 1942 roku. Obie z młodszą siostrą postanowiłyśmy do tej szkoły wstąpić.

W kolchozie było coraz trudniej. Miałyśmy nadzieję, że może w przyszłości i reszta rodziny łatwiej z wojskiem będzie mogła wydostać się z Rosji.

Jest maj i gorąco. Spękaną, zakurzoną dróżką idziemy. Odprowadza nas zatroskana mamusia. Trudna to i bolesna decyzja. Mijamy obóz wojskowy, miejsce gdzie wysłuchałyśmy pierwszej mszy świętej. Niezapomiane przeżycie. Dalej miasto Guzar. Znowu szmat pustyni suchej, gorącej i nieprzyjaznej. I nareszcie obóz Karkin-Batasz. Formalności, ciekawość, rozstanie z mamusią i nowy rozdział życia.

Szkoła Junacek mieści się w kibitkach. Setki dziewcząt różnego wieku... i ciągle przybywają nowe. W krótkim czasie moja młodszą siostrą, której już nigdy nie zobaczyłam, wyjeżdża do Wrewska, do Szkoły Orłąt. Nowoprzybyła Komendantka T. Sychowska sercem i duszą oddaje się sprawom szkoły. Podzielono nas na kompanie. Dziwna to była szkoła. Wychudzone, biedne, z ogolonymi główkami dziewczęta w różnym wieku. Dzieci, które chciały żyć, uczyć się

ni wrócić do Polski. Nie wszystkim dane to było. Ogólne wyczerpanie, czerwonka, żółtaczka i inne choroby zbierały swoje żniwo. Z przeżyciem myślałyśmy o Izbie Chorych, białym domku, z którego mało wracało. Niejedna z nas dopóki mogła ustać na nogach, nie przyznawała się do żadnej choroby. Wkrótce zaczęła się nauka, próby lekcji. Pod drzewami morwy słuchałyśmy wykładów i robiłyśmy notatki na strzępach z trudem zdobytych kartek. Pamiętam wizytę biskupa Gawliny, nabożeństwo, upał niesamowity, długi szpaler, liczne zemdenia i upragniony powrót do cienia kibitek. Byłyśmy bardzo słabe.

A potem przeprowadzka do Guzaru. Namioty i pierwsze mundury. Jak te mundury na nas leżały! Długie, szerokie i tyle tego wszystkiego.

Żyłyśmy nadzieją wyjazdu za granicę. Dzień ten nadszedł i z nim trwoga co z naszymi rodzinami, czy też wyjadą i kiedy i gdzie się znowu spotkamy?...

Obładowane ekwipunkiem ponad siły z dziwnym uczuciem niedowierzania ładowałyśmy się do pociągu, który zawiózł nas do Krasnowodska. Niektóre z nas spotkały tu rodziny czekające już na statek. Cieszyły się. Inne zasmucone, ale z nadzieją że spotkają swoich może dalej, za granicą...

Wszystkie jesteście zmęczone podróżą, piaskiem i oczekiwaniem, ale sił dodaje świadomość, że tam za wodą jest już wolność, inne życie.

Gdy statek ruszył, z oczu płynęły gorące łzy wdzięczności i podziękii Panu Bogu za tę wielką łaskę wydostania się z nieludzkiej ziemi. Żegnaliśmy cichym westchnieniem tych, którzy na zawsze w tej ziemi zostali, a było ich wielu.

Teraz było morze. Spokojne dobre morze. Nie narzekałyśmy na tłok na statku, na zmęczenie. Radość, ciekawość nowego kraju, nowego życia podniecała naszą wyobraźnię. Oto i ład. Pahlewi. Wyładowanie. plaża, piasek, las namiotów i pierwsze uczucie wolności. Persowie sprzedający brzoskwinie i jaja.

Na pewien okres przydzielono mnie do „uzdrowieńców“ — dożywiano nas i powoli „przychodziliśmy do siebie“ pod troskliwą opieką sióstr, które wiele serca wkładały w swą pracę. Rodzice moi byli obok, ale tatuś, który tak bardzo pragnął wydostać się za granicę, przepłynął morze lecz wyczerpany chorobą w krótkim czasie zmarł. Drugi cios spotkał nas, gdy nadszedł transport z Wrewska i nie znalazłyśmy w nim siostry, z którą rozstałam się w Karkin-Batasz. Pozostała ciężko chora w sowieckim szpitalu.

Potem Teheran. Ciężko chora mama i decyzja wyjazdu ze Szkołą

do Palestyny. Od tego momentu Szkoła musiała zastąpić mi dom i wszystko co dom i rodzina daje

Maria Hendeł-Domańska

PIERWSZA MSZA ŚWIĘTA

Jesień 1941 roku przyniosła nam wiele wydarzeń: rząd nasz zawarł umowę z Sowietami, zostaliśmy zwolnieni z kołchczów, zaczęła się tworzyć Armia Polska... Nadeszła syberyjska zima. Pewnego dnia telegram ze Sztabu Armii: przygotujcie się na przyjazd kapelana. Czy to możliwe? Ksiądz tu, w kraju dziesiątki lat pozbawionym Boga? Po prostu nie wierzyliśmy.

A jednak pewnego dnia, wśród strasznej zadymki przyjechał! Zmarznięty, głodny ale z wiarą, że braciom-rodakom da to czego brak im było przez lata — Ofiarę Mszy Św. — Hostię Przenajświętszą. Przyjechał pełen chęci najlepszych, lecz z pustymi rękoma. Nie było ornatu, stuly ani obrusa, dosłownie niczego. Więc zwykły drewniany stół był ołtarzem, a nad nim na biało-czerwonym tle obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Łzy błyszczały we wszystkich oczach i mówiły najlepiej, czym jest dla nas ten dzień. Wszedł ksiądz w białą komżę, zaczęła się Msza Święta. Wśród ciszy odezwał się głos księdza: „In nomine Patris“... Ktoś głośno zaszlochał, przebiegł dreszcz wzruszenia. Płakali wszyscy, kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. Głos księdza drżał przez łzy, odpowiadał mu siwy jak gołąb organista. Potem kazanie. Może nigdy przedtem i nigdy potem nie słuchałam kazania z takim zrozumieniem, jak tego pierwszego po trzech latach. „Credo in unum Deum“ — nigdy to wyznanie wiary nie było tak aktualne jak wtedy „Wierzę“ — wierzę, ale nie tylko w Boga: wierzę w odrodzenie Ojczyzny, wierzę w lepsze jutro, wierzę w powrót najbliższych z więzienia.

Komunia. Wszyscy obecni śpieszyli do Stołu Pańskiego. Małe, białe opłatki w palcach księdza rosą do olbrzymich rozmiarów, obejmują cały świat. Naszych w Polsce, żołnierzy i tych cierpiących w więzieniach.

„Boże coś Polskę“ — śpiewa tylko ksiądz, innym dławiące łzy nie pozwalają wydobyć głosu z zaciśniętej krtani. „Ojczyznę Wolną, racz nam wrócić Panie“. Teraz i księdzu głos się załamuje, przestaje śpiewać. Długo tłumiony szloch wstrząsa tłumem. „Królowo Krony Polskiej, zmiłuj się nad nami“, — i oczy wszystkich kierują się na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. A Ona, Królowa nasza

z Jasnej Góry, uśmiecha się łagodnie, jakby chciała natchnąć nas siłą do znoszenia nowych cierpień.

J, B,
Kl. IV Gimn.
„Junak“ rok 1943.

NARESZCIE JUŻ MOJE

I było nas znów tysiąc... 5. IX. 1942 połączyły się oddziały Szkoły Junaczek z Guzaru, Kitabu i Wrewska w jedną całość. Komendantka T. Sychowska powitała dziewczęta tymi słowami: „Nareszcie już moje“ — Nie wiem, do dziś jeszcze nie wiem czy to te trzy, tak ciepłym tonem wypowiedziane słowa, czy towarzyszący im uśmiech sprawiły, że rozrzucone po przewiewnych z mat skleconych namiotach dziewczęta z Kitabu, Guzaru, Karkin-Batasz i Wrewska znalazły się w jednej szkole. Od razu. Bez uczucia obcości i niechęci. Jakby długie miesiące były razem. Trzy słowa i uśmiech. I ufność,



Wyjazd na nowe miejsce postoju

powstała nie wiadomo jak, nie wiadomo kiedy, ufność, która zdejmowała z nas gryzący ciężar zmartwień i niepokoju o przyszłość, o to, czy będziemy Junaczkami, czy rozrzuca nas po sierocińcach, obozach cywilnych i odbiorą mundur wojskowy...

„Jesteśmy szkołą wojskową! Jedziemy z wojskiem“. Już wówczas

wiedziałyśmy ile niepokonanych dni, niepokonanych zda się przeszkód, ile ciężkich trosk, przyćmiewających znany już dobrze uśmiech, kosztował ten okrzyk.

Pierwszy od opuszczenia granic „raju“ okrzyk. Szalał radością po korytarzach, tupał podkutym mocno „bombowcem“ po schodach, i nie mogąc swego szczęścia pomieścić w krępych murach budynku, wybuchał całą siłą swobody na mustrze. Szkoła! Szkoła wojskowa! I tak się jakoś stało, że ufność nasza związana z poznanym w Pahlevi uśmiechem stała się nieodłącznym druhem szkoły. Nawet w najbardziej ciężkich, najbardziej smutnych chwilach...

Gedera była miła, ciągnące się wzdłuż drogi padesy urocze, niebo w swym czystym błękitcie śliczne. Ale było nam źle. Bardzo źle. Obóz P. S. K. patrzył na nasze szorty, ciężkie wojskowe buty i wilcze apetyty co najmniej niemile zdziwiony. Brakowało nam czegoś...

Dlatego może zmieniliśmy się w oczekiwanie, dziecinne niecierpliwe oczekiwanie na... pozostały jeszcze w drodze uśmiech.

Przyjechał! W pokoju pełno zielonych gałęzi z dojrzałymi pomarańczami.

Mały czworobok drży. Ciąpek, nasz kochany teherański Ciąpek wysunął z radości różowy języczek i kręci młyńca swym małym ogonkiem. W tym dniu dopiero Gedera poznała, jak głośne być potrafimy. Rozkrzyczałyśmy się radośnie, radośnie, a może nawet... beztrąsko. Wkrótce przyjechała reszta dziewcząt wioząc parę zagrabionych na pustyni profeserek. Do nas. Do szkoły. Potem zaczęły się zjawiać stoły, ławki, tak dawno niewidziane tablice i... Książki! Przywożono je w małych paczuszkach związanych szpagatem. Pachniały jeszcze drukarnią.

Zaczął się powoli kształtować obraz szkoły, a z nim ciepłe uczucie, że ktoś się o nas troszczy...

Rehowoth był pierwszym obozem należącym do nas. Niepodzielnie do nas. Razem z wygodnymi barakami, świetlicą, placem musztry, kamiennymi uliczkami i małym, wtulonym w rozkwitły krzak mimozy pokoikiem. Nie dochodziło doń słońce, tylko drobniutkie, sypiące żółty pył puszyste kulki ocierały się o okno i czerwone, polne maki stały na komodzie. Wśród nich gałązka pokrzywowy...

Tu, w tym niewielkim, odgrodzonym od miasta żywoplotem obozie, zaczęła szkoła tętnić życiem i radością swobody. Zdawało się — że miałyśmy wszystko, a wciąż nowe, nieoczekiwane rzeczy przybywały. Często drobne, prawie nieznaczne, tym jednak droższe i bliższe, tym wymowniej wyrażające troskliwość.

I odtąd było nam dobrze wszędzie. W Quastinie, gdzie skończyłyśmy pierwszy rok szkolny, w Jeninie, sypiącym z porozrzucanych po

obozie drzew czerwone pociski pieprzu i w Nazarecie. Dobrze, najlepiej. Miałyśmy nie tylko naukę, miałyśmy przecudowne wycieczki i wciąż inne, wciąż świeże wakacje. W błękitnej Tyberiadzie, rozkrzyczanym wolnością Athlicie, Jerozolimie i najmilszym, najśłonieczniejszym Libanie. Cudowne tygodnie pachnące szpilkami starych cedrów, mokrym mchem w grocie stalaktytowej i dojrzałymi jabłkami. Czy to dziwne, że się wracało potem do Nazaretu z wrywającym się głośno okrzykiem: „Moją szkołą jesteś!”



Wizyta generałów Sosnkowskiego i Andersa w Jeninie 1943

Czy to dziwne, że w majowy dzień święta S. M. O., serca tłukły nam nie tremą, nie obawą, ale wzruszeniem, widząc uśmiech promienniejszy niż zwykle.

Luna Klausner
kl. II lic. Hum.
„Uśmiech“, 1946

ŚCIANY MÓWIĄ

Gdyby ściany mogły mówić!! Tak, gdyby ściany mogły, to by dużo opowiedziały ciekawych rzeczy, bo dużo widziały i dużo słyszały. Ale czy ściany są tylko bierne? Czy czasem same nie oddziałują na to, co się w przestrzeni, którą one ograniczają, dzieje? Czy nie wpływają na „bieg spraw?”

.....

W czasach gdy nad S. M. O. panowała mgławica i twórczy chaos — była sobie kibitka. Kibitka składająca się z dwóch części A. i B. Ściany były glinobitne, popękane, ze śladami bielenia, oznaki dawnej świetności. W szparach gnieździły się jaszczurki, pająki i skorpiony. Kibitka nie różniła się niczym od innych; tak samo małe okienko bez futryny i szyb, tak samo dach z suchych pustynnych badyli. Pod każdą ścianą w kibitce A (tej na prawo) stały cztery barłogi. Była to kancelaria Komendantki Szkoły Junacek, tu się mieściły: wola, rozum i serce Szkoły.

Gdyby te nędzne ściany mogły mówić, toby opowiedziały, ile godzin we dnie, a często w nocy radziły zamieszkujące kibitkę cztery osoby. Jakie trudne rozwiązywały problemy, jak ciągle padały te same słowa: dzieci... młodzież... ratować od śmierci... od chorób... wychowywać... uczyć...

I schylały się przytłoczone ogromnym ciężarem głowy i te młode: czarna i jasnozłocista, i te przyprószone siwizną. I zawsze pierwsza podnosiła się złocista, otrząsała się z chwilowego przygnębienia, już pełna energii, gotowa do walki ze złym losem o życie dzieci, już uśmiechnięta pociągająca wszystkich do współpracy, do zjednoczenia wysiłku...

Gdyby ściany mogły mówić, toby powiedziały, jak musiały się rozszerzać, aby pomieścić wszystkich, całą Kadreę, na odprawę. Jaka panowała wówczas jedność i wzajemne zaufanie. Jak, pomimo niebywale ciężkich warunków, praca wydawała się lekką, przyjemną, tak pożyteczną.

I powiedziałyby o tych łzach żalu płynących z jasnych oczu w upalną, duszną noc, gdy kronika notowała „...i znowu zmarła Junaczka...“. I pomimo, że było nam bardzo źle, w kibitce A — było nam bardzo dobrze.

.....

A potem wszystko się zmieniło. Była sobie chatka — namiot z

plótna, na niej napis „Komenda Szkół Junaczek“. Stała nad morzem, które choć obce, przypominało nasze, bo jak nasze było symbolem wolności i swobody. Fale szumiały tak, jak w dalekiej Gdyni.

Chatka stała na ziemi wolnej, choć cudzej, i budziła w sercach szaloną radość i nadzieję, że już wkrótce... już niedługo...

.....

Nawet gdyby ściany mogły mówić, to te okalające ogromną sypialnię, w budynku N. 1 w Teheranie, nie byłyby w stanie cokolwiek opowiedzieć. Po prostu nie wiedziały kogo słuchać z 50 osób, zamieszkujących salę. Był to drugi okres życia Szkoły, okres „demokratyczny“. Zgromadzone były wszystkie warstwy społeczne, wszystkie funkcje w Szkole Junaczek. W prawym rogu sali, pod oknem było „mieszkanie i kancelaria“ Komendantki — siennik na betonowej podłodze, walizeczka jako jedyne umeblowanie i puszysty biały Miś, królujący na kocu. Obok taki sam „pokój kronikarki“, dalej nauczycielki, lekarka, kancelistki, kucharki, pluton roboczy, a na końcu Ciapus z czerwoną wstążeczką. W tym to okresie Komendantka utraciła władzę na rzecz... największego swego umiłowania — geografii. Rozkaz ewakuacyjny z Pahlevi do Teheranu tak brzmiał:

Rozkaz 21.

Pahlevi 30.9.1942.

Jutro jedziemy na „wycieczkę krajoznawczą“ do Teheranu. Serdecznie współczuję wszystkim zwolennikom morza, że już muszą je opuścić.

T. Sychowska
Komendantka Szkół Junaczek

Niepodzielnie zapanowała nad nami geografia regionalna.

.....

Nigdy chyba ściany nie były tak wytapetowane dobrymi myślami i serdecznymi uczuciami, jak te w Gederze, które strojne w kwiaty pomarańczowe czekały na przyjazd Komendantki — czekały z ufnością — czy dlatego, że nie wiedziały o zdradzie, którą knuły niebieskie oczy? Czy dlatego, że były pewne siły i mocy przyciągającej licznych małych serduszek? Dość, że obchodziły zwycięstwo Szkoły nad Inspektoratem, zwycięstwo serca nad rozumem. Komendantka odrzuciła propozycję pracy w Inspektoracie i wróciła do swojej szkoły.

I choć później rzadko były świadkami „urzędowania“ (był to

okres szukania innego obozu, współpraca z nowym Dowództwem, uplasowanie Szkoły naszej w hierarchię samodzielnych jednostek) były zawsze tym domem, o którym się myślało chętnie i do którego się wracało z przyjemnością „z szerokiej drogi“.

.....

Duża gałąź mimozy pachnąca słońcem zagląda do małego pokoiku i dziwi się, że ściany mogą pomieścić tyle, tyle spraw tu załatwianych i tych służbowych i tych osobistych, i tych najbardziej tajnych zwierzeń, i tych dziewczęcym głosem szeptanych „czy mogę przyjść dziś wieczorem?“



Kadra Rehovoth — 1943

A do pokoju wiodą cztery schodki, na nich siedzą koty czarne, szare i rude — koty — syte, zadowolone, mruczą głośno. Schodki dla niejednej nie są łatwe do przebycia, czasem bardzo, bardzo trudno je przekroczyć. Istny Rubikon. A potem za progiem wszystko się jakoś układa i znów jest dobrze. Mimoza się nie domyśla, sama jasna, jak

słońce, że przyjmowanie obozu, samodzielność szkoły pod względem gospodarczym, niesie ze sobą dużo kłopotów, przykrości, zmartwień, skrętnie ukrywanych, aby niczym nie zmacić pogodnego nastroju, który panuje w szkole, aby nie zaćmić radości pracy twórczej — aby we wspomnieniach Rehovoth pozostał jako okres najmilszej pracy, najlepszych koleżeńskich stosunków.

.....

Trzeszczą coraz głośniejszą, trzeszczą zniecierpliwione ściany baraku w Quastinie — lecz nie mogą przerwać „długich nocnych rozmów rodaków“.

Już i kury pieją, a na przyzbie siedzi Dowódca Szkół Junaków płk. Bobrowski z Komendantką i gwarzą, gwarzą... O czym? O wszystkim, O nadchodzącym terminie matury — pierwszej w liceum humanistycznym S. M. O. Czy nie porwano się z motyką na słońce...

.....

Czy można siedzieć w czterech ścianach kancelarii, gdy drzewa pieprzowe Jeninu wabią swoją krasą, gdy pociąga i zaciekawia świat arabski — dziwny, egzotyczny, niezrozumiały a jednak sympatyczny.

Nad obozem przelatują polscy lotnicy z 318 Dywizjonu, tak nisko, niziutko i zrzucają na maleńkich spadochronikach listy. Wieczorem obóz „niebieścieje“ od ich mundurów; tak dobrze wśród swoich — radośnie.

Zjeżdża z manewrów Armia nasza, Armia, która wkrótce wyruszy na front — na bój o wolność.

Szeroki świat wabi i nęci...

.....

Grube mury nazaretańskiego klasztornego budynku nie są bierne. O nie! One od razu powagą swoją, majestatem zmieniły skromne dotychczas kancelarie na „gabinet Komendantki S. M. O.“

One domagały się adiutantury; one ustaliły godziny przyjęć, one nadały cechę ministerstwa z całym szeregiem podległych sekretariatów stanu. Bo szkoły duże, zasobne, rozsiadłe w gmachach pięknych, wymagają godnej reprezentacji.

Gdy po długim oczekiwaniu otworzą się drzwi i ściany gabinetu Komendantki gościnnie przyjmą do swego wnętrza — gdy czas, który tak się dłużył i ciągnął jak guma do żucia, zaczyna naraz

pędzić jak koń wyścigowy, wtedy z pomocą interesantowi przychodzą zdobiące pokój „Pieta“, „Nike“ i „Myśl“.

Z rzeźby Rodina ulata Myśl wolna i niezależna, szeroka jak przestrzeń, lotna jak błysk. Subtelna, kobieca, delikatna. Myśl niematerialna a uchwytna, realna, która „jest“. Myśl, która decyduje jako pierwsza — najlepsza, lub jako ostatnia — najbardziej ważka.



Wizyta władz polskich i angielskich w Nazarecie

Nike pełna siły, rozmachu, czynu, napawa wiarą — w zwycięstwo — zwycięstwo słusznej sprawy.

Nad biurkiem piękna reprodukcja Piety — symbolu miłości i uczucia aż do najgłębszego odczucia cierpienia. Pieta o wyrazie twarzy tak bardzo bolesnym i tak pełnym miłości zaręcza, że tu króluje serce.

Na biurku „pod ręką“ leży młotek — taki sobie zwykły młotek, wykonany w Junackiej Szkole Mechanicznej. Jest to dar Dowódcy Szkół płk. Rzyńskiego, ofiarowany Komendantce, aby sobie wybijała z głowy niemożliwe projekty. Komendantka — jak to kobieta — dar przyjęła, ale „sens“ zmieniła. Nie jej, lecz ona innym chce wybijać owym młotkiem niefortunne pomysły.

Znad kalamarza wychyla się ptak Ba o rozpostartych skrzydłach, odzierający w szponach symbol wieczności. Staroegipski Ba — symbol

duszy, skłania do szukania we wszystkim duszy, czyli głębi, sensu, nie zaś zewnętrznej formy.

Obraz Wandy Malczewskiej — patronki Szkoły — zdobi jedną ze ścian. Ona czuje się tu Panią, bo Szkoła do Niej należy. Jej została oddana w opiekę. Ona czuwa we dnie i w nocy, broni od złej przygody i prosi Boga, by błogosławił tym, którzy pracują i tym, którzy się uczą i tym wszystkim, którzy zostali w Kraju.

.....

Lecz nadszedł czas, gdy mury nazaretańskie, gościnne i przyjazne, musiały pożegnać swoją szkołę. Po latach wspominać będą polską młodzież, która przez 5 lat napełniała te mury życiem, gwarem, rzetelną pracą i uśmiechem S. M. O.

.....

Słońce złotymi blaskami oświeślało pokład starego statku „Mataroa“, który szedł w ostatnią swą podróż, po 20-letniej służbie. Spracowane ściany kabin i pokładów dziwiły się „ładunkowi“, który wiozły — takiego jeszcze nie było: dziewczęta w mundurach! I to cała szkoła!

Ale ta podróż była inna niż wszystkie poprzednie: pokłady rozbrzmiewały gwarem i śmiechem kilkuset dziewcząt; pogoda nadzwyczajna, niebo lazurowe, odbijające się w niebieskich falach Morza Śródziemnego. Słońce świecaące od rana do nocy, tak jakby chciało umilić ostatnią podróż Szkoły, której istnienie zbliżało się ku końcowi.

.....

A potem były znów ściany baraków w Foxley — mniej przyjazne od rehoveckich — ciemne i ponure, tak jak dni jesiennej szarugi w Anglii i tak dziwnie obojętne na los młodzieży, dla której z trudem wywalczono możność ukończenia roku szkolnego.

Szkoła się likwidowała.

Deszcz zlewał ściany baraków, bębnił o szyby, sphywał kroplami dużymi jak lzy...

Maria Kościalkowska

DO MIGAWEK DYR. MARII KOŚCIAŁKOWSKIEJ

Siedzę w „Ognisku“ czekając na zebranie naszego związku i przeglądam materiały do książki S. M. O. Tak się złożyło, że

paczka, którą właśnie mam przed sobą, to nie artykuły, nie statystyki — a migawki z czasów nazaretańskich, migawki o profesorach, idące dalej w przeszłość, z Rehovothu i Gedery, z przejazdu przez Morze Kaspijskie, z Karkin-Batasz itd... i myśl się cofa coraz bardziej, wspomnienia nie płyną po jednej linii, nie trzymają się jednego



Apel poranny — Rehovoth 1943

tematu, tylko przeskakują z jednej sytuacji w drugą, od jednej osoby do drugiej, czasem z serdecznym uśmiechem, czasem z dreszczem przykrości, ale najczęściej z uśmiechem i łezką jednocześnie. I dochodzę do wniosku, na pewno nie pierwsza, że całe nasze życie to film składający się z migawek, które pozostają w pamięci na zawsze.

Mam przed sobą właśnie taki sznurek perełek nanizany przez Panią Dyrektorkę Kościółkowską o naszych początkach szkolno-żołnierskich. Oto one...

— — —
Z całej Kadry S. M. O. Zosia Lisowska miała najbardziej realne podejście do wszelkich zagadnień życia codziennego. Gdy w Karkin Batasz, Zosia, jako oficer załadowczy, była odpowiedzialna za transport Junaczek — zwołała zbiórkę, stanęła przed frontem i swoim lwowskim akcentem powiedziała: „Przypatrzcie się mnie dobrze, abyście wiedzieli jak wyglądam i pamiętajcie aby się żadna nie zgubiła

— ja was szukać nie będę — musicie się mnie pilnować i iść tam gdzie ja pójdę“.

Żadna się nie zgubiła, transport w całości dojechał do miejsca przeznaczenia.

— — —

W czasie podróży pociągiem do Krasnowodska kazano nam oddać posiadane pieniądze, bolszewicy grozili, że zatrzymają cały transport jeśli znajdą „szmuglowane ruble“ — (pieniądze rosyjskie są tak wartościowe, że wywozić ich za granicę nie wolno).

Perspektywa wyjazdu z ZSSR skłaniała każdego do oddania nie tylko pieniędzy, ale i ostatniej koszuli, gdyby tego zażądano.

W Krasnowodsku upał był straszny, rozgrzany piach przesiąknięty ropą naftową i odór zgnilych ryb i wodorostów zatruchiwał powietrze. Pragnienie nas męczyło, ale nie miałyśmy pieniędzy, aby kupić choć szklankę wody — a darmo w Rosji nic nie dają, nawet kropli wody. Po długich godzinach oczekiwania dano znać, że nadszedł czas załadowania na statek. Dziewczęta ostatkami sił goniące, podtrzymując słaniające się koleżanki, ustawiły się trójkami i pomaszerowały do portu. Gdy chciały wejść na statek, zastąpił im drogę żołnierz z karabinem wołając: „Malczykom nie!zia, eto barża dla dziewoczek“. Nim się wyjaśniło, że to właśnie są „diewoczki“ choć w mundurach żołnierskich i z krótko ostrzyżonymi włosami — dziewczynki przeżywały chwile przerażenia i grozy — już prawie na progu wolności — będą zatrzymane i zmuszone powrócić do kołchozów...

Statek był naładowany do granic wytrzymałości. Zakaz zabrania bagażu żeby „nie przeciążyć statku“ mało nas wzruszył, bośmy prawie nic nie miały — a Krezus wśród nas, Zosia Lisowska, bez chwili wahania zostawiła na brzegu walizkę i czerwoną lwowską pierzynę. Jakież było nasze zdumienie, gdy po przybyciu do Pahlevi i wylądowaniu statku, na perskim piasku jak olbrzymi czerwony mak leżała pierzyna Zosi.

„Historyczna“ puchówka, która sama przepłynęła morze, do dziś dnia króluje na łóżku Zosi w jej własnym domku w Chelmsford.

— — —

Po podziale Szkoły w Teheranie młodsze odjechały do Isfahanu, a starsze od 16 lat wzwyż — do Palestyny. Transport prowadził major angielski, a z ramienia Szkoły oficerem załadowczym była jak zwykle Zosia Lisowska. Jechała z nami Irena Müller z dwiema małymi córeczkami, skrzętnie ukrywanymi wśród starszych dziewcząt.

Na jakimś postoju 6-letnia Ewunia wyskoczyła z samochodu, żeby rozprostować nóżki — i wtedy zobaczył ją major angielski. Flegmatycznie zwrócił się do Zosi Lisowskiej i wskazując palcem Ewę spytał: „How old is she?“

Zosia z całym aplombem odpowiedziała: „Sixteen“, a na dowód niezłoty pokazała spis jadących osób, w którym stało: Ewa Müller — 16 lat.

Anglik ze zdumieniem pokiwał głową: „If you say so... O.K...“ i już nie kwestionował wieku dziewczynki.

— — —

Dyscyplina w S. M. O. przedstawiała duży problem, bo jako w „szkole wojskowej“ powinien stosowany być „żołnierski kodeks karny“, co było trudne do wykonania. Komendantka umiała lawirować tak, aby nie uchybić przepisom wojskowym, a równocześnie nie zapominać, że ma do czynienia z dziećmi.

Którejś niedzieli do obozu naszego w Rehowocie przyjechali w odwiedziny Junacy i Kadeci. Wieczorem mieli wrócić do Barbary. Otóż zdarzyło się tak, że kilku z nich spóźniło się na ostatni autobus, czy rzeczywiście, czy trochę niechcący — naumyślnie — historia milczy. Cichaczem wrócili do obozu, a siostry i koleżanki gościnnie przygotowały im nocleg. W końcu obozu stała pusta budka używana do przechowywania narzędzi ogrodniczych — tam zniesiono koce, poduszki i usłano miękkie legowiska. A wszystko tak cicho i sprawnie, że nikt tego nie widział. Po zgaszeniu świateł nastąpiła cisza — wszystko pogrążyło się we śnie — tylko oficer służbowy miarowym krokiem obchodził teren. I raptem coś błysnęło w budce ogrodniczej — błysnęło i zgasło. Służbowa, niestety, należała do tych bardzo ciekawych i dociekliwych — pędem dopadła do budki, otworzyła drzwi i ujrzała 5 budrysów emiających papierosy. Alarm podniesiony przez nią wywołał kilka osób z Kadry. Chłopcom po spisaniu nazwisk, kazano przejść do świetlicy i zamknięto drzwi na klucz — zostawiając okna na rozcież otwarte „bo noc gorąca“. Rano, gdy służbowa przyszła otworzyć drzwi, „ptaszków“ już nie było, wyfrunęli wcześniej. Teraz pozostała sprawa klasy II A, tak bardzo po sarmacku gościnniej. Przy rannym pacierzu Komendantka zapowiedziała, że staną do raportu karnego.

Z początku miny dziewcząt były buńczuczne — czuły się trochę bohaterkami, lecz gdy lekcje minęły, a potem godziny urzędowania Komendantki i nawet pacierz, a nikt ich nie wzywał — miny zrzedły. Tak długo odsuwany raport karny nie wróżył nic dobrego. Pewnie

kara będzie bardzo sroga, może zamkną w karcerze o chlebie i wodzie? Może każą się meldować codziennie, w całym ryszpunku, a może nastąpi to najgorsze: wyrzucą ze szkoły? To co one wtedy zrobią? Dokąd pójdą? I martwiły się biedaczki przez całą noc i przez cały następny długi dzień, wymyślając coraz gorsze kary, które miały spaść na ich głowy — a Komendantka chodziła tajemnicza i nikomu nie chciała powiedzieć co zamysła zrobić. „Niech się pomartwią trochę“, powtarzała. I delikwentki martwiły się coraz bardziej — toteż gdy po 48 godzinach (ostateczny termin dozwolony na raport karny) zostały wezwane do Komendantki, uczuły ulgę, niech się dzieje co chce, przynajmniej się to oczekiwanie skończy. A gdy usłyszały wymiar kary: koszarniak na niedzielę — wpadły w szaloną radość, bo kara wobec ich „wielkiego przewinienia“ wydawała się minimalna.

Te, które wówczas były w II A na pewno do dziś dnia pamiętają to zdarzenie.

A chłopcy? Szczęśliwie dobrnęli do Barbary przed rannym pacierzem i nikt się nie dowiedział o ich eskapadzie. Komendant Kadetów koniecznie dowiedzieć się chciał nazwisk delikwentów, ale Komendantka Sychowska odpowiedziała: „To ci, których brakowało na apelu“.

Wybrała i opracowała
Danuta Polniaszek-Kossakowska

JEDEN Z FILARÓW S. M. O.

„S. M. O. — Widzę ją prowadzoną przez zespół ludzi dobrej woli, którzy wszystkie swe zdolności poświęcili pracy nad tą częścią społeczeństwa polskiego, które z racji swego młodego wieku zginęłoby w wirze szerokiego świata.“

Mgr T. Z. Sychowska — „Junak“
Maj 1947 roku.

Jest lipiec 1942 roku.

Szkołę Junaczek już przeniesiono z Karkin-Batasz, pustynnej, odrażającej Doliny Śmierci, do obozu wojskowego w Guzarze przy D-twie Ośrodka Organizacji Armii polskiej w ZSRR, gdzie dzieci znalazły lepsze warunki pomieszczenia.

Junaczki — te nasze Drobiazgi kochane — już są umundurowane, mają plecaki, chlebak i pasy skórzane — jak żołnierze. Szkoła

przygotowuje się do wyjazdu za granicę w ramach ewakuacji Armii Polskiej w ZSRR.

Dużo pracy w kancelarii. Sporządza się wykazy, legitymacje, listy transportowe w nieprawdopodobnej ilości egzemplarzy w języku polskim i rosyjskim. Fantastyczna ilość zawiłych rubryk na wykazach, drobiazgowość szczegółów, coraz nowe zarządzenia i zadania nadchodzą od władz sowieckich. Czy to aby nie obawa, że w tych ledwie dyszących, wymizerowanych dzieciach polskich przemyć się może jakiś szpieg? W kancelarii pracuje codziennie od rana do późnego wieczora cała kadra szkoły i starsze junaczki.

„Ale kogo ja wyznaczę na funkcję Oficera Załadowczego?...“ głowi się Komendantka Szkoły Junaczek, mgr. T. Sychowska. Radzi się, konsultuje.

Wybór pada na ochotniczkę Zofię Lisowską.

Wybrana funkcję przyjmuje. Mocniej dociska pas żołnierski, gruntuje w międzyczasie istotę zagadnień i spraw, które cisną się i coraz ich więcej. Furażerkę wkłada troszkę na boczek i w energicznym skupieniu rozpoczyna bieganie od kancelarii do szeregów plutonów, kompanii junaczek, do stosów bagażu przeznaczonego do transportu.

Każda junaczka, będąc na prawach żołnierskich, może zabrać ze sobą swoją rodzinę — rodziców, rodzeństwo. Jest więc na liście transportowej i pod opieką Komendantki Transportu wiele osób cywilnych.

Dużo dzieci chorych. Jest rzeczą nie do pomyślenia, by je tu zostawić! — Niekończące się konferencje, narady K-ki Szkoły z lekarzami, K-ką Transportu, kadra... Problemy, problemy, problemy a wśród nich, potajemna i straszna obawa by nie zaszło coś, jakiś „ukaz“, nakaz czy zakaz, który nie pozwoliłby nam na wyjazd za granicę.

11 sierpnia 1942 roku wyjazd. K-ka Transportu Zofia Lisowska wypełnia teczkę dokumentami ponad tysiąca osób i obejmuje swoją bardzo ważną i odpowiedzialną funkcję.

W godzinach popołudniowych Szkoła Junaczek wymaszerowuje z obozu do stacji kolejowej Guzar. Bagaż i chore junaczki odwożą wojskowe auta. Do nocy trwa przeprowadzka.

Na stacji jeszcze jedna zbiórka, przegląd — jeszcze jedna na tej ziemi modlitwa, — jeszcze jedno pozdrowienie K-tki Szkoły: „Czołem Junaczki“, i na polecenie K-tki Transportu Zofii Lisowskiej, która już zasięgnęła informacji, że nie wiadomo kiedy pociąg nadejdzie i kiedy odejdzie, dzieci i my wszyscy rozkładamy się ogromnym taborem wzdłuż toru kolejowego, szukając możliwości

ulożenia się gdzieś na nasypie czy w rowie na bagażu do snu. Nad ranem nadchodzi pociąg. Gwiżdże, sapie, dyszy; wchłania setki rozspanych dzieci, sterty bagażu. Jedzie. W tym azjatycko-sowieckim kraju, na ogromnych przestrzeniach i odległościach od stacji do stacji pociąg razem z pasażerami zdaje się być jakby zagubiony. Trudno dowiedzieć się kiedy, gdzie i na jak długo się zatrzyma. Złe warunki podróży powodują nowe zachorowania. Trzeba dobrze kamuflować chore by ich nie wyłączono z transportu. Mimo wszystko jednak, na stacji Aszchabad lekarka decyduje oddać do szpitala ciężko chorą junaczkę Przybylską. Umiera ona w drodze do szpitala.

Krasnowodsk. W oczekiwaniu na statek, który nie wiadomo kiedy nadejdzie i który ma nas przewieźć na drugi brzeg Morza Kaspijskiego do Iranu, — około tysiąca dzieci i młodzieży koczuje pod gołym niebem na przyportowej szarpie kolejowej. W dzień słońce pali, nocą chłodem wieje. Wody do picia brak zupełny. Za litr wody płaci się — pokątnie — duże sumy pieniędzy albo wymienia się za jakąś rzecz z odzieży. W tych warunkach dzieci chorych coraz więcej. Trzy dziewczynki oddaje się do portowego szpitala.

Przyplywa statek „Żdanow“. Statek jest mały. Z trudem mieści cały stan Szkoły Junaczek. Nie ma miejsca by usiąść. Wszyscy stoją stłoczeni; tylko dla chorych i słabszych wyznaczono miejsca na podłodze pokładu, by mogły się położyć.

Ostatnie formalności. Przeliczanie i syrena. Głośna, wrzaskliwa syrena. Statek rusza — płynie.

Na pełnym morzu umiera matka junaczki, p. Zulaufowa, żona generała W. P. Rozpacz pozostawionej na pokładzie córki i nasze przygnębienie i ból.

Już nas holują. Pahlevi. Za burtą statku inny już świat. Atmosferę wolności czuje się w pierwszym kroku, w pierwszym oddechu, w każdym wzajemnym spojrzeniu, w błękitie nieba, w uśmiechu wolnej ziemi, na której stajemy.

Po przeglądzie lekarskim 200 osób zostaje oddanych do szpitala w Pahlevi. Te niby mocniejsze junaczki odmaszerowują w przepisanych, wojskowych szeregach do przeznaczonego dla Szkoły Junaczek obozu nad Morzem Kaspijskim. Dzieci są przemęczone do ostatnich granic. Niektóre wyglądają jak blade, wychudłe, slaniające się szkielety. Wybiegają z domów mieszkańcy miasteczka Pahlevi. Podbiegają do szeregów młodzieży, załamują ręce, płaczą — płaczą głośno, lamentują. Zatrzymują kolumnę. Ofiarowują swoje prywatne auta i zawożą słabsze dzieci do obozu.

Kiedy przemierzam te ćwierćwieczem z górą odległe dni i godziny widzę wyraźnie sylwetkę Zofii Lisowskiej, która była Komendantką

transportu Szkoły Junaczek z ZSRR za granicę, tej legendarnej już dziś przeprawy dzieci polskich ratowanych przez Żołnierza Polskiego — przez D-two Armii Polskiej w ZSRR wolą i czynem jej D-cy generała Andersa — od niechybnej głodowej śmierci.

Dalsze przeprowadzki Szkoły Junaczek, chociaż bardzo dalekie, to już jakby uciészne wycieczki. Urząd Komendantki transportu dalej spoczywał w rękach Z. Lisowskiej.

W Teheranie przybył jej do transportu nowy pasażer: piesek, czarny kundelek, Ciapuś. Zasmaskowawszy w przysmakach kuchni obozowej, przyłgnął do grupy, stał się faworytem K-tki Lisowskiej i ulubieńcem dzieci. Więc pojechał.

Droga z Pahlevi do Teheranu wiedzie przeważnie przez wysokie góry Persji. Dech w piersiach zapięra jazda autobusami przez kręte, wąskie, wykute w skałach serpentyny, wijące się ponad urwistymi przepaściami, wśród stromych ścian gór. A potem radość, że ta straszna i piękna groza minęła.

Z Teheranu do Palestyny podróż jest długa. Ciągnie przez góry, pola, wioski i miasteczka, z noclegami i ranną pobudką do ponownego zajmowania miejsc i dalszej jazdy. Zatrzymujemy się — „wstępujemy po drodze“ jakby do domu najbliższej rodziny — do obozu Wojsk Polskich w Iraku.

A potem znowu długa karawana wygodnych autobusów podąży do Ziemi Świętej. Otwiera i zamyka ten konwój angielska ekipa transportowa na motocyklach. Do nich należą wszystkie sprawy związane z transportem. Oni są odpowiedzialni za bezpieczeństwo, za punktualność przerw i postojów w doskonale urządzonych angielskich obozach tranzytowych na pustyni, z wyżywieniem, noclegiem, łazienkami i wieczornym programem w kinie. Jak dobrze być Komendantką transportu w takich warunkach — uśmiecha się Zofia Lisowska.

Jedziemy pustynią dalej. Gonią motocykle a my za nimi. Nagle przeszkoda. Zatrzymano cały transport i pozwolono wysiąść. Skorzystał z tego Ciapuś. Wskoczył z autobusu i pobiegł w otwartą przestrzeń pustyni. Biegnie, rozgląda się na prawo i lewo... nie wie piesek, że na pustyni ani drzewka, krzaczka ani suchego badyla nie znajdzie. Panika wśród junaczek. Ciapuś zablądzi, przepadnie. Biegną, wołają, chcą go złapać. Ciapuś zawrócił i z wywalonym ozorem wskoczył do autobusu jak winowajca, bo o kilka minut opóźnił bieg podróży. Kończy się szal pustyni, dobiegają końca wydmy piasku i wulkaniczne kamienie Jordanii. Wjeżdżamy w dolinę biblijnego Jordanu, w zieleń drzew oliwkowych, palm i ogrodów cytrusowych Palestyny. Wrażeniem, spostrzeżeniem, okrzykiem nie ma końca.

Wędrówka dzieci polskich wyratowanych „z domu niewoli“ kończy

się na Ziemi Świętej. Komendantka transportu Zofia Lisowska wyładowuje swój drogi kilkusetosobowy skład młodzieży w Gederze w obozie Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet. Wiozła i troszczyła się o swoje junaczki przez wszystkie etapy długiej drogi. Nie dziw więc, że w dniu jej imienin, 15-go maja, do powinszowania junaczki dołączyły życzenia: —

A gdy nas nasza najdroższa Ojczyzna
wolna, zwycięska wezwie do powrotu
Ty nas załaduj do aut i okrętów
A gdy aut zabraknie — ładuj nas piechotą.

* * *

W Palestynie ugruntowują się trwale filary S. M. O. — gimnazja, licea i ten najmłodszy, podstawowy filar: Szkoła Powszechna, III Kompania S. M. O. pod kierownictwem por. Zofii Lisowskiej.

Miejsca postoju w Palestynie zmieniają się. Po Gederze następuje obóz w Rehovoth. Z Rehovoth przepływadka do Quastiny. Obóz pod namiotami; jest kilka baraków. Dobrze napracowały się referentki kwaterunkowe by rozlokować cały stan S. M. O.

„A gdzie to kwateruje szkoła Pani — Pani Zofio?“
„O, tym razem wygwizdali mnie aż tam, daleko
do tych baraków, co je ledwie widać“.

I rzeczywiście. Przy oddalonych, długo widocznie nie zamieszkiwanych, bo zarośniętych badyłami, barakach widnieje tabliczka z napisem: Szkoła Powszechna — III Kompania S. M. O., a pod nią w szybkim czasie zawisa jeszcze jedna tabliczka: „Wygwizdów“, który staje się odtąd jakby przydonkiem Szkoły Powszechnej.

„Wygwizdów“ szybko zmienia swój wygląd. Młodzież, kadra, kto żyw rusza na podbój traw i badyli. Powstają uciężne ścieżki, drogi i dróżki, place, okrągłaki wykładane kamyczkami i szyszkami. Z zadowolaniem, a nawet z pewną domieszką dumy, mówi Kierowniczką Szkoły o swoim „Wygwizdowie“, a dziewczynkom odrazu przybywają wierszyki, piosenki, przyśpiewki do krakowiaka: —

„Alboś my to jacy tacy
Wygwizdowcy powszechniacy“.

W Jeninie wszystkie szkoły zostają skoncentrowane na jednym terenie i nie ma mowy o żadnym „wygwizdaniu“ ale Wygwizdów został Wygwizdowem i do sprzętu kwaterunkowego Szkoły Powszechnej doszła tabliczka z napisem: „Wygwizdów“.

W Nazarecie znowu umieszczono Szkołę Powszechną poza głównym miejscem zakwaterowania S. M. O. Daleko od centrali, na wzgórzu, w dużym, wysokim murem otoczonym budynku poklasztornym, wśród



„Wygwizdów“

drzew i krzewów. Szumią tu wysokie, rozłożyste sosny palestyńskie, strzelają w górę sztywne cyprysy i kopulaste palmy, niżej na zboczu ogrodu drzewa figowe, oliwne i mnóstwo krzewów.

Tuż przy budynku wdzierają się obsypane złotością puszystych kulek kwiaty mimozy. Pięknie w tym ogrodzie i świtem — kiedy obudzone ptaki odbywają obrzęd swego porannego świergotania a mgła wtula się w drzewa — i w dzień, w promieniach słońca i ostrych szafirach czystego nieba — i wieczorem — kiedy z rozpostartym szarym woalem zmierzchu wiążą się zadumane myśli.

Na wewnętrznym podwórku, które jest placem modlitwy i zbiórek wkopano krzyż drewniany z Chrystusem. To Krzyż S. M. O. Na tradycyjnych, z wielkim pietyzmem odprawianych w Jerozolimie obrzędach Drogi Krzyżowej w Wielki Piątek w 1943 roku, Krzyż ten niosły na przemian osoby z Komendy, Kadry i Młodsze Ochotniczki przez całą Via Dolorosa aż do Bazyliki Bożego Grobu. Na Golgotcie został Krzyż ten poświęcony i miał przewodzić S. M. O. przez wszystkie etapy ich tułaczey drogi i razem z S. M. O. pojechać do Wolnej Polski.

Wyłania się kwestia, gdzie ten Krzyż umieścić na rozległym terenie S. M. O. „Najlepiej oddamy go do Szkoły Powszechnej, do Zosi Lisowskiej“ — decyduje K-tka Sychowska.

Jest więc ten Krzyż w „Wygwizdowie“ przedmiotem specjalnego kultu. Zdobią go pierwsze rozkwitnięte wiosną kwiaty mimozy, niezapominajki, róże.

W miarę jak rozbudowują się Szkoły Młodszych Ochotniczek, tworząc coraz to inny typ gimnazjum czy liceum, spiętrza się Szkoła Powszechna, stając się szkołą ćwiczeń i praktyk dla uczennicy Liceum Pedagogicznego. W skład Kompanii III włączone zostają licealistki. Jest więc „Wygwizdów“ liczebnie większy i rzeczowo podwójnie ważny. Odbywają się tu lekcje praktyczne, pokazowe, hospitacje, dyskusje. Są tu dziewczynki starsze i młodsze a najmłodsze z tych młodszych w wieku 8-12 lat to „Ośmioraczki“, bo jest ich w klasie osiem. Stanowią klasę IV Szkoły Powszechnej i tworzą specyficzny obraz dzieci-żołnierzy. Wojskowe ich mundury, furazerki na warkoczykach budzą wesołe zainteresowania i sympatie przygodnych widzów i wszystkich z S. M. O. Beztróską, dziecinną wesołością rozbijają poważne, często smutne i przynębiające nastroje wojenno-polityczno-tulacze.

* * *

„Wy jesteście częścią II Korpusu a wszyscy razem stanowimy żywą część Polski“ — powiedział D-ca II Korpusu generał Anders przed frontem młodszych ochotniczek i kadry S. M. O. Tak. Szkoła wojskowa

dziewcząt jest najmłodszym dzieckiem Armii Polskiej. Z wojskiem łączą ją więzy służbowe i — rodzinne. Wygwizdowska Szkoła Powszechna jest związana braterstwem z V Kresową Dywizją Piechoty. Aktu braterstwa dokonał D-ca dywizji gen. Sulik w czasie swego pobytu w S. M. O. dając młodszym ochotniczkom III Kompanii zezwolenie na noszenie na ramieniu odznaki V Dywizji Piechoty: Żubra. Uczennice nawiązują korespondencję z Żubrami. Żołnierze przysyłają uzbierane wśród siebie pieniądze na Gwiazdkę „dla dzieci“. Cały obóz Szkoły Powszechniej w Austrian Hospice w Nazarecie tchnie V Dywizją. Powstają nazwy ulic jak: „Plac Żubrów“, „Na szlaku Żołnierza Polskiego“, „Aleja Kresowej“, „Plac Zbików“.

W historycznym naszym maju 1944 roku nie nadchodzą listy od żołnierzy. Chłopaki nie odpisują. Nie mają czasu. Armia Polska — II Korpus wykonuje śmiały plan uderzenia na Monte Cassino. Z końcem maja pisze generał Sulik:

„Drogie Panie i Kochane Córuchny!

Przed wszystkim uzasadnienie zwrotu... tośmy przecież zawarli braterstwo, a ponieważ żołnierze nazywają mnie „tata“, automatycznie mam prawo do zwracania się w ten sposób.

Dopiero teraz piszę, kiedy z całym poczuciem odpowiedzialności mogę powiedzieć, że Dywizja Kresowa spełniła swój obowiązek żołnierski, tak jak go spełniła Dywizja Karpacka i wszystkie oddziały Korpusu. W każdym razie mogą Panie z dumą nosić „Żubra“ na ramieniu. (...) w chwili kryzysu trzeba było uciec się do ostatnich rezerw (...). Poszli wspaniale do ataku i obficie zrosili swoją krwią ziemię włoską, z której idziemy do Polski. Ponieśliśmy bardzo ciężkie straty. Ale mamy świadomość, że krew przelana została nie na darmo, bo przecież biliśmy się nie o Cassino, biliśmy się o Wilno, o Lwów, o Poznań, o każdą wieś i o każdą grudkę ziemi polskiej. I odnosimy wrażenie, że po bitwie jesteśmy o krok bliżsi celu (...). Jestem szczęśliwy i dumny, że mogę Paniom o tym donieść. Żołnierze wzniesli się do szczytu bohaterstwa i w wielu wypadkach pracowali ponad ludzkie siły. Tylko dlatego bitwa została wygrana. (...) wielu kochanych chłopców pozostało na cmentarzu ale o wiele więcej jest w szpitalach. Sporo między nimi jest bardzo nieszczęśliwych: są tacy, którzy potracili oczy, ręce, są różni inni, których kalectwo jest bardzo ciężkie. Bardzo serdecznie proszę Panie i wszystkie Córuchny o pamięć o Nich. Sądzę, że właściwie dobrane, siostrzane słowa sprawią ulgę w cierpieniach tych wspaniałych chłopców.“

Oto wyjątki z listu Generała, pierwsza, świeża i bezpośrednia wiadomość z pola walki o Monte Cassino — wiadomość jeszcze gorąca

od zapalu, ognia wojny i krwi przelanej, od entuzjazmu zwycięstwa, nadziei i wiary w Wolną Polskę.

* * *

Odległość Wygwizdowa — Szkoły Powszechnej — od głównego zgrupowania S. M. O. sprawia, że wytwarza się w nim specyficzna odrębność grupy. Bardziej żywa się z sobą kadra szkolna, kompanijna i administracyjna; serdeczniej żyją się ze sobą i z całą kadrą młodsze ochotniczki. Wytwarza się atmosfera rodzinna, harmonijna, ochotniczo-twórcza. W rygor rozkazów wojskowych, programów i przepisów szkolnych wnoszą poszczególne osoby z kadry swoje własne umiłowania, zainteresowania i przefabrykują je na pożytek szkoły i młodzieży. Jeżeli porządek dnia i podział godzin jest za ciasny, wtedy tu i ówdzie wybucha jakaś swoista inicjatywa, która zawsze zdoła się pomieścić i zharmonizować z ustalonymi paragrafami wojskowymi i szkolnymi.

Nauczycielki — każda w swojej klasie — jak na działce rodzinnej gospodarzy. Lekcje to materiał naukowy, to system, metoda i umiłowanie pracy, szczególna łaska Boża darowana w ogólno-światowej, o przede wszystkim w polskiej tragedii wojennej. Po ciężkiej — ponad siły i możliwości fizyczne i duchowe — niewolniczej pracy na sybirskim zesłaniu (przy wyrębie lasów, pracy przy świniach czy kopaniu rowów) dziś znowu są w izbie szkolnej, stoją przed gromadą dzieci polskich i służą im swoim umysłem, wiedzą i sercem.

Nauczanie trwa w czasie godzin szkolnych. Po południu nauczycielki są w klasie, dopilnowują i pomagają słabszym uczennicom w odrabianiu lekcji. Bo tu nie idzie o to by uczyć, ale żeby jak najlepiej nauczyć i przekazać wszystkim i każdej uczennicy z osobna wiedzę i ducha Polski, której one prawie, że nie pamiętają. Izby szkolne zdobione są regionalnymi motywami polskimi i obrazkami z ziemi polskiej. Gazetki ścienna w każdej klasie jakby rywalizowały z sobą o pierwszeństwo — chociaż wszystkie są pierwsze — i ta pt. „W raju“, i ta „W drodze do Polski“ i inne, co pewien czas zmieniane i redagowane.

Poza lekcjami nauczycielki wprowadzają nadprogramowe zajęcia dla dzieci. Wylawiają zainteresowania uczennic, budzą je. Przy jednej z klas powstaje ogródek warzywny i kwiatowy. Dziewczynki razem z nauczycielką kopią, sieją, pielęgnują grządki z roślinami. Inna nauczycielka tworzy gabinet przyrodniczy, zbiera wraz z uczennicami okazy flory i fauny palestyńskiej (te mniejsze, bo wielbłąd nie zmieści się w gablotce!...) suszy je, konserwuje, układa. Jeszcze inna rozwija zainteresowania do robót ręcznych, haftów etc. Ówdzie

wymagania geograficzne panoszą się — uczennice rysują, malują, do ostatniej kreski wyciągają mapy, mapki. Porucznik, nauczyciel matematyki, amator śpiewu, śpiewa z dziećmi w świetlicy, wyławia głosy, tworzy chór Szkoły Powszechnej. Cieszy się i chlubi tym chórem Wygwizdów.

Odskoknią od zajęć codziennych jest wizyta uczennic z nauczycielką na leżącym opodal cmentarzu żołnierzy austriackich. Są wśród nich groby Polaków walczących w szeregach zaborczej Austrii. Chodzili kiedyś po tych samych drogach, tak jak my, tęsknili do Polski i czekali na powrót do Niej. Tu polegli, tu pozostali. Przychodzą do nich dziewczynki w mundurach wojskowych — młodsze ochotniczki — żywa część Polski na terenie Palestyny.



Ćwiczenia z przyrody martwej w szkole powszechnej

Najmłodsza wiekiem nauczycielka inicjuje wieczór św. Mikołaja dla dzieci i młodzieży. Dostaje na to aprobatę Kierowniczkii Szkoły. Pisze inscenizacje, sama reżyseruje i sama osłonięta dostojnymi szatami i siwizną długiej brody, obejmuje rolę Świętego. Akcją świętomikołajową poruszony został cały Wygwizdów. Tyle pracy, tyle przygotowań. Kierowniczka Szkoły zgłasza imprezę u Komendantki Sychowskiej. Zyskuje poparcie i dostaje fundusze na paczki mikołajowe. W pracowni krawieckiej wykonuje się kostiumy sceniczne dla aniołów, diabłów etc. Ktoś struga pastorał, ktoś robi dekoracje. Nauczycielka

— choreografka przygotowuje korowody i tańce. Kucharki pieką obwarzanki i pierniczki. Wieczór świętomikołajowy dojrzewa i staje się atrakcją żywą, jest pełen tradycyjnej radości i uciechy dla dzieci, jest pełen śmiechu, wspomnień i łez sentymentalnych. Daleko poza Krajem i Domem stwarza serdeczną, domową spójnię rodzinną w wielkiej gromadzie dzieci, młodzieży i dorosłych S. M. O.

Satyrycznym dowcipem zaprawione paczki, prezenty dla kadry i gości z Komendy i Dyrekcji innych Szkół S. M. O. wzajemnie sobie przesyłane — uzupełniają program.

Impreza taka odrazu wchodzi w zwyczaj. Inicjatorka i autorka św. Mikołaja już znowu obmyśla coby to urządzić w ten wieczór w roku następnym, a Kierowniczką Szkoły zaprasza gości... „od dziś za rok“.

Świetliczarka Irena coraz więcej wkłada serca w powierzony sobie odcinek pracy. W jasnej, obszernej świetlicy wygwizdowskiej jest dużo kwiatów, obrazów, czasopism — jest dużo śpiewu, tańca i wesela. Mnóstwem firanek, szlaków i serwetek zdoła Irena okna i ściany sali świetlicowej a wszystkie hafty w stylu kaszubskim, drobne, drobniotki wykonane przez nią samą i uczennice. Wieczory świetlicowe są wesołe, miłe a kiedy zabraknie Irenie tematu, pomysłu lub piosenki biegnie do jednego z pokoiów nauczycielskich i zasięga rady. „Bo jakby to zrobić — uaktualnić... bo chciałabym urządzić...“ i na takie zamówienie-omówienie dostaje „utwór“ — Inscenizacje, wierszyk, piosenkę dopasowaną do właściwej uroczystości, święta czy rocznicy. Tak powstaje „Nasza Warta“, „Wzorowy Porządek“, „Szczepcio i Tońcio“ i dużo innych wierszy, przyspiewek i piosenek tematem „życiem“ wziętych z życia S. M. O.

Każdy najbardziej przepisowy, zawsze jednakowy i szablonowy obrzęd Szkoły w Wygwizdowie mięknie, rozplywa się w narzuconej mu emocjonalnej atmosferze.

Zakończenie roku szkolnego. Młodsze ochotniczki w przepisowych mundurach stoją w równiutkich szeregach. Nadchodzi Kierowniczką Szkoły, zbliża się Komendantka S. M. O. Meldunek, raport. Oficjalne rozdanie świadectw. Nagle łagodnieje postawa „na baczność“, miękko opadają ramiona, cieplejsze błyski w oczach migają słowami: do mamy — konkretyzują się myśli. A mama tak daleko, może jeszcze na zesłaniu sybirskim, może w Kraju, może w Armii Polskiej.

Wesołym Ogniskiem, tańcem, śpiewem, inscenizacją bajek i piosenek żegnają Szkołę Powszechną uczennice przechodzące do Gimnazjum. Mówi jedna z nich — konferansjerka:

Nasze Ognisko dzisiejsze — czy wiecie —
Ma być pod hasłem: „Zabawmy się w dzieci“.
Dziś już wchodzimy w nowe życia drogi —
Szkolę powszechną serdecznie żegnamy,
Bo przekraczamy gimnazjum progi,
Chociaż naprawdę trochę stracha mamy.
W gimnazjum straszy nas każda godzina,
Matematyka z egzaminu znana —
(lepiej jej teraz tu nie przypominać) —
W gimnazjum grozi łacina kochana.
A więc dziś jeszcze gdy ognisko świeci
Możemy śmiało zabawić się w dzieci.

I przy trzeszczących, palących się gałęziach Ogniska odbywają się występy dzieci: „Dorotka“, „Wojtuś z popielnika“. Śmieją i bawią się widzowie młodzi i starsi. Wykonawczyniie dziękują za oklaski a motyw kierujący akcją powtarza się:

Żegnaj nam — żegnaj dawna nasza Szkoło —
Było nam z tobą dobrze i wesoło
Ale gimnazjum, to życia granica,
Jutro już każda z nas będzie pannica.
Ponoć sympatie tam już dozwolone.
Mówią, że można tam już mieć narzeczonych.
Tam już nauka bardzo trudna, ważna,
Każda dziewczynka musi być poważna
Choćby niejedna poswawolić rada,
Ale w gimnazjum pewnie nie wypada.
A więc niech hasło Ogniska nam świeci,
Jeszcze raz dzisiaj zabawmy się w dzieci.

Rozwielmożnia się hasło. Przy ognisku coraz weselej, coraz dziecinniej. Tyle łupkania butami przy krakowiaczku, tyle zwrotek przyśpiewki wesołej. Aż... przy powolnym skłanianiu się słońca ku zachodowi i przy dogasaniu bierwion ogniska, dogasa i hasło.

Jest wielkie święto rodzinne w S.M.O. W Szkole Powszechnej najmłodsza „jedynaczka“ spomiędzy około tysiąca cór i najmłodsza z „Ośmioraczek“ wygwizdowskich przystępuje do pierwszej Komunii Świętej. To Danusia Bogdanowicz, ta malutka z niesforną, zawsze rozwichrzoną grzywką. Danusia dostała zezwolenie od władz wojskowych na włożenie w tym dniu sukienki cywilnej w miejsce przepisowego munduru wojskowego. Kierowniczką Szkoły, por. Lisowska mocno przejęta sprawą: stara się, omawia, kieruje potrzebne materiały.

Krawcowe przymierzają, szyją, wykańczają białą sukieneczkę. Nauczycielka wkłada wianuszek na główkę Danusi a ksiądz kapelan w procesji wprowadza ją, otoczoną najbliższymi koleżankami, do kaplicy. Świątynię wypełniają szeregi młodszych ochotniczek. Wchodzi kom. Sychowska, por. Lisowska i kadra nauczycielska, instruktorska, administracyjna. Chór szkolny śpiewa. Już drgają dzwonki przy ołtarzu a chór kontynuuje pieśń:

„Zbliź się, zbliź do mnie drogie me dziecię
Zbliź się z ufnością, w pokorze.
Wiedz, że poza mną nikt cię na świecie,
Kochać już więcej nie może.“

Danusia podchodzi, zbliża się po Dar Świętej Komunii, po niej przyjmują Sakrament Święty jej koleżanki — te małe i te duże.

Już bez szeregów i meldunków — po Mszy świętej — cała, duża rodzina wygwizdowska i goście zasiadają do śniadania razem z Danusią w białej sukieneczce.

* * *

O Szkole Powszechnej — Wygwizdowie pisze p. Stefania Dąmbrowska, kronikarka S. M. O.

„W tym ślicznym, odosobnionym, cichym zakątku, przypominającym polski dworek, mieści się właśnie Szkoła Powszechna Młodszych Ochotniczek. O tych Młodszych Ochotniczkach można powiedzieć, że są nie tylko „młodsze“ ale nawet bardzo młode — dużo z nich ma lat 8, 10, 12.

...Poza godzinami nauki i obowiązków mogą biegać, figlować; mogą nawet bawić się lalką. Tu można zapomnieć o kilku złych latach zesłania i uwierzyć, że jest dalszy, nieprzerwany ciąg słonecznego dzieciństwa.

...Każdy postronny widz i niecodzienny gość, jak ja, natychmiast wyczuje tu panującą powszechnie miłość i doskonałą harmonię. Nauka i wszelka praca traktowana jest bardzo poważnie. Z przyjemnością obserwuje się tu właściwą postawę Kierowniczki Szkoły, por. Zofii Lisowskiej, jej starania i dbałość o dzieci, o sprawy szkolne i administracyjne Wygwizdowa, i jej znaną wszystkim staropolską gościnność.

...Jako niezawodną receptę na smutek i zniechęcenie zalecić mogą wizytę w „Wygwizdowie“. Dziewczynki swoją wesołością i radością życia dzielą się z innymi. Uśmiech tam jest tak zaraźliwy, że natych-

miast każdemu się udziela. Jeśli zaś jesteś tak ponura, że nie potrafisz cię rozchmurzyć roześmiane buzie, to na poczekaniu zaimprovizują ci przedstawienie w świetlicy, jakąś „Plamę na podłodze“, „Zabę u doktora“ czy coś podobnego i nie tylko będziesz musiała się uśmiechnąć ale będziesz się śmiała głośno, dziecinnie i szczerze, jak gdybyś sama była młodszą ochotniczką z Wygwizdowa.“

Maria Bałanduk

„DZIESIĘCIORACZKI“

O Boże! A cóż to za wojaki?
Nie bój się! Otwieraj!...
Szkolne żaki!
Nie bój się! Dziwuj się!...
Szkolne żaki!

Na początku były to „sześciioraczki“. Przyjechały do S. M. O. wraz z całym ładunkiem „Teheranek“ i stały się od razu przyczyną wielkiej uciechy no i... kłopotu. Uciechy, bo to były własne, prawdziwe



„Dziesięcioraczki“

dzieci, a kłopotu, bo i co z takim wojskiem robić, kiedy to nawet klasy nie ma dla nich odpowiedniej. A wyglądały! Pożal się Boże! Spódnice pozakładane na pół metra odymają się, sterczą, frencze to już całkiem ze starszego brata, buciary — istna kompromitacja. A nad tym całym moderunkiem żołnierskim... buzie dziecinne, trochę zalęknione. Bo i jakże tu będzie w tej wojskowej szkole; wszyscy obcy...

Ale obcy okazali się jakoś niestraszni, swoi, więc też „sześcioraczki“ wkrótce poczuły się „u siebie“. Już mundurki zmniejszone, bombowce wetknięte na dno wora (na użytek polowy). Mają swoją sypialnię — klasę, uczą się więc i piszą, aż trzeszczy, nawet po angielsku. Są prawdziwą 4 klasą, wcale niemniej ważną, niż ta — gimnazjalna. Jakby się urodziły w S. M. O. Niby sześcioro — a wszędzie ich pełno. Są i w kuchni, i pod tuszem, i na pagórkach, i na boisku, i w kinie, i we wszystkich świetlicach, gdzie z niezmożonym zapalem grają w warcaby, niszczą pączki a nawet święcą polko-fokstrotowe debiuty. Wieczorami animusz ich mięknie i „sześcioraczki“ po apelu i modlitwie śpą w obłoczku moskitiery, niby u Bozi za piecem, z lalką lub ukochanym misiem pod bokiem. Ale i w rygor wojskowy wdrażają się z zapalem, toteż gdy przyszedł dzień, kiedy trzeba było spakować manatki i ruszać na nowe m. p. „sześcioraczki“ ładowały się na auta sprawnie, nie jak rekruty, ale stara gwardia. I z piosenką pojechały... do Nazaretu. Do starego klasztoru na „górkę“.

Stoi klasztor murowany — hej!
Na szkołę został oddany — hej!

„Sześcioraczki“ tymczasem rozrastają się w „ośmioraczki“, bo dwie nowe przybyły. Mają własny pokój ze „sklepikiem zaufania“ w szafce. Ale przede wszystkim wzbogaciły się o własną klasę z tablicą, naklejkami na ścianach jak w Polsce. Uczą się pilnie, bo mają zamiar już wkrótce skończyć 4 klasę i przejść do piątej. Wiele już znają ważnych spraw tego świata: i o królach, i o krajach, i przymiotniki potrafią postawić na wszystkich możliwych stopniach, i rzeczowniki przez mnóstwo przypadków przeprowadzić bez przypadku, i różne zawilości matematyczne do wspólnej „bagateli“ sprowadzić. A jakże! Ale na szkolnych przedmiotach wcale się nie kończy. Mają już znaczny zapas wiedzy wojskowej-fachowej. Przyjechała w jedno południe Inspektorka Wysouchowa — czyż nie zameldowały się jak należy, po wojskowemu? No i musiały dostać po całusie oraz obietnicę na awans. Naturalnie później, gdy dorosną. — Rosną więc szybko, aż mundurki stają się kuse.

Meldują się zaś w ten sposób: Stan: dziesięcioro, — ośmioro bawi się na podwórku, dziewięta p. Komendantka w głównym gmachu, dziesiąty p. General w wojsku. Bo trzeba wiedzieć, że klasa liczy teraz dziesięcioro tj. tych ośmioro, dziewięta p. Komendantka a tylko dlatego nie przychodzi na lekcje, że ma dużo pracy, a p. general Tokarzewski, chociaż nie przychodzi na lekcje, bo jest „gdzieś“ w wojsku, to jednak uczniem 4 klasy jest, ale to cała historia!... Przyjechał p. General do szkoły, poznał naszą gromadkę i zaraz poprosił o wpisanie go do klasy. Na ucznia. Wprowadzie p. kierowniczką z początku oponowała, ale dziewczynki tak prosiły... Bo p. General, cichaczem przekupił panny z miejsca. Obiecał, że będzie im podpowiadać, grządki kopać, nawet buciki czyścić, byle mu tylko cerowały, jak się co podrze i guziki przyszywały. Tak też i został p. General uczniem i to nie honorowym, ale prawdziwym. Jest zapisany w dzienniku i ma swoje miejsce w ławce, oznaczone dwukolorowym bratkiem, jak i p. Komendantka i cała zresztą klasa. Oficjalnie i formalnie są w stanie klasy, tylko chwilowo nieobecni. Pan General absentuje się wprowadzie bardzo, ale za to w korespondencji się nie zaniedbuje. Toteż listy krążą często.

I tak np. pisze p. General:

„Drogie Młode Koleżanki!

Bardzo cieszę się, żeście mnie przyjęły do Waszej klasy. Ponieważ p. Lisowska miała co do tego zastrzeżenia — przypuszczam, że Wam to właśnie zawdzięczam, Urodziłem się itd. (tu następują bliższe dane dla ewidencji szkolnej). Lubię wszystkie kolory żywe, jasne, same wybierzcie, jaki ma być bratek i kwiaty przy kartce — dajcie mi tylko znać, co zdecydujecie. Napewno serdecznie ucieszyłbym się, mogąc spędzić z Wami Święta wątpię jednak, aby to było możliwe ze względu na obecną moją pracę w wojsku. Może kiedyś potem uda mi się to — zresztą co się odwlecze, to nie uciecze. Liczę, że nasze koleżeństwo zachęci Was do ładnej, rzetelnej pracy w klasie i milego, wesołego życia poza nauką. Serdecznie Wam tego życzę.

Ściskam Was i całuję“.

I znowu „dziesięcioraczki“:

„Kochany Panie Generale,

Pan Pułkownik obiecał nam zawieźć Panu Generalowi święcone — życzymy Panu, aby smakowała babka i kiełbasa. Nasze święcone odbyło się w jadalni, Pani Komendantka siedziała przy naszym stole i dostała taką samą torebkę święteczną, jak my. Wszystko nam smakowało, a najwięcej sernik. Dostaliśmy od naszych pań koszyczek wielka-

nocny i baranka z marcepanu — baranek ma już nadgryziony pyszczek, dlatego nie możemy go Panu Generalowi posłać.

Narysowałyśmy już nową gazetkę ścienną pt. „Polska wiosna“. W naszej klasie jaskółki ulepiły gniazdko i przylatują do nas na lekcje.

Całujemy Pana Generala
Czołem Panie Generale!“

Niemalą też pociechę mają „dziesięcioraczki“ z dziewiątej koleżanki, bo to i częściej przychodzi i na imieniny każdej solidarnie się stawi, choćby tam nie wiem jaka konferencja wypadła, znajdzie czas i przyjdzie. Bardzo jest miło na takich imieninach. I czekoladki, i bajki są w robocie. A bajek słuchać lubią ogromnie. Jeśli trzeba przytrzymać „male“ w pokoju np. z okazji generalnego mycia przedświątecznego, kiedy to zewsząd leją się potoki wody, cóż robi p. kierowniczką? Opowiada bajki. Naturalnie efekt taki, że gdy raz jedna mama chciała zabrać córeczkę do siebie na święta i obiecywała, że pojedą do Jerozolimy, okazało się, że córa już tam była z wycieczką szkolną, a w „sistersmessie“ nudno, więc: „może ja w szkole zostanę? Tu tak pysznie!“ No i zostały obie z mamą. Taka to szkoła! Nie znaczy to, żeby się tak całkiem bez łez, „na sucho“ zawsze odbywało. Np. jak tam było z tą służbą?

Dorwały się kiedyś „dziesięcioraczki“ po raz pierwszy do „prawdziwej“ służby. Łącznikami były. Cudo! Białe opaski, biegania tyle. Takie były „ważne“ i przejęte sobą, że na drugi dzień... płacz! Nie chciały dać sobie zdjąć opasek i błagały żeby... „jeszcze choć jeden dzień“... Dopiero ta kochana p. Stenia, ich instruktorka, zdołała im wytłumaczyć, że cierpliwość jest też cnotą żołnierską. Poczekają więc, a tymczasem obmyślą wieczór świetlicowy, we „własnym“ zakresie. Nawet się udał. Czego tam nie było? Jakaś „Wiosna“, „Polka“, „Plama na podłodze“, czy ja już wreszcie pamiętam? To znowu na 3 Maja aż do m. p. Dowództwa Szkół Junaków z baletem „kwiatów polskich“ pojechały.

Tak sobie żyją i uczą się, daj Boże!... Na pożytek. A stary klasztor patrzy, uśmiecha się. Nauczył się po polsku i słucha piosenek o tej Polsce dalekiej, pięknej, a nieszczęśliwej. Słucha i współczuje. Nawet rad jest i dumny, że tym bezdomnym, zawieruszonym w świecie dzieciom użycza dachu i przytułku. I kiedy przy wieczornej modlitwie rozniesie się po korytarzach pieśń, „Wszystkie naszeienne sprawy“, przyjazne mury starego klasztoru wtórują jej cichym echem.

Danuta Lubczyńska

JAK BYŁAM ADIUTANCIKIEM

Siedziałam w Pahlevi pod namiocikiem i myślałam o tym, czemu ja jedynie mam cywilną sukienkę, gdy tymczasem tylko troszeczkę starsze ode mnie dziewczynki miały już mundurki wojskowe. I jak tu chodzić na modlitwę wieczorną, chociaż się tak bardzo chce posłuchać, co p. Komendantka mówi dziewczynkom na dobranoc. Więc też jak mi się p. Komendantka zapytała:

„Ewuniu, nie chodzisz na modlitwę?“

„Nie, bo jestem w sukience“ — odpowiedziałam.



Najmłodsze na defiladzie — Nazaret 1944

Nie wiem czemu się wtedy p. Komendantka długo śmiała, ale przyrzekła mi, że jutro będzie mundur z dużej koszuli dla wielkiego żołnierza.

Byłam bardzo dumna z munduru wojskowego i kapelusza australijskiego. Pewnie bardzo wojskowo wyglądałam, bo p. Komendantka mianowała mnie swoim adiutancikiem. Ani na krok nie opuszczałam p. Komendantki, a najbardziej się cieszyłam, że mogę stać przy p. Komendantce na modlitwie.

Dużo kłopotu miała ze mną p. Komendantka w Teheranie, kiedy pomimo mego wojskowego munduru, chciano mię zabrać do szkoły cywilnej. Ja jednak powiedziałam, że jestem żołnierzem, a nawet adiutantem p. Komendantki i chcę jechać dalej ze Szkołą. Na granicy ze zdziwieniem się przyglądano, ale wytłumaczyłam im po polsku, żeby nie marudzili, bo ja chcę już jechać — naczelnik od razu zrozumiał, bo machnął prędko ręką i przepuścił przez granicę.

Dzisiaj już nie jestem adiutantkiem, tylko najmłodszą uczennicą.

Ewunia Müller

kl. V. Szk. Powsz.

„Junak“ rok 1946.

* * *

Nie przyszło mi jednak łatwo zostać tą najmłodszą uczennicą. Po przyjeździe do Gedery nie było już przed kim ukrywać, że mam tylko lat osiem. W Szkole Młodszych Ochotniczek nie było pierwszych klas szkoły podstawowej, wobec tego matka moja, która była instruktorką w S. M. O., zadecydowała, że pojedę do cywilnej szkoły w Ain Karemie. Szkoła w Ain Karemie była pięknie położona, mieściła się w budynkach ze wszystkimi wygodami, które po Rosji wydawały się nadzwyczajnym luksusem. Mimo mego straszego protestu, zawiozła mnie mama do Ain Karemu, tłumacząc, że tam będzie mi doskonale, że to wszystko dla mego dobra.

W szkole cywilnej było rzeczywiście dobrze, ale to nie była moja szkoła. Moja szkoła to było S. M. O., do której przykuszykałam na swoich szczudełkach przez pustynię z Guzaru do Karkin-Batasz, z którą wydostałam się za granicę i dzieliłam losy aż do przyjazdu do Palestyny.

Na szczęście w szkole są wakacje. Ja spędzałam je zawsze u mamy w S. M. O. Za każdym razem coraz bardziej byłam nieszczęśliwa, że muszę wyjeżdżać do Ain Karemu i z zazdrością patrzyłam na mundury moich tylko niewiele starszych koleżanek.

Aż pewnego dnia, gdy miałam już całe 10 lat zdecydowałam, że stanowczo nie wrócę po wakacjach do Ain Karemu, tylko zostanę w S. M. O., które było wówczas w Nazarecie. Szkoła podstawowa mieściła się jakieś 2 kilometry od głównej kwatery, gdzie mieszkała moja mama. Miałam już jechać do Ain Karemu. Mama spakowała walizkę, ale gdy przyszła godzina wyjazdu, okazało się, że nie ma ani Ewy ani walizki. W ostatniej chwili zdecydowałam się pójść sama do pani Lisowskiej, kierowniczki szkoły podstawowej, ubłagać ją aby mnie zatrzymała. Miałam nadzieję, że gdy pójdę sama, zmięknie

jej serce i zostawi mnie w szkole. Nie bardzo znalazłam drogę do tej szkoły, ale znalazł się po drodze usłużny Arab i mnie zaprowadził (o naiwności dziecięca!).

Po modlitwie zameldowałam się pani Lisowskiej, że wróciłam do swej szkoły. Nie kto inny, tylko przecież ona wybrała mnie przed władzami angielskimi w czasie transportu do Palestyny. Wierzyłam, że spod skrzydeł pani Lisowskiej żadna siła mnie nie wydrze.

Ale sprawa nie była taka prosta. Wymagało to dużej dyplomacji i zabiegów ze strony pani Lisowskiej, aby wreszcie pozwolono mi zostać w S. M. O.

I tak zostałam najmłodszą uczennicą — miałam wtedy lat dziesięć.

Ewa Müller

FESTYN NA WYGWIZDOWIE

Dziś festyn. Na Wygwizdowie, w „dobrach“ Powszechniaków. Festyn. Kalejdoskop kolorowych fantazji, dziwnych pomysłów, obracany w rytm muzyki, w szumie kilkunastu pogwarów, wesółych śmiechów, dowcipnych docinków. Festyn! Dobra, miła rozrywka, majówka pod niebieską płachtą gorącego nieba. W cieniu zielonych drzew, zabawa, kończąca pracowity rok szkolny.

„Wygwizdów“ rojny i gwarny dziś jak nigdy. Wiatr trzepie gałęziami jak wachlarzem, chłodząc rozgrzane czerwcem powietrze. Słońce przebija poprzez liście, złotą mozaiką promieni i cieni układa się na ziemi.

Twardowski kiwa się na kogucie, a „kusy“ maći wino w kielichu.

Bawią się wszyscy. Nawet lalki, wystawione na sprzedaż, cieszą się samym tylko ruchem i gwarem. Cóż dopiero Arabowie, wrzucający białe piłki do rozwartej paszczęki drewnianego misia, czy Anglicy przy loterii fantowej i zarzucaniu kółek na kołki, które, uroczyście niebieskie, niechętnie przyjmują różnobarwne kółka. Polacy bawią się gospodarzeniem. Wszak stare to przysłowie o polskiej gościnności: „Gość w dom, Bóg w dom“.

Wszystko dziś płynie. Tłum Anglików, Polaków i Arabów, muzyka z instrumentów orkiestry, woda sodowa w rozsianych na terenie festynu kantynach, pieśni naszych uczennic, pieśni polskie, rycerskie, prawdziwa wędka szczęścia po sławie losu.

I płyną funty i miłsy. Płyną, płyną. Do kasy przy wejściu, do kasy w kantynach, do pudełek z losami, do woreczków nadobnych listonoszek. Poczta bowiem zasypana jest korespondencją i pracy tu moc. Toteż urocze pocztylionki w mundurach, ale w malutkich, założonych z fantazją na bok czapeczkach, szukają numerów na

„pachnących“ szczerymi słowami podziwu listach. Płyną pieniądze, błogosławione tym razem pieniądze, które potem pójdą w świat, do naszych Rodaków, wyzwolonych z niewoli niemieckiej. Na polance pokrytej falistą matą roi się od ludowych strojów. Krakowiak i mazur barwną wstęgą wplatają się w atmosferę festynu. Kujawiak niesie tęsknotę do ojczystych krain.

Hej, czasy, czasy! Festynie! Puszysz się życiem, polskim tchnieniem przechodzisz z kąta w kąt szlachetnego „Wygwizdowa“. Dobry jesteś, stary. Sypiesz garścią pieniądze, aby miał z czego żyć Polak, który cudem wyszedł z kaźni rosyjskich i niemieckich. A przy tym śmiejesz się z radości, że i ty przydać się możesz jeszcze. że i ty możesz pomóc tym, którym jest źle i ciężko.

J. S.

„Junak“ rok 1945.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA NAUCZYCIELKI

W Pahlevi szeroko otwieramy oczy, widząc jak Anglicy palą wojskowe rzeczy przywiezione z Rosji — myślimy — co za marnotrawstwo. Anglicy szeroko otwierają oczy, widząc jak ochotniczki w ciężkich wojskowych buciorach, po kostki w piasku, ćwiczą marsz i zwroty. Mizerota ledwie się rusza — południe, czas na siestę. To komendantkom-amatorkom wojskowość uderzyła do głowy.

Z Pahlevi nagle gdzieś wyjeżdżamy. Jakaś „komendantka“ ustawia nas czwórkami i maszerujemy. Słońce przypieka, piasek po kostki. Każda taszczy walizkę z całym swoim majątkiem, a sił mało (niejedna tak jak ja, po tyfusie plamistym). „Komendantka“ przynagla: „równaj szeregi, rzucić te cywilne szmaty, teraz wojsko!“ Nie nie pomaga i z czwórek robi się długi wąż. Nadjeżdża duży, angielski wóz. Kierowca dziwi się dlaczego nie powiedziano, że są jeszcze kobiety z rzeczami. Dopiero co odwiózł „szarże“ wraz z cywilnymi szmatami. Pomaga nam wsiąść, ułożyć walizki. Myślimy rozżalone, że nawet po Rosji wciąż jeszcze prawdą jest staropolskie przysłowie: „Co wolno wojewodzie to...“

Teheran — wojskowy dryl, żółte białka (siostra-higienistka mówi, że to nie żółtaczka, tylko symulacja). W mieście można kupić ciastka i dobrą kawę. Czyścibuty natarczywie ofiarowują swoje usługi. Zostaje przydzielona do Szkoły Junaczek, gdzie jest moja córka.

Wyjazd z Teheranu. Habanija. Kermenszach, Hamadan — postoje, noclegi. Groźne, nagie niebotyczne góry, karkołomne serpentyny tuż nad przepaścią — lepiej nie patrzeć w dół, gdzie leżą rozbite auta. Wiozą nas doświadczeni Hindusi. Zabroniono nam śpiewać i śmiać się,

aby nie rozpraszać uwagi kierowców. Tędy szedł z wojskiem Aleksander Wielki. Marsz swój upamiętnił na wielkiej tablicy, którą wyryć kazał wysoko na skale tuż przy drodze. Mijamy przydrożne „czajhany“ gdzie można kupić kawę i herbatę, ale nigdzie nie zatrzymujemy się. Dojeżdżamy do Khanekinu. W Khanekinie szaleje hamsin. Zrywa namioty. Kurczowo trzymamy słup namiotu. Dużo tu wojska. Niedaleko Mossul. W miasteczku soczyste grejpfruty. Rano w bucie można znaleźć skorpioną lub równie niebezpieczną stonogę. A z kolorem namiotu zlewa się ogromny włochaty pająk „czarna wdowa“.

Gorąco, niewygodnie, coś nas zatrzymuje tu ponad miesiąc. Piasek, skały, niedaleko rzeczka. Woda mętna, ale brodzimy w niej dla ochłody. Chorujemy na świerzb i żółtaczkę. Zaczynają odbywać się lekcje, ale nie ma książek ani zeszytów.

Do Bagdadu wyjeżdżamy wieczorem. W śródmieściu dużo świateł. Odbijają się w kałużach i mokrych po deszczu ulicach. Miasto jak z bajki. W dzień miasto szarzeje. Zwiedzamy muzeum, meczet. Przyglądamy się błyszczącym w słońcu turkusowym kopułom meczetów. W obozie zatrzymuje nas deszcz.

W niedzielę w kościele nabożeństwo odprawia arcybiskup Gawlina.

Wyjeżdżamy z Bagdadu — drogi trudne, rozmokłe, w niektórych miejscach leżą metalowe siatki. Transjordania: czarna pustynia, głązy, kamienie — smutno, straszno.

Aż wreszcie zielona Palestyna. Głaszczę trawę — teraz dopiero czuję, jak spragniona byłam roślinności.



„Handel“ — Khanekin 1942

Gedera: dużo i tanie pomarańcze, którymi się objadamy. Chłoniemy witaminy. W nocy płaczą hieny.

Boże Narodzenie. Pierwsze na wolności. Choinka, wigilia, tradycyjne potrawy i nawet moja ulubiona kutia — wyczyn kierowniczki szkoły powszechnej p. Zosi Lisowskiej. Odtąd zawsze, dzięki p. Lisowskiej będziemy mieć na wigilię kutię.

Pierwszego dnia Bożego Narodzenia jedziemy do Betlejem. Ogromna, mroczna, surowa nawa bazyliki nastraja do skupienia. W grocie Narodzenia jakiś ksiądz odprawia nabożeństwo — my śpiewamy kolędy.

* * *

Rehowoth: intensywna już nauka, ale znajduje się czas na urządzenie różnych popisów i przedstawień. Niezapomniany polonez: panie w długich sukniach, „panowie“ w kontuszach. Kazio Reguła wspaniale akompaniuje na harmonii. W pardedach kwitną pomarańcze — zapach upajający.

Grupa chorowitych uczennic pod opieką wychowawczyń i nauczycielek wyjeżdża na miesiąc do Tyberiady. Mieszkamy w klasztorным budynku, tuż przy kościele św. Piotra. Często przychodzi malarz Włastimil Hoffman (uczeń Malczewskiego) i szkicuje portreciki dziewcząt. Odwiedza nas arcybiskup Spellman.

W Tyberiadzie spędzamy Wielkanoc. Mamy pięknie ustrojony stół. W poniedziałek urządzamy „śmigus“. Pomagają małe Arabczyki. Przynoszą wiadra wody. W kilka minut korytarze i kamienne podwórko pływa w wodzie. Ciepłe wiosenne słońce szybko wszystko wysusza.

Pewnego rana panika: brak jednej uczennicy. Okazuje się, że rano i bez pozwolenia wypłynęła na jezioro w kierunku przeciwnego brzegu. W tym miejscu jezioro tyberiadzkie ma 6 mil. Momentalnie wyrusza policyjna motorówka i kilka prywatnych łodzi. Daje się znać do Syrii. Jezioro jest bardzo zdradliwe, ma niebezpieczne wiry i prądy. Stoimy na moło zdenerwowane i patrzymy na migocące w drobnej fali jezioro, na którym nic nie widać. Dłuży się każda minuta. Czekamy... Wreszcie przychodzi wiadomość z Syrii, że dziewczyna, ledwie żywa, szczęśliwie dopłynęła do syryjskiego brzegu. Już ją wiozą motorówką. Arabowie przyjmują ją oklaskami. Wyczyn nielada: w historii Tyberiady!

Zwiedzamy Górę Ośmu Błogosławieństw. Jest tam piękny ośmiokątny kościółek. Spotykamy staruszkę-zakonnika Polaka. W Palestynie jest od 25 lat. Po polsku, umie już tylko „Niech będzie pochwalony“.

W wolnych chwilach wyszywam na szarym kocu kolorowymi włócz-

kami ludowy wzór — wychodzi ładnie i wesoło. Będzie to prezent dla Komendantki Sychowskiej.

* * *

Quastina. Przyjechał gen. Wiatr. Dowiedział się, że Chmura (uczennica szkoły powszechnej) nie przeszła do następnej klasy. Prosił, aby mogła składać dodatkowy egzamin w jesieni, ale Chmura nawet popędzana Wiatrem nie kwapiła się lecieć w stronę nauki.

Jenin — tragiczny wypadek: Hela Dąbrowska, uczennica klasy IV gim. zginęła w wypadku samochodowym. Jechała szkolnym wozem do Jerozolimy, aby odebrać pieniądze przysłane przez matkę. Nagle wóz zahamował, wstrząs był tak wielki, że Hela doznała obrażeń kręgosłupa i zmarła na miejscu. W szkole smutek i żałoba po tej milej i wartościowej dziewczynie.

Pewnej nocy jedna z uczennic zaczęła chodzić po sypialni i nieprztomnie recytować lekcje. Doktor podejrzewał jakieś zaburzenia psychiczne. A czy to nie zwykle przemęczenie i niedożywienie? Jedzenie pozostawia dużo do życzenia. Jest niesmaczne i za mało



Wizyta gen. Władysława Sikorskiego w Szkołach Junackich w Palestynie na kilka dni przed tragedią gibraltarską — czerwiec 1943

urozmaicone. Produkty często nieodpowiednie. Kucharek jest za mało i są przemęczone. Wprowadzono zwyczaj posyłania starszych uczennic do kuchni. Nazywa się to eufemistycznie: „nauka gospodarstwa domowego“, ale faktycznie polega na obieraniu kartofli i myciu kotłów — to co w wojsku robią rekruci. Dziewczęta wracają zmęczone, brudne — strata dnia nauki, a korzyść żadna.

Jedziemy do Barbary. Przyjechał gen. Sikorski na wizytację Szkoły Kadetów. Generał wygląda zmęczony. Rozmawiamy z córką generała — jest w mundurze jak my.

Wieczorem siedzimy i patrzymy na księżyc. Jest w kształcie sierpa a między rogami ma gwiazdę — tak jak na sztandarze Turcji. Arabowie mówią, że to jest bardzo rzadkie zjawisko i wróży śmierć ważnej osoby. W parę dni potem jak grom spada wiadomość o tragedii w Gibraltarze.

* * *

Idziemy na Górę Tabor. Ksiądz prowadzi nas skalistym zboczem, jest upał, kolczaste rośliny, ale ksiądz mówi, że tak szli przez urwiska i ciernie pielgrzymi, że będziemy miały odpust. Na Górze przepiękna biała bazylika wznosi się ku niebu. Wewnątrz też cała biała, tylko w głównym ołtarzu i niżej w krypcie piękne, kolorowe mozaiki. A o wschodzie i zachodzie słońca przez alabastrowe witraże płyną smugi mleczno-złotego blasku.

Jedziemy oglądać rosnące papirusy. Przekraczamy most na granicy z Syrią — mamy specjalne przepustki. Istotnie, w płytkiej wodzie przy brzegu rosną papirusy, ale właściwie trudno by je było odróżnić od naszych zwykłych trzcin lub tataraku. Opodal na palach mały domek — woda widocznie sięgała kiedyś wyżej. Podobno mieszkali w nim ludzie pracujący przy wyrobie papirusów.

Zabieram kilka starszych dziewczynek i jedziemy do Haify. Znajomy pomaga nam wysiąść z autobusu. Wtem jakaś stara Arabka zaczyna go ciągnąć za rękaw i coś szwargotać. Znajomy ją ofuknął i prędko nas zabrał. Pytam o co chodzi, on mówi, że Arabka myślała, że te złotowłose dziewczęta są jego. Chciała je kupić dając 500 dolarów za każdą!

Stoimy na Karmelu, jemy kanapki i pomarańcze i podziwiamy daleki widok na morze i Akre. Zwiedzamy kościół z figurą Matki Boskiej na Karmelu. W zakrystii pokazują ornaty, jeden nazwany „polski“; biały, haftowany błękitnymi chabrami, jest piękny. Potężne mury Akre wznoszą się wprost z morza, na murach armaty — pewno obecnie nie do użytku — a niegdyś Napoleon nie mógł zdobyć tej twierdzy.

Jedziemy na wycieczkę do Hebronu. Z głównej szosy skręcamy na boczną budowaną przez Rzymian. Zaglądamy do ogromnej, głębokiej studni, która służyła już w czasie wojny z Filistynami. W Hebronie nie zsiadamy z wozów, dopóki nie przyjdzie kilku policjantów-Arabów, bo dzieci i wyrostki nie przyzwyczajeni tu do widoku europejskich kobiet, zaczepiają i nie daliby przejść bez eskorty. Hebron to jedno z najstarszych miast świata. Tu była rezydencja Dawida, po której teraz nic nie zostało. Przez otwór w bramie oglądamy groby Abrahama, Izaka, Jakuba i ich żon. Według starej hebrajskiej legendy tu leżą też Adam i Ewa.

* * *

Nazaret — aż dziw jaka masa alpejskich fiołków kwitnie na skalistych zboczach Nazaretu — jak dumnie każdy kwiatek sterczy na cienkiej łądźce — zrywamy je masami.

Idę na spacer z kilkoma moimi uczennicami. W pewnym miejscu widzimy zagrodę ze świnkami. Jedna uczennica z zachwytem patrzy na świnki i usiłuje je pogłaskać — rozumiałam, że farma przypomniła jej rodzinną wieś i dom.

Na starsze dziewczynki podczas spaceru za miasto napadło dwóch Arabów. Dziewczęta uciekały przestraszone. Arabów schwytano. Byli z Syrii. Miejscowi Arabowie zachowują się poprawnie. Wiedzą doskonale, że niedaleko jest posterunek policji angielskiej i oddział „czerwonych beretów“, angielskich spadochroniarzy.

W Jerozolimie urządza się międzyszkolną wystawę. Nasza szkoła bierze w niej udział. Otrzymuje pieniądze na zakup materiałów i nici. Rysują i dopasowują wzory. Uczennice z zapalem wyszywają, nawet poza lekcjami. Toteż jest dużo ładnych i starannie wykonanych robótek różnego rodzaju: mereżki, „richelicu“, haft płaski i wypukły, kolorowe ludowe wzory, szydełkowe koronki, robótki na drutach, a nawet dwa dywaniki wyszywane na kanwie kolorową włóczką. Męskie szkoły wystawiły eksponaty z metalu.

Bierzemy udział w procesji Bożego Ciała. Wartownicy i kadeci w hełmach tworzą groźny szpaler dookoła księdza z monstrancją. Małe dziewczynki w strojach krakowskich sypią kwiatki.

Na Wszystkich Świętych poważnie maszerujemy przez miasto na cmentarz uporządkowany uprzednio przez nasze Sodaliski. Na grobach lampiony ze świeczkami. Razem z księdzem odmawiamy litanię i „Wieczne odpoczywanie“; to nic, że to obce groby, każda z nas myśli o swoich bliskich, których groby gdzieś daleko. A Nazaret przygląda się i zapisuje w swojej historii lata panowania Szkoły Młodszych Ochotniczek.

Julia Kwiatkowska

PRZYCHODZĘ DO SZKOŁY

Zostałam sierotą. Słońce już dawno ukryło swe promienie w mrokach granatowego wieczoru, a ja wciąż rozpaczliwie łkałam i łkałam.

Nie mogłam, nawet nie umiałam myśleć. Zostać bez żadnej opieki, rodziny, bliskich, chociażby znajomych, przechodziło wtedy w moim, jeszcze mało rozwiniętym umyśle, wszelkie możliwości. Straciłam bowiem opiekę troskliwych rodziców, a przede mną stanęła głucha, ciemna, bezdenna przepaść. Gdzie mam się zwrócić? Kogo prosić o pomoc? Został mi jeno Bóg i wiara w Niego. Od tego dnia musiałam zacząć nowe życie, życie na własną rękę.

Udało mi się dostać do ochronki. Szczęście sprzyjało mi, gdyż po krótkim w niej pobycie przyłączono naszą ochronkę do VIII-mej Dywizji i z nią wyjechałam z Rosji.

Teraz, gdy już nie byłam głodna, gdy miałam zapewnioną opiekę, wracało natarczywe pragnienie książki. Zdawałam sobie sprawę, że wielkich zdolności nie mam. Na niczyją pomoc liczyć nie mogę, przyszłość moja zależy ode mnie. Coraz częściej zastanawiałam się nad tym i doszłam do przekonania, że powinnam taką szkołę wybrać, abym — po jej ukończeniu — mogła samodzielnie pracować. Dowiedziałam się, że w Szkole Junaczek powstało Gimnazjum Kupieckie. Zdecydowałam się wstąpić do tej szkoły.

Już od pierwszego dnia spotykałam się z nowymi przedmiotami, według mnie bardzo ciekawymi. Na pierwszej lekcji wchodzi do klasy groźna postać — na pewno będzie arytmetyka handlowa. Profesor rysuje jakieś drabinki na tablicy, a po narysowaniu objaśnia:

„Tak wyglądają rachunki bieżące“.

Co? Rachunki bieżące... Dużo już rzeczy widziałam, myślę sobie, ba — jeszcze więcej słyszałam, ale nie widziałam, ani nawet nie słyszałam o rachunkach, które biegają. Patrzymy na tablicę, co będzie dalej. W drabinkach ukazują jakieś cyfry.

„Otóż mamy fakturę, od tych sum odjąć 10% skonta“...

Momentalnie kierujemy wzrok w stronę kątów naszej klasy. Mierzmy wysokość, dzielimy na dziesięć części, a gdy już wiemy, ile metrów mamy odjąć z nieszczęsnego kąta, odwraca się profesor i najspokojniej w świecie mówi:

„Skonto, jest to procent, udzielany nam przez kupca, przy kupnie towarów za gotówkę. Rozumiecie?“...

„Ależ naturalnie“ — odpowiadamy chórem, bo czyż można, czy wypada odrazu na pierwszej lekcji nie rozumieć! Gwizdek — lekcja skończona.

Po arytmetyce handlowej — księgowość. Czy może znowu drabinki?

Nie, teraz na odmianę szubienica. Może to wygląda na fantazję. Otóż rysujemy prawdziwą szubienicę, taką co ma dwie strony, jedną i to koniecznie prawą oznaczamy — „Ma“ — lewą — „Winien“, wszystko zaś razem to — „konto“.

„Jedną stronę uznajemy, a drugą obciążamy“ — mówi profesor. Boże, Boże... myślę, drabinki, szubienice, skonto, konto, winien, ma, obciążać, uznawać.. jeszcze do tego bilans obrotowy, saldowy, wynikowy, zamknięcia, a na zakończenie bilans surowy. Czy to nie za wiele jak na moją głowę???

Po przerwie stenografia. Na tablicy pojawiają się jakieś niezrozumiałe dla nas znaki, jakieś kropki, jakieś kreski...

„Tak wygląda „p“, a odwrotnie napisane to będzie „g“ — mówi profesorka. Jakie to śmieszne. Przypomniałam sobie, jak to kiedyś, dawno, już bardzo dawno, kreśliłam podobne koślawe kreski, tworząc z nich litery. Uważamy pilnie, aby zapamiętać wszystkie zaokrąglenia, przedłużenia, przygrubienia.

Po przerwie — towaroznawstwo. Do klasy wchodzi profesorka z dużym pudłem. Ach, co to będzie? Profesorka stawia pudło na podłodze, wyjmuje z niego mnóstwo szmat i szmatek, z których jedne w kwiatki, drugie w kratki, a te najmniejsze szmateczki jednokolorowe. Otrzymujemy jeszcze lupy tkackie i zapalki. Przeprowadzamy próbę ogniową, zapalamy nitki, od nitek zapala się szmata, od szmaty papier i zeszyty, i — o zgrozo istny pożar w klasie. Ugasiliśmy go szybko i wykład trwa dalej. Profesorka uczy nas, jak odróżnić materiał wełniany od bawełnianego, a bawełniany od lnianego...

Na piątej lekcji — reklama. Cóż to nowego? — pytamy profesora.

„Nie strasznego, pójdziemy do miasta i udekorujemy okno“. Trudno — trzeba, pójdziemy. U miejscowego kupca dekorujemy okno. Profesor objaśnia nam jak wielkie znaczenie ma reklama w handlu. Dowiedzieliśmy się, że umiejętne ułożenie towaru w oknie wystawowym — to dźwignia handlu, to przyciąga klienta i zachęca go do kupna w danym sklepie. A teraz stosujemy to praktycznie — wszystkie puszki, puszczyki przybrały kształt piramid egipskich. Dolożyliśmy ze swej strony wszelkich starań, aby wszystko wypadło jak najlepiej — czy się udało, nie wiemy. Muszę się przyznać, że w czasie dekorowania drżały mi ręce. Wiedziałam bowiem, że profesor stara się „uznać“ lub „obciążyć“ nasze „konto“ w tak miłe widzianym przez nas czarnym notesiku.

Zbliża się koniec lekcji. Jest już godzina szósta i ostatnia — „Organizacja i technika handlu“. Któż to słyszał o organizacji i technice handlu? W pierwszej chwili zaskoczyły nas nieznanne nam terminy

jak: makler, konsument, grosista, kurtaż, terminatki, komisant, spedytor, winkulacja, certyfikat, konosament, reklamacja i wiele, wiele innych. Nie, ja chyba nigdy nie zapamiętam tego wszystkiego. Tak mi się tylko wydawało w pierwszych miesiącach. Dzięki intensywnej pracy pokonałam wszelkie trudności. Wprawdzie nie było to łatwe, często śniły mi się „bieżące“ rachunki, skonta wynikające z kont, bilans surowy, a czasem „gotowany“, plątało mi się wszystko. Ale teraz leży każda nazwa na swoim miejscu, a w razie potrzeby wyciągam ją z odpowiedniej komórki.

Przybył nam teraz nowy kłopot, bo oto mamy Bank P. K. O. w S. M. O. Będziemy tutaj pracowały, odbywając jednocześnie praktykę bankową. Co to będzie za gwar, gdy przyjdzie kilkaset młodszych ochotniczek z książeczkami oszczędnościowymi! Jaki duży kapitał wpłynie do naszej kasy, jak trudno będzie liczyć i sumować! Ale nie martwię się, od czego ta cudowna maszyna co to sama i mnoży i dzieli, dodaje i odejmuje, ona wszystko podliczy, a my — „handlowcy“ — damy już sobie z tym radę.

Emilia Pszonko

Emilia Baranowska

Uczennice kl. III. Gimn. Kupieckiego
„Junak“ rok 1944.

ODKOMENDEROWANE DO SZKOŁY

Dłużyła się nam podróż z Gedery do Jeninu. Bo chociaż drogi palestyńskie były dobre, widoki wśród wzgórz Samarii piękne, to jednak ciasnota pod brezentem trzytonowej fordowskiej ciężarówki i upał wrześniowego, letniego dnia dawały się we znaki.

Byłyśmy zmęczone i przerażone zarazem. Skończyły się marzenia o bohaterskiej przyszłości w kompaniach transportowych Drugiego Korpusu; skończyły się długie miesiące szkolenia jazdy, odbierania i prowadzenia wozów przez pustynię z Egiptu do Palestyny. Odebrano nam nasze jaskrawo-żółte szoferskie kombinezony, z których tak bardzo byłyśmy dumne, pozostały jeszcze tylko czarne berety na głowach.

Stało się to tak nagle, że byłyśmy wszystkie zaskoczone. Po prostu pewnego pięknego dnia przy raporcie porannym odczytano rozkaz, że „wszystkie ochotniczki w wieku szkolnym będą natychmiast odkomenderowane do obozu w Jeninie“. No i nie było odwołania.

Już człowiek zaczął czuć się dorosłym, samodzielnym, wyszkolonym, przygotowanym do „obrony ojczyzny“, aż tu nagle wszystkim:

położył kres ten głupi rozkaz! Kto go wymyślił i po co? Miałśmy lzy w oczach.

Minęłyśmy Nablus. Droga wiodła wśród spokojnej zieleni oliwkowych gajów, strzępiastych palm daktylowych, fig i winorośli. A na rozległych przestrzeniach doliny jenińskiej pasły się białocza ne kozy oraz stada owiec, popędzane przez umorusanych, spalonych słońcem pastuchów arabskich w chustach, którymi mieli szczelnie okutane głowy.

Szofer powiedział nam, że to już niedaleko. Ot, zaraz za tą cienistą aleją eukaliptusową znajduje się miasteczko, a potem, w lewo droga skręca do obozu.

I ukazało się nam miasto gliniane, żółto-szare z domami o kopulastych dachach, tak charakterystyczne dla tej części kraju. Miasto nieduże, może 10-12 tysięcy mieszkańców wtedy liczące, z ludnością wyłącznie arabską, dużą ilością strzelających wieżami w niebo minaretów, z ciasnymi uliczkami, hałaśliwym bazarem, gdzie zakwefione i ubrane na czarno kobiety poruszają się pięknie i lekko mimo dźwiganego na głowie ciężaru. Gdzie mężczyźni w chustach białych, obramowanych dwoma czy trzema rzędami „wałeczków“ naokoło głowy, siedzą po turecku w ocienionych wnętrzach kawiarni, paląc nargile.

Przy drodze, zaraz za miastem była twierdza policji palestyńskiej, a za nią obóz. Obóz-kotlina, jaśniejąca bielą dużych, jakby specjalnie tu nagromadonych kamieni, z niewielką ilością bliżej nam nieznanych, ale niezwykle pięknych i delikatnych drzew. Obóz okolony kolczastymi drutami o dwu murowanych budynkach. Jeden to posterunek wartowniczy, drugi — miejscowa pralnia, utrzymywana przez polskiego Żyda.

Z baraków zaczęły wylaniać się jakieś inne młodsze ochotniczki, przypatrując się nam z zaciekawieniem. Służbowa, podeszła bliżej, prosząc byśmy się ugrupowały klasami, a potem gęsiego każdą z grup prowadziła do oddzielnego baraku.

Natychmiast zauważyłyśmy, że nie jesteśmy same.

— Szoferki? Patrzenie! To i wy do szkoły?

Brzmiało to ironicznie i zaczepnie zarazem. Odpowiedziałyśmy wzgardliwym ruchem ramion, ale potem któraś z nas nie wytrzymała i zapytała:

— A wy skąd? Z jakiego oddziału?

— Siostry sanitarne...

I znowu zapadła cisza. Zaczęłyśmy się rozglądać za jakimś możliwym locum, gdzie byśmy mogły być razem, możliwie jak najdalej od „tamtych“.

Było chyba czterdzieści łóżek, stojących w dwóch rzędach po obu

stronach wydłużonego baraku. Przy każdej przycy koc zrolowany, zagłówek, prześcieradła oraz trochę wolnego miejsca na osobisty bagaż.

— „Tu w następnym baraku znajduje się umywalnia. Po umyciu się i „urządzeniu“, na dźwięk gwizdka, proszę przyjść do jadalni“ — powiedziała służbowa. „O szóstej będzie kolacja, potem zbiórka wieczorna i modlitwa. Wtedy dowiedzą się panie o rozkładzie jutrzejszego dnia i egzaminach...“

Egzaminy? To będą egzaminy? Przecież my nie nie pamiętamy po dwuletniej przerwie w nauce...

Ale nie było czasu na utyskiwania. Zimny przysnć odświeżył nadzwyczajnie, znakomicie smakował gorący gulasz z soją trochę pod zębami zgrzytającą, i wybornie ugasiła pragnienie gorąca herbatu. Godzina odpoczynku na materacu wypchanym pachnącym sianem poprawiła nasze samopoczucia.

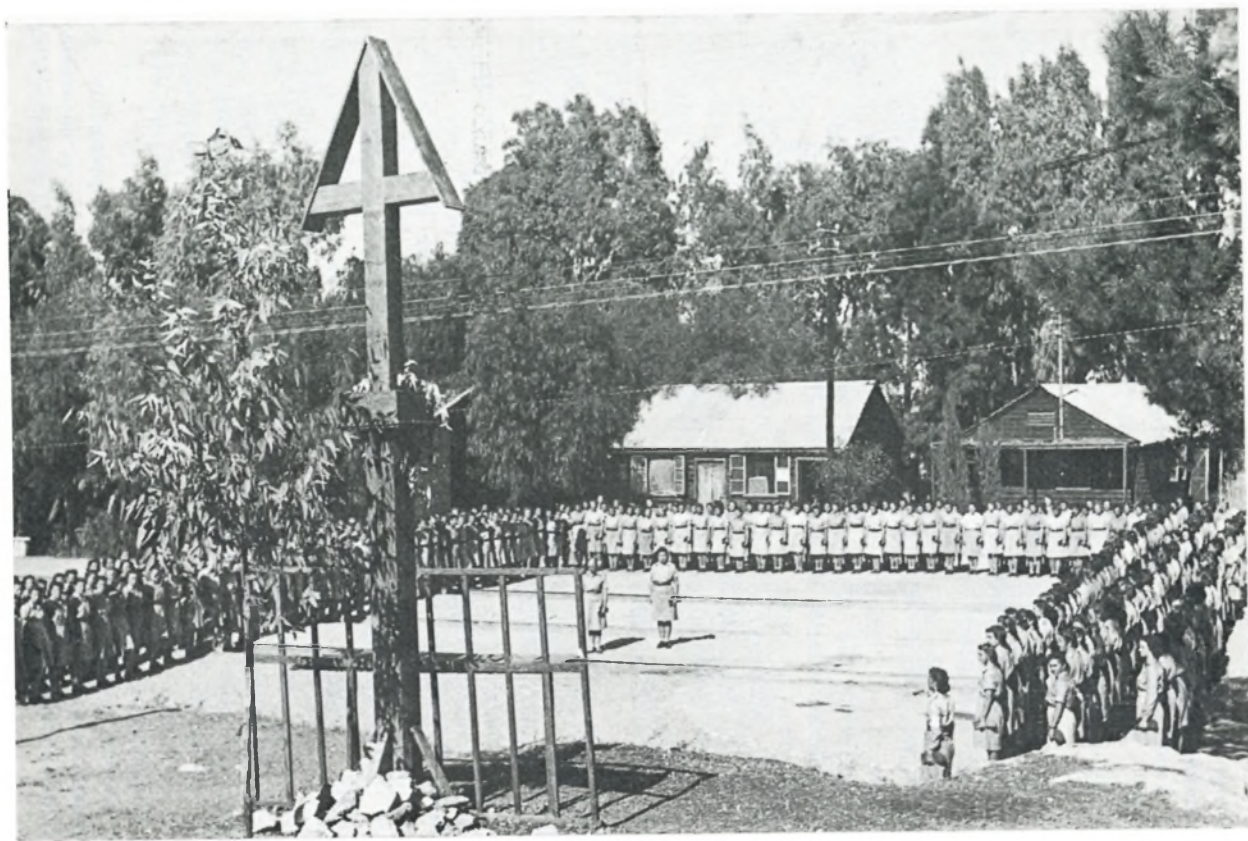
Potem modlitwa. Zebrałyśmy się na czworokątnym placu codziennych zbiórek. Jeden bok czworokąta był jakby trochę wzniesiony. Na nim stał krzyż przywieziony tu z Rehovoth. Takı sobie polski przydrożny krzyż z drzewa, na którym wieszano wianki. Okalał go mały drewniany płotek, a u podnóża leżał stos kamieni. W pozostałych trzech bokach czworokąta ustawiały się szeregi dziewcząt. Kompaniami — klasami.

Służbowa krzyknęła: Baczność! Wypreżyłyśmy się w bezruchu i zapanowała kompletna cisza. Szybkim krokiem po żwirze ktoś się zbliżał w naszym kierunku. To Komendantka! Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Była młoda, drobna, na naramiennikach widniały dystynkaje oficerskie. Twarz miała delikatną, białc-różową, naturalną bez cienia make-up'u, nos zgrabny, lekko zadarty, wystające nieco kości policzkowe i pogodne, stale uśmiechnięte oczy. Spod zielonej furażerki wymykały się niesforne, jasnoblond loki.

Służbowa zameldowała stan obecnych, włączając w to nowo przybyłe. Komendantka dała znak ręką na „spocznij“. Podeszła parę kroków bliżej.

— Dziewczynki — brzmiał głos cichy o bardzo sendecznej nucie. — zebrałyśmy się tutaj razem z różnych oddziałów, z różnych formacji dla jednego celu: dla nauki. Służbę na froncie, służbę w jednostkach, w których znajdowałyście się detychczas, obejmą po was wasze starsze koleżanki. Wy macie od dziś inne zadanie. Macie zdobywać wiedzę, poszerzać swoje horyzonty — w bardzo, co prawda, ciężkich warunkach — ale musicie to robić z zapałem, z myślą o przyszłości w naszej ojczyźnie...

Od dziś już niech nie będzie między wami różnic, niech nie będzie



Raport i modlitwa — Jenin 1943

podziału na siostry, szoferki i te z łączności. Od dziś jesteście wszystkie uczennicami Szkoły Młodszych Ochotniczek!...

Potem ktoś zaintonował „Wszystkie nasze“ ... i w ciszy wieczoru rozeszliśmy się do swoich baraków.

A wieczorem, gdy światła w baraku już pogaszono, koleżanka szepnęła do mnie: „A czy zauważyłaś, że ona, ta nasza nowa komendantka, powiedziała do nas — dziewczynki?“

* * *

Egzaminy były tylko formalnością; chodziło o zorientowanie się w stopniu inteligencji.

Lekcje odbywały się w barakach, po obiedzie obowiązywała godzina ciszy i odpoczynku. Ćwiczenia domowe odrabialiśmy w cieniu drzew pieprzowych, o liściach podobnych do akacji, lecz drobniejszych, delikatniejszych. Ja wolałam uczyć się na kamieniach. Gdy słońce już troszeczkę straciło na mocy, gramoliłam się na kamieniu z książką czy zeszytem w rękę i na głos powtarzałam wyuczoną lekcję. Bystrookie jaszczurki o szarym czy szaro-zielonym ubarwieniu cczas to wysuwały zaciekawione łebki ze szczelin kamiennych i widząc, że nie grozi im niebezpieczeństwo zastygały w bezruchu na rozpalonej powierzchni.

Podczas nauki zajadałyśmy się pomarańczami, które doskonale gasiły pragnienie.

Wieczory sobotnie czy niedzielne popołudnia spędzałyśmy przeważnie w świetlicy. Tam bowiem był nieustanny „przeгляд gości“, którzy licznie napływali z wizytami.

Pewnej niedzieli, po wypłacie żołdu, pojechaliśmy z Jašką do Haify, by kupić zamszowe pantofelki. Jasne, zamszowe półbuciki, nie zawsze przepisowego kształtu i barwy, były wtedy szczytem naszej obozowej elegancji.

Do Haify jeżdżiło się autobusem za paręnaście piastrow. Podróż nie była męcząca, gdyż usłuźni Arabowie zawsze ustępowali nam miejsca, natomiast widok tuż przed samym miastem niezwykle przygnębiający. Otóż na niedużym wzniesieniu w lewo od głównej szosy mieściło się miasto, całe jakby z psich bud zbudowane. Małe budy z gontu i szmat sklecone, do wnętrza których trzeba było wlać na... czworakach. Czarne budy, czarni wynędzniali z biedy ludzie. Co za ogromny kontrast z luksusowymi willami Karmelu, jego egzotyczną jaskrawą zielenią skwerów i ogrodów.

W centrum miasta robiłyśmy tak zwany „window shopping“ w poszukiwaniu czegoś co było najładniejsze, najelegantniejsze i... najtańsze. Jeśli po zakupach zostawało nam jeszcze w kieszeni parę centów,

szło się do znanych nam już restauracji naszych polskich Żydów na smakowite młode ziemniaki z zimnym kwaśnym mlekiem, albo na porcję truskawek ze słodką śmietanką.

Pewnej niedzieli wieczorem, gdy tylko weszliśmy w bramę wartowni i oddały przepustki, przybiega do nas służbowa i już z daleka krzyczy:

— Marta! Masz gościa! Czeka w świetlicy już od trzech godzin!

Byłam uradowana i zaciekawiona zarazem. Podbiegłam nawet parę kroków w kierunku kantyny, mimo że nowe pantofle niemiłosiernie wrzynały się w pięty. Zdyszana stanęłam na ganku YMCI przenosząc po kolei wzrok z twarzy na twarz siedzących przy stolikach gości.

— Marian! Boże mój! Co za spotkanie...

I wpadłam w ramiona przystojnego podchorążaka, zostawiając nieśmiałą Jaśkę w osłupieniu.

Odnalazł mnie po tylu poszukiwaniach i tak się cieszył, że ze skutkiem, bo niedługo wyjeżdżają na front... Mała Jaśka nie spuszczała zeń oczu...

Ale przed frontem jeszcze miały być w naszej okolicy olbrzymie manewry. Nasze oddziały contra jakimś „wrogim“ jednostkom też z ósmej Armii. W samym Jeninie miał być zainstalowany punkt zaopatrzenia w wodę. Tak to sobie podobno uplanowali „nasi“, aby połączyć piękne z pożytecznym i przy tej okazji pożegnać swoje wybranki.

Cieszyliśmy się ogromnie, widząc już bohaterskich zwycięzców, wypoczywających po trudach „walki“ w naszej obozowej świetlicy przy butelce zimnej lemoniady i dźwiękach jedyne, rozstrojonego już pianina.

Był to dla nas dzień niezwykle uroczysty, poprzedzony nocą spania w papilotach na głowie, włożeniem świeżo odprasowanych koszul z krawatami i użyciem nadmiernej ilości „Soir de Paris“.

Jak jeden mąż wyszliśmy im naprzeciw piękną eukaliptusową aleją. Patrzymy... i oczom nie chcemy wierzyć. Pcdli „wrogowie“ wysadzili w powietrze olbrzymią przestrzeń drogi, łączącą „naszych“ z Jeninem...

A potem, kiedy już większość wojska wyjechała na front włoski, patrzyliśmy z zazdrością na te nieliczne szczęśliwe, które los potraktował łaskawiej. Paru narzeczonych zostało jeszcze czas jakiś w różnych jednostkach w Palestynie.

Piękny jak posąg grecki podchorąży-poeta co tydzień przyjeżdżał do swojej wiotkiej dziewczyny, co miała twarz Madonny z obrazu Rafaela. Trzymając się za ręce, chodzili po ścieżkach obozu, często pod oknami baraku, skąd cztendzieści par oczu śledziło ich z ukrycia

zza zapuszczonych żaluzji. A kiedy temu śniademu jak Grek chłopcu nie udawało się przybyć na „randkę“ — pisywał do niej listy... Wierszem. Czasem czytała nam je na głos, a my roniliśmy łzy do poduszek.

* * *

W jakiś czas potem Komendantka sprowadziła rewię Lopka Krukowskiego. W ramach repertuaru miał być występ Hanki Ordonówny. Znałyśmy ją wszystkie chyba tylko ze słyszenia. Byłyśmy dziećmi, a więc za młode, aby ocenić jej wielkość aktorską w Polsce przedwojennej.

Wiedzieliśmy w Jeninie, że po roku czterdziestym drugim była opiekunką dzieci polskich w Rosji i w tej roli udała się z Drugim Korpusem na Bliski Wschód.

Oczywiście wiedzieliśmy wtedy także, że była to nie tylko jedna z najlepszych a może i najlepsza piosenkarka polska, ale także dużej klasy aktorka teatralna.

W braku innego pomieszczenia występ miał odbyć się w pralni. W tym celu na jednym końcu rezległej sali ustawiono podium, a pozostałą część pozostawiano ławkami.

Miał to być wielki dzień w naszym życiu szkolnym. Od rana już chodziliśmy podniecone i nie mogliśmy rozmawiać o niczym innym jak tylko o mającym odbyć się przedstawieniu — pierwszym od tylu lat. Już o piątej przed drzwiami pralni stał ogromny „ogon“, a o szóstej, kiedy otworzono drzwi, dziewczęta jak tabun koni wtargnęły do wnętrza. Okazało się, że nie było pomieszczenia dla wszystkich. No, ale od czegoż były okna. Małe co prawda i bardzo wysoko umieszczone, ale coś niecoś można było przecie przez nie zobaczyć.

Pod te właśnie okna pozносиłyśmy pozostałe ławki i na nich ulokowałyśmy się tak szczelnie, że zaczęły niebezpiecznie trzeszczeć. Obok mnie wsunął się nieśmiało właściciel pralni, mały biedny bo garbaty, polski Żyd.

Ordonówna nie mogła mieć wtedy chyba jeszcze czterdziestu lat, ale w naszym młodocianym mniemaniu wyglądała na więcej. Widocznie ciężka choroba i ciężkie przejścia wojenne wycisnęły na niej swoje piętno.

Zgrabna, choć nie bardzo już wtedy smukła, nie mogła uchodzić za piękność. Muszę przyznać, że byłam tym trochę rozczarowana, gdyż inaczej ją sobie wyobrażałam. Miała na sobie strój górala, oryginalny, piękny, barwny, w rękę ciupagę a na głowie mały kapelusik.

Ale gdy zaczęła śpiewać „W murowanej piwnicy“... wstąpiła w nią jakaś niezwykła werwa, zdawało się, że to nie jedna Ordonówna.

a trzy, cztery, pięć śpiewa i tańczy na scenie. Że to nie jedna ciupaga wiruje w powietrzu, nie jedne nogi przytupują, lecz kilka. Było w niej tyle życia, tyle radości, ruchu, tyle iskier w oczach, że patrząc nie chciałam wierzyć iż to ta sama osoba.

Z radości zaczęłyśmy podskakiwać na ławce, a ja, ponieważ obejmowałam ręką plecy mojego sąsiada, aby nie upaść — klapnęłam go dość mocno z uciechy... w garb. Ale nie obraził się, sam miał łzy w oczach. . .

A my płakałyśmy przy innej piosence, piosence śpiewanej bardzo cichym i dźwięcznym głosem, przy akompaniamencie gitary i... gry rąk. Cóż to były za ręce: piękne, o długich palcach, delikatne, które rozwierały się jak kwiaty. Kiedy doszła do słów:

„A ja sercem przywoływać będę
każde z najmniejszych twych słów,
A ja myślą wciąż się modlić będę
byś powrócił znów...“

każda z nas myślami znalazła się przy swoim chłopcu, który tak bardzo niedawno wyjechał na front włoski...

Występy Lopka Krukowskiego wywoływały dosłownie kaskady śmiechu. Ale tego naporu tupotu nóg już nasza ławka nie zniosła i w pewnej chwili znalazłyśmy się razem z właścicielem pralni na ziemi.

Komary tego wieczoru cięły niesamowicie... Tak było resztą już od dwóch tygodni. Chodziłyśmy dosłownie całe w cętkach a nogi miałyśmy popuchnięte od ukąszeń i ciągłego rozdrapywania. Miałyśmy co prawda moskitiery, ale za ciepło było nam w pończochach i długich rękawach popelinowych koszul. Więc nie bardzo trzymałyśmy się przepisów tropikalnych, które o pewnej porze właśnie z powodu komarów nakazywały być „zapiętym na ostatni guzik“.

I tego wieczoru właśnie, po występach rewii Krukowskiego poczułam się bardzo źle. Dziwny ból rozsadzał mi głowę, która była rozpalona jak przy największej temperaturze. Potwornie silne dreszcze wstrząsały ciałem. Ledwo o własnych siłach dowlokłam się do baraku, nieprzytomnie padając na nieposłane łóżko. Zrobiło mi się tak strasznie smutno i beznadziejnie, że zaczęłam na głos płakać. Było mi tak źle, jakby cały ten ból z głowy przywalił mi ciało. Nie widziałam nic, nie słyszałam wkoło siebie podnieconych głosów koleżanek. Zdawało mi się, że zbliża się coś okropnego, coś co chyba jest początkiem końca. Jak przez sen usłyszałam urywek zdania, wypowiedziany spokojnym i znajomym głosem:

— Ależ to niewątpliwie malaria...

W. K.

„Odkomenderowana“

JEDZIEMY DO SZKOŁY

Przebiegam myślami ostatnie lata... Jak na taśmie filmowej przesuwać się szybko przed oczami obrazy minionych dni. Więc najpierw — Warszawa... Dom... Szkoła... Znajome ulice i znajomi ludzie... Potem — Powstanie, zakończone długimi miesiącami niewoli... Uwolnienie przez wojska amerykańskie i złote dni swobody... Droga do Włoch przez cudowne, urzekające pięknnością Alpy, pobyt w II Korpusie... Wyjazd do Palestyny do szkoły...

Stale zmiana miejsca pobytu, zmiana otoczenia... Jasne i zrozumiałe, że z każdej zmiany wynika mnóstwo przeżyć — miłych, wesołych, ciężkich i tragicznych. Ale o tych smutnych pisać nie będę, bo po co? I tak każdy ma dość zmartwień! Pozostają więc przeżycia weselsze i pogodniejsze, do tych niewątpliwie można zaliczyć historię wyjazdu do S. M. O.

Działo się to tak dawno — dokładnie mówiąc w październiku roku 1946. Jesień włoska była ciepła — błękitna i złota, obfitująca we wszelkiego rodzaju owoce. Przebywałam wtedy w obozie przejściowym Macerata i czekałam na rozpoczęcie roku szkolnego w San-Giorgio. Tymczasem — o zgrozo!!! Pewnego pięknego dnia, dowiedziałyśmy się, że wszystkie „nieletnie“ tj. nie mające ukończonych 18 lat, wyjadą do szkoły do Palestyny!!! Rozpacz! Mnie do tych upragnionych 18-tu lat brakowało więcej, niż rok, nie było więc żadnego ratunku — sprawa wyjazdu była przesądzona. Nic nie pomogły fontanny łez, wylewane w kancelarii Komendantki. Data wyjazdu zbliżała się. Nadszedł wreszcie 8 listopada.

Ranek był niewyraźny i zamglony, jak nasze oczy, które uporczywie się „pociły“. Sama już nie wiem dlaczego — może z żalu za tymi kochanymi, beztroskimi dniami, spędzonymi we Włoszech, a może i za kimś... Różnie się przecież na świecie zdarza!!! Nie zmienia to jednak faktu, że zapakowali nas w auta i żegnane serdecznie przez pozostające koleżanki, ruszyłyśmy do Ankony. Na niebie zbierały się chmury, wiatr dmuchał nieprzyjemnie, aż wreszcie rozpadał się drobny, siekający deszcz. Humory straszne! W Ankonie czekały na dworcu nasze mamy i siostry. Pożegnania są zawsze najgorsze — szczęśliwa więc byłam, gdy wreszcie skończyły się i pociąg ruszył. Przez cały 24 godziny jechaliśmy do Taranto. Pociąg włócił się ospałe wzdłuż wybrzeża morskiego, potem przez niekończące się gaje pomarańczowe, zatrzymywał się na licznych stacjach.

Noc w wagonie była makabryczna! Splątana mieszanina rąk, nóg, głów, paczek! Zmęczone i niewyspane dobrnęłyśmy wreszcie do

Taranto. Po dwudniowym pobycie w obozie przejściowym, 13-stego listopada wsiadliśmy na okręt. Był wielki, lśniący i przytłaczający swoim ogromem. Podróż była nadzwyczaj miła. Pierwszorządne warunki, sympatyczne otoczenie. Humory też wybitnie się poprawiły i w pogodniejszym już nastroju dopłynęliśmy do Port-Saidu. Szeroko otwartymi oczami patrzyliśmy na brunatny, wrzeszczący tłum, który obskoczył nas, gdy wyszliśmy na ląd. Każdy zachwalał swoje towary, wołał o „bakszysz“.

Dziwne uczucia ogarnęły nas, gdy wsiadałyśmy znowu do pociągu w drodze do Quassasinu. Powracający smutek jednak szybko rozproszyła przyjacielska i życzliwa atmosfera Quassasinu. Pierwszy raz mieszkaliśmy w namiotach! Żeby kto wiedział, jak cieszyliśmy się z tego! Trochę gorzej było w czasie hamsinu, bo każda część namiotu fruwała osobno, a wiatr, o którym wiadomo, że jest z gruntu źle wychowany, całą naszą garderobę porozrzucił po terenie obozu. Szkoda było stamtąd wyjeżdżać! Znowu wyjeżdżać! Stale to samo. Z wspomnieniem wielkiego Kairu, piramid, Sfinksa i dotychczasowego lenistwa — ruszyliśmy dalej.

W południe byłyśmy już w Haifie. Jeszcze krótka droga autem, potem wzgórze Nazaretu i — szkoła! Labirynt nieznanych, klasztornych korytarzy, jakieś schody, mnóstwo drzwi, coraz to nowe twarze dziewcząt... Byłam oszłamiona, zmęczona i przytomniej zaczęłam się rozglądać dopiero na górze, w przydzielonej nam sali siedząc na łóżku wśród porzuconych w nieładzie bagaży. Na sali było tyle dziewcząt... Starsze i młodsze, wysokie i niskie, blondynki, szatynki — ale wszystkie miłe i jednakowo serdeczne. Rozmawiałyśmy o lekcjach i o tutejszym życiu, gdy nagle wszystkie powstały na widok wchodzącej osoby. Pomyślałam niechętnie wtedy: czy w tej szkole jest zwyczaj powstawania, gdy wchodzi starsza koleżanka? Straszny zwyczaj! Podniosłam się jednak leniwie i... o Boże! Przecież to nie kto inny, tylko p. Komendantka! „Komendantka“! To słowo brzmi groźnie, nieprzystępnie i tak oficjalnie! Ale nie wiem doprawdy, czy Ktoś, kto ma najlepszy, najładniejszy uśmiech, może być groźny, i nieprzystępny?! Nie! Na pewno nie! Przekonałam się o tym jeszcze tego samego wieczoru. Rozmowa nasza była niewymuszona, szczerza i bez wątpienia zostawiła ślad na zawsze. Zrobiło się jakoś lepiej, mniej smutno i obco. Z większą wiarą i nadzieją szliśmy w nieznaną przyszłość, skoro opromieniona została dobrym, jasnym uśmiechem p. Komendantki.

Irka Radwańska

kl. II. Lic. Hum.

„Uśmiech“ rok 1946.

ROCZNICA KAPITULACJI

*Wiesz, dziś rocznica...
Tak wzniosłe o nas mówią,
O naszym poświęceniu.
A ja, jak wtedy czuję
Krew Twoją na ramieniu,
Gorącą, młodą, czerwoną...*

*I dzisiaj dla mnie niczym,
Niczym są czyjeś słowa
Ale to jedno wspomnienie,
Twoja stygnąca głowa
Wsparta na mym ramieniu.
To wszystko...*

*I błagam dziś, nie mówcie
O krwi, o poświęceniu.
Bo łatwo rzec ofiara,
Łatwo też rzec, że trzeba,
Że tym co poginęli
Otwarte wrota nieba.*

*I łatwo mówić wzniosłe,
I rozejść się w milczeniu,
Ale nie żyć wspomnieniem
Krwii drogiej na ramieniu.*

Teresa Marszałek

kl. II. Lic. Hum.

„Uśmiech“ — rok 1946.

PIERWSZE KROKI

Hanka i Maryśka dotarły do Nazaretu późno — dopiero jesienią 1944 roku. Odkomenderowano je z wojska na „zrobienie dużej matury“. Poznały się niespełna dwanaście miesięcy temu w ahwazkim oboje dla cywilnej ludności. Koczowały tam prycza w pryczę w ogromnej stajni, prędkim sposobem zamienionej na ludzkie pomieszczenie. Poznały się i zaprzyjaźniły. Prymityw obozowych warunków szybko zbliżał ludzi do siebie. Odtąd, przez długie lata, dzieliły swe losy. Hanka, drobna, jasna blondynka, rzeczowa i praktyczna — z Maryską czarną, emocjonalną i nie zawsze rozsądną. Uzupełniały się doskonale. Razem wyjechały do wojska — ratując się przed Afryką; razem przeżywały „wzloty i upadki“ żołnierskiego bytu; razem także ruszyły do Nazaretu „na pobieranie dalszych nauk“.

Z Egiptu do Haify dociągnęły się z tobołkami całkiem wygodnie, pociągiem przemierzając pustynię. W Haifie załadowały się na arabski autobus, resztkami żołdu płacąc za przejazd. Droga była boleśnie pamiętna. Roztrzęsiony zachlystujący się nędzną mieszkanką paliwa, dygoczący ze starości autobus wbijał im w odwrotność anatomii każdy przebyty kilometr, po to by wreszcie, po sforsowaniu kołnierza pagórków otaczających miasto, stoczyć się szosą w dół na rynek.

Nazaret! Wskazano im szkołę, wysoko położoną za murem, w klasztornych budynkach. Co za wspinaczka z ładunkiem! Szły jednak

dzielnie, taszcząc wojskowe worki za sobą. Szkoła!... trochę były obie zdenerwowane, zmęczone i złe. Przypuszczały, że ktoś je spotka i pomoże nieść bagaż. W budynku chłód i pustka. Były jeszcze wakacje i wiele dziewcząt nie powróciło z urlopów. Odnalazły dyżurną. Konsternacja! Władze szkolne nie zostały uprzedzone o przyjeździe dwóch dodatkowych uczennic. Znalaziono im tymczasowe lokum w czymś pokoiku. Zaskakujące! Pokoik, po raz pierwszy od tylu lat. Nie lepianka, nie barak, nie stajnia, nie namiot — ale pokoik z czterema ścianami i normalnym oknem do otwierania. Pod wrażeniem chwili opadły na czyjeś pobliskie łóżko. Pokoik był schludny, ze śladami „kobiecej w nim ręki“: — jakieś barwne poduszki, kolorową plamą przecinającą jednostajność koca; jakieś misie-maskotki, na ścianach lokalne tkane kilimiki, fotografie, moskitiery... Zadomowienie! To co je uderzyło — zadomowienie i swojskość tego pokoiku. „Żebyśmy tylko szybko dostały własny kąt“ — mruknęła pod nosem Hanka.

„Tak! Właśnie! Ciekawam czy długo będą przerzucać nas z łóżka na łóżko? Zasadniczo to wielkie świństwo, że nikt nie wiedział o naszym przyjeździe! Bałagan jak wszędzie!“ — irytowała się Maryśka. „Choć wiesz co Hanczydło, wszystko im daruję za te cztery murowane ściany... Sprawdziłam — naprawdę autentyczne.“

Hanka zdecydowała z właściwym jej rozsądkiem, że poczekają z rozpakowywaniem; po co się spieszyć; zobacza co z tego wyniknie; za trzy dni początek roku szkolnego i pokoiki zapelnia się ich mieszkankami. Istotnie, w ciągu tych kilku dni szkoła zaroila się od dziewcząt...

Hankę z Maryską przeniesiono na korytarz, za przepierzenie wciśnięte między dwie licealne klasy. Tam je zakwaterowano. „Naukowo“ zaś należały do drugiej licealnej B. Za przepierzeniem umościły się całkiem wygodnie i nieźle zagospodarowały. Na lekcje miały tylko „krok“... w przerwach „przyjmowały“ u siebie. Towarzyskie zebrania dabrze były „podkadzane“ i często wbrew zakazowi z za przepierzenia strzelały w górę dymne sygnały. „Zaczyna być miło“ — mawiały do siebie Hanka z Maryską. Oprócz dwóch łóżek należało do nich także okno — wielkie korytarzowe okno, wychodzące na płaską część dachu bazyliki. Po dachu tym od czasu do czasu przechadzali się braciszczkowie zakonni, niczym duchy w świętości wielkiej zatopione, nieświadomi obecności mieszkanek, dla których okno owe stawało się werandą, tarasem, gankiem dworku, zależnie od potrzeby chwili. Okno to było inne, niż wszystkie okna — było bez widoku, bo potężny fronton bazyliki przysłał miasto i to, co z bytowaniem ziemskim związane było. Za to okno zbliżało do nieba, odrywało od rzeczywistości, pozwalało zatracić się w bezmiarze.

W skutek tej ich skłonności do „zatracania się“, niewinne okno wpłynęło pośrednio na bieg wypadków, po których Maryśka aż do końca roku uczyła się historii ze wzmożoną energią. Źle na tym nie wyszła oczywiście! Incydent sam w sobie był raczej zabawny i wcale nie groźny. Zaczęło się od prania i suszenia niewymownych a jakże niezbędnych szpargałków damskiego przyodziewku. Okno, które nieba sięgało, poprostu nie można było sprofanować wieszaniem bielizny. Znalazły inne rozwiązanie, rozciągnęły sznurek na korytarzu, za przepierzeniem, na zewnątrz „domu“ jak gdyby... Nagle rejwach, gwar, ostre słowa, wydziwianie:

„Co to za porządki! Co te majtki i staniki robią na szkolnym korytarzu?!“ Maryśka pobudliwsza, wypadła zza przepierzenia.

„Jakto co robią? Schną oczywista! Zdjęć natychmiast — a czemu? Co mokre — schnąć musi! Czy koleżanka nie zdaje sobie sprawy z podstawowych wymogów higieny osobistej?“

Koleżanka, drobna, szczupła, o kasztanowym odcieniu włosów i naramiennikach jakichś odmienionych, zażądała kategorycznie zlikwidowania suszarni. Maryśce przyszło do głowy, że to pewnie smarkata służbowa przejęta swoją rolą taki tu szum robi i władzę roztacza, więc może i lepiej ustąpić?... Niech się cieszy sukcesem. Niech ma poczucie spełnionego obowiązku. Skapitulowała, zachowując jednak głębokie przekonanie o własnej słuszności.

Następny dzień. Pierwsza lekcja historii. Do klasy wchodzi owa „smarkata służbowa“.

„A... mamy nowe“ — powiada i patrzy na Hanke długo, przenikliwie... i wreszcie przenosi wzrok na siedzącą obok Maryśkę.

„Z panią to myśmę się już poznały. Nie od najlepszej strony...“ — rzekła ze specyficznym uśmieszkiem, który ścinał krew w żyłach. Maryśka zamarła. „Sprawiłam sobie własny historyczny pogrzeb“ — zdołała jeszcze pomyśleć. Jednak tak źle nie było! Z czasem wyspecjalizowały się, jak zresztą wszystkie uczennice, w odróżnianiu i rozumieniu tych uśmieshowych niuansów, którymi darzyła i prowokowała klasę pani profesorka Bronclowa. Istotnie, jak wykazało doświadczenie, ów specyficzny uśmieszek nie wróżył nigdy nic dobrego, ale za to zmuszał dziewczęta do wysiłku. Od tego małego incydentu Maryśka uczyła się sumiennie i nawet umiała historię. Zdała ją na piątkę pięknie wpisana do świadectwa dojrzałości.

Maria Suracka-Muchlińska

PO RAZ TRZECI

20 maj 1942 r... Pamiętam, jak dzisiaj. Bo czyż mogę zapomnieć dzień, w którym zrobiłam pierwszy samodzielny krok, ponosząc całko-

witą odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale i za grupę 40 dziewczynek, które miałam dowieźć z Kermine do Guzar, do Szkoły Junaczek. Pamiętam... serce waliło mi jak młotem tak, że nie słyszałam nawet sygnału odejścia pociągu, ani rytmicznego stuku jego kół. Ock.:ęłam się jednak szybko. Trzeba było myśleć za 40, ba — i więcej nawet, gdyż przewoziłam nielegalnie jakieś rodziny jeszcze. Miałam wtedy dwa marzenia. Dowieźć dziewczynki zdrowo i cało do Szkoły, pozostać z nimi razem, gdyż przywiązałam się do nich podczas drogi, i drugie — móc wstąpić w szeregi P. S. K. Pierwsze spełniło się szybko, pozostałam w Karkin-Batasz jako opiekunka grupy 18-tej, ale z drugim było trochę gorzej, a zdawało się kwestią coraz bardziej dla mnie palącą. Całą obsadę szkoły stanowiły ochotniczki, nas cywilnych było zaledwie kilka. Ciągłe zwracanie się do mnie: „Dlaczego junaczka...“, „Czy junaczka wie, że...“ itd., doprowadzało mnie do rozpacz. Uważałam się wtedy za bardzo dorosłą, byłam przecież opiekunką grupy kilkudziesięciu junaczek i chyba tylko mundur mógłby mnie wtedy wybawić od tłumaczenia każdemu z osobna, że ja... itd., itd.

Aż przyszedł upragniony dzień. Pamiętam, pobiegłam aż nad rzekę, by przegłębnie się w wodzie jak wyglądam. Stwierdziłam, że wsporniale, ale jakoś wcale powagi mi ten mundur nie dodał.

Tak zaczął się mój pierwszy okres w szkole. Przyłgnęłam do niej, wzrosłam w nią całkowicie. Przyłgnęłam do tego tysiąca zbiedniałych, schorowanych, opuszczonych dziewcząt, którym szkoła zastępowała dom, rodzinę... wszystko. A my może więcej byliśmy dla nich starszymi siostrami, opiekunkami, aniżeli instruktorkami.

Okres był ciężki, epidemie szalały, co dzień ktoś odchodził, by nie wrócić nigdy, ale może to właśnie stanowiło jeszcze silniejszą więź. Tworzyłyśmy jedną rodzinę. Było nam ciężko, ale było nam dobrze razem.

Aż wreszcie przyszedł okres ewakuacji z Rosji. Zmieniło się wiele. Szkoła Junaczek stała się oddziałem wojskowym, podzielonym na kompanie, plutony. Codziennie wybrzeże Morza Kaspijskiego roilo się od „dziewcząt w mundurkach“ (tak nas wtedy nazywano), które z piosenką żołnierską na ustach maszerowały zwartymi kolumnami, odbywały musztrę, ćwiczenia. W tym okresie byłam na funkcji komendantki kompanii. Kompania liczyła ponad 200 junaczek, ale już innych. w mundurach, wesołych, roześmianych.

I znów droga, a na jej końcu cel naszej podróży — Palestyna. Zielona, cudna, pachnąca.

Nastąpiła reorganizacja Szkoły Junaczek. Zmieniono nazwę na S. M. O., podzielono na gimnazjum i szkołę powszechną i rozpoczęła się regularna nauka. Coraz więcej sprzętu, pomocy naukowych, książek

— ale i coraz więcej słuchaczy. Z oddziałów P. S. K. zaczęły ściągać licznie ochotniczki odkomenderowane na naukę.

Powstał projekt utworzenia liceum humanistycznego. Zapał ogarnął i mnie.

Komendantka kompanii 2-giej stała się... młodszą ochotniczką, uczennicą kl. II. lic. Pamiętam było to 5. I. 1943. Z tą datą rozpoczęłam swój drugi okres w szkole.



Instruktorci — Rehovoth 1943

Było nas 22 w klasie. Skąd się wzięły? Ach zewsząd! Były tam i siostry P. C. K. i świetliczanki i komendantki i kierowniczynie. Wszelkie różnice zatarły się szybko. Żyłyśmy się, zespoliła nas książka, wspólna praca. W szybkim czasie stanowiliśmy jedną zwartą grupę „dziewcza-

ków". Głupstwo, że pierwsze lekcje odbywały się „po turecku“ na kocach, że nie miałyśmy dostatecznej ilości pomocy naukowych. Można było sobie poradzić, ucząc się na dwie zmiany do 2-giej i od 2-gjej w nocy. Uczyłyśmy się, przygotowywałyśmy się do egzaminu dojrzałości i to najważniejsze.

Miała to być pierwsza matura w S. M. O. Czy dlatego, czy z innych jeszcze powodów — nie wiem, byłyśmy pupilkami Szkoły. Pani Bronia Spólnik podsuwała nam zawsze dodatkowe porcje, siostra Grudzińska chodziła za nami ze strzykawkami, lekarstwami, a wychowawczyni nasza p. Broncel najchudsze co dzień pakowała do łóżka o godz. 23.00 (nie nie pomogło, za 10 minut wyskakiwały i one z łóżek i nauka szła dalej). Przez palce patrzono na nasze „odprężenie po nauce“, wyrażające się w bitwach skórkami od pomarańczy, wyprawach nocnych na „Łysą Górę“ i innych eskapadach, kończących się hymnem „Oj maturo, raz się żyje“, lub „To druga liceum, najmilszych dziewcząt tłum“.

Czy tak bardzo najmilszych? Oficer służbowy miałby tu wiele do powiedzenia.

1. VIII. 43 otrzymaliśmy nasze świadectwa dojrzałości. Z żalem opuszczaliśmy szkołę, żegnając się z naszymi wychowawcami. To był dla nas tak miły okres — chyba nie zapomnimy go nigdy.

Poszłam do wojska, do pracy, gdyż nie było w owym czasie możliwości dostania się na uniwersytet. Praca świetliczarska, wymagająca dużego wkładu i oddania się, pochłonęła mnie całkowicie. Gdzieś od czasu do czasu wyrastało przede mną nieziszczalne jakby zdawało się marzenie o studiach, przygłuszone obowiązkiem pracy. Trzeba było czekać.

Przeszła wojna, ucichły odgłosy walk, a przed nami młodymi otworzyły się wrota wyższych uczelni. Wyjechałam do Bejrutu z zamiarem pójścia na studia handlowe.

Znów książki, praca tym uciążliwsza, że trzeba było pokonać trudności językowe. Weszłam w tryb życia studenckiego, w grono młodych, pełnych zapału i ideałów ludzi, gdzie ścierały się ze sobą poglądy, hasła, światy. Niestety nie na długo. Po rocznym pobycie, podczas którego skończyłam „Sophomore Arts“ musiałam wrócić do wojska, w związku z likwidacją naszych oddziałów na Śr. Wschodzie.

I wróciłam. Dokąd? Oczywiście do S. M. O. Tu przecież włożyłam mundur P. S. K., tu składałam egzamin dojrzałości, więc tu chcę pracować dalej.

I jestem... po raz trzeci. Czy zmieniła się Szkoła? Chyba tak. Gmachy, sale, świetlice, biblioteki, nowe twarze, nawet nowe szkoły: Liceum Pedagogiczne, Gimnazjum Kupieckie. Na zewnątrz wszystko bardziej oficjalne, bardziej ułożone w pewne ramy organizacyjne

i wojskowe. A od wewnątrz? Ta sama wyęźniona nauka, ta sama troska ze strony władz o zapewnienie jak najlepszych warunków i co bardziej charakterystyczne i mile — ten sam uśmiech.

Czyj on jest? Nie wiem... Komendantki? Dyrektorki? Nauczycieli czy uczennic?

I wszystkich i nieczyj specjalnie.

To jest uśmiech Szkoły i po tym ją poznałam.

Nuna Strzelec
„Uśmiech“ 1946

ZNOWU W GNIEZDZIE

Pogrążona w rozterce po uwagach, na które nie znalazłam odpowiedzi, zaczęłam na pocieszenie myśleć o niedawnych jeszcze czasach, kiedy to sama jeszcze byłam uczennicą. O ile wtedy było wygodniej! Uczennica bowiem może krytykować. Każdy z nas bodajże doznał rozkoszy krytyka. Zarzucał, dąsał się i wysuwał cały szereg teoretycznych rozwiązań sprawy. Wówczas było w porządku, był krytykiem pozytywnym, nie tylko ganił, lecz dawał rady idealne, a nawet logiczne. Krytyka była specjalnością naszej klasy. Dziś naprawdę współczuję szczerze Reni, naszej młodej instruktorce, która z takim trudem przygotowywała przemowy o dobrym wychowaniu, obowiązkach, mające z nas zrobić ideały, a które często obracaliśmy w żart. Początkowo raziło mnie to, przyszłam bowiem do szkoły wprost z zaszczytnego stanowiska wychowawczyni w Isfahanie i miałam tę ogromną wadę, że na wszystko patrzyłam oczyma nie uczennicy, lecz wychowawczyni. Całym też sercem stałam po stronie naszej instruktorki i usiłowałam zawsze podporządkować się jej zarządzeniom. Lecz i mnie niekiedy wydawały się one uciążliwe. Na przykład — co za pomysł gasić światło o 10-tej, jeżeli nazajutrz ma się klasówkę matematyczną, albo wstawać na pobudkę, jeśli zdąży się 10 minut przed zbiórką.

Z czasem, dokonana się we mnie zmiana. Coraz mniej uwagi zwracałam na wszelkie zarządzenia i muszę wyznać, coraz lepiej się z tym czułam. Jednym słowem stawałam się normalną uczennicą. Szczęśliwie, że ze względu na stan zdrowia zostałam zwolniona ze ze zbiórek, musztry, spacerów, mogłam wstawać o 7-mej, zamiast o 6-tej rano. Inne niedogodności usiłowałam wraz z koleżankami omijać, nie przekraczając zarządzeń, a więc o 10-tej światło było zgaszone, a my podejrzanie spokojnie leżałyśmy w łóżkach. Około 11-tej, gdy wszelkie inspekcje i kontrole ustawały, wstawaliśmy i zasiadałyśmy do książek. Czarna kawa pomagała w utrzymaniu trzeźwości umysłu. Obowiązywał absolutny „black-out“, rolety szczelnie zasłonięte, w dziurce od klucza

wata, ścierka od podłogi w szparze, między posadzką a drzwiami. Raz zostaliśmy haniebnie „nakryte“ przez bystrego oficera inspekcyjnego. Wszystkiemu była winna latarka. Oświetlony znieacka pokój zdradził przygotowania do nocnej nauki. Pięć mieszkańek leżało nieruchmo pod naciągniętymi pod szyję kocami. Na stole rozłożone zeszyty, pod jednym z łóżek bezgłośny prymus spełniał swą cowieczorną funkcję, — czarna kawa roztaczała przyjemną woń.

Smutno się to „nakrycie“ skończyło. Ściągnięte z nas koce ukazały od stóp do głów ubrane postacie. Baśka w mundurze i pasie głównym, ja w szlafroku, Irka, o wstydzie, w bucikach! Prymus z kawą został wyciągnięty na środek pokoju, a my wszystkie dostałyśmy porządną „pucówkę“. Na nasze usprawiedliwienie muszę dodać, że wszystko to robiliśmy w imię wiedzy.

W szkole panują manie. Niektóre klasy gremialnie przepisują zeszyty na czysto, inne noszą kolorowe chusteczki w zawiniętych rękawach. Jeszcze inne „uwielbiają“ tego czy innego pisarza. My miałyśmy manię uzupełniania wiadomości i byłyśmy w tym tak zachłanne, że żadna z nas nie mogłaby pogodzić się z tym, aby inna przeczytała więcej od niej książek. To było niebezpiecznie zaraźliwe. Wskutek tego nocnego „doksztalcania się“ coraz trudniej było nas się rano dobudzić, coraz bardziej spóźniałyśmy się na zbiórki i w ogóle byłyśmy „wyższe“ nad wszelkie sprawy regulaminu.

Renię traktowałyśmy po koleżeńsku; została wciągnięta w tajemnice klasowe, poza tymi, które dotyczyły regulaminu, bo pod tym względem była nieubłagana surowa.

Odeszłam ze szkoły z najmiłszymi wspomnieniami drobnych i większych przekroczeń. Jak to o 2-giej w nocy ogłuszone kuciem robiłyśmy przerwę, by podziwiać „taniec w moskiterze“, Kity i kuplety Jadźki. Jak to Baśka codziennie miała awanturę za noszenie śniadania na górę, jak oficer inspekcyjny złapał Czeškę prasującą mundur w nocy w łazience, jak siostra goniła nas na korytarzu z wygotowaną strzykawką.

Ale... fortuna kołem się toczy.

I na mnie przyszła kolej.

Po roku studiów w Bejrucie przyjechałam znów do szkoły, ale tym razem na przydział i to przydział wychowawczyni. Do moich obowiązków należy już nie wstawanie, ale budzenie dziewczynek na pobudkę i tu w tajemnicy muszę powiedzieć, że pomnąc nasze żale, przychodzę je budzić o 15 minut później. Mają takie zaspane miny; zresztą i tak zdążą. Muszę pilnować by o 10-tej było zgaszone światło i wysłuchiwać przy tej sposobności szeregu uwag w rodzaju tych, jakimi my szafowałyśmy tamtego roku. W tym jednak względzie jestem nieubłagana, zwłaszcza, że dziewczęta mieszkają na ogólnych salach

i z pewnością większość chce spać. Na ogół rozumiem dziewczęta, ale już złapałam się na tym, że wiele rzeczy u nich mnie razi. Na przykład — jedna z młodszych koleżanek opowiadała mi o kawałach, jakie wyczynia jej klasa, a na moje uwagi na ten temat powiedziała „no, ty jesteś pojętną uczennicą! Już po tygodniu pracy rozumujesz jak belfrada“.

Chciałabym się ustrzec tego. Przystąpiłam do rewizji poglądów. Usiłuję wprowadzić w życie wszelkie moje teorie na temat pedagogicznego postępowania, a spostrzeżenia, które poczyniłam jako uczennica, mają mi w tym pomóc.

A Renia, teraz uczennica (jak to rzeczywiście fortuna kołem się toczy), śmieje się i mówi: (z doświadczenia widać) Zobaczysz, jak to będzie...

Isia Witwicka
„Uśmiech“ 1946 r.

ABSOLWENTKI S. M. O.

EL-KANTARA

1

Godzina 24.00. Cały szpital pogrążony w głębokim śnie. Od czasu do czasu błyszczą posuwające się światełko. To siostra dyżurna obchodzi swoje sale. Na internie dyżuruje dzisiaj Krysia, na chirurgii — Danusia.

Jak nas tutaj jednak jest dużo! Dziewczęta nasze pracują na najróżnorodniejszych placówkach. Jedne w centrali telefonicznej, inne w sklepikach, jeszcze inne w studio obozowym. Największy procent — w sanitariacie w charakterze sióstr i sanitariuszek. Spotykamy się często idąc do pracy i pozdrawiamy naszym uśmiechem z S. M. O. Nawet te dziewczynki, które w szkole znałam tylko z widzenia, są mi bliskie, swoje.

Najczęściej tematem naszych rozmów, są wspomnienia z lat szkolnych, lecz choć mało mamy czasu na towarzyskie pogawędki, przecież czujemy, że mamy coś wspólnego, coś po czym nas poznają inni.

Jeden z chorych kiedyś powiedział mi: „Siostrzyczka jest „nazaretanką“, a kiedy zrobiłam zdziwioną minę, dodał: — tak ... na pewno, bo siostrzyczka ma „nazaretański“ uśmiech.

Zastanowiłam się nad tym, czy naprawdę istnieje ten „nazaretański“ uśmiech. Stwierdziłam, że tak, bo przecież kiedy przyszłam do szpitala na kurs, zastraszona nie wiedząc jak zacząć swoją pracę, to ten uśmiech koleżanek z Nazaretu dodał mi otuchy.

Dzisiaj jestem już siostrą. Na mojej sali leżą dziewczynki z S. M. O. Różnicę między nimi a innymi chorymi widzi się już po starannym posłaniu łóżka, po lalce, małpce, czy misiu siedzącym na poduszce, po porządku na szafce. To wszystko są zwyczaje nazaretańskie, od których uczennice nawet w szpitalu nie chcą odstąpić.

Pewnego razu, pamiętam była to niedziela, na sali już o godz. 6.30 ruch i krzątanie. Zdziwiona wchodzę zobaczyć co się stało, okazuje się, że to „nazaretanki“ wybierają się jak zwykle na nabożeństwo. Dziwna rzecz, że żadna z pozostałych chorych nie denerwowała się, nie żaliła, na zbyt może głośnie przygotowanie, a przeciwnie, wszystkie były w dobrych humorach, jakieś rażniejsze, weselsze.

Do S. M. O. jadę na każdy urlop. Kiedy byłam na Boże Narodzenie, to w szkole był istny zjazd absolwentek. Spotkałam prawie wszystkie swoje koleżanki, które przyjechały, aby to rodzinne święto spędzić w starych murach, w dawnym gronie. Dziwna rzecz, że przecież nie umawiałyśmy się na ten przyjazd, a było nas tak bardzo wiele. Witano nas wszędzie serdecznie jak kogoś bliskiego, na kogo się czeka.

W szkole nic się nie zmieniło. Ten sam gwar, te same śmiechy, te same krzyki, takie same życie jak za „naszych czasów“.

Szybko mijały dni urlopowe i trzeba było wracać do pracy.

Wiemy jednak, że za parę miesięcy znowu spotkamy się wszystkie na świętach, czy przy innej okazji w starym gronie.

Co nas ciągnie do tej szkoły? Czemu szkołę uważamy za nasz dom? Przecież czasem siedząc w klasie narzekaliśmy. Dziś jednak zdajemy sobie sprawę, że to czym jesteśmy w dużej mierze zawdzięczamy szkole.

Baśka Pstrokońska
„Uśmiech“ 1946 rok

2

Po skończeniu w S. M. O. kursu sióstr P. C. K. zostałam odkomenderowana na 3-miesięczną praktykę do szpitala w El-Kantarze.

Po kilku dniach mojej pracy szpitalnej, przybyło kilka chorych dziewcząt z Nazaretu i zostały przydzielone do mnie. Nie mogłam poznać swojej własnej sali. Wygląd jej i nastrój nagle się zmienił, jak gdyby w jakiś czarodziejski sposób. Dziewczęta wniosły ze sobą ruch, gwar, uśmiech, młodość i zaraziły tym zespół chorych.

Zaszedł nagle fakt nie do przewidzenia: starsze chore poddały się „despotyzmowi“ młodych. Dziewczęta, mianowicie, zdecydowały, że „żeby nie zachorować, trzeba coś przecież zrobić“ i zainicjowały warsztat trykotarski. Inicjatywę przyjęto z zapałem i nie było osoby, która nie robiłaby na drutach swetra lub szalika, nie było łóżka bez

włóczki i drutów. Nawet lalki, które wiernie towarzyszą dziewczętom, doczekały się odświeżenia przynieszonej nieco garderoby.

Z wychowankami S. M. O. spotkałam się zresztą nie tylko na sali chorych. Wśród już zweryfikowanych sióstr szpitala w El-Kantarze jest sporo absolwentek ze szkół nazaretańskich. Przyjęły mnie, swoją dawną instruktorkę, nad wyraz serdecznie. Jako na tym terenie „starsze“ i bardziej doświadczone, pomagały mi życzliwie stawiać pierwsze kroki nowicjuszek w siostrzanym zawodzie.

Odwrócenie stosunku służbowego zdarza się w S. M. O. często. Na kursach zawodowych kadra zasiada na szkolnej ławie, z drugiej strony znów uczennice nasze dorastają i siłą faktu same wchodzą następnie w skład „kadry“. Przyjacielski i serdeczny stosunek między starszymi a młodszymi na tym jedynie zyskuje i wytwarza silną więź solidarności i zbiorowej odpowiedzialności.

Irena Müller

„Uśmiech“ 1946 rok.

„OJ MATURA“... (Pierwsze matury w S. M. O.)

„Niedawno, bo zaledwie z górą rok temu, dokonano w S. M. O. śmiałego czynu i to tym śmielszego, że dokonano go w warunkach zgoła niesprzyjających: w braku programów, podręczników, kompletnego składu nauczycieli i dostatecznej liczby uczennic — sięgnięto po najwyższy stopień organizacyjny szkoły średniej: po pełne liceum“. W takich słowach przypominał dyr. por. Poźniak w przemówieniu na rozdaniu matur w lutym tego roku do drugich już maturzystek niezwykle trudności, w jakich tworzono liceum.

W pierwszych dniach rozpoczęcia roku szkolnego, w styczniu 1943 r. w klasie drugiej licealnej było tylko 6 uczennic, które znajdując się na terenie Palestyny, wcześniej zdołały się dostać do szkoły niż in.e. Ale wieść o powstaniu liceum szybko rozeszła się po różnych oddziałach PSK i stopniowo coraz to nowe ochotniczki uzyskiwały odkomenderowanie dla ukończenia nauki.

Przyjechały do szkoły pełne zapału i chęci do pracy, ale nastraszone i nieufne. Bo i jakże miały się nie obawiać. Szkoła i wojsko!

A więc podwójny rygor — ciągle stawanie na baczność, ciągle „Tak, pani profesorko! nie, pani profesorko“. A one do szkoły, w swoim przekonaniu, już się nie nadawały. Czuły się tak bardzo dorosłe, miały za sobą tyle tragicznych przeżyć, pełniły odpowiedzialne funkcje, były samodzielne, nieraz miały już stopnie przodowniczek, czy nawet komendantek, miały narzeczonych, myślały o bliskim małżeństwie. Matura za parę miesięcy, a tu żadna nie pamięta kursu klasy 1-szej licealnej, bo albo ją przeszła w szkole sowieckiej, gdzie niczego się

nie nauczyła, albo było to tak dawno, że niczego już nie pamiętała. Jakże więc przedzierzgnąć się w grzeczną uczennicę, jakże wrócić do nauki?

Niemniej i my, nauczycielki, obawiałyśmy się tych „nowych“. Same wracając do pracy po czteroletniej przerwie, miałyśmy odświeżyć swoją wiedzę, zdobyć choć trochę książek, zwalczać tysiąc trudności, które piętrzyły się przed nami, gdy każda musiała sama starczyć za nauczyciela, podręczniki, bibliotekę, gdy każde słowo wykładu musiało mieć pełną wagę i odpowiedzialność. Na kłopoty natury wychowawczej nie miałyśmy ani sił, ani czasu. Przypuszczałyśmy zaś, że te dojrzale panny sprawią nam niejeden kłopot. Obie więc strony szykowały się do wspólnej pracy z pewną obawą i nieufnością. Ale poszło lepiej, niż można się było spodziewać.

Dziewczęta zdobyły serca szkoły za jednym zamachem. Nie można było nie pokochać tych dziewcząt żywych, wesołych, odważnych. Bo naprawdę były odważne — z zapalem, na który tylko młodość umie się zdobyć, porwały się na pokonanie wszelkich trudności. Wytrwale, z pełnią dobrej woli przedzierały się przez chaos tysiąca wiadomości, jakie na nie spadły. Powoli mroki się rozjaśniły, praca ciężka, ale jasna zarysowała się przed nimi. Głód zaś nauki był uderzający, niczego nie wydawało się być za dużo. Raczej ciągle powstawały obawy, że uczą się się za mało. „Proszę pani, czyż można zdawać maturę, nie czytawszy „Chłopów“, czyż mogę iść do matury ja, co nie wiem o wyprawach krzyżowych?“ Jak zdobyć książkę, jak się nauczyć więcej, to była ich ciągła troska.

Rygor szkolny też nie okazał się straszny. Zbiórek było mniej niż w oddziałach, oficjalne formy możliwie jak najdalej odrzucone. Przedzierzgnięcie się więc w uczennicę nastąpiło jakoś samorzutnie i bez przymusu. Po kilku tygodniach te dziewczęta ze wszystkich szkół w Polsce i ze wszystkich oddziałów w wojsku stanowiły klasę zżyłą, serdeczną, koleżeńską. Będąc oczkiem w głowie szkoły, płacili sercem za serce. Przez cały czas pobytu w szkole ochotniczek odkomenderowanych, nie było z ich strony ani jednego wybryku, nie spotkała nas ani jedna przykrość. Ich dorosłość pozostała tylko w świadomości celu, jakie sobie wytknęły, w powadze podejścia do nauki, bo poza tym wróciły ich lata szkolne, tak brutalnie przerwane przez wojnę. Były znów uczennicami, umiały się martwić i cieszyć jak dzieci. Stały przed nimi nagle wszystkie problemy, jakie wysuwa literatura. My kiedyś te wzruszenia i problemy przeżywałyśmy stopniowo, powoli. One wyjeżdżały z Polski jako dzieci prawie, potem nie czytały długo nic, aby wrócić do lektury po czterech latach jako dorosłe dziewczyny. A więc niekończące się nocne dyskusje, uniesienia i klótnie, namiętne wypowiedane poglądy. A nagle, gdy zbyt zmęczyły się nauką lub

wyczerpały dyskusją, przychodziło odprężenie. Z baraku ich dobiegało w najbardziej nieoczekiwanych porach wytupywanie „czeczotki“ lub wesoly chórally śpiew: „Oj matura, raz się żyje“...

Dla nas obserwacja tych dziewcząt stała się źródłem wiary w polską młodzież. Widziałyśmy w nich idealizm, któregośmy już nie oczekiwały, gorącą wiarę, zapał, czystość serc, miłość do domu rodzinnego i Kraju.

Poza bardzo Nielicznymi jednostkami Rosja nie zdołała tych dziewcząt wypaczyć ani złamać. Młodość okazała się potężniejsza, niż zło, o które się otarły.

Krótki okres nauki szybko minął. Przyszła matura uwieńczona sukcesem. Osiemnaście matur zostało zdobytych. Ówczesny przewodniczący dr. Kurdybacha, człowiek stojący zdala od szkół i od wojska, ocenił ich poziom jako „więcej niż dobry“. „Doskonały wynik egzaminu był zwycięsko wygranym wstępnym bojem młodszych ochotniczek“ (z przem. dyr. por. Poźniaka). Mając mniej wiedzy niż maturzystki przedwojenne, górowały nad nimi wyrobieniem i dojrzałością umysłu. One same odchodziły pełne poczucia, jak niewiele się zdołały nauczyć. „Jeżeli ze szkoły ma mi pozostać tylko tyle, że wiem, jak mało umiem i wiem czego się jeszcze chcę nauczyć, to już warto mi było pracować i spędzić tu parę miesięcy“ — tak żegnała nas jedna z nich.

Droga jednak była już utworowana. Napłynęło nowych ponad pięćdziesiąt. I znów gorączkowa praca, znów wysiłek ogromny, znów przerabianie nieraz kursu dwóch klas w kilka miesięcy. I znów ten sam cud odradzania się młodości. Te nowe dziewczęta tylko potwierdziły obserwacje czynione nad poprzedniczkami.

To samo zwycięstwo szkoły, szybko asymilującej nowe wychowanki.

Druga matura w S. M. O. też była uwieńczona sukcesem. 48 maturzystek otrzymało świadectwo dojrzałości, 2 z wyróżnieniem, 33 z wynikiem bardzo dobrym i dobrym, reszta z zadawalającym.

Otrzymały maturę, pożegnały szkołę ze łzami i wyfrunęły w świat. Obecnie już nie ma w szkole dziewcząt odkomenderowanych z PSK dla uzyskania dużej lub małej matury. Są uczennice „rosnące“ w szkole, normalnie przechodzące z klasy do klasy. Praca jest o wiele spokojniejsza i łatwiejsza.

Ale, ale właśnie za tamtymi tęsknimy, a często i serdeczne listy są dowodem więzi, jaka została między nimi a szkołą.

W pracy nauczycielki tak wiele uczennic się przewija, tyle twarzy z czasem się zaciera i niknie w pamięci. Tamtych jednak napewno się nie zapomni, właśnie dlatego, że były takie inne i takie bardzo kochane, że wspólnie przepracowało się ciężko szereg miesięcy; wspólnie przeżyło się emocję pierwszych matur w S. M. O.

Hanna Broncel
„Junak“ 1944

JESZCZE JEDNO WSPOMNIENIE — MATURA

Brrr... jak zimno! Nie — jak strasznie gorąco. Choć sama nazwa miesiąca jest jakaś mroźna, luta, dla nas był to jeden z najgorętszych okresów w życiu. Nadszedł oczekiwany dzień 10/II.

— Musicie ładnie wyglądać. Jednolicie, schludnie, skromnie i bezpretensjonalnie!“

Życzeniu stało się zadość. Wtorek rano 49 kandydatek rażno wyruszyło sprzedawać swoje wiadomości. Wszystkie jak spod igły!...

Pierwsze kroki skierowały do kościółka Rodziny Świętej. Nigdy ściany tej pięknej świątyni nie słyszały tak szczerych, gorących i b'agalnych modlitw jak teraz. Zbiórka na dziedzińcu szkolnym i do „Casanowa“ — miejsca ścięcia. Odcinek między głównym budynkiem szkoły a „Casanową“ rozbrzmiewał potężnie pieśnią „Myśmy przyszłością Narodu“. Wśród nas ukochana wychowawczyni pani profesorka Dobek, ale i siostra, matka — jak kto woli — której postać nigdy nie rozłączy się z obrazem szkoły. Nie wiem, czy kiedykolwiek istniał i czy powtórzy się tak serdeczny stosunek uczennic do profesorki i odwrotnie.

Jesteśmy już w „Casanowa“ na parterze. Na pierwsze piętro wstęp wzbroniony! Ciągłe te narady, konferencje, poprawki... Ach Boże! A my... Rozsypane w tyralierkę po dużym klasztornym holu czekamy, niecierpliwimy się, denerwujemy. Jedne stoją mileząco w różnych kątach sali, drugie spacerują i wymieniają po raz ostatni najważniejsze myśli z dzieł poetów i pisarzy, jeszcze inne grupują się w „wianki“ i wisieleczym humorem starają się zabić niepokój, trwogę, po prostu — strach. Udawało się to z mniejszym lub większym skutkiem. Grupa śmiałków — urządziła nawet popis tańców przy wtórze chóru rewelers'ek. No, a o palaczkach nawet nie wspominam, bo primo młodszą ochotniczką nie pali, secundo: trudno było zobaczyć taki okaz z za zgęszczonych kłębów sinawego dymu, który rósł, w miarę zdenerwowania sprawczyni tego zjawiska. Obserwacja była uniemożliwiona.

Nareszcie pani prof. Broncel dała znak: „Chodźcie, możecie wejść!“ Pomalu formuje się coś w rodzaju dwójek, trójek, czwórek i niepewnym krokiem suniemy po kamiennych stopniach. Przed drzwiami ostatnie westchnienie: „Boże wspieraj, Boże ratuj“ — lub u wojowniczych: „Pokażę, co umiem!“ Powoli sala-aula OO. Franciszkanów wypełnia się zielonymi mundurkami.

Sławny, historyczny, zielony komisyjny stół, treść koszmarnych, przedmaturalnych snów stanowi przepisowo front i cel strwożonych spojrzeń delikwentek. Jednoosobowe stoliki czterema rzędami dzielity salę i zapraszały do zajęcia miejsca! Na każdym wizytówka (jak na proszonym obiedzie).

Każda prawie przyciska kieszenie frencza. W wyższych kondygnacjach tzn. w kieszeniach górnych: w lewej — fotografie najdroższego, w prawej — podobizna patrona lub innej ulubiczej świętej, w dalszych amulety: słonie, skarabeusze poświęcane w świątyni Życia w Tebach, i inne maskotki. (Broń Boże ściągawki...). Akurat wystarczyło czasu do wyszeptania odpowiednich zaklęć, gdy rozległ się głos przewodniczącego. Część oficjalna, jakieś dodatki z urzędu, uwagi, artykuły... ale prędzej! — jakie tematy? Ach! miejcie litość nad nami! Prędzej! no... nawet nie takie straszne.



Ostatnia matura Liceum Ogólno-kształcącego w Nazarecie 1947

Przewidziano cztery arkusze kancelaryjnego papieru. Tymczasem w miarę przesuwania się wskazówek zegara pióra błyskawicznym tempem wypełniają arkusz za arkuszem, jeszcze dwa, jeszcze dwa... maksymalna granica — 20 stron za 5 godzin pracy.

Mnożą się „dzieła“ o dziełach Mickiewicza, Słowackiego, Kraśińskiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego, Prusa, Reymonta i w. in.

Zapowiedź: proszę kończyć. Jeszcze 45 minut, jeszcze 30, 25, 15, 10. No — koniec. — Proszę oddawać! Chrzest maturalny odbyty. Pierwszy dzień przeminął.

Z powagą, z wrzaskiem, z uśmiechem, jakieś łżejsze, uspokojcne powracamy do „domu“. I tu rozpoczynają się opowiadania, zwierzenia, relacje, owacje, zrazu chaotycznie, a z chwilą przyjsia naszej opiekunki na zebranie rodzinno-klasowe — planowe.

— Powiedzcie dziewczynki, jak wam poszło. Każda w myślach czyta oddaną pracę, krytykuje, dzieli się własną opinią. „Tygrys“ rozprawia zawzięcie, „Kogut“ pewny siebie dodaje uwagi, „Zar“ ciągle narzeka, że nie napisała na temat, miluchna „Kura“ — świadek przeżywa razem z nami każde zmartwienie, piękna „Apolonia“ wodzi przerażonym wzrokiem. „Wamp na zawiasach“ pomrukuje groźnie. Anka-„Pomidor“ nareszcie dziś nie łapie oczek, „Wokulski“ niemo zaciera ręce lub macha z przejęciem w okolicy nosa, kochana „Góralka“ milczy i uśmiechem towarzyszy koleżankom, wyręcza ją zwykle Irka-„Demostenes“, nawet Zosia B. nie chrapie. A w kąciuku — pochylona złota czupryna Hanki — reportera, który stkrętnie uwieńcza w swoim bloku wspólne wzajemne sprawozdanie z „Wielkiego Dnia“ odkomenderowanych sztabaczek.

Słowami „Tylko nie uczcie mi się dzisiaj więcej! Na fiołki, na przechadzkę!“ — żegna nas pani prof. Dobek.

W podobny sposób wykończyłyśmy „Historię“ i „Łacinę“. Przejęte młodsze koleżanki, inne pp. prof. i matki przeżywają razem z nami nasze egzaminy i przy wielkiej życzliwości niechęcący... wymknę się im od czasu do czasu uwaga — Eh, co tam pisemna! Ustna, to kosztuje nerwów! O! Czy Muzy Wiedzy są tak bezlitosne i żądają od nas aż takich ofiar! W odpowiedzi przyciskamy zanadto mocno bijące serce i pełne nadziei — wszak jeszcze 6-10 dni przerwy, przez ten czas można pierwszorzędnie przygotować matematykę, a to teraz najważniejsze. Podciągniemy się. Trzeba jako tako zabezpieczyć naszą „piętę Achillesową“.

Ustną zdajemy na przemian — jedna grupa z „A“, druga z „B“. Zaczynamy my — „B“. Idę w pierwszej trójce, na pierwszy ogień. Zawsze byłam tego zdania i praktykowałam ten sposób niezmiennie przy szkolnych spowiedziach.

I tu „zielony“ stół, komisja ta sama, sala mniejsza, drugi stół dla zdających — coś w rodzaju poczekalni. W rogu pokoju ogromny dzban wody. Nie pamiętam dziś dobrze, ale zdaje mi się, że dyskretnie na tacy — medykamenta, które widocznie „kiedyś“ musiały być w podobnych sytuacjach stosowane i na stoliku coś bardziej interesującego: smaczne kanapki i „cups of tea“ (tyle pamiętam z angielskiego).

„Wielka Matematyczka“ rozpoczyna polski — o Wyspiańskim. Mówi zwięźle, płynnie, ze znaną powszechnie rutyną. Grono komisji nie egzaminuje odpowiedzi, ale słucha z zainteresowaniem, przejęciem o wielkim Wyspiańskim.

Dochodzi południe. Poszło: polski, historia, łacina...

Koniec ustnego egzaminu jest bardziej uroczysty. Wstępem jest... wyproszenie za drzwi! Znowu narada, ale już ostatnia — dojrzała albo niedojrzała. Przez 15, może mniej — może więcej minut zążyliśmy odpowiedzieć na korytarzu co się działo przez kilka godzin za niewielkimi drzwiami, na których widnieje groźny napis: „Wejście wzbronione“.

Czujemy się lekko, już się stało, a co — zobaczymy. Zaproszone z powrotem — wchodzimy... Wszystkie twarze, nie powiem: szanownej, wielebnej, łaskawej, ale kochanej komisji na czele z dyrektorem Poźniakiem, który zdążył nas już ująć (choć wątpię, by o tym sam wiedział) — roześmiane unoszą się znad szarego przed godziną, ale teraz wiośnianie szafirowego stołu. Rozumiemy. Żadna nie spaliła. Uroczyste nieme powstanie. Przewodniczący komisji czyta: mocą konstytucji, według paragrafu, artykułu, punktu takiego a takiego, komisja taka a taka uznaje, że wszystkie panie złożyły egzamin dojrzałości. Oficjalnie uściśnięcie dłoni, gratulacje i jestem wolna jak ptak...

Przyznam się szczerze — zrobiło mi się głupio. Więc koniec nauki, koniec wkuwania, puste dni bez zadań, wykładów, książek... Jakos żal, tak bardzo żal...

Chciałyśmy i zdałyśmy egzamin dojrzałości — praca 5-ciu miesięcy — de iure, de facto — zdajemy go już piąty rok...

* * *

Gdy tęsknimy w P. S. K. zbytnio za Jeninem, Nazaretem, gdy jest ciężko, smutno lub źle, gdy chandra wysuwa swoje macki, płoszymy ją śpiewając na melodię „Sex appeal“:

S. M. O.

S. M. O. — to coś, co nas podnieca.

S. M. O. — co roje drogich wspomnień wniecea

Żar, gwar, śmiech, oho!

Wszystko razem — S. M. O.

Te trzy słowa wiele mieszczą

Ach, któż wie —

Chcesz — opowiem — słuchaj dobrze, jeden z drugim kpie!

W S. M. O. — kujemy naszą broń kobiecą.

W S. M. O. — na serca, rozum, złote iskry lecą
Pojmiesz wtedy — S. M. O.!
Szal nauki — zrozum to.

Zofia Piątek
abiturientka
„Junak“ 1944 r.

ZŁOTY ŁANCUCH

Kiedy na jesieni roku 1943 przyjechałam do szkoły S. M. O. do Jeninu, miałam poza sobą pięć laty pracy jako polonistka w szkole średniej w Polsce i niecały rok w szkole polskiej pod okupacją sowiecką (skąd mnie wyrzucano za patriotyzm polski), oraz zsyłkę do Rosji i służbę w P. W. S. K. 2 Korpusu. „Przygość“ na nieludzkiej ziemi jak również przynależność do P. W. S. K. wiązała mnie więc z góry z przyszłymi uczennicami.

Możliwość uczenia znów w polskiej szkole przyjąłam jako wielkie, oszałamiające szczęście. Nigdy jednak w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że przyszłe uczennice po naukę sięgać będą, jak głodny po chleb. A ten chleb nauki właśnie od samego początku był ościsty i twardy jak kamień. Prymitywne warunki Jeninu: sypialnie — łóżko koło łóżka (innych mebli nie było) mieściły po kilkadziesiąt dziewcząt; małe klasy, gdzie przez ściany z dykty klóciły się głosy wykładających; mieszkania dla nas — po kilka nauczycielek w małych klitkach, brak jakichkolwiek pomocy naukowych.

Pamiętam swoje przerażenie, kiedy Dyrektorka pokazała mi bibliotekę polonistyczną. Zawierała dwa egzemplarze zniszczonego Chrzanowskiego, kilka przypadkowych powieści i powielane teksty z czołowych pisarzy polskich.

Zanim więc rozpoczęła się nauka, powzięłam śmiałą decyzję. Razem z równie zrozpaczoną romanistką objechałyśmy większe miasta Palestyny, szukając polskich książek. Docierałyśmy do polskich Żydów i tam grabiłyśmy ich prywatne biblioteki, czasem za drogie pieniądze, często obdarowywane serdecznym życzeniem, aby służyły „naszym dziewczynkom z Polski“.

Polów był wspaniały. Mogłyśmy zaczynać.

Pierwsza lekcja. Przygotowałam się do niej starannie, stwierdzając, że zapomniałam w jakiś niewytłumaczony sposób najprostszyc rzeczy. Zapomnienia dotyczyły przeważnie dat, często i nazwisk. Zamroczenia przychodziły najniespodziewaniej; na tym pierwszym wykładzie nie mogłam przypomnieć sobie daty urodzenia Mickiewicza. Uczennice moje zaś nie wiedziały nic, mało, nie rozumiały także nic z tego, co do nich mówiłam. A była to klasa druga licealna, którą przez cztery

miesiące miałam przygotować do matury. Nieco lepiej było w pierwszej licealnej i w dwóch trzecich i czwartych klasach. Okazało się, że owa druga licealna w swoim składzie miała dziewczęta, które właśnie zostały do szkoły odkomenderowane z wojska, z funkcji siostr, kantyniarek, drajwerek i od 1939 roku przeważnie nie miały książki w ręku. Wiele z nich, podając ukończone klasy w Polsce, licząc się ze swoim wiekiem i z trudnościami odkomenderowania z wojska do klasy niższej, nie miało ukończonej I-szej klasy licealnej.

Były dorosłe, odważne; obiecywały sobie pracować nocami i wyrównać braki. Straszliwe warunki pobytu w Rosji i ich skutki: liczne choroby i wyczerpania, ogólne, pustynne malarie, a nade wszystko zupełne odsunięcie od życia intelektualnego — wszystko to sprawiło, że zarówno nauczycielki jak i uczennice cierpiały na pewien rodzaj amnezji. Wystarczył jednak nie tak długi okres czasu, aby przypomniały się nabyte kiedyś wiadomości, a nowe były przyswajane niespodziewanie szybko.

Nigdy w całej mojej pracy nauczycielskiej nie spotkałam się z taką żarliwością chłonięcia wiedzy, jak w tej szkole, którą kiedyś nazwałam „przedziwną“. Nigdy nie zapomnę tych twarzy wpatrzonych we mnie, rąk notujących skwapliwie moje słowa. Powoli bierne odbieranie zmieniło się w udział, w krytycyzm przejawiany w dyskusjach, które ukazywały indywidualne, jakże ciekawe sądy.

Ta pierwsza moja i ich matura wyzwoliła obawy i urazy, że nie jestem dobrą nauczycielką. I te dziewczęta z pierwszej matury, choć jakoś rozleciały się bardziej niż inne po dalekim świecie, stały się mi najbliższe, bo nauczyły mnie zaufania do siebie samej.

Przygotowywałyśmy się do matury nie tylko w klasach podczas rannych wykładów. Wieczory spędzałam razem z nimi w sypialniach. Wszystkie w szlafrokach, w wygodnych pozach, odczytywałyśmy lektury (jeśli była tylko jedna książka), uzupełniałyśmy kurs pierwszej licealnej.

Kiedy ku memu przerażeniu wręczyły mi po maturze złotą bransoletkę i Danką powiedziała: „Chcemy panią profesorkę skuć z nami“ — zaiste wybaczyłam im, że łańcuch jest złoty. Stał się symbolem prawdziwej przyjaźni, która trwa całe życie. Z uśmiechem ścigam te wspomnienia, widzę ich twarze zmęczone, zaniedbane włosy, słyszę jak płaczą z rozpaczy, stwierdzając, że nic nie wiedzą. Słyszę jak się kłócą z sobą o głupstwa, jak bronią jedna drugiej w poważnych dyskusjach.

Dopóki nasze wojsko nie odeszło z Palestyny na front włoski, bez ustanku trwał najazd wielbicieli i narzeczonych. Tkwili w kawiarniach przez cały dzień, czekając na przerwę w lekcjach, kiedy wybiegnie do nich wybranka:

„Co ja mam zrobić, proszę pani profesorki, piśmienne przy nim odrobiłam, ale ustne, ustne...?“ mówi zakochana zarówno w nauce jak i w swoim chłopcu Irka. „Czytajcie razem 'Lalkę'“ radzę chytrze. Cóż to za sposobność ocalić miłość i pielęgnować literaturę.

Zdana matura i szczęśliwe małżeństwo z kilkorgiem dzieci cieszy chyba gdzieś w niebie dobrego Prusa.

Inna rzecz, że ta kawiarnia wieczorem była istnym utrapieniem. Nie lubiłam być oficerem służbowym. Na próżno dmuchało się z całej siły w gwizdek, że pora spać, że trzeba się pożegnać. A tu czarna noc dżenińska, a tu w barakach ponoć straszą wymordowani ongiś przez Arabów Anglicy, a tam z nią chłopiec; często jedyna bliska osoba na całym świecie, i ukochana, i niedługo odjedzie na front. Odprawdza pod barak, jakże mi gwizdać nad pochyłonymi głowami, jak ploszyć pocałunek.

„Pan kapitan, srogi wujek,
każdy respekt zna,
narzeczonych nie nocuje,
do hotelu gna.“

Tak skarży się któraś na komendanta placu.

Ale w nocy oficer służbowy jest bez litości. W sypialniach dzieją się cuda. Światło trzeba ciągle gasić, bo zapalają je ustawicznie, aby się znów uczyć, uczyć. Świeczki i latarki elektryczne palą pod kocami. Potem blade, półprzytomne wstają po krótkim śnie na ranną pobudkę. Po południu układają się na łóżka, pakują watę w uszy, aby nie słyszeć szeptu i nie przeszkadzać swoim, i uczą się, uczą...

Po przeniesieniu szkoły do Nazaretu jest już lżej. Mamy śliczne nowoczesne pomieszczenia. Sypialnie mieszczą po pięć, sześć dziewczynek, pokoiki zdobią poduszcзки i jakieś serwetki. Mieszkanki czasem je przemeblowują: z pościeli i koców urządzają wygodne fotele i zapraszają nas do „swego domu“ na herbatę. Mamy już świetlicę i wciąż kawiarnię, do której zapraszam wychowanki na swoje imieniny. Przychodzą w cywilnych laseczkach, w lokach tak pięknie ułożonych. Wiem, że między sobą nazywają mnie „nasza Dobciowa.“ Ale one nie wiedzą, że i ja prawie każdą obdarzyłam jakimś zmyślnym imieniem i wymieniając prawdziwe, wołam w myśli: Mały Lord, Pierocik, Złota Elżunia, Markietanka, Bułeczka, Kaczorek etc. Jakże żałuję, że ich tak głośno nie nazywałam.

Chyba najsurowsza byłam dla tych najzdolniejszych i trochę niecierpliwa w stosunku do skłonnych do hysterii i na pewno przygarniałam te złamane głodem nauki. Staralam się być sprawiedliwą, toteż ukrywałam swoje sympatie. Naprawdę rozgniewałam się, gdy

kiedyś okryły dosłownie mój pokój anemonami; poeciłam odnieść kwiaty do kaplicy, a Basi, która przez przyjaciółkę przesała mi posłanie, że jej marzeniem jest bym ją pocałowała, powiedziałam, żeby to zrobił jej chłopiec, a ja pocałuję ją na imieniny. Ogromnie bałam się uwielbienia.

Nauka w Nazarecie była już o tyle łatwiejsza! Niezapomniany docent Kurdybacha obdarzył nas setkami książek swego wydawnictwa jerozolimskiego. Dziewczęta przywoziły książki z biblioteki uniwersyteckiej w Hadasie. Świat nasz się jakoś rozszerzył przez wyjazdy na kuracje do Tyberiady, na plażę do Haify, na dłuższe urlopy do Jerozolimy, Tel-Awivu. Powstał teatr szkolny, który dawał namiastkę ośrodka kulturalnego, zespół taneczny i chór objeżdżający Palestynę, Irak, Syrię i Liban. Wakacje letnie spędzałyśmy w Libanie, w rezerwacie cedrów, żłote w Syrii, zwiedzając zabytki i muzea. Sama Palestyna też nęciła, a umiał ją pięknie pokazywać nasz historyk. Powstały pracownie przyrodnicze i liczne kółka z sodalicją i harcerstwem. S. M. O. stało się prawdziwą szkołą.

Uczę w starszych klasach byłam nauczycielką dorosłych kobiet, które maturę zdały już wcześniej, w wyjątkowo trudnych warunkach.

Na „pociechę“ po wielu prośbach, pod koniec mego pobytu w S. M. O. dostałam „Pimpcie“, to znaczy pierwszą klasę gimnazjalną, gdzie były „prawdziwe“ uczennice dwunasto-trzynastoletnie, które przyszły z naszej szkoły powszechnej. Tam bawiłam się w prawdziwą szkołę. Rok szkolny był już normalny, mogłam więc pozwolić sobie na „metodę“, to znaczy uczyć tak, jak w szkole w Polsce.

„Pimpcie“ miały rozczochrane dziecinne loki lub długie warkoczki, chichotały i robiły zwykle szkolne figle. Przed każdą lekcją wypisywały na tablicy: „Dzień dobry, Pimpcie“ — bo tak je witałam. Inscenizowały Illiadę deklamując cieniutko bohaterskie strofy Hektora i Andromachy i z ogromną satysfakcją naśladowały płacz małego Astianaksa. Proces Litawora odegrały już na naszej scenie. Spod czarnych biretów średniowiecznych sędziów wymykały się jasne i ciemne warkoczyczki. Wskrzyszona Grażyna mdlała prześlicznie w ramionach Litawora. Trzymały się zwartą gromadą i nawet nie chciały małych sypialni. Zamieszkiwały ogromną salę, a na łózkach sadzały lalki i misie, które chowały jako wojskowe kobiety przed inspekcją generałów. One chyba najłatwiej zapomniały koszmarne dzieciństwo. Wiem, że trzymają się razem i na zjazdach S. M. O. otaczają mnie zawsze zwartym kołem. Bardzo się kochamy.

Odjechałam z S. M. O. w lipcu 1946 roku. We Włoszech organowałam inną szkołę, gdzie uczennicami były przeważnie więźniarki z obozów niemieckich, szkołę w San Giorgio. Ale to już inna historia.

Obydwie szkoły są mi jednakowo drogie. Ale ta z Nazaretu jest mi jednak bliższa. Może dlatego, że będąc w niej nauczycielką i wychowawczynią miałam możliwość ściślejszego kontaktu z moimi uczennicami i zawiązałam wiele przyjaźni, które przetrwały lata. I na pewno dlatego, że była to pierwsza polska szkoła, w której uczyłam po latach odsunięcia od swego zawodu.

Słyszcy się często, że wspomnienia to przywilej ludzi starych. Kiedy wspominam S. M. O., jak to czynię pisząc te impresje, odzyskuję młodość w jakiś faustowski sposób. Znow idę rozkwitniętą łąką wiosenną Palestyny w Waszej gromadzie, znow wkuwamy razem do matury. Znow słucham zwierzeń o przeżyciach w Rosji, o nauce, i miłości. To samo czuję uczestnicząc w Waszych dzisiejszych spotkaniach, choć przedstawicie mi dorosłe córki i synów.

O szkole prawdziwej młodości, bądź pozdrowiona!

Maria Dobek



NAZARET

Nazaret, małe miasteczko położone na zboczach wzgórz palestyńskich, ozdobione wiecznie zielonymi, smukłymi cyprysami. Miasto skronne, jak jego mieszkańcy przed wiekami, a tak trwale zapisane w historii chrześcijaństwa, w sercach ludzi pełnych nadziei i wiary.

I dziwnie, że właśnie do tego miasta los przygnał naszą szkołę, tutaj znalazłyśmy dom, opiekę, przystań na lata naszej młodości. Mieszkałyśmy w sąsiedztwie Bazyliki Zwiastowania. Dobre to było sąsiedztwo. Potrzebowałyśmy Opieki, Dobrej Rady, Wspomożenia i tego wszystkiego, czym wychwalamy i czcimy Maryję. Modliłyśmy się do Niej stępując po kamieniach, po których i Ona stąpała, czerpiąc wodę ze studni, nad którą schylałyśmy się z uszanowaniem. Tutaj zastał Ją



Przed bramą główną budynku w Nazarecie

Anioł i zwiastował. A potem Mały Jezusek bawił się w blaskach słońca na progu skromnego domku, a Święty Józef w pocie czoła pracował.

Może nie wszystko pojmowałyśmy, może nie na wszystko patrzyłyśmy z należytyym zrozumieniem i odczuciem, ale każda z nas — na swój sposób — miała chwilę zadumy, chwilę uświadomienia sobie bliskości tych Wielkich Rzeczy, które tu, w Nazarecie, miały miejsce. Czujemy na sobie spojrzenie Matki Najświętszej i Jej Syna w blasku słońca, błękitnie nieba, w upragnionym cieniu i różowo kwitnących, pięknych oleandrach zdobiących bramę Bazyliki.

Dziś wracam myślą do tych krótkich, samotnie spędzonych chwil w Grocie Zwiastowania. Panował tam chłód, mrok i spokój. Spokój i wiara w przyszłość napelniała nasze często niespokojne, roztargnione myśli i serca. I łatwiej było żyć, uczyć się i czekać.

Były to lata wojny, tułaczki, rozłąki z najbliższymi, a jednak były to lata szczęśliwe pod opieką Matki i Jej Syna, pod opieką Dobrej Rady i Wspomożenia. Zdobywałyśmy wiedzę, kształtowały charakter, przygotowywały do dalszego życia.

Patrzyłyśmy na wycieczki zwiedzające Nazaret. Zastawiałyśmy się, czy wszyscy ludzie to samo wiedzieli i czuli, co my, rosące w cieniu Bazyliki Zwiastowania.

Lata mijaly szybko i gdy nadszedł dzień wyjazdu, żegnałyśmy Nazaret, żegnałyśmy cyprysy, kwiaty i wszystko, co było nam domem, radością i życiem przez 3 lata. Żegnałyśmy Nazaret modlitwą w ciszy chłodnej Groty Zwiastowania, gdzie niejedna szukała pomocy i sił potrzebnych w życiu codziennym, gdzie niejedna wymodliła łaskę spotkania najbliższych rozrzuconych po dalekim świecie.

Maria Hende¹-Domańska

SODALICJA

Wyobraźmy sobie, że znowu jesteśmy w Palestynie. Kończy się rok 1942 — straszny a równocześnie błogosławiony dla tych setek tysięcy Polaków, którzy wyratowani z zsyłek i łagrów sowieckich cudem wydostali się na wolność. Grudzień 42-go roku, Szkoła Młodszych Ochotniczek dobija do swego pierwszego dłuższego m. p. na Ziemi Świętej — do Rehovoth'u.

Już od pierwszych tygodni osiedlenia się w Rehovoth'ie kierownictwo szkoły zaczęło organizować wycieczki-pielgrzymki do miejsc związanych z życiem Chrystusa; wycieczki krajoznawcze nad Morze Martwe, Morze Tyberiadzkie, do Cedrów Libańskich i wycieczki historyczne do Accry, Cezarei, Byblas, Beirutu i Balbeku. Dziewczęta nurzały się w cudzie wolności i swobody, a równocześnie widziały w tym wszyst-



Msza święta — Rehovoth 1943

kim Opatrzność Bożą, która w sposób widomy deprowadziła je do Ziemi Świętej; do źródeł i początków chrześcijaństwa.

Wszystko to razem oddziaływało mocno na życie duchowe dziewcząt: wiara dojrzewała, stawała się bardziej świadoma, nabierała nowych, jasno sprecyzowanych form. Jako wyraz tej dojrzałości duchowej na terenie szkoły powstała w maju 1943 roku Sodalicja Mariańska. W dniu 8-go grudnia tegoż roku — Święto Niepokalanego Poczęcia i powszechne święto wszystkich sodalicji — 283 dziewcząt złożyło ślubowanie na wierność stałej służby Marii. Dzień to niezapomniany! Wyrwane śmierci, zwrócone życiu w prawdziwej wolności, wybrane z milionów, powtarzałyśmy słowa przyrzeczenia w ziemi dla nas najświętszej. Łzy dziękczynienia i głębokiej wewnętrznej radości płynęły cicho po twarzach ślubujących sodalisek i chociaż rzeczywistość polska — narodowa i rodzinna — była osnuta ciężkimi chmurami, to jednak tego pamiętnego dnia wiara w Opatrzność Bożą, w Opiekę Matki Najświętszej i głęboka nadzieja zdawały się sięgać i przelamywać niebiosa.

W dniu 2 lutego 1944 roku w Święto Matki Boskiej Gromnicznej, znów 158 dziewcząt złożyło ślubowanie. Nastrój przy ślubowaniu był jeszcze bardziej podniosły niż za pierwszym razem, bo składałyśmy je w Bazylice Zwiastowania, zaledwie parę kroków od izdebki, w której

kiedys Archanioł Gabriel oznajmił młodziutkiej Marii, że została wybrana na Matkę Syna Bożego. Sama myśl o tym, że właśnie tutaj — w tym miejscu Marii — i w dniu Jej Święta, my Polki — dziewczęta z dalekiego północnego kraju składamy Jej przyrzeczenie, napętlia nas radością, której nie potrafi się wypowiedzieć. Radość tę czułyśmy w sobie, żyłyśmy nią same na co dzień i niosłyśmy ją w nasze otoczenie.

W niespełna rok po założeniu, Sodalicja S. M. O. miała 456 członkiń, co na ogólną liczbę około 600 uczennic stanowiło ogromny procent. Sodalicja obejmowała wszystkie gimnazja i licea, a tak samo i kadre. (Jednymi z pierwszych sodalisek były: kronikarka szkoły p. Stenia Dąmbrowska i profesorka fizyki p. Emilia Drozdowska-Kotowiczowa).

Praca i entuzjazm w Sodalicji był zupełnie niecodzienny. Pojawiając się głównym celem było wychowanie świątłych kobiet katolickich, które przez wyznawanie i stosowanie w życiu osobistym i rodzinnym zasad wiary umiałyby utrzymać i rozwijać ducha chrześcijańskiego w całym społeczeństwie — wymagało to dużego wysiłku ze strony każdej sodaliski. Trzeba było wiele czytać, przygotowywać bardzo starannie referaty, przygotowywać zebrania, które musiały być żywe i ciekawe; trzeba było rozszerzać i pogłębiać bez przerwy zainteresowanie problematyką religijną i samowychowawczą.

Sodalicja dzieliła się na szereg sekcji i każda z sodalisek wybierała tę, która odpowiadała najbardziej jej wewnętrznym potrzebom. Często spowiedź i komunie święta, starannie przemyślane i przeżyte rekolekcje były największą pomocą w tej pracy wewnętrznej każdej sodaliski.

Na zewnątrz Sodalicja brała udział we wszystkich uroczystościach szkolnych i kościelnych i przygotowywała dla całej szkoły wszystkie akademie o charakterze religijnym. Na Boże Ciało urządzała i ubierała ołtarze, przygotowywała koszyczki do sypania kwiatów. Na Niedzielę Palmową robiła palemki dla całego S. M. O. W dzień Zaduszny organizowała uroczystości na cmentarzu, łącznie z urządzeniem Grobu Nieznanego Żołnierza, oczyszczeniem całego cmentarza, zrobieniem wieńców, przygotowaniem i zapaleniem świateł na wszystkich grobach. Kto z nas brał udział w tej uroczystości nie zapomni jej chyba do końca życia! Każdego roku w Wielki Piątek Sodalicja brała udział w Drodze Krzyżowej w Jerozolimie. Planowała i przygotowywała pielgrzymki do miejsc świętych.

Jeśli chodzi o konkretną pomoc, opiekowała się w Nazarecie kilkoma zakonami kontemplacyjnymi żeńskimi, które w czasie wojny odcięte całkowicie od źródeł pomocy z Europy, cierpiały wielką biedę a nawet głód. Sodaliski oszczędzały na własnym wyżywieniu i przekazywały zaoszczędzone porcje poszczególnym klasztorom.

Solidacja wysyłała paczki z żywnością i odzieżą dla dzieci polskich w obozach niemieckich, paczki z książkami do obozów polskich rozsianych w Afryce, Nowej Zelandii i Meksyku. Opiekowała się chorymi koleżankami, które leżały w wojskowych szpitalach angielskich. Organizowała odwiedziny, przygotowywała prezenty w dniu ich imienin i na Boże Narodzenie. Przeprowadzała zbiórki pieniężne, które szły czy to na pomoc dla dzieci polskich czy też na budowę II i IV Stacji Drogi Krzyżowej w Jerozolimie. Nie było chyba dziedziny życia szkoły, w której by Solidacja lub też jej poszczególne członkinie nie zostawiły głębokiego śladu.

Na pewno swój ogromny rozwój Solidacja zawdzięcza atmosferze Ziemi Świętej — specjalnie Nazaretu. Jeszcze dziś stają nam w pamięci wrażenia z pasterki w Bazylice Betlejemskiej; przeżycia z Drogi Krzyżowej w Wielki Piątek w Jerozolimie, kiedy na barłach swiecich młodzież polska niosła wielki krzyż ofiarowany światu chrześcijańskiemu przez biskupa polskiego; radośne bicie dzwonów wielkanocnych w Nazarecie oznajmiające wszystkim ludziom triumf Zmartwychwstania; zapach lilii i róż na Górze Tabor w Święto Przemienienia Pańskiego; zarzucanie sieci w Jeziorze Genezaret o wieczornej porze.

Aniela Wieliczko-Stepan

20 MAJA 1942—1944

Dziś, dnia 20 maja br., Nazaret święci dwulecie istnienia Szkół Młodszych Ochotniczek.

Na placu zbiórka szkół. Wokół piętrzą się zielone wzgórza, z których spływa biel domów w zieleni cytrusów, strzelistych cyprysów i kaktusowych ogrodzeń. Na balkonach i w oknach domów, na szosie i przy drucie okalającym plac — tłum. Zwichrzone czupryny Arabów, starannie pielęgnowane loki ochotniczek wszelkiego rodzaju, murdury wojskowych oraz chałaty tubylców. Na placu stoją przybyli przedstawiciele władz polskich, angielskich i palestyńskich, kadra, dziewczęta, kadeci, mechanicy i powszechniacy oraz niezastąpiona już dziś na wszelkich uroczystościach junackich orkiestra J. S. K. Wszyscy czekają na rozpoczęcie się uroczystości.

Konie policjantów angielskich tańczą po bruku, gdy Komendantka S. M. O. składa raport Dowódcy Jedn. Teryt. płk. Ostrowskiemu. Przełożeni prężą się w swej postawie, a dziewczęta z dziecinną ciekawością lustrują otoczenie. Po przeglądzie i powitaniu przemawia płk. Ostrowski. Mówi o istocie dzisiejszego dnia, istocie należnych odznak szkolnych i obowiązującym dziewczęta imieniu Polki. Następnie

występują delegacje szkół, którym pułkownik nakłada na naramienniki odznaki, zapina agrafki i ścisła drobne dłonie dziewcząt. Ceremonia skończona, goście idą pod trybuny; Dowódca Szkół Junaków ppłk. Bobrowski gładzi rozdeptę buziaki chłopców z orkiestry, kompanie zaś rozwijają się do defilady.

Na przepelnionej trybunie trzeszczą ostrzegawczo deski, a kapelmistrz podrywa raptownie swą orkiestrę. Miarowy, głuchy stukot werbli biegnie ulicą, objając się o szare fasady domów i pnie się zboczami ku górze. Pierwsi jadą policjanci na płasających koniach, potem orkiestra, której szeregi załamują się i stają przed trybuną — wreszcie kompanie szkół. Drobny krok, nieśmiały wymach dłoni, zwrócone w prawo główki — to idą dziewczynki. Pierwsze licealistki z żółto-czerwonymi naramiennikami, potem z żółto-granatowymi — gimnazjalistki, z żółto-granatowo-czerwonymi — dziewczęta z kupieckiego i z żółto-zielonymi — powszechniaczki. Na końcu marszeruje drobiazg: małe dziewczynki o mysich ogonkach warkoczy i śmiesznie małych mundurkach. Idą z dumą, przejęte, ważne — defilują przecież — i to przy orkiestrze! Przed trybuną przeży się drobna kierunkowa: ma roześmiane oczy, niesforne włosy opadające na czoło i granatowo-żółte naramienniki na ramionach.

Orkiestra kadecka gra z niebywałą werwą, z rozmachem łomocą drobne dłonie w kręgi werbli, dmą z całą siłą w ustniki trąb i biją w mosiężne talerze. Chłopcy mają granatowe naramienniki z żółtymi otokami, świecące buty i wyglądają naprawdę świetnie.

Za dziewczętami idą kadeci. Silni, smukli, walą z siłą osiemnastu lat w bruk jezdni, a promienne kadeckie słońca i litery J. S. K. szklą się polyskiem. Potem idą kompanie chłopców z młodszej powszechnej — w długich koszulinach, pofałdowanych spodniach okręconych sznurkami owijaczy i w furazerkach zuchowato zsuniętych na boki wygolonych głów. Są uśmiechnięci. Idą równo i mocno, ostatnie zaś trójki, nie mogąc nadażyć kroku, zostają i gubią się. Defiladę zamyka III Mechaniczna. Chłopcy mają świetny, wysoki krok, chociaż może trochę nieproporcjonalny do ich postaci. Teraz kapelmistrz unosi, skręca i wyprostowuje swą buławę, a za nim rusza dziesiątkami orkiestra witana może najrzęsijszymi oklaskami. Widzowie wojskowi i cywilni naprawdę owacyjnie oklaskują defilujące kompanie, na trybunie zaś przystrojonej bielą orła, narodowymi wstęgami i sztandarami wzruszenie maluje się na pooranej bruzdami twarzy starego pułkownika angielskiego.

Wszyscy dążą teraz do kościoła św. Józefa, gdzie wśród przepelnionych młodzieżą naw kościelnych odbywa się odsłonięcie przez radcę Marlewskiego tablicy pamiątkowej temi słowami:

„Zwróć Ojczyźnie naszej wolność i nam wolnymi
do Niej powrócić pozwól“.

Uroczystą mszę przerywa kazanie księdza kapelana. Mówi o potrzebie łączności między nami a wojskiem, któremu dziewczęta i cała młodzież junacka zawdzięcza swój byt, po czym wspomina minione dwa lata i podnosi dorobek uzyskany w dziedzinie szkolnictwa.

Po nabożeństwie przedstawiciele władz wojskowych, cywilnych, zaproszeni goście zwiedzają poradnię-czytelnię dla gimnazjum Mł. Ochotniczek oraz czytelnię dla kadry tej szkoły.

Czytelnie zorganizowane wspólnym wysiłkiem: Szkoły, Referatu Kult.-Ośw. D-twa Szkół Jun., Delegata Ministra W. R. i O. P. — według projektu dekoratorki YMCA Haliny Więckowskiej wyglądają jak „marzenie“. Takie bowiem określenie padło z ust uczennic: „Jakie to śliczne— tu nawet i marzyć można!“

Miłą atrakcją szkoły była również wystawa malarska prof. Hofmanna — świadcząca o ciągle twórczej pracy artysty.

Obiad jemy w „Pacanowie“. Przyjmują nas przemiłe granatowo-żółte „pacanowianeczki“; prowadzą do jadalni ozdobionej ludowymi motywami, sadzają, podają i karmią. Na bieli obrusów kotły ze strawą, stopy talerzy i kwiaty. „Clou“ całego obiadu stanowiły pączki wielkości talerza i owoce z kremem, pomarańcze i banany zalane śmietaną.

Po obiedzie odbywają się „zabawy w świetlicach“. Świetlice szkół, klasy i korytarze budynków pełne są rozbawionej młodzieży — panie i strojnych w odznaki szkół, chłopców w najelegantsze mundury. Część spaceruje słonecznym brukiem miasteczka, mijając kamienne fasady domów, część zaś gasi pragnienie w przepelnionej NAAFI. Większość jednak bawi się w szkole. Pyszna była imitacja ciuciubabki w wykonaniu dorastającej młodzieży i „misia“, zasypiającego na kaflowej posadzce Casa Nova. Na dole, w Gimnazjum Kupieckim, cudownie bawiono się w „zepsuty telefon“, a w głównym gmachu nadaremnie próbowano złapać strzęp muzyki.

Dochodziła trzecia, gdy przechodziliśmy do kina na „Wieczór Mickiewiczowski“. Program wieczoru był udany, opracowanie z.ś i gra naprawdę dobra. Ze wzruszeniem słuchałyśmy słów Wieszcza, płynących ze sceny. W udanych skrótach przewinęły się przed nami fragmenty najwybitniejszych utworów poety. Przedstawienie, wykazujące dużą kulturę słowa i zrozumienie tekstu było nie tylko miłe, lecz i pouczające. Do najlepszych należały „Lilie“ w wykonaniu II lic., „Renegat“ — I lic. pedag. i I gimn. oraz „Widzenie ks. Piotra“ w doskonałym wykonaniu Zofii Buczkówny z II lic.

Po akademii wszyscy rozchodzą się po mieście, wracają do domu lub znów idą do wciąż przepelnionej NAAFI.

W szkole płoną wszystkie okna, na korytarzach, w klasach i na balkonach moc młodzieży. Patefony wyją chrapliwie, niewyrozumiałe na nasze potrzeby aparaty radiowe grają preludia, lecz my bawimy się stokrotnie. Śmiech i zabawa, ruch i wrzawa. Rocznicą dwulecia obchodzona jest powszechnie.

Wtem — gwizd. Przerażliwy świst obija się o mury korytarzy, drażni nadwężone bębunki i... wywołuje w nas niecny zamiar zgładzenia zbyt gorliwej służbowej za przerwanie wieczoru.

J. Badjan

kl. II lic. Szkoły Kadetów
„Junak“ 1944

ARABOWIE W NAZARECIE UCZĄ SIĘ PO POLSKU

W pobliżu głównego gmachu szkoły w Nazarecie był mały sklepik arabski, gdzie obok napojów chłodzących można było kupić igły, nici, pocztówki, guziki i inne drobiazgi. Właściciel sklepu, Arab, nauczył się zupełnie dobrze po polsku i pisał wiersze, też po polsku. Niektóre z tych wierszy były pełne głębokiego liryzmu. Siedzący za ladą ten współczesny Hafiz arabski odczytywał codziennie odwiedzającym sklep dziewczętom swe nowe strofy, których kulawa polszczyzna szła w parze ze wschodnią rozlewnością natchnienia. Właśnie byłem w sklepie gdy to robił; zacząłem się przysłuchiwać:

„Ty jesteś kwiatek
Ja jestem woda
Ten kwiatek...
Ja podlewam.
Kwiatki mają zapach
Ja tylko wącham.“

„Nie ma pan innego wiersza“ — macha pogardliwie ręką młodsza ochotniczka.

„Mam“ — powiada mrużąc oczy Arab i zaczyna szukać wśród kilkudziesięciu zapisanych maszynowym pismem kartek wiersza:

„Życie jak ogród
Tam Adam i Ewa
Bóg kieruje te dwa drzewa.
Każdy ma ser.“

Ja mam jeden:
Ładna żona
Dobry syn;
Tak tylko ogród.
Mam też nadzieje
Przez boskiej pomocej
Polacy wracają (do domu
Wysoko żyje Polski“.

Z artkułu Xawerego Glinki
w „Junaku“ 1944 rok.

NAZARETAŃSKI POKOIK

Pięć łózek geometrycznym kunsztem przecina dawną klasztorną celę. Pięć moskitier splywa od sufitu przezrystą draperią, miękko otulając wezgłowia. Tyleż młodych stworzeń w wojskowych mundurach szczelnie wypełnia sobą i swym doczesnym dobytkiem pozostałą przestrzeń. Szczęśliwy przypadek zrządził, że uczą się i dojrzewają w zaciszu nazaretańskiego klasztoru, wyodrębnione jak gdyby z wojennej rzeczywistości. Pokoik, który zajmują, zastępuje dom; współmieszkanki — rodzinę. Wytwarza się specyficzna solidarność pokoikowa. Baśka, Dżanura, Elza, Hanka i Maryśka odczuwają to wyraźnie. Nie zbliżone upodobania, nie wzajemna sympatia, nie przyjaźń, ale właśnie te cztery ściany, drzwi od korytarza zamknięte za sobą, to odizolowanie się od reszty — łączą je najbardziej.

„Przyjaciół można sobie dobrać; Rodzinę ma się poprostu“ — głosi znana wersja starej anegdotki. Jak w rodzinie, tak też w pokoiku... „miały siebie“ na okres bliżej nieokreślony. Rozstawiwszy więc osobiste skarby, zabrały się pracowicie do współistnienia.

Dziś płyną łzy! Maryśka dostała złą wiadomość z frontu: „Leon zaginiony“! Pokoik zastyga współczuciem. Zapalają jej papierosa, proponują spacer, odrobienie lekcji... Dodają, jak mogą, otuchy. Nawet św. Antoniego wplątują w tę misję pocieszenia. Dobry Święty użył swoich wpływów. Leon odnalazł się po miesiącu, cały i zdrowy. Za to Hanka ma kłopoty z nieletnimi braćmi w Szkole Junaków. Jest najstarsza w rodzinie. Ojciec na froncie we Włoszech. Matka w obozie cywilnym w Persji. Hanka czuje się odpowiedzialna za chłopców — a pokoik z nią... To już są wspólni bracia! Rada w radę — każda coś dorzuca. Wypracowały plan działania. Hance raźniej na duchu. Wieczorami, tradycyjnie Baśka opowiada dowcipy „do po-

„duszki“... Baśka w ogóle ma niewyczerpane zasoby werwy i humoru. Wysoka, wiotka, romantyczna Elza kocha się wiernie w Jurku i wiecznie marzy o wyjeździe do Włoch. W Nazarecie bawi niby przelotem! Dżanurka, „nasza“ muzułmanka, jest przemila. Nauka idzie jej trudniej. „Musimy przeciągnąć ją przez maturę“ — decyduje pokoik — i pada Dżanurka ofiarą gorliwych pomocnic, po stoicku znosząc uszczuplony nadmiar komunalnej, dobrej woli. Pokoik ma własny puls życia. Tętno oscyluje od radości — do smutku od niebiańskiego spokoju do żywiołowych awantur. Raz dwa dni „wadziły się“ groźnie Baśka z Maryską o zagubiony nóż z fasowanego, wojskowego kompletu sztućców. Dynamiką słów wprawiały w zadziwienie! Operowały nimi sprawnie, mierząc perfidnie w najczulsze punkty osobowości. Klótnia przesiliła się własnym impetem szczęśliwie. Dalszych losów noża rikt już nie dochodzi... Pokoik cieszy się odzyskaną równowagą a pięć w nim dziewcząt od nowa zaczyna zawierać ścianom i przychylnym uszom swoje wyznania. Poszukiwany sens życia; miłość w różnych aspektach; tęsknota za domem i Krajem; przejścia i przeżycia, których doznały już wiele; plany na przyszłość; radość i ból, pragnienia, wiara, nadzieja, obawa i lęk przewijają się w ich rozmowach. Rozmowach prowadzonych najczęściej doniosłym szeptem, po zgaszeniu światła — kiedy to życie pod osłoną nocy nabiera intymności, staje się bardziej osobiste. Mają do siebie zaufanie. Pokoik otacza je czterema ścianami opiekuńczo. Zасыpiają spokojnie... I choć każde przebudzenie przynosi nowe problemy, dają im wspólnie radę w pokoiku nr. 12 — na pierwszym piętrze od frontu w głównym gmachu szkoły.

Maria Suracka-Muchlińska

„CZUWAJ“

Tradycyjnie organizacja harcerstwa odgrywała ważną rolę w wychowaniu młodzieży polskiej. Jej założenia i metody działalności specjalnie odpowiadały charakterowi polskiemu, w którym pozostało wiele z dawnego „partyzanta“ z okresu długich lat niewoli i walki o wolność. Założenia ideologiczne były bardziej patriotyczne niż w ruchu skautowskim innych krajów. Harcerstwo szkoliło nas na prawych i sprawnych obrońców i pracowników ojczyzny, i wraz z przysięgą składaliśmy swoje życie, swoją energię i produktywność jej służbie. Uczyło nas samowystarczalności w trudnych sytuacjach, sprawności fizycznej i umysłowej, ale nade wszystko uczyło współżycia i humanitarnego podejścia do ludzi i sytuacji. Potrafiło skierować nadmiar młodocianej energii i fantazji na drogę szkolenia obywatelskiego w jak najlepszym sensie. A przez wprowadzenie pewnego pierwiastka romantycznego, znajdowało oddźwięk wśród młodzieży.

Obozowiska, długie gawędy i piosenki, snujące się w noc przy leśnym ognisku, budziły uczucie braterstwa i wiarę, że w jedności jest siła.

Nie też dziwnego, że w S. M. O. już od samego niemal początku jej istnienia, młodzież wyraziła chęć zorganizowania harcerskiej drużyny.

Pomimo wielu ochotniczek, nie było to łatwe, gdyż szkoła sama jeszcze była w stadium organizacji. Były ciągle zmiany miejsca postoju,



Pierwsza pomoc na obozie harcerskim

i sama kwestia, czy w organizacji wojskowej harcerstwo ma rację bytu, nie została od razu rozstrzygnięta. Zdawało się, że nauka i wojsko pochłaniają tyle czasu, że wprost nie ma miejsca na harcerstwo.

Jakby iskrą zapalną stał się przyjazd w grudniu 1943 r. dziewcząt z Teheranu, gdzie znaczna część młodzieży należała do harcerstwa. One to złączyły się w drużynę im. Emilii Plater, tworząc w szkole pierwszą jednostkę harcerską, działającą na razie nieoficjalnie.

Zrozumienie jednak dla pracy harcerskiej następuje dość szybko, budząc żywe zainteresowanie komendantki Sychowskiej, życzliwość kadry nauczycielskiej i wojskowej w harmonijnym uzgodnieniu działalności harcerskich z normalnymi zajęciami szkolnymi.

Oficjalne zalegalizowanie przez władze wojskowe Junackiej Chorągwi

Harcerskiej, w której skład wchodził Hufiec Harcerek S. M. O., nastąpiło w 1943 r. W S. M. O., która w tym czasie już na stałe ulokowana była w Nazarecie, oficjalnie pracę harcerską rozpoczęło ogniskiem zorganizowanym dla szkoły w dniu 1 kwietnia 1944, z początkowym stanem 70 harcerek.

Młodzież z zapałem oddała się pracy harcerskiej, tworząc coraz liczniejsze zastępy, tak że pod koniec roku hufiec liczył około 290 druhen, zorganizowanych w 5 drużyn i 4 kręgi w klasach licealnych, obejmując 31% młodzieży szkolnej.

Swoje uznanie i aprobatę dla ruchu harcerskiego komendantka Sychowska wyraziła słowami:

„Bałam się, że harcerstwo w szkole wojskowej to będzie organizacja w organizacji, a dzisiaj widzę, że systemem swoim dopomaga nam bardzo w wychowaniu młodzieży.“

W celu lepszego zorganizowania i prowadzenia pracy, przybyły do Nazaretu odkomenderowane z wojska dwie instruktorki harcerskie. Zorganizowane przy ich pomocy kursy w celu uzupełnienia wiadomości harcerskich, wyszkolenia drużynowych i zastępowych podniosły bardzo poziom hufca i umożliwiły wciągnięcie tych najmłodszych do „szarych szeregów.“

Dzięki życzliwej współpracy władz szkolnych, organizowane były ćwiczenia harcerskie, wycieczki, obozy i zdobywanie sprawności, co zawsze należało do najciekawszych zajęć.

W końcu kwietnia 1944 nastąpiło otwarcie świetlicy harcerskiej. Był to moment bardzo ważny dla druhen, gdyż posiadanie swojego kąta umożliwiło pogłębienie i rozszerzenie działalności w ramach zastępów. Powstały kręgi „Promieniuj“ i „Praca“, których założeniem była właśnie praca nad sobą, wyrabianie charakteru i silnej woli, dyscypliny i obowiązkowości, pogłębianie wiedzy i samopomoc szkolna. Wielką też zdobyczą było utworzenie dużej, liczącej ponad 300 tomów, biblioteki harcerskiej, z której druheny łapczywie korzystały. Życie świetlicy stawało się coraz bardziej urozmaicone. Kominki, herbatki dyskusyjne i wieczory świetlicowe były doskonałym terenem wychowawczym i jednocześnie rozrywkowym, gdzie słowa piosenki potrafiły często wzniecić zapał i wiarę w ideały bardziej, niż dydaktyczne przekonywania.

„Idziemy naprzód i ciągle pniemy się wzwyż,
by zdobyć szczyt ideału, gdzie błyszczą
harcerski krzyż.“

Iwona Wojewódzka-Romer

IMPREZY S. M. O.

Wydaje się, że pieśń jest nierozłącznie związana z młodzieżą. Bez względu na warunki zewnętrzne, na sytuacje społeczne czy polityczne, nawet bez względu na stan wewnętrzny danej jednostki, jeśli się jest młodym, pieśń mimowoli staje się niezastąpionym środkiem do wyrażenia myśli, przeżyć, tęsknot i stanów duszy ludzkiej. Z pieśnią idzie często taniec, skecz, przedstawienie.

W Szkole Junaczek w Rosji, a później w S. M. O. w Palestynie nazywało się to powszechnie imprezą.

Dziwne to było określenie — bardzo rozciągliwe i wszystko można było pod nie podstawić: ognisko harcerskie, wieczór świętojański, wszelkie akademie narodowe i podniosłe akademie religijne; popisy taneczne i występy teatralne; poranki szkolne i wieczory muzyczne. Każda impreza wymagała umiejętnego przemyślenia i rzetelnej, ciągłej pracy.

A zaczęło się to w Karkin-Batasz — w tej przeraźliwie smutnej i tragicznej Dolinie Śmierci, gdzie śmiech i śpiew wydawałby się być zaprzeczeniem ówczesnych warunków życia, a cóż dopiero mówić o tańcu, skeczach, strojach i przebieraniu się. A jednak natura młodości wzięła górę i płonęło wieczorami ognisko, a przy nim płynął korowód pieśni polskich i tych wesołych, skocznych, tętniących życiem, wiarą i nadzieją i tych zadumanych, smętnych, jak tylko smętna może może być dumka kresowa. Nie trzeba było zapraszać do śpiewu, czy do chóru, nie trzeba było wielu prób. Wszystko rodziło się i formowało spontanicznie, bo spontaniczna jest młodość. I ten zew młodości wyrażany w pieśni i tańcu w tym najbardziej ponurym okresie szkoły był dla wszystkich momentem przełomowym — pozwolił młodzieży otrząsnąć się z koszmaru głodu i śmierci i stanąć na nogach o własnych siłach. Był prawdziwie jak ów przysłowiowy feniks, który wyrastając z gruzów i popiołów na oczach wszystkich dawał znak o powstawaniu i tworzeniu się nowego życia.

Nic więc dziwnego, że gdziekolwiek było miejsce postoju szkoły, tam wszędzie płynęła polska pieśń, polskie słowo, tam rozbrzmiewał polski taniec świadcząc o niezłomności ducha narodowego, mówiąc obcym o dalekim, północnym kraju Lechitów.

W miarę upływu czasu i poprawy warunków materialnych dawniej skromne imprezy S.M. O. stawały się bardziej wypracowane, zmieniały w wielkie akademie, bogate w występy taneczne i wokalne. Musiały to być rzeczywiście wielkie osiągnięcia w dziedzinie muzyki i sztuki, gdyż wiele o nich mówiono i pisano w prasie polskiej, angielskiej i arabskiej. Jeżdżono z nimi do wszystkich większych ośrodków polskich.

do obozów żołnierzy alianckich. Wyjeżdżano nawet dwukrotnie do Syrii i Libanu. Niektóre z nich były nadawne przez radio dla Polaków rozsypanych po całym świecie.



Tańce i Śpiewy przy akompaniamencie harmonii
— Nazaret 1944

Podstawy życia artystyczno-muzycznemu w szkole dała prof. Stefania Niekraszowa — jedna z pierwszych nauczycielek muzyki i śpiewu. Praca jej o tyle była ułatwiona, że jak już wyżej zaznaczyłam, dziewczęta lubiły śpiewać i śpiewały dużo przy wszystkich możliwych okazjach. Kochały taniec i barwne stroje, kochały muzykę. Prof.



Niekraszowa w umiejętny sposób rczwinęła te wszystkie naturalne zdolności, wypracowała dość wysoki poziom artystyczny, tak, że kiedy latem 1943 roku wyjechała do Anglii, a na jej miejsce przyszedł prof. Rozynek i prof. Kamińska mieli już w dużym stopniu przygotowany materiał i uitorowaną drogę. Mogli porywać się na rzeczy wielkie, takie jak koncerty muzyczno-śpiewacze, poranki przy mikrofonie dla Anglików, wystawienie „Halki“, czy też fragmentów „Straszego Dworu“.

Chlubą szkoły był jednak chór. Liczny, wielogłosowy starowi filar każdej wielkiej akademii. Okazji do występów chóru i do imprez było bardzo dużo. Wszystkie święta narodowe i państwowe, rocznice powstań, święta religijne i okolicznościowe jak Zaduszki, Andrzejki, Jaselka, Kaziuk, musiały być upamiętnione i uczczone w jakiś specjalny i charakterystyczny sposób. Do tego dochodziły imieniny Komendantki, Dyrektorki, rocznica Szkoły, wieczory Mickiewiczowskie i Słowackiego, rewie śmiechu i Mód, Dzienniki mówione, Ogniska. Chyba niewiele jest szkół, które mogą się poszczycić takim bogactwem życia artystycznego jakie było w S. M. O.

Kolebką wszystkich imprez było kółko artystyczno-literackie. Założone w początkach 1943 roku postawiło sobie jako cel pogłębienie znajomości literatury i sztuki polskiej przez urządzenie ognisk oraz poranków i wieczorów świetlicowych. Prowadziły go profesorki polonistyki, ale należały i pracowały w nim tak nauczycielki jak i uczennice. W bardzo szybkim czasie kółko rozszerzyło swoją działalność na całą młodzież szkolną w ten sposób, że każde gimnazjum i liceum opracowywało we własnym zakresie powierzoną sobie imprezę. Pomysły były niesłychanie bogate, a pracowitość, zapał i sukcesy na polu artystycznym przechodziły najśmielsze oczekiwania. Latem 1943 roku Kółko wyszło poza ramy Szkoły Młodszych Ochotniczek. Zaczęło się najpierw od imprez ogólnojunackich; przyszła więc wspomniana „Halka“, a potem fragmenty „Straszego Dworu“. Z kolei zaczęto zapraszać uczennice S. M. O. do udziału w przedstawieniach i występach organizowanych przez ośrodki polskie w Palestynie oraz przez radio polskie w Jerozolimie. Kilkakrotnie przedstawienia urządzone dla Szkoły były powtarzane dla mieszkańców Nazaretu, wśród których cieszyły się zawsze ogromną popularnością i uznaniem. Ale każda impreza jest wydarzeniem nie tylko słuchowym lecz i wzrokowym. Ważny jest i dźwięk i ruch i stroje i dekoracje. W S. M. O. z tym ostatnim powinno być całkiem trudno. W okresie wojennym zapatrzenie we wszelkiego rodzaju materiały i pomoce sceniczne było bardzo ograniczone i tutaj dziewczęta i kadra dokonywały niemal cudów; „fasowany“ ręcznik zamieniał się w bogaty wschodni turban, prześcieradło w klasyczną tunikę, lub w symbol przerażającego ducha, koce służyły jako kurtyny, tło dla akcji,

wzgórek na scenie, opończa dla wędrowcy. Nieraz całe noce mijały na szyciu, rysowaniu, malowaniu, wycinaniu i sklejanii.

Patrząc z odległości czasu teraz dopiero można ocenić jak znakomita była to metoda kształcenia i wychowania. Dzięki niej dziewczęta poznawały arcydzieła sztuki i poezji polskiej. Nauczyły się osobistej odpowiedzialności za każdą imprezę, zaś wszyscy tak bardzo różnorodnym widzom w okresie wojennym, w okresie upadku kultury dały wiele przeżyć, wzruszeń i przyjemności szczerych, bez pośrednich, naturalnych i na wysokim poziomie artystycznym.

Aniela Wieliczko-Stepan

DZIEŃ PODCHORĄŻEGO

Zaczęło się tak, jak wszystko w szkole — na pauzie. Krzyk, wrzask, trochę marzeń, nerwowy szept powtarzanej lekcji, urywek piosenki, zamazany rusunek na tablicy i... pomysł: Święto Szkoły uczczone Dniem Podchorążego.

Podchwycony w jednej sekundzie przez „rozpalone“ głowy, biegnie lotem błyskawicy po całym gmachu, spada jak grom na kancelarie, wreszcie dochodzi do gabinetu pani Komendantki. I tam staje w długiej kolejce spraw, interesów, aż wreszcie dojrzały przez niebieskie oczy, skłoni się zamaszycie, (może wywoła uśmiech), przedstawi się pięknie i wraca znów w szalonym, zawrotnym tempie do nas.

Nasz samorząd uczniowski długo i szeroko rozpatruje wnioszek, potem organizuje, wprowadzając projekt w czyn. Nasz samorząd — to mały parlament szkolny, z prezydentem, stojącym na czele, który ma prawo „veta absolutnego“ — panią Komendantką.

I właśnie ta miniaturka parlamentu daje nam olbrzymią swobodę działania, przygotowuje nas do życia społecznego, życia obywatelskiego, uczy nas samodzielności, odpowiedzialności, podporządkowania jednostki gromadzie.

Tak się narodził i zrealizował nasz pomysł, jak obchodzić rocznicę powstania naszej szkoły.

Dzień Podchorążego!!

Wykażemy naszą sprawność w dziedzinie organizacji i umiejętności pracy!

Wesoło jest, gwarnie, tak jakoś radośnie. Myśli nasze biegną zupełnie odmiennymi szlakami, niż wczoraj i jutro. Nie zatrzymują się przy logarytmach i prawach Newton'a, nie omijają chytrze dat wypraw krzyżowych, czy wojen światowych.

Klasy puste, książki pozamykane, zeszyty w kącie i nastrój taki świąteczny.

Zmiana, zmiana... raduje się każda młodsza ochotniczka. Została przerwana wstęga dni jednostajnych, podobnych do siebie jak bliźnięta.

Dzisiaj przejełyśmy wszystkie obowiązki kadry (naturalnie w dostępnych dziedzinach), chcemy poznać i zrozumieć wszelkie trudy i znoje dnia powszedniego, związanego z zajęciami w Szkole.

I może coś jeszcze... Chcemy pokazać, że potrafimy być nie tylko uczennicami i do tego w internacie, lecz także możemy spełniać obowiązki w innym zakresie niż nauka.

„Razem młodzi przyjaciele“. Wszystkie ramię w ramię pracujemy. Siedzimy w biurach, kiwając się w skupieniu nad raportami i rachunkami, stukamy zamasyżycie na maszynach do pisania, nudzimy się brakiem fonogramów jak rutynowane telefonistki. Uwijamy się dziarsko w kuchni, zaglądamy w usmolone sadzą kotły, wahamy się, czy przesolić czy niedosolić, martwimy się, że już „12-ta godzina“, a tu „zatrzęsienie“ roboty, a wiara szkolna głodna jak wilki.

„Ach, jak ciężka jest praca przy konserwacji wozu“ — wzdychają „drajwerki“ w niesamowicie brudnych i nieskończenie wielkich kombinezonach. A kadra nasza chodzi, lustruje i przygląda się pracy „małoletnich i niedoświadczonych“. Niekiedy wskazują nam błędy, niedociągnięcia, które my skwapliwie naprawiamy.

Teraz zjawia się pani Komendantka. Prostujemy się na baczność, odpowiadamy na uśmiech uśmiechem, i wstępuje w nas otucha i radość. I dalej praca się toczy w szybkim tempie do wieczornych godzin.

Wieczór. Zegar na wieży kościelnej wybija 9 razy. Wszystkie znajdujemy się w swoich „apartamentach“ strudzone, zmęczone, ale szczęśliwe i roześmiane. Opowiadamy każda po kolei, czasami wszystkie razem, dzielimy się wrażeniami, a potem wywiązują się dyskusje: „Rola samorządu, jako czynnika wychowawczego w szkole“, „Czy organizacja jest podstawą pracy“ itd.

Wreszcie gmach szkolny pogrąża się w ciszy po dniu pełnym gwaru i hałasu.

A nazajutrz na zbiórce stoimy w szeregach i czekamy niecierpliwie co nam powie pani Dyrektorka.

„Dziewczynki! Jestem z Was dumna. Widzę, że potrafiłyście dokonać i osiągnąć to, co zdobyć zamierzacie. Wykazałyście sprawność, inicjatywę i karność“.

Wszystkie ręce w jednej chwili chcą podrzucić furażerki i berety w górę — ale nie wypada — trudno...

Wandzia Matuszak
kl. II lic. Hum.
„Uśmiech“ 1946

AUTOSTOPEM DO JENINU

W styczniu 1973 roku pojechaliśmy z żoną do Klubu Polskiego na Balham na zabawę organizowaną przez Koło Młodszych Ochotniczek. Mimo że takie młode to one już nie są, przy słowie Młodszych nie używam cudzysłowu, po prostu nie przechodzi mi on przez pióro. Co tu dużo mówić — tak wiele to się one nie zmieniły. Tu i ówdzie trochę siwizny na perukach, niektóre przytyły, za to inne zeszcupły, a z tymi kilkoma zmarszczkami to nawet im do twarzy. Ale co za duch, co za werwa w tańcu — zupełnie jak „Mazowszańki.“ Jednym trochę ująć, innym trochę dodać — i będą takie same, jak wtedy w Jeninie w Roku Pańskim 1943.

Miałem wtedy 18 lat i po przyjeździe z Iraku do ówczesnej Palestyny zostałem odkomenderowany z pułku na kurs maturalny do małej miejscowości o pięknym brzmieniu Barbara. Dowódcą naszej kompanii maturzystów był por. Wolski, przeznacny człowiek, który miał z nami dużo utrapienia, bo z dyscypliną czysto wojskową to było u nas różnie, zwłaszcza kiedy dowiedzieliśmy się, że najpierw w Jeninie, a potem w Nazarecie stacjonowały młode i powabne uczennice Szkoły Młodszych Ochotniczek. Każdy z nas chciał od razu tam jechać. Jedni do siostr, lub kuzynek, inni „samotni“, tak jak ja, po wspomnienia na całe życie. Ilość przepustek była ograniczona, nie więcej niż po dwie lub trzy co niedzielę na namiot. Zważywszy, że pod każdym namiotem spało nas dwunastu, szanse legalnego wyjazdu były raczej mizerne. „Młodości podaj mi skrzydła“ — musieliśmy kombinować, czyli wyrwać się bez przepustek, i tutaj por. Wolski stanął na wysokości zadania, zwłaszcza w czasie świąt Bożego Narodzenia. Chodząc od namiotu do namiotu, prośbą, perswazją, dobrym słowem „wymusił“ na nas obietnicę, że wszyscy nie uciekniemy. „Przynajmniej powiedzcie mi, ilu was zostanie, abym wiedział, ilu was nie będzie.“ — prosił na odchodnym i machnął ręką, bo też kiedyś miał dwadzieścia lat. Zostawała zwykle połowa, ale ponieważ to były święta, więc zostali tylko ci, którzy z różnych względów nie mogli lub nie chcieli się urwać, a takich można było policzyć na palcach.

Podróż zwykle zaczynaliśmy w sobotę, koło południa. Grupami po trzech, po czterech łapaliśmy autostop do Tel-Awivu, aby tam się przesiąść na normalny cywilny autobus do Haify. Rzadko kiedy udawało nam się w tym samym dniu dojechać do Jeninu lub Nazaretu. Nie mieliśmy własnego transportu, bo kto miał go nam dać? A poza tym musieliśmy bardzo uważać na patrole żandarmerii, które nie tylko interesowały się przepustkami, ale równie też czy byliśmy regulaminowo ubrani, tzn. musiały być przepisowe sorty mundurowe, czarne buty i battle-dress zaپیęty pod szyję i koszule „Angola“ (bez kołnierzy).

Tym razem jednak chcieliśmy zdążyć na Wigilię. Wyjechaliśmy rano i po całodziennej podróży udało nam się dotrzeć przed wiec:orem do Jeninu.

Co za zaskoczenie! Nie mogliśmy uwierzyć, że widzimy aż tyle ładnych dziewcząt, zgrupowanych w tak małym miejscu. Nie mieliśmy gdzie spać, bo w tym całym Jeninie, to chyba nie było żadnego hoteliku, ale dziewczynki szybko nam porobiły wygodne posłania w klasach szkolnych, zorganizowały kolacje — jednym słowem przyjęły nas po królewsku, mimo że na pewno miały z nami dużo kłopotu, a jeszcze więcej z własnymi komendantkami, które czuwały i to jeszcze jak! „Matura zrobiona — cnota nie naruszona“ — takie było zdaje się motto tej szkoły, a więc nie mogliśmy specjalnie mieć żalu do tych pań komendantek, które walczyły o dobrą sprawę.

Ponieważ mieliśmy parę godzin wolnych do Pasterki, więc ci z nas, którzy jeszcze byli „bez opieki“, starali się „poderwać“ jak najszybciej ładną ochotniczkę do towarzystwa. Jednym szło to lepiej, innym trochę gorzej, ale w końcu nikt z nas nie został z pustymi rękami, bo dziewczynki były wyrozumiałe i nawet, jeśli im się ktoś specjalnie nie podobał, to przez grzeczność wzięły go pod swoje skrzydła. Na Pasterkę poszliśmy już wszyscy razem do kaplicy. Celebrował ją polski kapelan, który podobno do naszych wizyt umierał z nudów w konfesjonale. Fakt ten na pewno zaważył na jego krótkim kazaniu, w czasie którego powitał nas bardzo serdecznie, przypominając, że już wkrótce znajdziemy się na froncie, i że żołnierka ma to do siebie, iż krótko przed bitwą urządza harce. Jednym słowem był to kapelan światły i znający życie. Nazajutrz zjedliśmy wspólny obiad, a potem zaczęły się ni to rozmowy, ni to zaloty. Wszyscy czekaliśmy wieczoru, bo była świetlica, był fortepian, a więc nie mogło się obejść bez potańcówki. Nic tak nie sprzyja romansom, jak tańce, zwłaszcza te powolne, tańczone razem. W czasie tańca następuje selekcja, przegrupowanie partnerów, przetasowanie znajomości, które albo się kończą już po pierwszej melodii, lub trwają przez całe życie.

Bawiliśmy się wspaniale, z werwą, starając się ukraść całusa, gdzie się dało przytulić się choćby na chwilę do wybranki, nie myśląc o tym, że możemy się już nigdy nie zobaczyć. Nawet panie komendantki rozczuliły się do tego stopnia, że przedłużyły godzinę capstrzyku do późnej nocy, a były to niewiasty stateczne, które normalnie nie łatwo się wzruszały. Ksiądz kapelan też wpadł na parę minut, zrobił znak krzyża (dla formalności) i tylko nas klepał po ramionach, nie wiadomo czemu zacierając ręce. Nawet lokalny posterunek żandarmerii zostawił nas w spokoju, przymykając oczy na nasze krawaty, nieprzepisowe koszule i brązowe trzewiki.

Bardzo późno w nocy odprowadziliśmy nasze partnerki do ich ba-

raków. Staraliśmy się jak najdłużej przeciągnąć moment pożegnania, a im też się specjalnie nie spieszyło. Wczesnym rankiem zaczęliśmy się przygotowywać do odjazdu. Czekala nas długa droga do Barbary i z żalem wymienialiśmy ostatnie pożeganie. Obiecaliśmy sobie, że jeszcze przyjedziemy, że to przecież dopiero początek, że nie może tak być, abyśmy się więcej nie mieli zobaczyć. Wymienialiśmy fotografie (z podpisem), ostatnie uściski i szybko na koń (zaraz, co ja piszę, to przecież nie „Potop“) i szybko na szosę, na autostop do obozu.

Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że mogliśmy je odwiedzić jeszcze w Nazarecie. Niektóre przylgnęły do wielu z nas i są z nimi do dzisiaj. Mnie pozostały wspomnienia...

Przed wyjazdem do Egiptu na stacji żegnał nas por. Wolski. Plakał... Tym razem uciekliśmy mu wszyscy (z przepustkami). Jechaliśmy na front. Czekaly na nas Włochy, wino i Monte Cassino, ale to już zupełnie inna historia.

Renek Ozimek

SZTUBACKIE FLIRTY

Co za niesłychane szczęście i rokosz niezemska splywa na skolatana sztubacka glowe, gdy ta dowie sie o otrzymaniu przepustki i za pomoca nog i mniej lub wiecej litoosciwych „stopow“ wali samopas do wysnionego Nazaretu.

Wybralismy sie we dwuch. Bolek i ja. Byla to pierwsza wyprawa Bolka do Nazaretu. Zabralam go z soba, bo strzelilo mu cos do jalowej lepetyny, po brzegi wypchanej sieczka i slowkami lacinskimi, aby poznac go z Marysia, ta, o ktorej marzyl, snil i nie wyobrazal sobie zycia bez niej. Pare godzin przed wyjazdem Bolek ogolil sie starannie (jego broda w swoim nedznym zyciu widziala raz tylko piec smutnie rosnacych wlosow), wyczystil paznokcie i wylal na czupryne flaszke fryzjerskich perfum. Wciagnal dlugie, wyprasowane pod materacem spodnie siegajace do kostek i odslanjace niezdarne zaczerowane skarpetki. Wlozyl tandetne buty skrzypiace przy kazdym kroku. I w droge.

Podroz szla naprzod tysiacem przekleństw, tyluz siarczystych spluwan i cena trzech paczek papierosow. W drodze pouczalem Bolka, jak ma sie zachowac w towarzystwie, aby nie przyniosl sobie i mnie wstydu, bo przeciez Bolek to takie pospolite „barbarskie“ stworzenie.

„Piec minut rozmowy o pogodzie. Dziesiec o wykladach w szkole, pozniej na tematy aktualne.“

„A czy mozna wspomniec cos o sobie?“ — zapytal Bolek.

„Naturalnie, podniesiesz przez to swoj autorytet.“

I wreszcie Nazaret. Zmęczeni, pędem do restauracyjki. Nie wiedząc, co właściwie ze sobą zrobić, zaproponowałem obiad.

„Oszałałeś!“ — krzyknął Bolek — „A co jak zabraknie na ciastka dla niej? Ty ją zaproś tutaj, ale nic nie mów o mnie, rozumiesz... i pamiętaj“ — tu Bolek spojrział na mnie przenikliwym wzrokiem i zrobił się na twarzy zielony. Chwyciłem co prędzej furazerkę i poszedłem po „nią“.

Trudno jest naprawdę w Nazarecie zwrócić się do nadzwyczaj uprzejmych służbowych i prosić o wywołanie kogoś. Urocze dziewczę dostaje dziwnej tremy, rumieni się, tytułuje człowieka raz „per pan“ raz „per kolego“, pół godziny potem szuka tego kogoś, a tymczasem wieść rozchodzi się po całej szkole, że Jurek przyjechał do Zosi i (choć zamienił z nią poprzednio tylko kilka błahych słów) kocha się w niej szalenie. Przeto, sprawnie ominąwszy drogę służbową, odnalazłem sam Marysię.

„Jedna sekunda, tylko muszę się przebrać.“

Doświadczony, bez najmniejszej obawy, że nie będzie mnie w umówionym miejscu, gdy Marysia będzie gotowa, odwiedziłem kilka innych koleżanek, poznałem parę nowych, chwyciłem kilkanaście perskich oczek i jeszcze musiałem czekać 10 minut na Marysię. Gdy przysła, uderzył mnie zapach perfum, takich samych jakimi dziś rano skrapiał się Bolek. Wyszliśmy na dziedziniec. Zrobiło mi się gorąco. Czulem jak z kilkunastu okien patrzy na nas kilkanaście par oczu. Marysia wzrosła w dumę, a ja się skurczyłem.

Doszliśmy do restauracyjki, gdzie zostawiłem Bolka. Siedział podparty i tępo patrzył przed siebie.

„O, co za zbieg okoliczności“ — rzekłem — „Mój najserdeczniejszy przyjaciel“. Marysia spojrzała badawczo na Bolka. Spłonął. Wstał. Wyciągnął niezdarnie ręce, jakby chciał zaszutować. Zmieszany, wcisnął je do kieszeni i ukłonił się niezdarnie.

„A przypraszam“ — rzekłem, „Bolek — Marysia“.

„Bardzo mi miło poznać pana“ — zapiszczała Marysia i wyciągnęła rękę. Bolek czy to z zażenowania, czy z prostej przyczyny, że rzadko kto podawał mu rękę, nie wysunął swojej. Kopnąłem go w łydkę. Bolek źle mnie zrozumiał i z miejsca zniknął.

„Co się temu panu stało?“ — zapytała Marysia.

„Bolek funduje“ — odparłem.

Po chwili ukazał się Bolek a za nim kelner z herbatą i dziesięcioma ciastkami. Marysia zaczęła protestować: „bo jak-to, nigdy się nie zgodzę.“ „Ależ proszę pani...“ Ludzie z innych stolików zaczęli się odwracać. Byłem pewny, że Marysia nie tknie ciastka ale marzyłem o tym aby przestała się „ceregelić“. Tymczasem się pomyliłem. Zniknęło siedem ciastek. Ja zjadłem jedno, Bolek dwa.

Bolek przewracał w palcach blaszaną popielniczkę.

„Może pan coś opowie o sobie“ — powiedziała Marysia zwracając do Bolka. „Wygląda pan na romantyka.“

Zatrząsałem się z wściekłości. Bolek romantyk! To bydle kujące cały dzień i myślące o jedzeniu, spaniu i o tym, aby mieć kawałek niedopałka w kieszeni! Romantyk! Zatrzymałem na chwilę oddech aby dobrze usłyszeć od czego zacząć.

Pamiętając najoczywiściej moje pouczenie, zaczął od pogody. Przebrnąwszy przez nią, głądził o szkole: że u nich w klasie tablica jest prostokątna a nie kwadratowa. Skończywszy, zjechał na swe tragiczne życie. Mówił tonem cichym, bolesnym, starając się wywołać uśmiech smutny, rozdzierający na wskroś serce. Robił to z takim przejęciem, że w gardle mnie mdliło, wnętrzności rzucały się we wściekłych konwulsjach a buty raz po raz okładały żylaste nogi Bolka. Mówił jak: pewnego pięknego poranka wychodzi na ganek i widzi jak umiera...

„Kto?“ — przerywa wzruszona Marysia.

„Azor — proszę pani“.

Nie mogłem już dłużej usiedzieć i zaproponowałem spacer. Szedłmy długi czas w milczeniu. Aż wreszcie doszedłszy do dwóch kaktusów i jednego drzewka eukaliptusowego Marysia westchnęła: „Ach, jak tu romantycznie!“,

„Ta... ak“ — odpowiedział „romantycznie“ Bolek. Poczym wsunął mi 50 milsów do kieszeni prosząc abym kupił cukierków. Zrozumiałem. Poszedłem na piwo.

Po dwóch godzinach, palony zazdrością, postanowiłem ich odszukać. Siedzieli przytuleni do siebie, a Bolek najwidoczniej wyznawał swoją miłość, bo miał romantyczną minę. Już chciałem przerwać ich miłosny flirt, gdy usłyszałem czułe słowa Bolka: „Karabin maszynowy też jest romantyczny, składa się...“ I tu zaczął wyliczać z przejęciem części składowe karabinu, a ona słuchała wniebowzięta.

J, Dziewulak

„Kadet“ 1945

NA BEZRYBIU I RAK RYBA

„Napisz coś Kita, no napisz o Kadetach“ (że niby autorytet?). Więc obiecałam — nieopatrznie, lekkomyślnie, bezmyślnie. Szczególnie bezmyślnie, tym bardziej, że momentalnie spostrzegłam jałową pustkę w głowie (gorszą niż normalnie). Z bezdennej głębi, której upoczywie wyłaniało się tylko jedno zdanie — „na bezrybiu i rak ryba“. I nic więcej. „Na bezrybiu i rak ryba“. Kropka. Koniec! I tak przez rok.

Kadeci — ryby, raki, ryby, raki — Kadeci. Każdy normalny człowiek kojarzy ryby i raki z jedzeniem, z restauracją, z morzem, z akwariem, a ja nie tylko KADECI.

W końcu nagłona przyjacielskimi przypomnieniami „no coś piszesz“, „wstydzilibyś się“ i „obiecałaś“, które przeszły w epitety i „brzydkie wyrazy“ powtarzane po kilka razy, postanowiłam wyrwać się z tego błędnego koła za wszelką cenę. Zasiadłam więc, żeby napisać „coś o Kadetach“ i doznałam nagłego objawienia, że ten pan Freud, oj jaki to mądry człowiek, wiedział, co mówił o tej podświadomości i ta moja podświadomość wiedziała co robi jak mi pchała te ryby i raki do głowy.

Bo właśnie tak się zaczęło. Najpierw było wojsko. W Gederze, Rehowocie, Jeninie, było wojsko. A Kadeci? No, gdzieś tam była szkoła chłopców, młodszych braci, ach smarkaczy.

W Nazarecie już nie było wojska, znikło, wysłane z Palestyny do Egiptu i Włoch. I właśnie wtedy okazało się, że „na bezrybiu i rak ryba“, albo jak ktoś woli — „natura nie znosi próżni“. „Smarkacze“ zaczęli przyjeżdżać na week-endy i nagle, cudem wprost, podrosli. weszli na status „kawalerów, partnerów do tańca, majówek, spacerów, flirtów, romansów. Romansów? Na dzisiejsze czasy można powiedzieć dziecinne zabawy, takie to naiwne, niewinne, pełne czaru raczej niż sex'u były te romanse i intrygi moich zielonych lat.

Wracając do Kadetów, przyjeżdżało to bractwo hurtem, bez grosza (i często bez przepustki) i jakoś się karmiło, spało i bawilo. Bez grosza, bez papirosów (przeważnie), bez alkoholu (prawie zawsze), bez kina i teatru, no i oczywiście bez narkotyków.

Mój syn by powiedział „no to co żeście robili?“ i może by nawet nie zrozumiał, że to nieważne, bo było wesoło; było wesoło przygotowywać spanie dla Kadetów na „serpentynekach“ pod krzakami w obawie przed strażnikami, było wesoło tańczyć w świetlicy i śmiać się z byle czego.

Nie wiem jak się na to zapatrywały nasze władze. Pewnie pobłażliwie, bo powinny były zaobserwować, że wiele takich panien jak ja, która „od wieków“ uważała się za dorosłą osobę, ba, kilkakrotnie zaręczoną, na „bezrybiu“ wróciło do normalnych lat, normalnego zachowania się sztabaczek, do części normalnych przeżyć w niernormalnych warunkach i czasach.

Dzisiaj więc, po 30 latach i wielu innych sprawach, piję zdrowie wszystkich Kadetów i życzę swojej córce, żeby najpierw miała „raki“, a dopiero później „ryby“, wychodząc z założenia, że trzeba się nauczyć pelzać (raczkować) zanim się zacznie biegać.

Kita Kwiatkowska-Sharples

POLISH FORCES — M. E. — XYZ

W kancelarii głównej jeden kąt oddany jest sprawom poczty polowej Nr XYZ. Kąt ten, w którym znajdował się tylko stół, krzesło i podoficer pocztowy w mundurze P. S. K., był najskromniejszym w całej kancelarii. Bo przy innych stołach stały czy to szafy, czy też „komody“, zamykane nawet na klucz, a choćby tylko jakaś okazała skrzynia, a tam nic, zupełnie nic! Podoficer pocztowy zaś układał swoje ruchomości na noc w szafie kancelarii głównej też jak gdyby tylko „kątem“.

Dopiero od czasu, gdy jakiś wdzięczny a pomysłowy klient z plutonu wartowniczego umieścił nad stołem „pani poczmistrzyni“ własnoręcznie zrobioną półkę z licznymi przegródkami, kąt ów zyskał ogromnie na wyglądzie i okazałości. A chociaż podoficer pocztowy w dalszym ciągu układa swoje ruchomości „kątem“ w szafie kancelarii głównej, to jednak jego pracownia nosi — dzięki tej właśnie półce — reprezentacyjny charakter poważnej instytucji.

Frekwencja natomiast pozostała ta sama bo — z półkami, czy bez półek — poczta polowa cieszy się wśród całego zespołu S. M. O. nieopisanym powodzeniem i zapewne — według tych entuzjastek — poczta mogłaby się obejść bez żadnego w ogóle sprzętu, a podoficer pocztowy powinien w ciągu swej godzinnej jazdy z centrali do szkoły posortować listy w aucie i oddać je od razu, gdy tylko wóz się zatrzyma na pięknym dziedzińcu szkolnym.

A nawet można by już co niecierpliwszym w biegu listy rozdawać: zyskałoby się znacznie na czasie. Zdawałoby się to takie proste — prawda? A jednak uparty podoficer pocztowy nie może tego zrozumieć i nie otwiera swego zalakowanego worka wcześniej, zanim się nie znajdzie w swym reprezentacyjnym biurze. I nie ma na to rady. Dobrze, że udało się choć dziewczynkom wybić z głowy uparte dążenie do zjedzenia obiadu przed otwarciem worka. Przeciągnęłoby to sprawę przynajmniej o dobre pół godziny! Całe pół godziny, niemożliwe do przetrzymania! Wobec tego podoficer pocztowy zrezygnował z obiadu dwa razy tygodniowo, to jest w te dni, kiedy jeździ i przywozi pocztę, a że tam może układ trawienny „wyżej wymienionego“ głośno przeciw tej głodówce protestuje, nikomu to nie przeszkadza, bo ów gniewny pomruk ginie absolutnie bez śladu w ogólnym tumulcie.

Nie wyobrażacie bowiem sobie, co się dzieje wtedy na korytarzu przed kancelarią główną i w samej kancelarii. Bo niby to po pocztę dla uczennic zgłaszać się mają tylko instruktorki, ale dziewczynki w tych wypadkach są niezwykle podejrzliwe: a nuż instruktorka zapomni jej nazwiska i list dostanie — Boże chroń od złego — później od.

innych koleżanek. Wślizgują się więc pod najróżnorodniejszymi pretekstami, wszelkimi sposobami, wysyłają służbowe i łączników z tyśiącem zapytań, a już od strony korytarza tak ściśle zatarasują przejście, że — bez gwałtownej potrzeby — żadna z pracowniczek nie ryzykuje przepchnięcia się przez ten ruchliwy i niewypowiedzianie wrzaskliwy tłum. Wiedzą z doświadczenia, że nie ma rady, jak tylko cierpliwie przeczekać tę burzę. Rozumieją wagę chwili.

Idzie tu przecie o najróżnorodniejszą, z rozmaitych stron świata płynącą korespondencję.

Z dziewczynek rzadko która ma w pobliżu rodziców. Więc gdy otrzyma list gdzieś z Afryki, Meksyku, Indii czy Włoch, to z białej koperty wyjmuje w białą ćwiartkę papieru owinięty uśmiech siostry, błogosławieństwo matki, dobre spojrzenie ojca i tę część stęsknionego serca, którą przy pisaniu w tym liście zamknęli. To jest teraz całe ich życie rodzinne, do którego dzieci przecie nawykły i którego im brak... ach, nawet nie wiecie, jak bardzo...

Nie tak dawno temu — jesienią — zespół rewiowy A. P. W. dawał w szkole bardzo wesoły wieczór. Konferansjer przy jakiejś dowcipnej anekdocie rzucił zatłoczonej sali pytanie: „Czy państwo wiecie, czego nam w tej chwili najbardziej potrzeba?“ Oczywiście, po tym pytaniu zrobił potrzebną przerwę, by podnieść efekt dowcipnej swej odpowiedzi,



Na poczcie

ale wtedy właśnie, nieoczekiwanie w ciszę sali padł z widowni głos dziewczęcy: „Mamy“! Młode audytorium wybuchło śmiechem tak gromkim, jakiego by konferansjer najwdowcipniejszą odpowiedzią nie wywołał — ale to — naprawdę — wcale nie było śmieszne. Wołało głosem wielkim malutkie serce dziecięce za tym wszystkim, czego je los nielitościwy pozbawił.

Bo — chociaż w szkole jest bardzo dobrze, jest jak w domu, jest jak w rodzinie, to jednak nie matki nie zastąpi. — To trudno i darmo.

Nie tylko jednak członkowie rodzin wymieniają między sobą korespondencję. Piszą też — i to wcale obszernie i często koleżanki „ubyłe“ ze szkoły. Ich listy są najgłośniej odczytywane i komentowane, interesują całą klasę, czasem całą kompanię, bywa że i całą szkołę.

Natomiast nie tyle rozgłos, ile mnóstwo szeptów i chichotów wywołują listy od tak zwanych „znajomych“, będących z reguły zakochanymi na rabój adoratorami. Zdarza się nierazko, że taki zaprzysiężony wielbiciel nadmiarem swych uczuć i nieprzepartą żądzą wypisania się obdziela równocześnie parę, a nawet kilka „bóstw“, które przyjmują jego wynurzenia za dobrą monetę i wszystko jest cudownie tak długo, dopóki jedno „bóstwo“ nie zwietrzy istnienia drugiego, i to — o zgrozo! — w tej samej klasie. Wtedy cały skandal wlewa się znów na cierpliwy papier, a podoficer pocztowy nie może nadać z przyjmowaniem — tak niechętnie przez angielską pocztę widzianych — listów poleconych. A jednak taki list z zerwaniem obowiązkowo musi pójść polecony. Zdawca musi znać całą prawdę, wypić kielich pogardy do samego dna, musi wiedzieć, że „nie będziesz ty, to będzie inny“. No, i wtedy zaczyna się korespondencja z tym innym, rzucając enigmatyczne wyzwanie na przykład w ten sposób (autentyczne): „Tak czy nie — zgoda czy głupota — niezgoda czy zgoda... Tak czy nie?“

Chyba głupota. I to ciężka głupota...

O wiele rzadsza jest korespondencja z członkami Armii Sprzymierzonych, ale też wydaje najpiękniejsze kwiatki. Podoficer pocztowy sortując spiętrzone stosy listów nierazko musi zabawić się w detektywa, by znaleźć adresatkę.

Bo na przykład — pisze młode dziewczę do takiego sympatycznego sprzymierzeńca. List z jakichś tam powodów do rąk adresata nie dochodzi, poczta uczeiwie list zwraca, a w rezultacie nasz podoficer pocztowy mżoli się długi czas nad kopertą, przeadresowaną w ten sposób — że nie wiadomo, czy wyraża przejmujący okrzyk rozpacz, czy gorzki wyrzut, czy płomienne wyznanie miłosne: „O'Henryko — Polish Forces M. E. XYZ“. Wreszcie się wyjaśniło, że na angielskiej poczcie przy zwrocie listu, w ten rozdzierający sposób uproszczono sobie nazwisko nadawczyni: Oleńska Henryka.

Albo znów inna koperta, na której starannie wykaligrafowano adres: „Na pamiątkę Janka — Polish Forces M. E. XYZ“. To też list zwrotny, dla przeadresowania którego angielski pocztowiec chytrze zużytkował podpis na załączonej do listu fotografii.

Z tego czy owego, czy jeszcze innego powodu pisane — płyną listy do szkoły olbrzymią falą i nie mniejszą z niej odpływają, szczególnie od czasu gdy opiekuńcze oddziały szkoły wyraziły chęć gremialnej korespondencji ze swoimi pupilkami.

Jakiż to posmak specjalny ma taka korespondencja z obcym człowiekiem. Jakie uczucia wywoła list dziewczyny w sercu dalekiego adresata, co odpisze, jak zareaguje? Bo chociaż wyraźnym założeniem tej wymiany listów jest macierzyńskie krzepienie i podnoszenie ra duchu zmęczonych i znękanich żołnierzy, to ileż między tą liczną rzeszą dziewcząt, zdolnych jest stanąć na wysokości zadania? A mimo to korespondencja idzie w najlepsze, chociaż wywołuje zupełnie inną reakcję i osiąga odmienny cel.

Samotne dziewczęta, do których nikt dotąd nie pisał, znajdują teraz same oparcie i wzmocnienie w tej luźnej więzi, zadzierzgniętej przez przypadek, bo, dzięki Bogu, ci nasi żołnierze nie są jeszcze tak bardzo zmęczeni i znękani. Nawiązują się delikatne nici porozumienia, a po pewnym czasie krzepną od wzajemnego zaufania i nabierają mocy od ciepłych tonów otwartego serca. Kto wie: może kiedyś splecą się w nierozzerwalny węzeł małżeński — wszak znamy już takie wypadki.

Są ludzie, którzy utrzymują, że w olbrzymiej większości listy te są całkiem nieciekawe i banalne. Wierzymy im. Ale też i niezbitce pewny jest fakt, iż ich wartość stokrotnie podnosi wyobraźnia, tęsknota i nieukożone potrzeby serca stron korespondujących.

Rozumie to dobrze nasz podoficer pocztowy i — chociaż tam czasem poburczy i naurąga — jednak wagę tych kartek zna i nierzadko sama niesie listy członkom obsady, byle prędzej oczekiwaną wieścią ucieszyć. Sama tylko — nie zazna nigdy uciechy, by któryś list uśmiechnął się do niej własnym nazwiskiem. Mąż jej zginął w Rosji. Sieje radość dookoła, ale sama poprzestać musi tylko na życzeniach wdzięcznych klientów, „żeby za rok już w Polsce listy roznosiła.“

Dni płyną, tygodnie i miesiące. Ileż listów przesunie się w tym czasie przez drobne ręce. Zatroskanymi oczyma spogląda na wysypujące się z worka nieprzeliczone listy, przerzuca, segreguje, układa...

A za drzwiami już wzbiera tumult, już kłębi się i napiera szczęśliwa gromada, już idą w ruch tysięczne podstępny i fortele, dzięki którym oczekiwany list prędzej wpadnie w ręce niecierplivej adresatki.

A szary, zgrzebny worek pocztowy, odrzucony niecierpliwie w kątek ręką podoficera pocztowego, urasta do znaczenia czarodziejskiego

rogu obfitości, z którego sypie się radość, pociecha, zachęta, czasem: żal i cierpienie — wszystko to, co nadaje barwę życiu, zamkniętemu w kabalistycznej cyfrze: M. E. XYZ.

Aleksandra Dąbrowska
„Junak“ 1944

LISTY

Dzieci w szkole. Mąż w biurze. Niebo z asfaltu zlane w monolit szarości. Dzień taki zniechęcał do wysiłku. Maśkę opadły „nostalgiczne smutki“ za czymś bliżej nieokreślonym — za słońcem może, które rzadko przedziera się przez chmurny pułap Londynu? ... za czasem bezpowrotnie w codzienności trwonionym? ... za minionymi latami? ... Po mocnej kawie, parzonej w ulubionym „piegowatym“ kubeczku, zrobiło jej się raźniej. „Wezmę się do porządków w szufladach“ — postanowiła. Zawsze podejmowała taką decyzję w rozterce. Szuflady pełne były rodzinnych pamiątek — pełne strzępów jej, jego i ich życia. W nich Maśka odnajdowała jak gdyby swoją tożsamość; uzasadnienie dla swego emigranckiego losu.

Najwięcej skrętnie przechowywanych „skarbów“ kryło się w dolnej szufladzie toaletki. Przy niej więc przysiadła na podłodze, leniwym ruchem wyjmując zawartość.

Maśka sięgnęła znów w głąb szuflady i wydobyła dużą, napęczniałą kopertę. Z rozprucia na boku wysuwały się niecierpliwie, gęsto zapisane kartki. Jedne w pośpiechu kreślone ołówkiem, inne większe, pisane atramentem — spokojniejsze, bardziej formalne. Są to listy Witka. Witek zginął na trzy tygodnie przed kapitulacją. Zostały po nim tylko zapisane skrawki papieru i grób gdzieś pod Bolonią.

Maśka zaczęła przeglądać te listy, pisane do niej w latach wojny. Tacy byli wtedy młodzi, pełni wiary i ideałów. Tacy wzruszająco naiwni i tacy tym piękni!

„A w sercu mym przywiozę Ci, Maleńka ma Dziewczyno,

Ten wiersza rym, co powie Ci, żem tęsknił i wspominał“...

„Polish Forces M. E. 424“. „Polish Forces C. M. F. 424“. „Polish Forces on active service“!

„W jednej akcji nad Adriatykiem oberwałem!“ — pisał Witek — „Gwałtowny wstrząs! Huk! Płomienie i dym wypełniły kabinę. Tysiące myśli, obrazów przemknęło błyskawicznym filmem przez mózg. Instynktownie, gwałtownym ruchem otworzyłem klapę — wyskoczyłem. Przerażliwy gwizd, huk! — drugi przeciw-panc. rąbnął w wieżę. Buchnął jasny płomień. Wokół szalało istne piekło... młody zagajnik, rwany w strzępy huraganowym ogniem niemieckiej artylerii, tonął

w chmurach pyłu. Diabelskie ogniki pocisków c. k. emów skakały po konarach. Przywarliśmy do ziemi. „Smoki“ nasze gwałtownym ogniem, przeorały nieprzyjacielskie wzgórze i posunęły się dalej. Fala ognia przewaliła się w kierunku w dali widniejącego miasteczka. Ochłonnawszy z pierwszego wrażenia, staraliśmy się wydostać z tej nawały. Dobrnęliśmy do zabudowań, okolonych gęstym parkiem. Na skraju zagajnika pozostała „Ala“, stalowa trumna dwóch kolegów — wstrząsana dreszczem eksplodującej amunicji. Ogarnęło nas głupie uczucie osamotnienia, bezradność po stracie stalowego przyjaciela. Zabudowania przedstawiały żałosny widok — lewe skrzydło domu leżało w gruzach. Bydło z rozbitych obór rozbiegło się po parku, rycząc w obłędzie strachu. Odnalezieni w schronie mieszkańcy, patrzyli na nas jak na szatanów żądnych mordu i zagłady. Jakoś nieprzyjemnie zrobiło się nam, widząc to dzieło zniszczenia, wyczuwając przerażenie tuziemców. Po usilnym przekonywaniu, że jesteśmy „Polacco“ — poczuli się swobodniej. Kobiety zajęły się opatrzaniem silnie krwawiącego ramienia kolegi. Mimo grożącego niebezpieczeństwa, nie mogliśmy się oprzeć pokusie — spać, spać... Trzy dni piekielnego natarcia, trzy nie przespane doby. Gorączkowy sen przerwaliśmy na odgłos gwałtownej strzelaniny. Rano odesłaliśmy rannego kolegę. Wieczorem przyszedł po nas samochód. Łzy żalu czy niepokoju w oczach żegnających nas osób głęboko utkwily mi w pamięci. Tych kilka życzliwych słów na tle straszliwego zniszczenia nowoczesnej wojny zrobiły na mnie silne wrażenie. Czulem dużą wdzięczność za tę odrobinę troskliwości i okazanego serca...

Czyta Maśka i chciałaby płakać, ale już nie umie... W palcach delikatnie trzymając połówkę ze starości kopertę; zaadresowana jej ręką do Witka już nie dotarła... Czerwoną kredką w pośpiechu rzucone litery uderzają boleśnie, tragiczną prawdą: — „killed in action“ — a na odwrocie, pomiędzy pieczęcią poczty polowej i poczty głównej, ktoś dopisał: — „poległ na Polu Chwały we Włoszech dnia 19. IV. 1945 r.“

Kwiecień 1945 rok... Była wtedy w Nazarecie, w Szkole Młodszych Ochotniczek. Przygotowywała się do matury... Maśka przenosi się myślą do klasztornej budynku, osiadłego pewnie i solidnie na jednym z nazaretańskich wzgórz. Z dała od tumultu wojny dni płynęły spokojnie, normalnym nurtem internatowej szkoły. W swoim szczęśliwym odizolowaniu dziewczęta często zapomniały o zewnętrznym świecie i dopiero listy, otrzymywane za pośrednictwem poczty polowej, na „Polish Forces M. E. 222“ przywracały je wojennej rzeczywistości. Korespondowały wtedy szeroko i dużo, bo poza szkołą sens istnienia zamykał się w listach. Pisało się wówczas o wszystkim — ku utrapieniu cenzora zapewne! Uwięzione w słowach uczucia, myśli,

najskrytsze pragnienia, przemierzały przestrzeń, niosąc obustronną pociechę, zaspokojenie... Listy wypełniały próżnię oddalenia; zastępowały bliskość obcowania; były bezpośrednią, wyczuwalną częścią piszących...

Czekali na listy wszyscy: rodziny w wojennej rozsypce, one tu w szkole, oni tam na froncie. Czekali z utęsknieniem, bo jak pisał Witek: — „choć wydawało się, że resztki uczuć spłonęły w piekle ostatnich walk, to jednak są chwile, w których myśli odbiegają daleko od rzeczywistości; gdzieś daleko ku ciszy, ku komuś drogiemu — i ileż każdy z nas dalby w takiej chwili za słów kilka, za jeden uśmiech... Pisz często! Ja muszę kończyć, bo znowu alarm. Pogotowie wyjazdowe. Zbieraj graty i dalej“...

One zaś w samotnym oddaleniu — myśli Maśka — stały im uśmiechy i serca. Biegły za nimi listami... Odnajdowały ich gdzieś na postojach, biwaku, we włoskich kawiarenkach — i krzepiły nadzieją, otaczały troską, spowiadały wspomnieniem... Wspólnie ratowali swe młode dusze przed ostatecznym zwątpieniem w celowość boskiego i ludzkiego porządku.

Sadowiąc się wygodniej na twardej podłodze, Maśka sięgnęła po nowy list i czyta: — „Czy sądzisz, że zapomniałem? Jakże często jestem myślami przy Tobie! Wszystkie nasze spotkania były takie niespodziewane, błyskawiczne... Tułając się wspomnieniami po uliczkach, zaułkach znajomych miasteczek, wyczarowuję pragnieniem ponowne takie spotkanie“...

Nie spotkali się... Maśka poczuła ukłucie bólu. Instynktownie skuliła się jakby dla obrony. Wtedy w Nazarecie było jej strasznie ciężko... Nie chciała wierzyć, że już nigdy nie dojdzie do spotkania — w zaułku, w uliczce, gdziekolwiek. Nie mogła pogodzić się z faktem. Długo jeszcze czekała na listy, nadzieją wybiegając im w pół drogi.

Maśka drgnęła... a oto kartka świąteczna. Podała ją dokładnej analizie „Buon Anno 1945“ — a data — 24. XII. 1944. „W wieczór wigilijny jestem z Tobą i przy Tobie“... Pamięta Maśka jak słów tych kilka zapachniało żywicznym lasem choinki, pierników złotym miodem; jak rozeszło się lnem białego obrusa; roziskrzyło gwiazdami i śniegiem; pamięta — jak urosło w potęgę kolędy „Bóg się rodzi — moc truchleje“ i przywróciło jej dom rodzinny i wszystko co dobrem było...

Poczta była żywym barometrem odczuć i nastrojów w Nazarecie. Nic przeto dziwnego, że realnymi kształtami rysuje się Maśce obraz, jak w wielkim oczekiwaniu oblegały kancelarię główną, w której „kątem“ mieściła się poczta. Sama wystawała tam długo, modląc się w duchu o przyspieszenie momentu. Potem drżącymi rękami odbierała listy... Witała się z nimi z charakteru pisma odgadując

nadawców i unosiła je w kąt ulubiony, kąt zaciszny, by pobyć z nimi „sam na sam“. To nazaretańskie przyzwyczajenie pozostało jej do dzisiaj... Maśka uśmiechnęła się. Działo się to tak dawno, a z jaką intensywnością wszystko odczuwa. Potrafi odtworzyć chropowatą fakturę papieru, wyczuć prawie wypukłość liter. Widzi słowa różnymi rękami kreślone, skierowane do niej. Równe, krągłe pismo matki, pochylone trochę w prawo, przykazywało dbać o siebie; ograniczyć papierosy; uczyć się i pomyśleć o urlopie. Troskliwa, dobra mama nigdy nie wspominała o swoich bólach i zmartwieniach, o swoim zdrowiu, o swojej niepewności. Prosiła tylko Maśkę — „pisz często, bo ty jedna mi pozostałaś“.

Wzrok Maśki padł znów na listy Witka... Tak, Witek pisał inaczej. Rozsypywał litery po papierze ruchem szybkim, nieoszczędnym. Pulsowały życiem i siłą odczucia. Zupełnie inaczej niż Antek, który wiązał je w jednostajne łańcuszki poufnej nudy, dokładnie informującej nawet o stanie sznurówek w fasowanych butach. Maśka odpisywała mu cierpliwie z poczucia wojennego obowiązku. Renek zaś kreślił ostro, jasno, krótko — nie bawiąc się w sentymenty. A ten „nieznajomy“ Żubr z Piątej Dywizji, którego adres dostała ze „szkolnego przydziału“, pisał bardzo „urzędowo“ i formalnie. Przysłał jej za to „Sitwę“ — Księgę pamiątkową swojej Jednostki, wydaną we Włoszech. Maśka do dziś jest mu za nią wdzięczna. A „biedny! samotny! Józio?“ — który, przejęty do głębi listem od nieznannej, młodszej ochotniczki, pomylił sobie wszystkie znaki pisarskie i tym dostarczył na długo, niewinnej uciechy... A Staszek — reformator! A Janusz — trzpiot i flirciarz! A Zbyszek... Pisali wszyscy i one pisały, bo listy były dopełnieniem ich nazaretańskiego życia. Kochały się listownie. Dyskutowały na piśmie. Łzy lały na skrawki papieru. Między wierszami kryły uśmiechy, obietnice... Dawały znać o sobie, że są, że czekają, że troszczą się i nie zapominają. Listy!?!... Listy potrafiły, w obrębie samej szkoły nawet, wpływać na nowe alianse, lub rozbijać wypróbowane przyjaźnie. Maśka roześmiała się do swoich wspomnień. „Zaraz — jak to było z Janką, Jurkiem, ze mną i listem?... Acha — już wiem! Wpadła raz do pokoiku bardzo podniecona Janka, wymachując w powietrzu listem. — „Maśka, czy ty wiesz od kogo ten list? — i do kogo?“ — krzyczała od progu. „Nie wiem, pokaż to będę wiedziała“ — „A właśnie od Jurka i to adresowany do ciebie! Skąd ty znasz Jurka?“... — „Bardzo po prostu z obozu w Quassasinie! Wypijaliśmy razem niezliczone ilości herbaty w Y. W. C'e — ja z cytryną i pięcioma łyżeczkami cukru — a bo co?“ — „Nie powinnaś była — ja się w nim Kocham“ — stwierdziła dramatycznie Janka. „Bądź spokojna — ja nie, ale list oddaj!“ Maśka nie mogła sobie

przypomnieć, jak długo Janka wojowała o prawo wyłączności do Jurka.

Jakież to odległe czasy, nieomalże tak odległe jak te z okresu dzieciństwa, do których Maśka trafia przy pomocy trzech sfatygowanych brulionów, jeszcze z Polski, przechowywanych obecnie w szufladzie. Wpisywała do nich ulubione wiersze i sentencje od dziecka, od momentu kiedy nauczyła się czytać, pisać i rozumieć. Przeszły z nią wszystkie koleje wojennego losu, podobnie jak kuty w srebrze obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, który wisiał jeszcze nad jej, Maśki, dzieciennym łóżeczkiem i wisi nadal nad ich łóżkiem — roztaczając opiekę. Tyle tylko uratowała ze swojej polskiej, przedwojennej przeszłości — z tej innej epoki, przedzielonej rozpadliną wojny od „teraz“. Nawet pamięcią trudno jest się przepawić do tamtych lat... i gdyby nie obrazek, gdyby nie bruliony — nie byłoby dowodów „tamtego“ istnienia.

„A gdyby nie listy, zwłaszcza listy Witka — może nie miałabym pełnej, bogatej młodości“ — zadumała się Maśka.

Na „dole“ rozterkotał się stary budzik.. Miał zreregulowany mechanizm, co stało się przyczyną jego degradacji z sypialnego na kuchenny zegar. Zdezorientowany w czasie, dawał upust niezadowoleniu, o przeróżnych porach, wydzwaniając żal i gorycz swego upadku. Maśka darzyła go współczuciem i zrozumieniem. Jak zawsze, tak i teraz, wyrwał ją z zadumy, przyzwał do terażniejszości...

Popatrzyła na rozsypane listy Witka — zaścilały dywan jak uwędle kwiaty...

Maśka zaczęła je składać ostrożnie.

Maria Suracka-Muchlińska

ZNAŁAM ICH WIELU...

Znałam ich wielu. Wszyscy byli młodzi, pełni życia i zapału. Mieli w sobie urok i czar, który kazał uśmiechnąć się do nich i któremu nie można było się oprzeć.

Umieli urządzać wspaniałe ogniska i zabawy, potrafili być „moro-wymi“ kolegami — i takimi wyobrażałam sobie ich zawsze. Wiele mówili nieraz o swojej pracy, o ćwiczeniach, o swoich kochanych czołgach, ale jakoś nie mogłam, czy nie chciałam myśleć o tym, że kiedyś przyjdzie im naprawdę skończyć beztrioskie życie, że przyjdzie chwila, kiedy ruszą do prawdziwego boju, z którego przecież tyłu nie wróci.

Wielu pamiętam. Twarze mają zawsze pogodne, uśmiechnięte, zdają się nie myśleć o niczym smutnym ani strasznym.

Zastanawiam się często nad myślami żołnierza, wyruszającego na front, lecz dość trudno jest mi się wczuć w ich stan duszy; nie wątpię jednak, że wielu i wtedy uśmiecha się, — może do wspomnień, może do wiary w siebie, — a może tylko po to, aby dodać ctuchy innym i sobie. Wierzę w to, że pancerniacy uśmiechali się, zdobywając miasteczko Piedimonte.

Znam parę fragmentów z tej bitwy z gazet. Czytałam je „od deski do deski“. Zdawało mi się, że byłam gdzieś blisko nich, widziałam męstwo i zapał z jakim walczyła załoga każdego czołgu i radość, z jaką zatknęli polski proporzeczyk pancerny na murach miasta, z którego wypędzili Niemców.

Czy tylko doszli tam wszyscy, — czy mogło obejść się bez ofiar?

Może już wielu nigdy nie będzie cieszyć się zwycięstwem, które tak drogo okupili?

Trudno jest tak „na co dzień“ być pod wrażeniem wielkości, patriotyzmu, czynów wzniosłych. Całe szeregi dni płyną pod znakiem pracy szkolnej, wśród której zapomina się o właściwym, najwyższym celu nas wszystkich. Lecz przychodzą momenty, kiedy tak bardzo czuje się tę wielkość naszego zadania; — takie chwile wskrzeszają w nas właśnie oni — ich przelana krew, — ich bohaterstwo.

Przyznam się, że przed przystąpieniem naszych wojsk do akcji mało interesowało mnie to, co działo się w świecie. Nauka, sprawy ściśle szkolne prawie zupełnie wypełniały treść moich zainteresowań, czasem nawet zdawało mi się, że nie mam czasu na przeczytanie gazety, a największą tragedią była dla mnie myśl o opuszczeniu szkoły.

Daś nie mogę się uczyć spokojnie i z takim oddaniem się pracy, jak przed rokiem; bo czyż można myśleć o lekcjach, repetycjach, czy zadaniach, siedząc przy stole w miło urządzonej pokoiku, albo w cieniu starych drzew szkolnego parku, gdy mimo woli nasuwa się myśl o tych, co walczą i giną; — wtedy — zamiast liter — przesuwają się po kartkach książki znajome postacie tych, z których może już wielu nie żyje.

I nagle chciałoby się rzucić wszystko i pójść tam, by walczyć z nimi.

Wanda Kłosowska
„Junak“ 1944 rok

OSRODEK UZDROWIENCZY W TYBERIADZIE

Zrazu miało się to nazywać „Junacka Kolonia Uzdrowieńcza“ i mieścić w namiotach, gdzieś na brzegu Tyberiadzkiego jeziora. Była wtedy zima 1942/3 r. Wiele młodzieży junackiej, która kilka miesięcy przedtem opuściła Rosję, nieszczególnie znosiło tę zimę, jedną z

ostrzejszych w Palestynie, i poczęło chorować. Odezwały się nabyte w Sowietach reumatyzmy, artretyzmy, skrofuloza itd. Powstało więc pytanie, jak temu zapobiec? Wysyłanie młodzieży do szpitala nie rozwiązywało sprawy. Trzeba było ciepła, słońca, suchych mieszkań, a nie szpitali. Polskich domów uzdrowieńczych nie było już na terenie Palestyny, bo nasze wojska odeszły wtedy do Iraku.

Pozostawało jedno: stworzyć własny ośrodek uzdrowieńczy. Miejsce nasuwało się samo: Tyberiada. Słyszeliśmy wiele o jej ciepłym klimacie zimowym, o wczesnej wiosnie, o słynnych kąpielach solankowych, w których leczy się cały Bliski Wschód i już patrycjusze starego Rzymu przyjeżdżali moczyć swe reumatyzmy. Na domiar w sąsiednim Nazarecie znajdowała się Jun. Mł. Szk. Powszechna, która mogła objąć zaopatrzenie ośrodka. Słowem: miejsce jak gdyby stworzone dla naszych chorych. O mieszkanie dla nich na razie nie martwiliśmy się. Żołnierz ma swój namiot i rozbija go, gdzie mu się podoba.

Tak więc pewnego styczniowego dnia 1943 r. Dowódca Szkół Junaków wysłał swego zastępcę i piszącego te słowa na rekonesans do Tyberiady — ażebyśmy znaleźli tam miejsce pod namioty dla owej „junackiej kolonii uzdrowieńczej“. Lubilem Tyberiadę od dawna. Jest inna niż cała Palestyna: jakaś bardziej swojska — zielona i pełna wód — wytchnienie dla ludzi zmęczonych kamieniami i piaskiem tego kraju. Nie zawiodła nas Tyberiada i tym razem. Zastaliśmy ją całą w słońcu, które w ówczesnej słotnej porze roku witaliśmy radośnie, jak gdyby u nas w Polsce. Na domiar w franciszkańskiej Casanowie, w której zamieszkałiśmy, było tak miło, a jej gospodarz, Ojciec Mariano, który już nieraz gościł Polaków w swoim hospicjum, przyjął nas tak serdecznie, że wycieczka służbowa stała się nielada przyjemnością.

Ale z „kolonią uzdrowieńczą“ szło opornie. Przede wszystkim okazało się, że zdobyć w Tyberiadzie wolny teren na założenie obozu wcale nie jest łatwo, a projekt sanatorium w namiotach, w lutym, kiedy nawet w Tyberiadzie noce nie są najcieplejsze, wydał się z bliska mniej ponętny. Lepiej było jednak znaleźć na ten cel odpowiedni dom; niestety mieszkania w Tyberiadzie w sezonie kąpielowym nie należą do tanich. Pojechaliśmy zatem szukać dalej do sąsiedniej El Hamy. Miejscowy lekarz kąpielowy (paradny typ, który medycynę studiował w Paryżu, choć wrażenie, jakie robił, dawno przestało być „paryskie“) usiłował nam pomóc, ale nie zdołał przekonać miejscowych hotelarzy do obniżenia cen, nie mniej wygórowanych niż w Tyberiadzie, jeśli się weźmie pod uwagę poziom owych — sit venia verbo — hoteli. I tak wyjechaliśmy z El Hamy urzeczeni wprawdzie jej ponurym pięknem wygasłego wulkanu — ale tak samo jak w Tyberiadzie — nie załatwiwszy niczego. Wydawało się już, że wrócimy z próżnymi rękoma.

A tymczasem rozwiązanie — proste i najlepsze — czekało nas w tej samej Casanowie, w której właśnie mieszkaliśmy Ojciec Mariano, zapytany (jako ostatnia deska ratunku), czy nie oddałby Casanowy dla naszej młodzieży, z miejsca odpowiedział, że tak. Widać było, że projekt przypadł mu do gustu. Podał bardzo niskie warunki, ofiarował cały szereg udogodnień, jakich nawet nie żądaliśmy sami. Z wrodzoną sobie życzliwością i przedsiębiorczością począł kreślić plany ośrodka dla młodzieży. Jadalnię odnowi, kuchnię przebuduje itd. Szczególnie podobała mu się myśl, że junaczki będą mu śpiewać w kościele a junacy do mszy służyć. W pół godziny stanęła umowa. Pozostawało jeszcze znaleźć tego, który zapłaci. Oczywiście ktoś, jak nie Delegat Min. Pracy i Opieki Społecznej, który zawsze pomagał finansowo, gdy tylko szło o dobro młodzieży.

W powrotnej drodze przez Jerozolimę uzyskaliśmy z miejsca życzliwą zgodę Delegata. Pozostało wrócić do Barbary i zająć się organizacją pierwszego turnusu w Tyberiadzie. Tak się to więc zaczęło.

Pamiętam do dziś napięcie, z jakim czekaliśmy na powrót pierwszej grupy junaków wysłanych do Tyberiadu. Uda się eksperyment czy się nie uda? Rezultat przeszedł oczekiwania. Po trzech tygodniach wszyscy wrócili weseli, opaleni, zdrowi i z przybytkiem na wadze, niektórzy do 4-ch kg.

Odtąd w trzy tygodniowych odstępach coraz nowe grupy junaków na zmianę z młodszymi ochotniczkami jechały po zdrowie do Tyberiadu. Najslabsi, najbardziej schorowani, wracali dzięki Tyberiadzie do zdrowia i procent słabowitej młodzieży w Szkołach niewątpliwie od owego czasu bardzo się zmniejszył.

Na specjalne wspomnienie zasługuje pobyt pierwszej grupy młodszych ochotniczek w Tyberiadzie, który szczególnie się udał pod iście matczyną opieką ówczesnej lekarki S. M. O. Dr. Duczywińskiej. Właśnie tę grupę odwiedził nowojorski Arcybiskup Spellman. Stałym gościem młodszych ochotniczek w Tyberiadzie był artysta malarz prof. Włastimil Hofman. Nawalował on portret Ks. Arcybiskupa, który szczerze interesował się młodzieżą polską.

Początkowo w Ośrodku Tyberiadzkim szwankowało gospodarstwo, ściślej mówiąc kuchnia. Niełatwo było znaleźć wśród wojskowych speców od kotłów obozowych odpowiedniego kucharza. Wszystko się zmieniło, gdy jesienią 1943 roku, stronę gospodarczą objęła dzielna p. Goeblova, wraz ze sztabem trzech włoskich siostr zakonnych, doskonale gotujących. Do tych dobrych rezultatów przyczyniła się niemało sprawna organizacja Ośrodka, prowadzona przez jego kometanta por. Leśniaka. Po ustabilizowaniu się Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie gospodarze zaopatrzenie Ośrodka przejęła S. M. O.

W lecie, gdy ze względu na upały Tyberiadu nie nadawała się dla



W Tyberiadzie

chorych, wykorzystywano Ośrodek na wakacje dla zdrowej młodzieży. Nie był to najspokojniejszy okres w dziejach franciszkańskiego przybytku. Ale zacny Ojciec Mariano uśmiechał się nadal pogodnie i życzliwie. Gdy chłopcy pobili szyby, tłumaczył, że są młodzi i wstawiał nowe. Gdy dziewczęta krzyczały do pęknięcia uszu — wynajdywał, że mają dobre głosy i że będą pięknie śpiewać w kościółku.

Przeeglądy i wybierania właściwych kandydatów na kurację do Tyberiady nie były pracą łatwą dla lekarza. Ale zdarzały się również i momenty wesołe. Zgłasza się podczas organizowania jednej z grup do Ośrodka Uzdrawieńczego kandydat na ochotnika — wyglądający co prawda niezgorzej, ale pokręcony jak stare oliwkowe drzewo i powiada, że strasznie cierpi na reumatyzm, że tylko Tyberiada może go uratować. Jak tu takiemu nie wierzyć — choć skądinąd — okaz zdrowia. Medycyna jest omylna, myślę sobie. Zdarzało się już, że lekarz orzekł: zdrow, a pacjent u progu padał trupem. Słucham zatem, pukam, macam. Nic. Rzykuję: „Nie, mój kochany, nie nadajesz się do Tyberiady“. Wtedy młody inwalida: „Panie doktorze, a może klimat Nazaretu byłby dla mnie lepszy?!“. Połapałem się, o co chodzi, niestety musiałem odmówić. Pomogło. Następnego dnia widziałem jak mój reumatyk grał najprawidłowej w piłkę nożną. A do Nazaretu pojechał na następną przepustkę.

W zimie 1943/4 roku Szef Służby Zdrowia, po dokonaniu inspekcji Ośrodka i stwierdzeniu doskonałych skutków leczenia u młodzieży, zwrócił się do Dowódcy Szkół Junaków o wyznaczenie 10 stałych miejsc dla chorych żołnierzy. Odtąd Ośrodek Uzdrawieńczy w Tyberiadzie służył nie tylko junakom i młodszym ochotniczkom ale także żołnierzom A. P. W. Przebywał tam też na leczeniu ówczesny Dowódca 3 Korpusu, gen. Tokarzewski. Generał żywo interesował się Ośrodkiem. Wprowadził wiele inowacji, był inicjatorem budowy ołtarza na dziedzińcu przy kościele O. O. Franciszkaów. Projekt i budowę wykonał artysta-rzeźbiarz por. Zieliński, który przez rok przeszło, wraz z oddanym zespołem żołnierzy-współpracowników budował i wykuwał tę kaplicę, a nawet wykuwał do niej kamienie z miejscowego kamieniołomu. Ołtarz, występujący kamiennym półkołem w dziedzińcu kościelny Casanowy jest rodzajem wielkiej niszy bez stropu, której króluje płaskorzeźba Matki Boskiej Częstochowskiej, z ciemnego palestyńskiego marmuru. Z obu stron na ścianach półkoła, niby polski poczet Królowej, przedstawione są postacie: junaka i młodszej ochotniczki, husarza w pancerzu i żołnierza w battle-dressie, a dalej herby Warszawy i Wilna, Poznania i Lwowa, Krakowa i Gdańska. Dwóch tylko „obco-krajowców“ zostało dopuszczonych przez rzeźbiarza do tego czysto polskiego towarzystwa, dostojnych co prawda i wielce udanych: Archanioł Michał z natchnionym, surowym obliczem i św. Łukasz — dobroć serca, uśmiechająca się opiekuńczo do Dziecka niesionego na potężnym ramieniu.

Uroczystość przekazania kaplicy O. O. Franciszkanom w dniu 11-go sierpnia 1946 była pożegnalnym świętem Ośrodka Uzdrawieńców w Tyberiadzie, była pięknym zamknięciem czterech niemal lat solidarnej pracy i doniosłych rezultatów zdrowotnych. W kilka miesięcy potem Szkoły Junackie opuściły Palestynę.

Dziś wracamy do Tyberiadę w swoich wspomnieniach pełni sentymentu do tego czarownego zakątka ziemi, którego piękno przyrody mało ma sobie równych, do jego ciepła i do jeziora, po którego wodach sam Pan Świata stąpał niegdyś świętą nietoniącą stopą.

Dr. Wit Tarnawski

N A W A K A C J A C H

1) ATLIT

Piękna atlicka noc — namiot w piasku i dwa cienie w kostiumach kąpielowych. „Skurcz się grubasie — przecież nas zobaczą“. „Tak — tobie to dobrze mówić, bo piegi ci przy tym nie przeszkadzają“.

Ruszamy cicho. Towarzyszka moja na czworakach zręcznie omija wszelkie ostre rowy i obrzydliwe kraby, ja na brzuchu muszę czolgać się po tym wszystkim. Takı jest los grubasa! Szczęśliwe, rozemocjonowane do najwyższego stopnia, zatrzymałyśmy się przy ostatnim krzaku. Przed nami rozciągał się kawałek gołej plaży. Zrozpaczonym wzrokiem mierzyłyśmy tę przestrzeń, która w oczach naszych urosła do wielkości Sahary, a od przebycia jej zależał los wyprawy. Krótka narada wojenna, a potem śmiało, jak do szturm: biegiem — na przelaj!

Chluśnięcie wody. Hurra i udało się... Lecz okrzyk zamarł na naszych ustach, gdyż niespodziewanie ukazały się na brzegu dwie



W Atlicie

„flegmy angielskie“. Flegmy wartownicze służbowo zaczęły okręcać głowy wzdłuż osi kręgosłupów, badając najpierw teren obozu a później zatokę. Nic nie zauważyli. Po chwili ruszyli na dalsze patrolowanie, a my popłynęłyśmy dalej.

Była noc, ciemne niebo, i do tego zrobiło się jeszcze cicho... Księżyc tak jakoś dziwnie, ale cudnie odbijał się w wodzie i tworzył na niej jasne plamy. Było tak ślicznie i tajemniczo, że my nawet uległyśmy temu nastrojowi. Już byłyśmy niedaleko zamku, gdy nagle towarzyszka moja, wpadłszy „nos w nos“ w zwoje wodorostów

zawyla głosem syreny alarmowej. Na nieszczęście akurat w tym samym momencie jakaś meduza otarła się o mnie, poczułam „masło w kolanach“, dreszcz w lydka i lotem błyskawicy wyładczałam na brzegu. Obydwie miałyśmy dosyć nocnych kąpeli. Ruiny wyglądały dziko, tajemniczo, trochę straszno — zdecydowałyśmy się jednak wejść! Kilka długich, kilkanaście krótkich kroków i już byłyśmy przy bramie. Pierwsza, druga sala — nic. Wtem... zaczęło się rozwidniać, więc musiałyśmy opuścić zamek, żalując serdecznie, że w samych ruinach nie doznałyśmy żadnych silniejszych wrażeń.

Wacia Marcola
kl. I. lic. hum.

2) CEDRY

Ile razy widzę w którymś z angielskich parków uroczysty, zawsze zielony cedr, od razu przypominają mi się wakacje w Libanie.

W historii naszej szkoły zmieniałyśmy wiele miejsc postoju. Przenosiłyśmy się z naszym majątkiem — plecakiem i chlebakiem — z namiotu do namiotu, z obozu do obozu, z baraków Jeninu w mury Nazaretu.

Ale to nie było to samo, co wyjazd na prawdziwe, pierwsze w dziejach naszej szkoły wakacje.



W Cedrach 1944

Nadszedł wreszcie upragniony dzień i ruszyliśmy w drogę. Z Nazaretu drogami Palestyny ciągnie długi konwój ciężarówek pełnych dziewcząt, personelu i bagażu. Pamiętam jeszcze dziś ten gwar radosny i przyprawiający o mdłości zapach wyziewów spalinowych, i kurz, i doskwierające słońce.

W Libanie zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Malownicze wioski odcinają się ślicznie białą ścian i czerwienią dachówek od stoków gór, pokrytych zielenią winnic i sadów.

Serpentyny górskie wiodą nas coraz wyżej i wyżej, aż na sam szczyt gór. Nareszcie jesteśmy na miejscu. Czeka nas obóz — rozgrzane słońcem, duszne drewniane baraki i podwójne prycze. Powietrze jest rześkie i ostre jak brzytwa, w nocy lodowato-zimne, tak że wyfasowane dwa koce nie dają dość ciepła, w dzień zaś rozpalone i pachnące igliwem.

Biegniemy przywitać się z Cedrami.

Chodzimy długo, zadzierając w górę głowy ku niebosiężnym, sztywno rozłożonym konarom.

Szukamy szyszek na pamiątkę.

Próbujemy objąć w kilka par rąk wiekowe, ogromne drzewa, ale nie możemy dać rady.

Cóż to za żyjące posągi!

Na próżno staram się zgadnąć, co za baśń mogłyby snuć poważnie szumiące konary olbrzymów.

Jedno jest pewne — widziały różne najazdy, ale nie roześmiany, rozgwarzony polską mową najazd dziewcząt.

Niedaleko rezerwatu jest sanatorium, a z innej strony obozu hotel i basen z lodowatą górską wodą, nad którą spędzamy wszystkie wolne chwile. Pozostała mi do dziś pamiątka z tamtych czasów — piegi na nosie i ramionach — kara za zbyt chciwe korzystanie ze słońca i wody.

Czerpiemy pełną piersią swobodę wakacyjną, a tymczasem szkoła przygotowuje Libańczykom niespodziankę — pierwszy chyba w historii Cedrów wieczór tańców i pieśni polskiej.

Pewnego wieczoru plac sportowy obsiadła w czworobok masa gości, a środek rozkwitł tęczą polskich strojów. Zabrzmiały krakowiaki i kujawiaki, polonezy i mazurki. Kołysały się w takt roztańczone pary, płynęły nasze śliczne melodie w czerń nocy usianej pyłem gwiazdzistym. „Hejże ino, fijołeczku leśny“ — leciało tęsknie po górach libańskich.

Muzyka, taniec i śpiew urzekły naszych miłych gości, a okłaskom i prośbom o „bis“ nie było końca. Pokaz został powtórzony jeszcze

raz w pobliskim hotelu i spotkał się z takim samym entuzjastycznym przyjęciem.

Nadszedł w końcu ostatni dzień wakacji i godzina powrotu.

Żegnamy z żalem góry i wiekowe cedry i świeżo poznanych libańskich znajomych.

Znów ładowanie się na ciężarówkę, ostatnie słowa pożegnania łamaną angielszczyzną i ostatnie skinienie głową.

Żegnajcie Cedry — pozostaniecie dla mnie na zawsze nie tylko symbolem Libanu, ale magicznym kluczem otwierającym drogę do skarbonki mych biednych wojennych wspomnień ze szkolnej młodości.

Irena Leszkiewicz-Wajzer

S T O P E M W N I E Z N A N E

(1)

Tak jest jakoś dziwnie, że wszystko, co już należy do przeszłości nabiera idealnych cech, które przyćmiewają wszystkie inne późniejsze fragmenty życia. Dlatego często zwykle, prawie że codzienne przeżycia stają się pięknym i nadzwyczajnym zdarzeniem.

Była niedziela 1944 roku, jak zwykle wybrałyśmy się nad morze. Ja i moja koleżanka. Był nie tylko piękny, letni dzień, ale upał co się zowie i zdaje się, że resztki jakiegoś hamsinu. Wybrałyśmy się w podróż — w nieznane. A tym nieznanym był Atlit, miejsce naszego szkolnego obozu wakacyjnego. Jakaś zatoka, jakiś tajemniczy zamek Krzyżowców. Jednym słowem pierwiastka emocjonującego było pod dostatkiem (a właśnie niedawno przerabiałymy nieszczęsne pierwiastki!). Srogie Fata i Hermes, bóg podróży dał się przebłagać, zsyłając nam złoty rydwan bogów w postaci zgrabnej piętnastki. Jedziemy... A po drodze morze wyjątkowo zielone, wysrebrzone blaskiem słońca, z ukazującymi się gdzieś, jakby dla przestrogi złośliwymi czubami bałwanów. Na polach po lewej stronie pachnie zbożem, żniwami, polskim sierpniem, a zato słońce po azjatycku praży. Mijamy cysterne i przez jakieś szyny, wertepy, siatki, rzucone na piach — dojeżdżamy do obozu. Trzeba było ominąć, posługując się węchem, komendę (gdyż byliśmy nieprzewidzianymi gośćmi obozu), trafić, posługując się tymże węchem, do jadalni na obiad, wygrzebać się z obozowego piachu i dobrnąć do łagodnych fluktów zatoki.

Tu dopiero bogi użyczyły nam łaski; bo morze było spokojne,

piasek, jak złoto, a jakby drogie kamienie muszle rozsypane po skalistym wybrzeżu cypla zatoki. Z dala nęcił nas tajemniczy zamek i ruiny, w których spoczywa trud pokoleń rzymskich, krzyżowych i arabskich, lecz na zwiedzanie go nie było czasu.

Droga powrotna doprowadziła nas pieszych pielgrzymów do kolei. Tu znowu Fata zlitowała się nad naszym trudem, bo głośnie trąbieniem ogłaszając światu swe istnienie, nadjechała trzy-tonówka i wkrótce została szturmem zdobyta wśród sasko-słowiańskich wykrzykników. I znowu na drodze ku domowym pieleszom podrzucała nas ciężarówka na swych resorach po znanych wybojach i zakrętach. Wiodąc wśród słońca i nieba, po ziemi pachnącej polami, młodością i weselem, po ziemi pięknej, jak niebo, i uśmiechniętej radośnie. Czuliśmy się lekkie, jak rwący z szybkością 70 mil jeep, a silne, jakbyśmy mogły Górę Strącenia zrównać z doliną Ezdraelonu siłą młodości, siłą naszych serc!

I z tym wszystkim wróciliśmy do szkoły. Do tej samej szkoły, w której teraz jestem, tylko, że o dwie klasy wyżej i zamiast pierwiastków, zmorą stała się fizyka. Nic się nie zmieniło: te same wypadki, radość ze spotkanego na drodze jeep'a, ze słońca i z morza, ze świata i z ludzi. Czy to tak wiecznie będzie? Czy ja nigdy nie zmądrzeję? Czy zawsze potrafię się cieszyć — innym radości udzielać — tworzyć radość życia?

Maria Lasocka
II.kl. Lic. Hum.
„Uśmiech“ 1946

(2)

Było to na Prima Aprilis. Naszą hultajską trójkę poniosło aż nad jezioro Tyberiadzkie. Kąpiel w jeziorze była cudna, ale nieco lodowata, nikt wtedy się jeszcze nie kąpał, dlatego spoglądano na nas z niedwuznacznym zdziwieniem, z politowaniem kiwano głowami i jak zwykle zrzędzono: ach ta młodzież! A młodzież pływała, wiosłowała, śpiewała i cieszyła się życiem.

Po kąpeli w jeziorze udałyśmy się na wyprawę po mimozy, które były jakby symbolem słońca i radości. Cudne, osypujące się złotym pyłem, tchnęły poezją i pierwszą miłością.

Zofia Matuszek
„Uśmiech“ rok 1946.

W I O S N A

*To było śmieszne,
Ty i ja
A w sumie lat
Trzydzieści dwa.*

*Wokół wiosna,
Świeża zielen
Dziwnie radosna
Do nóg się ściele.*

*Kwiaty na łące
I dwa rowery,
I oczy lśniące,
Uśmiech szczery.*

*Jakieś pytanie
Nagle rzucone,
Zakłopotanie —
Potem strwożone
Słowa...*

*Ale to śmieszne,
Ty i ja
A w sumie lat
Trzydzieści dwa.*

Teresa Marszałek
kl. II. Lic. Hum.
„Uśmiech“ — rok 1946.

N A S Z E P S Y

Nie wiadomo skąd się wzięły i kiedy się znalazły. Jest tego dość liczna czereda rasy, na którą złożyli się przedstawiciele wszelkich gatunków i rodzaj psich, jakie istnieją na tym globie. Mieszkają w S. M. O. „na gapę“ i niby są niczyje, a jednak są nasze wspólne, są częścią szkoły, która też zostanie nam w sercach, boćajże na zawsze. Niby nie zwraca się na nie uwagi, ale przykro jest, gdy przez dłuższy czas nie widać „Wodza“, lub „Burka“.

Psia parafia samorzutnie podlega rygorowi wojskowemu. Widocznie zwierzęta potrafiły wyczuć tę atmosferę żołnierskiego życia, atmosferę zbierek i wiszących groźną chmurą raportów karnych, która jednak ma tyle swoistego uroku, że dzielają nasze losy, są współnikami S. M. O.-ckiej doli i niedoli. Z rana psy idą na zbiórkę. Co prawda nie potrafią się zachować przepisowo, nie rozumiejąc wydanej komendy, załatwiają w międzyczasie swoje psy, koleżeńskie porachunki. Często dochodzi między nimi do „zębocznów“, bo przecież trudno nie odgryzać się będąc w wojsku. Wtedy następuje „dezorganizacja“ w szeregach młodszych ochotniczek, które w roli „aniołów pokoju“ odciągają za ogony sprawców zamieszania. (Gorzej jest tym, które mają kurtyzowane ogony).

Potem całą czereda towarzyszy kompaniom na spacerze. Chociaż niezbyt się zna na mustrze i nierzadko płacze się pod nogami, ale na cywilne, arabskie psy spogląda z pogardą.

Czasami „Pikuś“ w swojej zarozumiałości i poczuciu przynależności do S.M.O. nie ustępuje z drogi nawet olbrzymim ciężarówkom i przyprawia dwieście swoich właścicielek o krzyk najwyższego przerażenia i rozpacz. Na szczęście sentymentalny, rudy i chudy



Nasze psy

Anglik przy kierownicy wołałby wjechać do rowu niż stracić opinię gentelmena w dziewczęcym wojsku.

No, ale jeżeli chodzi o posiłki, to psy wiedzą najlepiej, kiedy „Sezam“ się otwiera i można wejść do jadalni. Z miną dumną, nieobjęci ewidencją współlokatorzy oczekują należytej im à centu dobrego serca dyżurnej — porcji baraniny.

Gdy młodsza ochotniczka siedzi samotnie na służbie i marzy o kadecie z Barbary, przychodzi przyjaciel — SMO-cki pies, trąca czarnym nosem koniec fasowanego buta, jakby chciał powiedzieć — „mówię ci, nie warto, polegaj na moim psim doświadczeniu, że nie warto“.

Ach! Jaka była rozpacz, gdy chciano powystrzelać naszych pupili!

Dziewczęta o bardziej czułych sercach niepomnie twajęcej lekcji, pobiegły na ratunek i nie dopuściły żadnego z nich do tragicznej śmierci. Tu się sprawdziło przysłowie — „gdzie diabeł nie może...“ był nawet wypadek, że jedna z bojowniczek psiego istnienia taszcząc w panicznej ucieczce olbrzymie psisko, wpadła na izbę chorych.

Szkoła w Nazarecie jest dla nas domem — dla nich też. One cierpią razem z nami, gdy jest baranina za tłusta, albo — zamkną wodę.

Ale co się z tobą stanie, gromado psich weteranów, gdy wszystkie twoje panie wyjadą do dalekiej mglistej Anglii?

Kika Kulwiec

kl. IV. b.

„Uśmiech“ 1946 r.

Z PAMIĘTNIKA STAREGO NAUCZYCIELA

16 czerwiec 1944.

Dziś przyjechałem z Egiptu. Czterdzieści wieków i jeszcze ileś tam lat. Ale już stary. Przyjeżdżam z głową wyładowaną widokami żywcem wziętymi z pocztówek i z jeszcze jedną skórzaną walizką. Po drodze „widoki“ bez zmiany i dużo monotonnego piasku. Nie ma nawet turystycznego podniecenia. Starość nie radość. No, nareszcie Barbara. Moja klasa. Jeszcze z tymi urwiszami człowiek się przekomarza. Ciekawe u nich wszystko: i niezdarne dojrzewanie i niechęć do łaciny i walka o „być“ w jadalni i o „niebyć“ na nieprzygotowanej lekcji.

A tu jak piorun z nieba — rozkaz. Przeniesiony do S. M. O. jako wykładowca. Ledwo człowiek przyłgnął serdecznie do tej hałasty. Jakoś się umebłował, rozgospodarował... a tu jedź do Nazaretu. No, więc wywiad z kolegami, jak tam w tym S. M. O.? — Ot tak, owak — wiesz kobiety, same kobiety, no i dużo dziewcząt. Zastanowiłem się nad tym i machnąłem ręką.

30 październik.

Nauczycielska rutyna już przetała sobie łożysko przez Nazaret. Chodziłem w swoim życiu do gimnazjum przez śpiące ulice małego polskiego miasteczka, przez gwarne ulice Warszawy, ścieżkami polnymi w Barbarze, a teraz przez wąskie uliczki z minaretami w Nazarecie. Awantury geograficzne. Może będę jeszcze chodził do pracy przez Saharę, Antarktydę, Hyde Park. Wcale się nie zdziwię...

Nawet zdaje mi się, że właśnie S. M. O. to jest ta szkoła, którą

mógłbym sobie wyobrazić na złość wszelkiej rzeczywistości. 15 lat temu.

Idzie lekcja... Mówimy o przyrodzie miejscowej, ale punkt widzenia gdzieś daleko. Poznają uczennice. Te małe, najmniejsze, co tu przychodzą do klasy z kanapkami lub niedojedzoną czekoladą.

Te średnie, co to im mniej mają do powiedzenia, tym więcej krzyczą i co to są bardzo ociężałe, gdy trzeba pobiegać i ruszają się jak szalone, kiedy trzeba cicho siedzieć. Te najstarsze, które przychodzą do klasy pojedynczo, do których się mówi „pani“, które się przekonywuje zaczynając od słów: w zasadzie... lub wychodząc z założenia...

Maj 1945 rok.

Troski wojenne i powojenne. Z daleka dochodzą wieści o najsmutniejszych zwycięstwach wojny. „Ludzkość ma kły hieny i głos szakala“. Czuję się bardzo starym.

Jest jednak ucieczka od tego. Jedna z najfantastyczniejszych rzeczywistości. Trzeba tylko wyjść z rana na dziedziniec S. M. O. i przywitać się z młodzieżą. Trzeba wyjść koniecznie i każdej napotkanej młodej twarzy zajrzeć w oczy, usłyszeć: „dzień dobry“ i odpowiedzieć na miły przyjacielski ukłon. A będzie tego dużo, bardzo dużo.

Potem lekcje. Rzeczowe, pogodne, niezdarne często rozważania młodych rzeczoznawców. Trochę rewelacji, trochę śmiechu. Zwykła dialektyka lekcyjna. A jednak tu w tej małej komórce kultura przediera się znów przez gąszcz dziecinnej czy młodzieżowej niewiedzy...

Od młodzieży wychodzi nauczycielstwu na spotkanie coś! Coś, czego się często szuka u starszych bez skutku!

Może z tego pokolenia zrodzi się...?

Może już nie jestem taki stary?

Październik 1945 rok.

Już drugi rok w S. M. O. Znamy się już dobrze. Nie ma między nami „muru nieufności“.

Wyzyskuję tę znajomość bardzo intensywnie. Nie jesteśmy bogaci, ale robić, robić możemy wszystko. Wszystko potrafimy. Jak zechcemy. Jak zechcemy to potrafimy. Jest to może na początek „Pluralis majestatis“. Ale później robimy wszyscy. Komendantka S. M. O. tylko szuka pretekstu, aby pomóc, a młodzież robi. Robi wszystko. Trochę nie ma czasu, trochę się boi, ale jak zacznie to robi.

Porywamy się na różne hece.

Rysowanie, malowanie, fotografowanie, odlewanie z gipsu itd. Początkowo adeptka chce tak jak ja chcę, ale później już ja „chcę“ tak jak ona.

Zaczyna się to tak: woła Komendantka i mówi z uśmiechem „Może byśmy tak zrobili..“

Ja układnie odpowiadam: „Tak można by...“

Później wychodzę i myślę, że wcale nie jestem pewny, że zrobimy, bo nigdy tego nie robiłem. Ale jest coś takiego w uśmiechu Komendantki, że zapominam czy powiedziałem: że można by..., czy że zrobię... Potem, po długiej rozmowie, mam już pewność całkowitą, że zrobimy...

Elementy pewne: 1) Krycha, Zdzicha, Lalka, Irena, Hala itd.
2) Kartka od Komendantki co... różnych funduszów.

Elementy niepewne: moja skleroza.

Po trzech — czterech tygodniach „dzieło“ skończone.

Może nie mam wcale sklerozy?

Październik 1946 rok,

Wyjeżdżamy do Anglii. Na pewno. Materialne podstawy Szkół Młodszych Ochotniczek ulegają upłynnieniu.

Może trochę smutno. Nie wiemy jak tam będzie. SMO na okręcie.

F l u c t u a t n e c m e r g i t u r.

Dawid Jarząbek — „Uśmiech“ 1946 rok



STUDIA W BEJRUCIE

Ośrodek akademicki w Bejrucie był jednym ze skupisk młodzieży polskiej, uczącej się na wyższych uczelniach zagranicą po 39-tym roku. Od początku jednak swego kilkuletniego istnienia nie pamiętał tak dużego przyływu młodzieży polskiej na studia jak w 45-tym roku. Maturzystki Szkoły Młodszych Ochotniczek stanowiły największą grupę wśród nowo przybyłych. Były to dziewczęta, które po funkcjach siostr czy świetliczarek w wojsku wracały znowu do nauki. Zabierały się do nowej pracy z pełnym entuzjazmem, a równocześnie z wiarą w swoje siły. Tymczasem od samego początku trudności okazały się ogromne. Zaczęło się od kłopotów z uzyskaniem miejsca na uniwersytetach. Po niestrudzonych zabiegach naszych władz wszystkie zostały umieszczone na wyższych uczelniach. Dużo poszło na praktykę farmaceutyczną, grupa składająca się z 12-tu dziewcząt dostała miejsce na „Sophomore Science“, druga taka sama na „Sophomore Arts“ na uniwersytecie amerykańskim. Na uniwersytecie francuskim utworzono specjalny kurs, tzw. „prè P. C. B.“, dla przyszłych lekarek, dentystek, chemiczek.

Niedostateczna znajomość języków obcych, francuskiego i angielskiego, stała się zasadniczą trudnością. Cały szereg niezrozumiałych wykładów a stąd oblatanych egzaminów. Obok tego wyrastały trudności wpływające z nowych, nieznanych nam systemów nauczania. Na uniwersytecie amerykańskim był system egzaminów pisemnych, tzw. „quiz’y“ pisało się co tygodnia i zdobywało pewien procent, który brano pod uwagę przy końcowej klasyfikacji.

Humanistyczny typ liceum nazaretańskiego nie dał nam dostatecznego przygotowania do przedmiotów takich jak matematyka, chemia i fizyka. Skutek był taki, że gdy nasze koleżanki będące na humanistyce już pod koniec pierwszego kwartału dawały sobie świetnie radę, a nawet kilka przewyższało znacznie swoimi postępami kolegów-Arabów, to tymczasem na naukach ścisłych w pierwszym kwartale cała nasza dwunastka miała dwóje ze wszystkich przedmiotów. Uniwersytet przyszedł nam z pomocą i zwolnił nas z matematyki i fizyki, które miałyśmy robić w następnym roku. Zaczęłyśmy sobie dobrze radzić z zoologią i botaniką, a w końcu nawet z chemią. Cóż z tego, gdy

przy końcowym obliczaniu procentów nie wszystkie miały potrzebą średnią. Dwom zabrakło jednego procentu na wymarzony i wypracowany „pass“.

Przyszły wakacje. Po wakacjach nie wróciliśmy jednak już do Bejrutu. Władze libańskie zażądały opuszczenia swego kraju przez wszystkie wojska sprzymierzone. A my byliśmy przecież w wojsku. Miałyśmy wybór zdemobilizowania się i pozostania na uniwersytecie pod opieką Delegatury albo powrót do wojska. Tylko kilka dziewcząt, zaawansowanych w studiach, zostało. Przyjechały po kilku latach do Anglii z dyplomami w kieszeni.

Dla nas, które wyjechałyśmy z Bejrutu po roku studiów, nie było to jednak rok stracony. Podciągnęłyśmy się w językach obcych, francuskim i angielskim. Uzupełniłyśmy sobie wiadomości z poprzednich lat. I przede wszystkim zetknęłyśmy się z nowym środowiskiem i z prawdziwym życiem.

S. M. O. było dla wielu z nas domem przez kilka lat i jak wielce troskliwa matka chroniło nas przed wszelkimi złymi wpływami świata zewnętrznego. W szkole było dobrze i beztrzesko a nasze zmartwienia nie wybiegały poza to, czy klasówka z matematyki będzie jutro, czy dopiero za tydzień.

W Bejrucie z miejsca wszystko było inne i obce. Koledzy na uniwersytecie — głównie Arabowie. Zawsze bardzo usłużni ze swoją typową wschodnią „lepką uprzejmością“. Chętnie pomagali w nauce, ale jeszcze chętniej umawiali się na randki.

Profesorowie — w dużej części Europejczycy i Amerykanie, zazwyczaj bardzo życzliwie do nas ustosunkowani.

Zetknęłyśmy się też ze środowiskiem polskich studentek i studentów. Poznaliśmy ich na terenie „Bratniaka“. Byli to przeważnie studenci starsi od nas. W „Bratniaku“ błyszczeli swoim wyrobieniem akademickim. Zebrania „Bratniaka“ trwały godzinami, a podczas wakacji w Ptechnai często ciągnęły się przez całą noc. Kruszono kopie o sprawy małego znaczenia. Byliśmy wszyscy młodzi. Noce libańskie były ciepłe i przeważnie księżycowe. Nie można się nawet dziwić, że skończyło się na niejednym małżeństwie.

Zofia Rymarska-Kosińska

CYNAMON I MARYNARKA

W ogromnej auli Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie zebrały się trzy klasy dla wysłuchania wykładu profesora Zeina M. A. Profesor drobny, ruchliwy, zatrzymał się nagle w pół-piruetu godnego Pawłowej i ręce wyciągnął przed siebie jak do serdecznej modlitwy...

„Spices“ — wyszeptał dramatycznie, a na twarzy rozlała mu się

odwieczna tęsknota do tego co przeszło i nie wróci nigdy, bo przecież profesor Zein był wykładowcą historii i w danej chwili, roku pańskiego 1945 przeżywał wiek XII-ty. Nie bez uzasadnienia jednakże, bo oto po raz pierwszy w historii bejruckiego uniwersytetu spotkał się w jego murach Wschód i Zachód; Azja i Europa.

Po raz pierwszy w historii uniwersytetu szary, zrezygnowany ugor przetkany został błękitnymi chabrami oczu, pąsowymi różami ust dziewczęcych, złotem słowiańskich włosów. Mimo, że obleczone były w ponure khaki wojskowych mundurów, lśniły owe Słowianki, jeżeli nie wszystkimi barwami tęczy, to kilku przynajmniej kolorami miłymi dla oczu Wschodu.

„East and West have met“ — a z lekka teatralny, kochający efekty profesor Zein nie pominął tego faktu i roztoczył przed swoimi uczniami obraz innego spotkania Wschodu z Zachodem: — spotkania sprzed ośmiu wieków.

„Spices“ — wzmocnionym głosem, rzucił profesor — „Pierwsi Krzyżowcy odkryli je i sprowadzili do Europy; Marco Polo wysunął po nie do Chin; a Kolumb odkrył Amerykę w poszukiwaniu nowych dróg na Wschód, tak były w Europie cenne owe „spices“.

„Spices“ — powtórzył z naciskiem i dodał po chwili: — „Czy rozumiecie to słowo? Słowo o doniosłej historycznej treści?!“

Wcale nie byłem zaskoczony gorliwością profesora w chęci przekazania istotnego znaczenia słowa „spices“. Wielojęzyczny tłum młodzieży potykał się nieraz o słówka i pojęcia angielskie. Wprawdzie angielski, a ściślej, jego amerykańska odmiana, był obowiązującym językiem wykładowym, nie był jednak macierzystym językiem studiującej młodzieży, która zbiegła się do Alma Mater z całego Środkowego Wschodu.

Do uzupełnienia tego narodowościowego „cocktail’u“ wojna doznała garstkę Polek w wojskowych mundurach. Fama głosiła, że przyjechały wprawdzie z Nazaretu, ale przyjechały z polskiej, wojskowej szkoły dla dziewcząt. Szkoły wręcz niezwyklej.

Nawet profesor zdawał sobie sprawę z dodatkowych trudności.

„Spices?“ — zapytał. Pytanie zawisło w przestrzeni — „spices“... I nagle! — „Spójrz na tę marynarkę“ — usłyszałem najwyraźniejszy, polski szepc tuż za sobą. „Ten fantastyczny odcień zieleni, jak dla mnie!“... W głosie szepczącej wyczuwało się pożądanie. To ja byłem właścicielem tej marynarki. Zaniepokojony, mimowoli chwyciłem się za klapy, zapominając kompletnie o wonnych korzeniach.

Bez wątpienia zieleni nieszczęsna podkreśliłaby złotowłosą urodę, siedzącej za mną bogini w wojskowym mundurze, ale i mnie była ona droga. Zachód przestał interesować się przeszłością. Teraźniejszość, w po-

staci mojej zielonej marynarki, przesłoniła kubrak Ryszarda Lwie-Serce.

„Rozpruć tu, widzisz? — O tu pod kołnierzem, przyciąć, skrócić, zwęzić“... Bily na mnie siódme poty. Czułem jak marynarka ześlizguje się ze mnie i przewędrowuje na dziewczęce ciało. Przechodziłem katusze, przy których pragnienie ciągnących przez pustynię rycerzy wydawało się igraszką.

„Pepper“ — zagrział naraz profesor Zain. „Pepper“ — „spices“ powtórzył. „If I could just translate it so that everyone would understand it“. „Pepper?“ „Cinnamon?“ — dodał z nadzieją w głosie.

„Cinnamon? — But of course!“ — nagle poczułem się wolny od troski o marynarkę — „It's the same in Polish“ — rył nałem — „It's cynamon!“ Konsternacja i wreszcie odprężenie! Profesor rzucił mi wdzięczne spojrzenie i ulga przyozdobiła mu niemiłą już twarz.

Na rodzimy dźwięk „cynamon“ kryminalne konspiracje krawieckie natychmiast ustały. Dziewczeta podniosły głowy — „cynamon?“ — Usłyszałem wyszeptane zdziwienie. „Ach już wiem“ — zaszemrała współniczka od cięcia mojej marynarki — „Spices to także cynamon“.

Marynarka ocalona! Odetchnąłem z ulgą i zdecydowałem nie bez podniecenia poznać bliżej owe słowiańskie krojczynie. Łączyło nas coś więcej niż zieleń mojej marynarki. Ja także znałem polski!

H. Rabinowicz-Rqvei
Tel Aviv 1971

GDYBY LOS CHCIAŁ INACZEJ

Matura nasza przypadła na rok 1945, rok zakończenia wojny. Opuszczaliśmy Nazaret z przedziwnym uczuciem ulgi i niepokoju, wolne po raz pierwszy od nieomalże rodzicielskiej opieki naszych wychowawców. Dyktat życia i młodych lat nadawał nam pędu. Świat wylaniający się z powojennych gruzów, mimo naszej narodowej tragedii, wysuwał nowe postulaty. Ze Szkoły, z drogiego i bliskiego S. M. O., wyniosłyśmy umiłowanie wiedzy. Wierzyłyśmy silnie w dobrodziejstwa nauki, które rozpowszechnione, stanowiły podwalinę lepszego jutra. Losy nasze rozstrzygały się na „wyższych szczeblach“, a nas od upragnionych studiów dzieliło dręczące wyczekiwanie na rezultaty pertraktacji władz szkolnych z wojskowym dowództwem.

Owe trzy miesiące niepewności minęły nam na nasyceniu się „dorosłością“, zadokumentowaną bezapelacyjnie „świadectwem dojrzałości“; na: — stwierdzam ze wstydem — doprowadzeniu do perfekcji sztuki bezkarnego wylamywania się z rygorów obozowej dyscypliny i na pracach po szpitalach i świetlicach.

Wreszcie nadciągnął październik, przynosząc pierwsze ochłodzenie i upragniony wyjazd do Bejrutu.

Starożytny Bejrut, który już za rzymskich czasów szczycił się sławą „Grodu Nauki“, ze Szkołą Prawa Rzymskiego, honorowaną aż do wielkiego trzęsienia ziemi w roku 551 po Chrystusie, poprzez całe Rzymskie Imperium, i dziś skupiał młodych adeptów wiedzy. Ściągały do Bejrutu studenckie rzesze, by na dwóch uniwersytetach, francuskim i amerykańskim, pogłębiać swą wiedzę. W roku 1945 ruszyliśmy i my, wychowanki S. M. O. dawnym wiekowym szlakiem. Od wypraw Krzyżowych zapewne nie pamiętał stary Bejrut takiego słowiańskiego najścia. Niemniej rozwarł szeroko życzliwe bramy swych wszechnic, a miasto, rozrzucone na pagórkach, zbiegające strumyki i uliczkami ku morzu i Europie, na rok stało się naszym domem.

Z zapalem wzięliśmy się do studiów na różnych działach obu uczelni. Wnikaliśmy w tajniki nowych systemów. Pokonywały trudności językowe i obyczajowe. Skrzętnie gromadziłyśmy zasób wiedzy — szczęśliwe, że udostępniono nam jej źródła. Ogólne wyniki miałyśmy bardzo pozytywne — ale cóż — po roku odwołano nas ze względu na przygotowywaną ewakuację oddziałów wojskowych ze Środkowego Wschodu do Wielkiej Brytanii. Stanęliśmy przed problemem-koszmarem: „Co robić? Jakie podjąć decyzje? Czy ryzykować przedwczesną demobilizację i dzielić niepewny wówczas los cywilnej ludności; — Czy też konsekwentnie zachować status wojskowy za wysoką cenę przerwanych studiów?“

Noce całe spędzałyśmy na dyskusjach, rozważaniach, kalkulacjach. Byłyśmy gromadą wojskową, zwartą solidną grupą, ściśle zespolicną więzami przyjaźni i jak to się u nas powiadało — „Uśmiechem S. M. O.“ Taką też grupą, w rok po przybyciu, opuszczałyśmy Bejrut zgnębione i smutne. Nadzieję niosła nam myśl szybkiego wyjazdu do Anglii; chodziły słuchy, że specjalnym studenckim transportem. Sursum corda! Szerokość i długość geograficzna nie odgrywały roli, jeśli tylko notowały na mapach wyższe uczelnie. Czuliśmy się wędrownymi żakami naszej współczesności. Leżało to w tradycji Szkoły, w imię której pociągnęłyśmy i z Bejrutu taborem, niczym plemię nomadów, przerzucane koniecznością z miejsca na miejsce, wierząc, że gdzieś u kresu tej wędrowki osiągniemy nasz cel ostateczny — Dyplom Uniwersytecki!

Tym razem przygarnął nas Egipt, a quassasińska pustynia ponownie udzieliła schronienia pod płótnami wybielonych słońcem, wojskowych namiotów. Okres ten, mimo beznadziejności dziesięciomiesięcznego wyczekiwania na transport do Anglii, nie był całkowicie jałowy. Władze wojskowe dokładały wszelkich starań, żeby zająć nas użytecznie. Zorganizowano dla nas kurs języka angielskiego „dla zawaan-

sowanych“, po ukończeniu którego prowadziłyśmy do wyjazdu powszechne nauczanie angielskiego we wszystkich oddziałach J. W. S. W. Praca ta dawała duże zadowolenie. Poza kursami żywo zajęte byłyśmy akcją oświatową i gorliwie popierałyśmy się wzajemnie w organizowaniu imprez kulturalnych. Tchnęłyśmy w quassasiński zastój nowego ducha młodości i wigoru. Zwano nas serdecznie „Bejrutczankami“. Byłyśmy powszechnie lubiane za naturalną bezpośredniość, radość życia, za nasz nazaretański, zaraźliwy uśmiech.

A czasy były trudne, deprymujące. Los wszystkich niepewny. Wracać do Kraju? Emigrować? U kogo dochodzić sprawiedliwości dla Polonii „semper fidelis“? Trzeba było szukać nowych rozwiązań. Naszą odpowiedzialnością miał stać się zdobyty potencjał wiedzy. Wpływ Szkoły, młodość i naturalna tej młodości wiara w słuszność własnych założeń, dodawały bodźca. Instynktownie chroniłyśmy się przed przygnębieniem. Staraliśmy się także nie marnować czasu. Pojechaliśmy na pamiętną wycieczkę do Luksoru, zorganizowaną przez władze wojskowe. Pozwolono nam na stworzenie studenckiego związku — „Bratniaka“ — wojskowych studentów. „Bratniak“ szybko nawiązał łączność ze studentami kairskiego uniwersytetu. W wyniku tej akcji zaproszono nas na dwudniową wizytę do Kairu. Studenci egipscy okazali dużo serdeczności, goszcząc, oprowadzając, informując.

Zapisał się także „Bratniak“ na długo w quassasińskiej pamięci, wydając „wielki bal“ dla wszystkich rang w „salach Polskiej Y. W. C. A. 'ki“. Dochód na cele związku. Stroje, za oficjalną zgodą, dowolne! Wystąpiłyśmy w „cywilnych kreacjach“ naturalnie! Co za metamorfoza! Tyle wyzwolonej nagle kobiecości! Same onieśmiałone byłyśmy własnym powabem!...

Spoglądając wstecz, myślę o tym egipskim okresie z dużym sentymentem i dziś już bez żalu. Wszak była to ostatnia nieomalże faza naszej „nazaretańsko-bejruckiej“, beztroskiej wspólnoty. Mimo bestialstw wojny patrzyłyśmy śmiało w przyszłość.

W lipcu 1947 roku nastąpił wreszcie wyjazd do Wielkiej Brytanii. Jechaliśmy istotnie zorganizowanym, studenckim transportem — ufne, że zdołamy w październiku rozpocząć nowy rok akademicki na angielskich uczelniach. Nie przewidywałyśmy żadnych trudności, polegając na bejruckich zaświadczeniach z ukończenia pierwszego roku studiów. Gwar rozprążonego słońcem Port-Said'u, dostojność rycerskiej Malty, gibraltarskie zwięźlenie, złośliwie rozkołysane Biskaje, towarzyskie, wolne od inhibicji delfiny, Solent barwnymi żagielkami nakrapiany manierą pointylistów, Southampton, odprawa celna — wszystko poza nami!

Anglia witała nas przychylnie. rozśłoneczniona, przeżywająca „lato stulecia“. Obóz wojskowy, symbolicznie na terenach „rezerwatu

przyrody“ rozpostarty — to „Ontario“. Baraki, kanadyjskie domki, w miejsce rdzawego piachu quassasińskiej pustyni, zielona trawa przecięta szachownicą dróg i drózek wiodących w nieznanym nam jeszcze wtedy kierunkach. Stanęliśmy u progu nowego życia! Zaprzętała nas jedna wielka troska — starania o studia. Po dwie, po trzy, małymi grupkami ruszyliśmy na pierwszy rekonesans do Londynu. Wieści nadchodziły hiobowe. Trudności! Trudności! Trudności! Brak skonkretyzowanych informacji. Przedziwnie zagmatwany system angielskiego szkolnictwa. Wydawało się, że władze polskie w „Komitecie dla Edukacji Polaków“ nie były przygotowane do przyjęcia takiego napływu młodzieży akademickiej. Do tego, ani jeden z naszych dawnych pedagogów i wychowawców, którzy do tej pory odpowiedzialni byli za rozwój szkolnictwa na Środkowym Wschodzie, ani jeden z tych światłych ludzi nie znalazł się na Cadogan Square, nie został zaproszony do współpracy w Komitecie. Po raz pierwszy odczuliśmy brak przychylności i zrozumienia. Zatracił się gdzieś pierwiastek ludzki.

Wreszcie, nie wiem pod jaką presją, z „Komitetu dla Edukacji Polaków“ przysłano do „Ontario“ przedstawiciela. Otoczyliśmy go, pełne nadziei, ścisłym kołem — wśród zieleni trawnika, w cieniu rosochatego drzewa. Nieomalże bukoliczna scena z wiejskich sielanek... Pan Mecenasa był uprzejmy, wytworny, nawet życzliwy, ale bezpośrednio nie zaangażowany i mało pomocny!

Stanęliśmy w martwym punkcie, choć czas nie stanął. Sierpniowy dzień po dniu zniknął z kalendarzowych kartek...

Postanowiliśmy z Irką przejąć inicjatywę i wyprawić się do Londynu, na Cadogan Square, do Komitetu.

Podmiejski pociąg z zabawnymi przedziałami o drzwiach „na wyłot“ unosił nas ku przeznaczeniu. Wciśnięte w splotniały plusz siedzeń, determinacją przelamałyśmy niepokój. Tory wcinają się już w mury olbrzyma. „Boże! — jaki ten Londyn brzydki był od tyłu“ — szary, jednostajnie piętrzący się kamień, odgradzony od nieba balustradą kominów i groteskowe ogródki zawieszane rodzinną biczlitzą na znak, że tu żyją ludzie.

Niewiele mówiliśmy do siebie — Irka i ja — zamknięte w swojej niepewności. Nareszcie Waterloo! — terminus! Na stacji tłumy — wielkie, obojętne. Odruchowo pobiegliśmy do budki telefonicznej, aby wezwać Henka na ratunek. Nie było go w domu! Opałyśmy na pobliską ławkę — wając siły na zamiary. „Zapuć się w to wielkie, obce, nieznanne miasto, czy nie?“

Podeszliśmy do głównego wyjścia; stanęły na schodach wiodących ku ulicy; uderzył nas ogłuszający jazgot betonowego kołosa. Z wysokości tych kilku stopni jezdnia z chodnikami wydawała się

młynem piekielnym wieczystego ruchu. Coñęliśmy się przerażone znów na tę samą ławkę, ławkę statyczną, mocno zespoloną grubami z cementową posadzką. Czekałmsy na przybycie odwagi, a e poczełmsy, wiedziony przeczuciem Henek zjawił się wcześniej.

Czerwony, piętrowy autobus pracowicie terował sobie drogę w kierunku Sloane Square. Usadowiliśmy się ra samej „Górze“, bezpieczne pod opieką Henka. Miasto z poziomu ruchomego półpiętra wyglądało kalejdoskopicznie i już nie tak groźnie. Dotarliśmy. Henek przenałigował nas szczęśliwie przez kilka przejść — ten lewoskrętny ruch dezorientował kompletnie!

Oto Cadogan Square. Wiktoriański w stylu. Wypalana cegła, galei na kolumnach, trochę drzew, krzewów i zieleniec wciśnięty za metalowe pręty ogrodzenia. Tu miała rozstrzygnąć się nasza przyszłość. Znaleźliśmy miedzianą tabliczkę głoszącą: „Committee for Education of Poles“. Weszliśmy. W półmroku holu zaczęliśmy odróżniać twarze, w przewodze młode, intensywne napięciem oczekiwania; twarze pokolenia, które wojna najboleśniej dotknęła. I my nalczymsy do nich. Holem zarządzał woźny. Urząd swój piastował z powagą, arczyście: — pytał, wskazywał pokoje, to zachęcał, to łreci głową powątpiewając; starych bywałców lubo pocieszał, lubo dobrymi radami darzył — gazdując godnie na cadogańskiej zagrodzie!

Przyszła i na nas kolej: — „Panie po co? Po stypendium? — proszę poczekać.“ Czekaemy. Popatrzyłam na Henka z zazdrością. On już ustabilizował się dzięki „obrotności“ swego wujka. Nie robił zresztą z tego tajemnicy. Referował nam sprawę z pewnym cynizmem w myśl zasady, że cel uświęca środki, a celem ostatecznym były przecież studia. Wielka tylko szkoda, że nie wszystkim dopisali krewni!

Poproszono Irkę i mnie. Weszliśmy do pokoju, gdzie po rozpatrzeniu naszych papierów, poinformowano nas iż powinnyśmy były zacząć od wystarania się o przyjęcie na uczelnię, a w następnej dopiero kolejności zabiegać o stypendium. Adresów „college'ów“ Cadogan nie dostarczał.

Dobry, życzliwy Henek pogonił po „Flcod Light“ i takówkę. Chodziło wszak o czas i nasze studia. Jechaliśmy na Kentish Town, do Western Polytechnic, gdzie były działy Ekonomii i Handlu.

Przyjęto nas odrazu. „Interview“ wypadło pomyślnie. Niewątpliwie dużą pomocą były nasze bejruckie zaświadczenia i Henka doskonały angielski. Z oficjalnie na piśmie zatwierdzonym przyjęciem na Ekonomii wracaliśmy tą samą taksówką do Kemitetu.

Po wypełnieniu formularzy, skonstruowaniu życiorysu i podania, po oficjalnym wręczeniu tychże, pozostało już tylko wyczekiwanie.

W obozie stałe napięcie. Jedne wyjeżdżały, inne wracały z dalekich, aż po Edynburg sięgających ekspedycji. Wszystkie odbywały te

wędrowni w poszukiwaniu odpowiednich miejsc na uniwersytetach, w trosce o stypendia, w konsekwentnym dążeniu do wiedzy. Nasza nazaretańsko-bejrucka gromada powoli zaczęła się rozpadać. Krążyły przeróżne wersje o demobilizacji, o P. K. P. R., o trudnościach i kłopotach w „cywilu“, o przymusowej pracy po fabrykach, po fermach. Ktoś emigrował, ktoś inny zniechęcony wracał do Kraju, wbrew własnym przekonaniom. Bezwzględna rzeczywistość Zachodu przeistaczała słowiańską naturę. Życie stawało się koniecznością bez uroku!

Po kilku tygodniach nadeszły listy z Komitetu — odmowne!

W depresji pojechałam znów na Cadogan Sq. Ten sam gazdujący woźny, inny jednak pokój, dopuszczono mnie bowiem przed oblicze Pana Mecenas. Najdłuższa droga, jaką w życiu przebyłam, mimo kilometrowych wędrowek na Syberii, trwała chwil kilka tylko — od drzwi do biurka — przy którym czekał już mile uśmiechnięty, zawsze układny pan Mecenas.

Opanowując zdenerwowanie starałam się referować swoją sprawę rzeczowo, logicznie, ba, nawet inteligentnie i interesująco. Niestety, na wszystkie argumenty, papiery, dowody padała niezmienna, uprzejma odpowiedź: „ogromnie mi przykro, ale nic się nie da zrobić. Obrala pani dział — ekonomię — jest to „a luxury subject“ i Anglicy nie przyznają pani stypendium.

Ekonomia „a luxury subject“!? Myśl gonila myśl: — czy padam ofiarą jakiejś nieprawdopodobnej, okrutnej farsy? Czy dobrze słyszę? Czy naprawdę rozumiem? W rozpaczy zapytałam: „A na co wobec tego dajecie państwo stypendia?“

„Na domestic science“ — padła zaskakująca, niezupełnie dla mnie jasna odpowiedź. Procedura natomiast taka sama. Najpierw zawarowanie sobie miejsca w college'u, a później stypendialne formalności.

Znów odwołałam się do uczynności Henka i „wszechwiedzy“ „Flood Light'u“.

„Domestic science“ — cóż to za nowa gałąź nauki?

Okazało się, że była to szkoła gospodarstwa domowego. Mnie w drodze wyjątku, mimo dużych wątpliwości ze względu na cudzoziemskie pochodzenie, zaczęła Mrs Gibbons, rektorka fakultetu „Domestic Science“, przyjęła na dwuletni kurs o szumnym mianie: „Institutional Management“.

Stypendium przyznano mi naturalnie.

Po dwóch latach uczęszczania na Northern Polytechnic; roku nędznie płatnej, bardzo ciężkiej praktyki u Lyons'a; po napisaniu pracy dyplomowej na pięć tysięcy słów o wyposażeniu kantyn fabrycznych — zostałam dyplomowym „garkotłukiem“ na przemysłową skalę. Choć w praktyce owo „garkotłuczenie“ wyglądało cokolwiek ominiennie.

Przypuszczam, że gdyby los chciał inaczej, a Komitet dla Edukacji Polaków pomógł wydatniej, rozsądniej, zostałabym magistrem ekonomii i nie odkryłabym nigdy podstawowej prawdy, że nie zawsze kucharki tłuką garnki, ale zdarza się i odwrotnie.

Tę prostą maksymę zrozumiałam dogłębnie, gdy sama padłam ofiarą niewdzięcznego garnka-olbrzyma, który dźwignięty, grawitował ze mną ku podłodze. Osiedliśmy razem na środku Lyons'kiej kuchni. Ja nadłuczona — gar cały!... Ja we łzach — gar obojętny, pełen zupy do odgrzania na osób sto, do tego nie dający się unieść... Tak trwaliśmy w desperacji na kamiennej podłodze — ten gar i ja — (a o zupę wołano) aż przyszedł kierownik, popatrzył ze zdziwieniem, gar jednym ruchem przywołał do porządku, a mnie szczęśliwie zwolnił z zajęć przerastających fizyczne możliwości.

Jestem głęboko przekonana, że jedynie poczucie humoru i nazaretański uśmiech uratował mnie od niesławy owego upadku. Cóż jednak począć, życie bywa tragikomiczne i doświadcza nawet uodpornione wychowanki S. M. O.

Maria Suracka-Muchlińska

PIERWSZY ROK

„Młodości podaj mi skrzydła“

Tyle już lat minęło, a zawsze gdy wspominam pierwszy mój rok studiów w Londynie, przychodzą mi na myśl mickiewiczowskie słowa i ogarnia podziw nad ufnością, nad beztroską wiarą w swoje siły z jaką bez wahania rzucałyśmy się w wir tego nowego życia.

U mnie był to prosty przykład optymizmu. Nie umiejąc pływać wskakiwałam do wody z zamiarem przebycia jej wpraw. Angielskiego nie znałam ani w ząb! Do Anglii przyjechaliśmy niedawno. Do Londynu dopiero co. Miasto, ludzie, zwyczaje — obce, niezrozumiałe.

Angielskiego nauczyłyśmy się w naszej szkole, ale niektóre bardziej poważnie — niektóre mniej. W Palestynie nastawienie było raczej na powrót do Kraju Nie spodziewałyśmy się, że drogi nasze zawiodą do dalekiej Anglii.

Znajomość gramatyki jest mocną podstawą na potem. Na początku nawet grzeczne rozmówki z „ECKERSLEY'A“ niewiele pomogą. Zwłaszcza gdy nieliczne znane już słowa i zwroty zleją się i zginą w potocznej wymowie.

Ledwie mogłam się porozumieć w zasadniczych sprawach. Ale człowiek był młody, „mierzył siły na zamiary“ i był gotów wyfrunąć z gniazda.

Tak, z gniazda — z Rodzinnego Domu — z naszego S. M. O.

Wynosiliśmy stamtąd nie tylko poczucie przynależenia i poczucie identyczności osobistej i naszej wspólnej polskiej — ale i optymizm, i wiarę we własne znaczenie, we własne siły — i w przyszłość.

Więc, nie mając funduszy, nie znając języka i kraju, poszłam „zdusić Centaury”. Po długich deptaniach i staraniach dostałam w końcu stypendium i zostałam przyjęta na architekturę. W odwrotnej kolejności — bo dostanię się na studia okazało się fraszką w porównaniu ze zdobyciem stypendium. Ach, nie było bardziej sumiennego studenta. Siedziałam na wykładach, od początku do końca pilnie wsiuchana w każde słowo, obserwowałam każdy ruch, kopiowałam każdą kreskę z tablicy — i nie rozumiałam nic zupełnie!

Żeby wiedzieć, o czym była mowa — musiałam dopiero pożyczać notatki kolegów, przepisywać w czasie obiadu i następnie ze słownikiem w ręku dochodzić po nitce do kłębka. A nitka była często stumilowa i mocno pogmatwana, bo pożyczałam z początku notatki najdłuższe i naiwnie rozumując, że będą najbardziej obszerne i dokładne. Wytrwałość — ba, upór zrobił z czasem swoje. Powoli zaczęłam rozumieć coraz więcej. Najpierw, jak z paru kawałków lamigłównki można już było domyślać się całokształtu. Potem coraz już sprawniej poszło robienie własnych notatek.

Znajomość wielu z przedmiotów oczywiście była niezmiernie w tym pomocą. I tu muszę oddać zasługę, gdzie się należy.

Matura S. M. O. była nie tylko papierem umożliwiającym wstęp na wyższe studia, ale i naprawdę mocnym do nich fundamentem. Na pierwszym roku architektury właściwie powtarzałam materiał przerobiony już w liceum z matematyki, z fizyki, z chemii i częściowo z historii. Miałam nawet bonus — łacinę. Moja skromna jej znajomość zaimponowała bardzo kolegom i była używana nie tylko do odczytywania rzymskich napisów, ale i do komponowania własnych wersji — na wesolo.

Piszę — „koledzy”, bo sytuacja była raczej komiczna. Kolegów miałam dwudziestu paru, a koleżankę jedną tylko. Cudzoziemkę jak i ja — Rumunkę.

Tak przez los popchnięte stałyśmy się od razu nieodzownymi towarzyszkami. Istne siostry syjamskie.

Zabawne były nasze pierwsze rozmowy, bo nie bardzo rozumiałyśmy się nawzajem. Tilly miała jasne włosy, przyjemną buzię, w uśmiechu przypominającą królika i zgodne usposobienie.

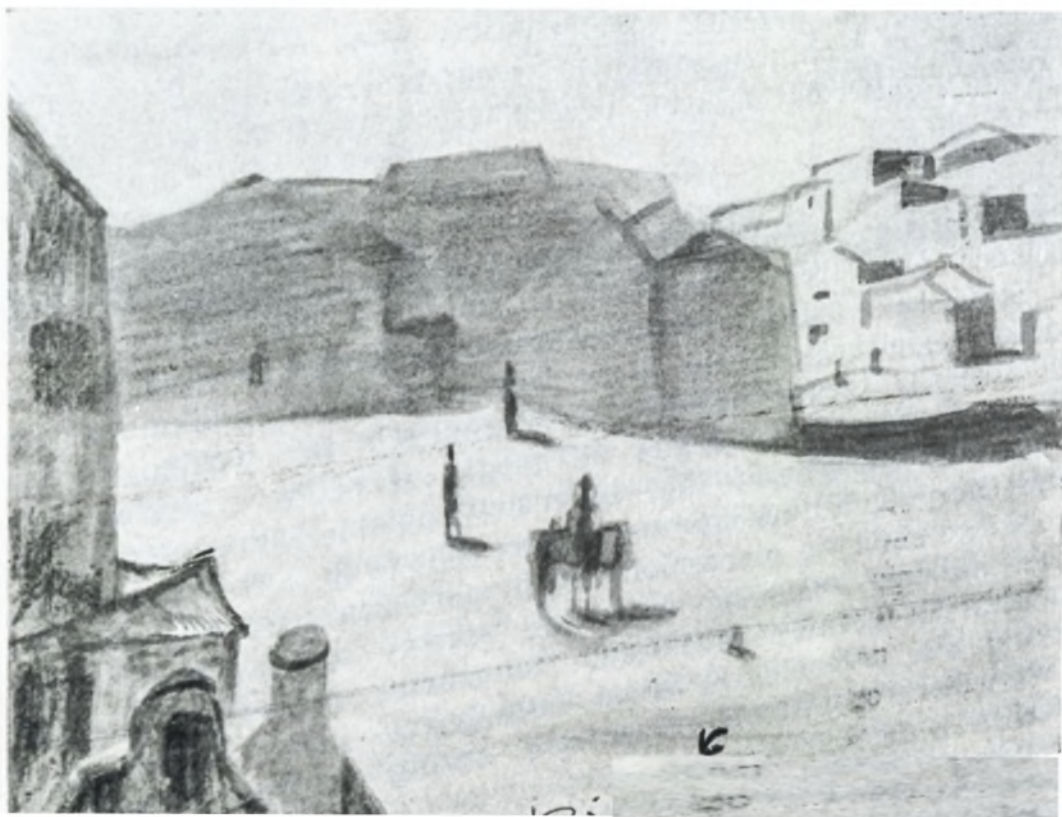
Zawsze byłam raczej nieśmiała, ale Tilly okazała się o wiele mniej pewna siebie. Po angielsku mówiła lepiej — mimo to jednak przyjęło się szybko, że to ja załatwiałam wszystko i zabierałam głos w naszym wspólnym imieniu.

Rówieśniczki i postawione w tej samej sytuacji — ja byłam o wiele bardziej dorosła i gotowa pobierać decyzje i inicjatywę w życiu. A logicznie biorąc powinno być inaczej; Tilly była córką zamożnego bankiera, który wraz z gotówką i rodziną po prostu przeniósł się w strategicznym momencie z Bukaresztu do Londynu, ja zaś — przerwana przez losy wojenne — emigrantka bez kraju i bez grosza przy duszy.

Jednak z nas dwóch — ona była „zgubionym dzieckiem“ — do mnie cały świat należał.

Ten optymistyczny stan ducha był bez wątpienia bezcennym darem lat spędzonych w S. M. O.

Danuta Zdziarska-Munnich



NASI PROFESOROWIE

Wielokrotnie na lamach tej książki miałyśmy możliwość podkreślić rolę, jaką odgrywała nasza kadra nauczycielska i wychowawcza w życiu szkoły.

Pragniemy raz jeszcze wyrazić uznanie i wdzięczność za ich pracę nad kształceniem naszych umysłów i charakterów, za ich serdeczny i przyjacielski stosunek do nas, za troskę o naszą przyszłość.

Łączyło nas z nimi dużo więcej, niż w normalnych warunkach łączy uczennice z nauczycielami. Łączyło nas wspólne życie internatowe, wspólne przeżycia wojenne, ten sam mundur, a nierzadko nawet służba w tym samym oddziale wojskowym przed odkomenderowaniem do szkoły.

Na pewno każdemu i każdej z nich należałoby się osobne miejsce w tej książce, bo przecież pamiętamy o nich wszystkich; i tych którzy od Rosji dzielili losy szkoły i tych, którzy dołączyli później.

Oto kilka sylwetek naszych profesorów nakreślonych z perspektywy 30 lat.

* * *

Nasze pierwsze nauczycielki, te jeszcze z Rosji, dziś już nie żyjące. Polonistki: pani Irena Akajewicz i pani Pola Radwańska. Biolog: pani Stodólska i oficer łącznikowy, komendantka kompanii i nauczycielka angielskiego: pani Mery Tober. Z jakim oddaniem pracowały, aby nas czegoś nauczyć w warunkach tak bardzo niesprzyjających nauce! Cieszyły się, że mogą uczyć w polskiej szkole, tak jak my cieszyliśmy się, że mamy polskie nauczycielki.

Pani Mery Tober energiczna, pełna życia ze swoją znajomością angielskiego stała się nieoceniona po przekroczeniu granicy sowieckiej. Umiała świetnie załatwiać wszystkie sprawy z Anglikami, od tak ważnych, jak sprawy przenosin, transportu, do tak blahych, jak rozrywki dla uczennic. Z żalem żegnałyśmy ją w Rehovocie, gdy ze względów osobistych opuszczała szkołę, której stała się już częścią.

I mała, spokojna, mieszkająca dziś w Urugwaju pani Agnieszka Pohoska. Łacinniczka, a w okresie braku nauczycieli też matema-

tyczka. Zawsze uśmiechnięta, jakby drwiąca trochę, ribly nie wymagająca, bo nawet dwóje sypała spokojnie i bez groźnych ostrzeżeń. Silnie związana ze szkołą swoim długim w niej pobytom i tym że pod koniec urodził się maleńki Jureczek Pohoski — dziecko S. M. O.

W Palestynie przysłała do szkoły pani Roma Frankiewicz — geografka. Bardzo wymagająca i bardzo nieprzystępna. Tym samym bezbarwnym głosem wyrażała gniew i zadowolenie. Z tą samą do-



Odrabianie lekcji — Rehovoth 1943

kładnością wykladała mniej i więcej ważne rzeczy. Po latach dowiedziałyśmy się, że była to jej pierwsza praca nauczycielska. Powagą chciała może ukryć swój brak doświadczenia, może miała większą treść niż my, gdy plątałyśmy się w zagadnieniach życia gospodarczego przedwojennej Polski.

I druga geografka, która dołączyła do szkoły już później, pani Janina Meyer. Bardzo popularna wśród uczennic 2 gimnazjum, mądrze „matkowała“ swoim pupilkom, chociaż sama była wtedy bardzo młoda. Do Nazaretu ściągnęły za nią jej matka i siostra. Pannie te często brały udział w różnych imprezach szkolnych. Stwarzało to bliską, rodzinną atmosferę, do której dziewczęta tak bardzo lgnęły.

Zofia Rymarska-Kosińska

Polonistką w niższych klasach była pani Danuta Lubczyńska. Przybyła do Nazaretu z Teheranu. Tu spotkała wiele swych uczennic „z cywila“. Oprócz wiedzy języka ojczystego dawała nam jeszcze coś: przykład kobiecości. Mundur wojskowy nie przeszkadzał jej w tym, aby zawsze ładnie wyglądać. Jasna blondynka o dużych niebieskich oczach i lekkim makijażu, może nie zdawała sobie sprawy, że wpatrywałyśmy się w nią, jak w obraz, marząc, aby kiedyś też tak wyglądać.

Dziś z córkami (też nazaretankami) mieszka w Ameryce.

Stanisława Bachrynowska-Merkel

W Nazarecie wraz z przybyciem nowych uczennic, klasy zaczęły się powiększać i zaczęły przybywać nowi profesorowie. Często „pocztą pantoflową“ wpięrow dochodziły do nas słuchy, że będziemy mieć nowego profesora. I tak pełne wyczekiwania dowiedziałyśmy się raz „z pewnego źródła“, że dostaniemy nową chemiczkę. Przyszła wreszcie wyczekiwana lekcja. Nasza nowa chemiczka była wzrostu niewielkiego, w okularach i, o dziwo, wszystkie w klasie polubiłyśmy z miejsca profesorkę Halinę Urbańską. Każda jej lekcja była ciekawie podana, choć często przez wiele z nas nie zrozumiana. Wyczuwało się jakąś dużą serdeczność, chociaż profesorka Urbańska była raczej spokojna i pełna rezerwy.

Stefania Orczyk-Wolańska

Pani Halina Urbańska oficjalnie uczyła mnie fizyki, a w rzeczywistości mi matkowała. A jak matkowała, przekonałam się najlepiej, kiedy prof. Kundycki dał mi dwóję z matematyki. Groził mi albo specjalny egzamin, który bym na pewno oblała, albo powrót do wojska i co się z tym łączyło, koniec nauki na zawsze.

Różnica zdań między tymi dwoma profesorami zaznaczyła się już w ciągu roku, ale do zenitu doszła w czasie konferencji, która była dokładnie podsłuchiwana przez koleżanki (pamiętasz Ulka?). W małą panią Halinę wstąpił duch bojowy i odważnie „postawiła się“ profesorowi.

„Pan nie może dać jej dwóji z matematyki, jeśli ona ma piątkę z fizyki. Te przedmioty zbyt się zająbiają.“

Profesor spojrział ponuro spod okularów.

„To pani nie miała prawa dać jej piątki z fizyki, jeśli ona ma dwóję z matematyki. Jak pani mówi, te przedmioty się zająbiają. Ale ja i tak wiem, że z babami nie wygram, niech ma dostatecznie.“

No i do wojska nie musiałam wracać bez matury i właściwie pośrednio dzięki prof. Urbańskiej zdałam maturę. Jak więc dziś mogę myśleć o niej bez sentymentu?

Danuta Polniaszek-Kossakowska

PROF. EMILIA DROZDOWSKA

Rehovoth, rok 1943, Wielkanoc. Drugi dzień Świąt — śmigus dyngus. Ranek. Do baraku sypialni IV B cichutko wsuwa się postać i budzące się ze snu dziewczynki skrapia obficie wodą kolońską.

Niespodzianka, śmiech, wesołe zamieszanie. — To profesorka Emilia Drozdowska, wychowawczyni czwartej klasy tradycyjnie „oblewa“ swoje dziewczynki.

Niewysoka, z okrągłą twarzą, na której tryskają zdrowe rumieńce, wesołe oczy poza rogowymi okularami, ciemne włosy upięte z tyłu w mały kok.



W gabinecie fizycznym

Czwarta klasa nie jest „łatwa“. Panny świeżo przybyłe do szkoły z wojska, po wielu trudnych przeżyciach, zdążyły się już usamodzielniać, a tu muszą się nagle zmienić w ukladne uczennice. Ale

prof. Drozdowska potrafi wszystkie sobie zjednać, dla wszystkich jednakowo troskliwa i opiekuńcza, jest więcej jak przyjaciółka niż przełożona, chętna zawsze wysłuchać zwierzeń, kłopotów, służąca radą i pomocą.

Pa latach spotkana już w Anglii przez jedną z dawnych uczennic z tej oto klasy — mówi — „ale najlepsza klasa, to była IV B.“

PROF. FLORIAN KOTOWICZ

Nazaret. Rok 1944. Czerwiec. II kl. liceum humanistycznego szykuje się do matury. Ach ta matematyka! Ani w ząb nie można pojąć trygonometrii. Cała klasa wkuwa wzory, których rozumem nie można zgłębić.

Profesor Kotowicz, wysoki, lysy, „stanu wolnego“, z fajką w zębach i w krótkich do kolan szortach khaki, stara się przelać swoją matematyczną wiedzę w głowy „pań“. Nieczuły na spojrzenia i wzdychania. Nie da się oczarować.

I nagle odkrycie. Ktoś przypadkiem dowiaduje się, że profesorowi na imię Florian. A tu, bodaj następnego dnia imieniny. Kombinują mądre głowy, co wymyślić, by „urobić“ profesora na egzaminy maturalne. Dwie wybrane przedstawicielki pędzą wieczorem taksówką za Nazaret, gdzie pola różane, po bukiet czerwonych róż dla profesora.

Matura wypadła pomyślnie... Matematyki nikt nie oblewa. Czy to wiedza matematyczna, czy też czerwone róże?

PROF. ZOFIA DZIERZBICKA

Nazaret, rok 1944. Łaciny nikt się prawie nie boi. Lekcje mijają spokojnie, bez lęku i paniki przed wywołaniem. Nikt z wejściem profesorki nie całuje medalików i nie chowa się „plackiem“ za plecy poprzedniczki, jak to zwykle bywa na lekcjach historii prof. Hanki Broncel.

Profesorka Zofia Dzierzbicka — „Kropeczka“ — wpływa do klasy w anielskiej aureoli pogody i uśmiechu. Twarz różowa jak u lalki z porcelany i wielkie, modre oczy, otoczone długimi firankami rzęs.

— Łacina —

Pełna uroku i pogodnego dowcipu, jakoś miękko i jakby niepoważnie potrafi przeistoczyć ten zwykle suchy i martwy przedmiot w coś żywego i aktualnego. Spoza zawiłych składni gramatycznych i skandowania możemy nagle rozpoznać prawdziwych ludzi i ich dziwne życia w tej prastarej rzymskiej kulturze; ciceronijskie oracje o bohaterstwie i romantyczne sielanki Wirgiliusza.

Obcy, najeżony gramatyką język jakoś łagodnieje, jakby ogrzany niebieskim promieniem.

Stenia Jaworska-Zasławska

PROF. WALERIAN WĘGLEWSKI

„Oto zaistniał fakt, który należy zanalizować“ — mawiał profesor Węglewski, wychowawca naszej klasy Liceum Pedagogicznego. A pod analizę podpadały wszelkie zagadnienia i tematy dotyczące prope-deutyki filozofii i historii wychowania (przedmioty, które wykładał), zawiłe problemy naszego wychowania, nasze poglądy, drobne szczegóły niepowodzeń szkolnych: jednym słowem każde nadające się do analizy zdarzenie z życia młodych, idealistycznie-buntowniczo nastawionych uczennic.

Wykładał swoje przedmioty jasno, spokojnie i z dużym dla nas zrozumieniem. Sam poważny, nas również tak traktował, miał dużo poblązania dla swoich wychowanek.

Gdy pewnego wieczora wybrałyśmy się we trójkę do Nazaretu, aby kupić arabskiego chleba, zostałyśmy zatrzymane przez żandarmów i zapisane. Groził nam raport karny. Profesor Węglewski wezwał nas do klasy na pogawędkę. Oświadczyłyśmy dumnie i głupio, że zdajemy sobie sprawę, że zrobiłyśmy źle i, że jesteśmy gotowe ponieść wszelkie konsekwencje.

„Otóż panny utrafiły! Ja oto zastanawiam się, jak tych konsekwencji uniknąć!“ — uniósł się nasz wychowawca.

Zmarł parę lat temu w Polsce, dokąd wrócił z żoną do dwóch dorastających córek, które zostawił w Kraju małe i nie rozumiejące zła i krzywd wojennych, faktów których nawet ich światły i prawy ojciec nie potrafiłby zanalizować.

Hanka Rychter-Schramm

PROFESOR ZIEMIAŃSKI

Sunął korytarzem dużymi powolnymi krokami. Siwa głowa wystawała ponad tłum uczennic. Pomagało to niezmiernie w umiejscowieniu profesora jednej małej pani z kancelarii, która często miała do niego jakieś niecierpiące zwłoki sprawy.

Wchodził do klasy tuż po dzwonku. Z trudem rozparcelowywał swoje długie kończyny przy małym profesorskim stoliku i jakby czekał na pytania. Ale pytania nie z chemii czy fizyki, których miał nas uczyć. Lubił rozmawiać z dorastającymi pannami, a gdy wyciągnęło się go na rozmowę o Legionach czy o jego ukochanym

Krakowie, 45-minutowa lekcja stawała się za krótką i kończyliśmy na przerwie.

Nauczycielem w naszej szkole został chyba dlatego, że ze względu na słabe zdrowie nie nadawał się do wojska. Inżynier-chemik, z trudem przywrócony do życia po zagazowaniu w zakładach chemicznych, bardzo sobie to życie cenił i je szanował. A nam też życia nie obrzydzał. Zawsze gotowy był pójść na ugodę: „Jeśli nie będę pani pytał, dostanie pani „dobre“, a jak chce pani „bardzo dobre“, to musi pani zdawać“. Większość z nas zadawała się „dcbrym“, wdzięcznie myśląc o profesorze, ale równocześnie też o tych dwóch czy trzech ambitnych koleżankach, które chciały zdawać. Było ra



W gabinecie biologicznym

kogo liczyć w czasie wizytacji. Niezawodna w takich wypadkach była Isia — też krakowianka — w szczególności od chwili, gdy wyuczyła się konstrukcji radia.

Fizyki i chemii nie brałyśmy poważnie. Wszystko, co mi dziś w pamięci zostało, to wysoka, sympatyczna sylwetka profesora.

Po wyjeździe szkoły osiadł on w Palestynie, a mała pani z kancelarii została jego żoną.

Zofia Rymarska-Kosińska

NASI KATECHECI

Kiedy myślę o duchowym klimacie w szkole, przed oczyma moimi zjawiają się sylwetki osób, które w szczególny sposób go kształtowały — to nasi katecheci i świeckie opiekunki duchowe Sodalicji Mariańskiej.

Z całą pewnością możemy stwierdzić, że życie i poziom religijny w szkole w dużym stopniu był miarą i odbiciem charakterów i postaw religijno-moralnych tych właśnie ludzi. Bo chociaż należeli oni do innego pokolenia, ich wiedza i wiara budziły szacunek. Oni byli dla nas niewątpliwym autorytetem tak w zakresie wiary, jak i w dziedzinie postaw etycznych.

Pierwszym, który wyrył swoje piętno był ks. Wacław Kołodziejczyk S. J. Kapłan i katecheta z wykształcenia i prawdziwego powołania. Wychowanek Chyrowa i Jezuitów umiał podejść do młodzieży, umiał zdobyć sobie jej zaufanie i umiejętnie narzucić współpracę oraz poczucie osobistej odpowiedzialności wobec spraw wiary i Kościoła. Niestety, jego pobyt w szkole trwał krótko, zaledwie parę miesięcy. W przeciągu tego czasu, w porozumieniu ze swoimi władzami i kierownictwem nauczającym szkoły, rozpracował plan nauczania religii na wszystkie klasy (co nie było łatwe ze względu na kompletny brak podręczników) i dostosował go do naszych bardzo specjalnych potrzeb. Był on również założycielem i ojcem duchowym Sodalicji. Jako wychowawca i spowiednik znał doskonale dusze młodzieży. Znal i rozumiał ich bóle, troski, tęsknoty i niepokoje o najbliższych. Aby dziewczęta umocnić w wierze, napelnić nadzieją i siłą na przyszłość, wskazywał Matkę Najświętszą jako wzór i przykład postępowania i życia na co dzień. Od Matki Chrystusa kazał się uczyć miłości, ufności, wiary oraz ducha prawdziwej pokory.

Kiedy ks. Kołodziejczyk odszedł do wojska, nowo powstała Sodalicja i cała szkoła odczuły to jako wielką stratę. Wiemy, że jemu też brakowało szkoły, że tęsknił za nią. Jeśli tylko mógł, przyjeżdżał i spędzał z nami swoje urlopy. Brał wtedy udział w spotkaniach, zebraniach i akademiach sodalicyjnych, ciesząc się, że dzieło rozpoczęte przez niego zataczało coraz to szersze kręgi. Jego uśmiech napelniał ufnością i wiarą w sprawy Boże i ludzkie.

Po odejściu ks. Kołodziejczyka katechetą szkoły został ks. Henryk Dorembowicz. Był to zupełnie inny typ kapłana — nauczyciela i wychowawcy. Cichy, poważny, trochę zamknięty w sobie, chwilami robił wrażenie przelęknionego — szczególnie gdy niespodziewanie doszedł go wybuch śmiechu lub niekontrolowanej radości. W twarzy i w całym zachowaniu nosił ślady jakichś ogromnych przeżyć i załamowań. Nie wiedzieliśmy wtedy, że był więźniem słynnej Łubińki,

gdzie przeszedł straszliwe śledztwo i tortury NKWD. Przeżycia te zlamaly go fizycznie i młodego 27-letniego człowieka uczynily starcem. Jego niesamowicie wychudzona postać, żółta cera i wielkie głęboko zapadnięte oczy jeszcze wciąż znacząco piętno tamtego koszmaru.

Nieraz, aby go rozweselić, rozśmieszyć a nawet rozgniewać, robiłyśmy mu różnego rodzaju psikusy. Pamiętam, że kiedyś klasa nasza — a było to w I licealnej B — wypila mu wino mszalne. Chciałyśmy, aby się na nas rozgniewał i nawymyślał porządnie — a tymczasem nie podobnego — ksiądz Dorembowicz z wielkim smutkiem patrzył na nas chwilę, a jego oczy zdawały się mówić: „Jak można było taką rzecz zrobić? Jak można?“ Wiem, że cała sprawa oparła się o komendantkę Sychowską, bo wynikły trudności z dostaniem wina mszalnego, wobec czego msza tego dnia była bardzo spóźniona.

Ponieważ do szkoły dołączały stale nowe uczennice, a liczba klas ciągle powiększała się, było niemożliwością, aby jeden kapłan mógł podolać pracy katechetycznej. Dlatego do pomocy ks. Dorembowiczowi przyszedł ks. Czesław Pawlak. Ksiądz Czesław był młodym kapłanem. Odkomenderowany z wojska na studia duchowne do Bejrutu, tam je ukończył i tam otrzymał święcenia i złożył śluby zakonne. Praca w S. M. O. była jego pierwszą placówką duszpasterską. Pelen entuzjazmu i sił fizycznych, szybko nawiązał kontakt z kadrą i młodzieżą. Oprócz nauczania religii w poszczególnych klasach, kierował pracą Sodalicii, otaczając wielką troską sekcję odczytową. Doradzał tematykę referatów, nakreślał poziom, wynajdywał i dobierał materiały, podkreślając stale potrzebę poważnego i gruntownego potraktowania danego zagadnienia. W jego trosce o te właśnie sprawy Kościoła i wiary był jakiś przedświt tego co przyniósł Kościołowi katolickiemu II Sobór Watykański. W swoim przejęciu się myślą katolicką nie odbiegał nigdy od spraw codziennych. Nie zapomnę momentu, kiedy tuż przed moim wyjazdem do Bejrutu ks. Czesław zapytał mnie wprost jak wyglądają moje sprawy finansowe. Gdy szczerze podałam mu stan swojej kasy, wyciągnął z kieszeni dziesięć funtów (co na owe czasy było wielką sumą) i prosił, abym przyjęła je na początek i wydała na potrzeby własne, które w życiu cywilnym będą o wiele większe niż sobie wyobrażałam. Chociaż czułam się zażenowana, to jednak po przyjeździe do Bejrutu byłam mu za nie ogromnie wdzięczna. Jakżeż bardzo przydał mi się ten jego praktyczny dar.

Religii w młodszych klasach uczyła także pani Maria Niemczycka. Była to osoba energiczna, ofiarna, o dużej wyrozumiałości, ale też wymagająca. Nie znosiła, gdy któraś z dziewcząt zobowiązała się

do jakiejś pracy — a nie daj Boże — nie wykonała jej, lub źle ją zrobiła. Uważała, że każdą rzecz, nawet najmniejszą, trzeba zrobić bardzo starannie, „bo w ten sposób zaoszczędza się czas, który zawsze jest bardzo cenny, i trosk tak swoich wychowawczyń jak też współtowarzyszek.

W życiu swoim miała trzy wielkie miłości: Boga, Ojczyzny i dzieci. W rozumny, a prosty sposób umiała te trzy wartości przekazać i własnym dzieciom — miała trzech synów w szkole męskiej w Barbarze — i swoim uczennicom. Jej syn najstarszy jako 17 letni chłopiec zgłosił się na ochotnika do wojska polskiego i zginął pod Monte Cassino. Cierpiała ogromnie, ale nie rozpacziała i nie skarżyła się. Uważała, że miłość żąda ofiary, a potrzeby Ojczyzny są tak wielkie, że nawet ofiara życia nie jest za duża. Pamiętam, że w oczach naszych urosła wtedy do symbolu Matki-Polki.

Patrząc wstecz zdaję sobie sprawę, że duch wiary i religijności cechował nie tylko osoby bezpośrednio odpowiedzialne za katechetykę, ale ogarniał niemal całe grono nauczycielskie i wychowawcze. Niektóre osoby może bardziej angażowały się w wychowaniu religijnym. Pani Stenia Dąmbrowska chyba nie opuściła ani jednego zebrania sodalicyjnego. Wielką dobrocią, życzliwością i głęboką wiarą przyczyniła się do realizowania wzoru nazaretanki-sodaliski. Jej rozumna ocena treści i układu artystycznego wieczorów sodalicyjnych przyczyniła się ogromnie do podniesienia ich poziomu. Dla nas jej uwagi, myśli i nauki były doskonałą szkołą jak należy organizować takie wieczorki i akademie.

Druga osoba z kolei, która w pełni angażowała się we wszystkich inicjatywach religijnych, była pani Mika Drozdowska-Kotowiczowa. Z wykształcenia i zawodu fizyczka, a pobudek wewnętrznych wychowawczyni religijna i wspaniała świecka działaczka katolicka. To ona właśnie z księdzem Kołodziejczykiem zakładała Sodalicję w szkole. Ona po naradach z poszczególnymi klasami dobrała zarząd i była jego pierwszą świecką opiekunką. Ona też informowała komendę szkoły o wszystkich wydarzeniach w Sodalicji, o jej brakach i potrzebach. Cicha, delikatna, jakby zażenowana tym, że musi wchodzić w tyle spraw organizacyjnych, często powtarzała: „Słuchajcie, moje kochane, nie myślcie, że się wam narzucam. Ja tylko chcę wam służyć swoją pomocą. Pamiętajcie, że tak jak Chrystus służył absolutnie wszystkim ludziom, tak i my mamy służyć jedni drugim.“

Dziś, z perspektywy 30 lat lepiej oceniam głęboką mądrość i wielki sens życiowy tych słów. Istotnie, człowiek znajduje właśnie w służeniu nie sobie a Bogu i ludziom prawdziwe szczęście i zadowolenie. Za

wielką prawdę jesteście ogromnie wdzięczne naszym wszystkim katechetom i wychowawczyniom religijnym w S. M. O.

Aniela Wieliczko-Stepan

DR EMILIA ZDZIARSKA

Przed Bożym Narodzeniem, jak co roku, otworzyłam zeszyt, aby skompletować listę życzeń świątecznych.

Pani Dyrektorka Zdziarska. Zmarła w lecie. Pierwszym odruchem było skreślić ją w moim zeszycie. Zatrzymałam się jednak, bo czyż naprawdę można skreślić osobę, z którą łączy się tyle przeżyć, tyle wspomnień serdecznych i bliskich?

Doktor Emilia Zdziarska, urodzona w 1895 roku w Brzozowej, szkołę średnią ukończyła w Płocku, uniwersytet w Warszawie, gdzie w roku 1929 uzyskała doktorat filozofii. Uczyla w gimnazjum i seminarium nauczycielskim w Warszawie, a od 1934 roku była Kierowniczką Poradni Zawodowej dla dziewcząt. Wojna zagnała ją do Lwowa, skąd została wywieziona z mężem i z dwojgiem dzieci do Rosji. Po amnestii cała rodzina dotarła do Kujbyszewa, skąd pani Zdziarska z córką Danutą wyjechała do Szkoły Junacek. Gdy Szkoła dotarła do Palestyny, pani Zdziarska została dyrektorką 2-go gimnazjum ogólnokształcącego a potem dyrektorką liceum pedagogicznego. Funkcję tą sprawowała aż do ostatnich dni rozwiązania Szkoły Młodszych Ochotniczek, będąc przez cały czas jedną z najbliższych współpracownic komendantki Sychowskiej.

Ja widzę i pamiętam panią Zdziarską jako była uczennica i podkomendna. Zaraz po poznaniu w Gederze wydała mi się bardzo surowa i szalenie wymagająca. W następnych latach, gdy uczyła nas oraz była komendantką naszej kompanii, a następnie dyrektorką liceum pedagogicznego, utwierdziłam się co do słuszności moich spostrzeżeń. Pani Zdziarska była surowa dla nas i wymagająca, ale równocześnie swoją wyrozumiałością, kulturą i dobrocią wzbudzała w nas wielki szacunek i ogromne przywiązanie, a powagą swego postępowania wyrobiła sobie wielki autorytet. W szkole, gdzie przecież naszym obowiązkiem było się uczyć, pani Zdziarska wywołując uczennice do odpowiedzi, zawsze pytała, czy może ona danego dnia odpowiadać. Nie pamiętam, aby która z nas wykorzystwała kiedyś tę delikatność.

Wykładała nam swoje przedmioty jasno, zwięźle i chętnie powtarzała omawiane zagadnienia po dwa i trzy razy, abyśmy naprawdę rozumiały i mogły notować. Bo przecież podręczników na przykład do psychologii nie miałyśmy.

Postawę pani Zdziarska miała wojskową, ale jako komendantka

kompanii rzadko zwracała się do nas per młodsze ochotniczki — przeważnie mówiła do nas: „niewiasty.“

Czy broiłyśmy? Ale oczywiście że tak! To było prawo młodości, prawo ławy szkolnej i konieczność wyzycia się choćby za cenę głupich kawałów, czy prostej niesubordynacji. Pani dyrektorka nigdy nie krzyczała i nigdy nie podnosiła głosu. Bez złośliwych docinek, surowo, choć równocześnie z dobrocią, przemawiała do sumienia, a nieraz i do serca.

Po rozwiązaniu S. M. O. spotykałam dyrektorkę Zdziarską w szkole sobotniej, gdzie chodziła moja córka. Ja, która często miałam na sumieniu nieodrobione lekcje w szkole, przerabiałam z córką wszystkie lekcje zadane przez panią Zdziarską. Szybko przekonałam się, że i tu, wśród dzieci wychowanych w innych niż my warunkach, potrafiła pani Zdziarska zainteresować klasę historią, geografią i językiem polskim. Wszystkie dzieci bardzo ją lubiły.

W życiu prywatnym pani Zdziarska odznaczała się serdeczną prostotą. W czasie odwiedzin, już tu w Anglii, zawsze była bardzo wyrozumiała dla dokazujących dzieci swoich byłych uczennic. Krzątała się po domu przynosząc coraz to inne smakołyki, niezmordowana w chęci dogodzenia nam wszystkim, nigdy nie pozwalając sobie pomóc. Dla dzieci były zawsze interesujące książki do obejrzenia, dla nas zdjęcia rodzinne, ostatnie wiadomości o pani komendantce, różne nowiny i oczywiście nieodzowne wspomnienia z lat przeszłych, z S. M. O.

Gdy po latach kupiliśmy własną chatę, państwo Zdziarscy byli pierwszymi naszymi gośćmi. Przyjeżdżając do nas nie zważali na dużą odległość i uciążliwą komunikację — nigdy nie pozwolili się odwieźć dalej jak do przystanku autobusowego.

W ostatnich latach pani Zdziarska chorowała na serce, ale do końca żywo interesowała się wszystkim, co dotyczyło jej nazaretanek i ich rodzin. Moja kartka z krótką wzmianką o pierwszym balu naszego Związku w maju 1968 roku była ostatnią, jaką napisałam do mojej dyrektorki. Zmarła 18 lipca 1968 roku. Jej życzeniem było, aby ją pochować w mundurze wojskowym z odznaką S. M. O.

Hanka Rychter-Schramm

DYREKTORKA IRENA NOWOTNA

Do dziś nie wiem, jakimi przesłankami kierowali się moi przełożeni, podpowiadając mi wybór zawodowego typu gimnazjum. Faktem jest że w roku 1943 po stworzeniu Gimnazjum Kupieckiego w ramach S. M. O. znalazłam się w nim.

Nieraz dolatywały do moich uszu przykre uwagi, sarkazm niczym nieuzasadnionej pogardy dla Gimnazjum Kupieckiego ze strony niektórych uczennic Gimnazjum Ogólnokształcącego. Świadomość straconego czasu na zsyłce w Rosji i przedwcześnie dojrzałe spojrzenie na doniosłość nauki w szkole polskiej bez względu na jej typ i charakter pozwalały jednakże ignorować przestarzałe poglądy i doświadczały mi bodźca do pracy. Głód wiedzy przezwyciężył ludzkie słabości i ignorancję a miłe i wykwalifikowane grono nauczycielskie z troskliwą i oddaną dyrektorką por. Ireną Nowotną na czele, stworzyło mi prawie idealne warunki pracy.



W Gimnazjum Kupieckim

Mimo wojennych trudności, w jakich znajdowała się szkoła, pani Irena, jak ją teraz czule wspominają jej wychowanki, na pewno nie była przysłówiowym „rakiem na bezrybiu“. Przed wybuchem wojny, jako absolwentka W. S. H. w Warszawie, objęła posadę nauczycielki Szkół Zawodowych w Stanisławowie, gdzie została aresztowana i wywieziona do Rosji. W roku 1942 dostaje się na Środkowy Wschód z Polskimi Siłami Zbrojnymi a w 1943 r. zostaje odkomenderowana do S. M. O. na stanowisko dyrektorki Gimnazjum Kupieckiego, gdzie również wykłada towaroznawstwo. Inteligencja i zdolności pedagogiczne sprawiają, że jej lekcje, pozornie nudnego przedmiotu, stają się przyjemnym wykładem wzbudzającym zainteresowanie całej klasy.

Będąc sama młoda rozumiała młodzież, jej słabości i sztubackie

wybryki i zamykała oczy na błahostki, co jej pozwoliło skoncentrować się na istotnych problemach wychowawczych.

Jakby świadoma własnych niedomagań, z siostrzaną niemal czułością dbała o zdrowie dziewcząt i pilnowała, by wszystkie wychodziły na poranne spacerunki i przestrzegały poobiednej ciszy, żeby miały dużo wypoczynku. Przeżycia w Rosji zaważyły na zdrowiu pani Ireny Nowotnej, a obowiązki dyrektorki oraz milej i pracowitej opiekunki jeszcze bardziej nadweryły jej siły i zdrowie i w 1944 zmuszona była opuścić ukochaną przez nią szkołę i poddać się leczeniu w klinice płucnej w Egipcie. Żegnałyśmy swą dyrektorkę z żalem, ludząc się, że po kuracji wróci do nas. Niestety — stan zdrowia nie pozwolił jej na dalszą pracę w szkole. Z Egiptu wyjechała do Włoch, gdzie wstąpiła w związek małżeński z por. Jerzym Olszewskim, narzeczonym sprzed wojny, zwolnionym przez wojska alianckie z niewoli niemieckiej. Będąc na funkcji Komendantki Ośrodka Studenckiego w Bolonii nadal interesowała się życiem naszej szkoły, mile wspominając w listach niezapomniane chwile w S. M. O.

W pamięci grona nauczycielskiego i wychowanek Gimnazjum Kupieckiego Irena Nowotna pozostanie jako kobieta prawa, szlachetna, prostolinijna i bez reszty oddana młodzieży.

Teodozja Głocowska

DYREKTORKA DANUTA MARSZALIK

Mgr. Danuta Marszałik została przeniesiona do S. M. O. ze Szkoły Junaków. Nasz „babiniec“ początkowo ją trochę przeraził. Wkrótce jednak, rozbrojona życzliwością otoczenia i ujęta wydatną współpracą, wrosła w „starą kadrę S. M. O.“ W okresie pełnienia funkcji komendantki kompanii, jak też na stanowisku dyrektorki Liceum Administracyjno-Handlowego, cechowała ją służbistość i obowiązkowość; tego samego wymagała od swoich podwładnych.

Prowadzenie I kompanii nie było rzeczą łatwą. Tak się złożyło, że były to klasy maturalne, albo przedmaturalne. Element bardzo inteligentny, indywidualny, o dużej swadzie i nieprzeciętnym dowcipie. Do tego typu dziewcząt nie można było trafić suchym paragrafem „regulaminu służby wewnętrznej“. Trzeba było w wielu wypadkach i paragraf nagiąć i regulamin służby do specyficznych warunków przystosować, z czym pani Danusia dawała sobie taktownie radę.

Współpracę z komendantką Marszałik, jako szef jej kompanii, wspominam bardzo mile. Mały epizodzik, który przytoczę, świadczy, że czasem rozumiałyśmy się nawet bez słów. Dla wyjaśnienia muszę nadmienić, że p. Marszałik wiedziała, że miałam wstawiony przez

szkolną dentystkę próbny mostek, który na skutek zablizniających się dziąseł „wyskakiwał” niekiedy ze swego miejsca przeznaczenia, uniemożliwiając wymowę. Wypadek zdarzył się na uroczystej zbiórce batalionu, przed frontem którego po złożeniu raportu, odczytywałam donośnie rozkaz dzienny. Nagle poczułam, że wypadają mi zęby. Zrobiło mi się ciemno w oczach. Pewna kompromitacja, jeśli spostrzegą dziewczynki! Odruchowo spojrzałam w stronę kom. Marszałik. Zrozumiała i w oka mgnieniu była już przy mnie; odebrała, pod zręcznym pretekstem, rozkaz z moich rąk i odczytała do końca. Żadna z czekających na okazję do zażartowania z instruktorki dziewcząt nie domyśliła się, jak byłam bliska kompromitacji.

W roku 1945 powstało w S.M.O. Liceum Administracyjno-Handlowe, którego dyrektorką została mgr. Danuta Marszałik, a ja, w różnorodności mojej wojskowej kariery, jego uczennicą. Nasz wzajemny stosunek uległ naturalnej przemianie. Pani Marszałik z piedestału dyrektorskiego patrzyła na mnie nieco inaczej, a i ja zobaczyłam ją po raz pierwszy oczyma uczennicy. Nie byłam faworyzowana w imię dawnej współpracy. Musiałam podporządkować się przepisom obejmującym grono uczących się dziewcząt. Z dyrektorką Marszałik spotykałyśmy się na lekcjach historii, którą wykladała w naszej klasie. Przedmiotu uczyłam się bardzo systematycznie; koleżanki nazywały to wkuwaniem; nie chciałam jednak zawieść pokładanego we mnie zaufania dyrektorki, tak jak nie zawiodłam go będąc szefem kompanii.

Dyrektorka Marszałik, mimo że późno dołączyła do Szkoły Młodszych Ochotniczek zżyła się z nazaretańską rodziną, wnosząc do niej swoje zawodowe przygotowanie i rzetelną pracę. Zwłaszcza podkreślić należy jej wielki wkład tak w okresie organizacyjnym Liceum Administracyjno-Handlowego, jak też i w okresie jego rozwoju. Pierwsza matura i otrzymanie z rąk jej 18 czerwca 1947 roku świadectwa dojrzałości były uwieńczeniem jej wysiłku i starań. Z odległości lat, my absolwentki Liceum Administracyjno-Handlowego winneśmy jej uznanie i szacunek.

Renia Miłaszewicz-Wasilewska

U NAS W HANDLOWYM

Życie nawet najbardziej prozaiczne ma to do siebie, że samo przez się — od niechcenia — zmienia się w historię. Patyna wieku, zab czasu potrafią zmienić kilka zdań w historyczny dokument. Pamiętniki i listy dostarczają bogatego materiału pisarzom i publicystom. Stare zeszyty przywołują na pamięć beztrioskie lata szkolne.

Bywają i takie wspomnienia, które spoczywają gdzieś w dalszych szufladach pamięci, nie zarejestrowane w podręcznej kartotece, pamiętniku czy zeszytach, odłożone i nie ruszone. Wydobywa je dopiero na wierzch jakieś zdarzenie.

Często przesuwa mi się przed oczyma korowód profesorów Gimnazjum i Liceum Administracyjno-Handlowego. Wdzięczna myśl biegnie ku tym, którzy pojąwszy ideę, umieli wprzegnąć wolę i nie żalowali energii na przygotowanie młodych kadr z myślą o wolnej Polsce. W swoich wspomnieniach widzę przede wszystkim wszystkich tych profesorów, którzy mnie najdłużej uczyli i wychowywali: wymagającą Zofię Więckowską, nieodżałowanej pamięci Karola Gostkowskiego, poważnego i dystygowanego Adama Piątkowskiego, serdecznego i pogodnego Edwina Weimanna.

Przeglądając czasem pożółkłe kartki zeszytu do polskiego, czytając notatki z pozytywizmu oraz streszczenia i wypracowania z romantyzmu: „kogo jak rozumieć i za co kochać i podziwiać.“

Wielką Trójkę Romantyczną, a w szczególności Mickiewicza i Słowackiego przerabialiśmy zapamiętane. Do dziś pamiętam, jak z koleżanką odrabiałam tę nieludzką pańszczyzną-referat: „Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza.“

„Za co, do licha, powinniśmy go kochać?“ — pyta koleżanka.

„Za wątki“ — odpowiadam z pogodnym stoickim spokojem. „Trzy wątki“... Masz?... „Masz poza tym element ludzki... pogodę, przyrodę, atmosferę... wszystko!“

„Pewnie, że mam! Plus epicki oddech i pogodną refleksję i humor“ — mówię.

„No to czego jęczysz? A jak ci za mało, to zajrzyj do Kridla.“

Mimo iż nie umiałabym dziś ad hoc napisać klasówki na piątkę, to jednak czytuję czasem „Pana Tadeusza“ i czuję, że jednak powinniśmy, że jest go za co kochać.

„... Słowacki zasłużył się piórem wielkiego poety i miłującego naród wieszczą“ — mówi triumfalnie mój zeszyt. W „Beniowskim“ Słowacki pisze, że gdyby Ojczyzną był język to posąg jego byłby zrobiony z głosek: patri patriae. Niewątpliwie tak jest. Zasługi Słowackiego w dziedzinie języka i stylu są wręcz olbrzymie — konkluduje z emfazą mój zeszyt.

Historia Młodej Polski wydawała mi się bardzo ciekawa i ważna i miałam ukryty żal do polonistki o to, że zbyt mało czasu poświęciła temu okresowi. Słowa: Chimera, Miriam, Skamander, to były wspaniałe, niepokojące słowa i — zupełnie niezrozumiałe. W tych zagadkowych słowach kryło się coś niecenzuralnego, jakieś obrazoburstwo, jacyś ikonoklasty.

Dziś nie mam żalu do pani Więckowskiej; wdzięczna jej jestem za poświęcenie, z jakim starała się nas jak najlepiej przygotować. Często przychodziła na lekcje chora, w rannych pantoflach, nie mogąc włożyć innego obuwia na spuchnięte nogi, ale nie opuściła lekcji. Ucząc w gimnazjum męskim — podobno — uciekła kiedyś przez okno przed lekarzem, który chciał ją wysłać do szpitala w okresie przedmaturalnym. Jej obowiązkowość i oddanie się młodzieży przesłaniały troskę nawet o własne zdrowie.

Dziś zamiast długich referatów i klasówek-rozpraw, piszę do niej, do Stanów Zjednoczonych, listy-epistoły; pragnę się wkraść w jej bolesną samotnię choć jednym promykiem radości i wywołać uśmiech serdeczny.

Przedmioty realne i handlowe były jakby promykiem nadziei na przyszłość. Pamiętam, z jakim zainteresowaniem wsłuchiwałyśmy się w starannie przygotowane lekcje księgowości pana Weimanna.

„Wymazywać i skrobać nie wolno — głosi dekalcg księgowości“

„A poza tym“ — ciągnie dalej pogodny profesor — „musi być wszystko prowadzone „a jour“ i tak jak w przyrodzie, gdzie nic nie ginie: jak na jednej stronie „przybyło“ to na drugiej „ubyło“, jeśli jedna „winien“ to druga „ma“, jedna „obciążona“ a druga „uznana“.

Przydały się nam te kardynalne zasady podwójnej księgowości na pierwszych posadach w angielskich biurach.

Mile wspominam pobyt na praktyce wakacyjnej w Tel-Awivie, której kierownikiem i opiekunem był pan Weimann, wespół z panią Więckowską. Wolne chwile spędzone nad morzem, na spacerze lub na operze były oderwaniem się od szarych dni życia obozowego i internatowego, były odprężeniem i prawdziwą ucztą duchową.

Wykłady pana Piątkowskiego z zakresu zagadnień gospodarczych, ekonomii i prawa, dużą dziś przedstawiają wartość. Im dłużej siedzę za granicą tym bardziej doceniam nacisk profesora na konstytucję 3-majową, ten „testament dawnej Polski“, który nie pozwalając mi zapominać o wielkości narodu i praworządnego państwa, czyni mnie coraz to zapamiętalszą Polką.

Jakby w przeczuciu długiego postoju na ziemi angielskiej, skrętnie notowałam w pamięci zasady prawa rzymskiego i precedensy angielskiego „common“ czy „case law.“

Jeśli pojęcie dobra ekonomicznego, prawa popytu i podaży, czy zmniejszającej się wartości poszły w zapomnienie, pozostawiając obcy dla ucha wydźwięk, to pan Piątkowski pozostał w naszych wspomnieniach jako osoba bardzo swoja i bliska. Do swojej śmierci w styczniu 1972 roku był on jednym z nielicznych członków grona nauczyciel-

skiego biorących udział w pracy Związku i służył nam zawsze radą i pomocą.

Zainteresowanie przedmiotami „praktycznymi“ wydawało się być „dewizą“ naszego pokolenia, które instynktownie czuło, że tylko te nauki — z jako taką znajomością angielskiego — dadzą jakiś prawdziwy łufcik na świat, otworzą jakąś prawdziwą ścieżkę do lepszego bytu.

„Gucio“ uczył mnie angielskiego — tak nazywaliśmy opiekuna naszej klasy Karola Gostkowskiego. Siedząc w skupieniu na rachitycznych obozowych ławach, łowiłyśmy chciwie każde nowe słowo, każdy nowy zwrot, tłumaczony nam z podręcznika dla cudzoziemców: Eckersley'a. Bywały także tzw. „lekcje wychowawcze“, ale bez pomocy naukowych, bez podręcznika „savoir vivre“. Profesor potrafił stworzyć taki nastrój, że ani spostrzegłyśmy się a już dyskutowaliśmy na wszystkie bliskie tematy. Jego stosunek do nas był szczery, serdeczny i kierujący.

„Trzeba się uczyć“ — mawiał — „jeśli się chce jeść chleb z masłem.“

Dyskretnie dotykając najbardziej intymnych spraw, dawał wskazówki form towarzyskich dorastającym panienkom, pozbawionym matczynych rad.

Profesor chodził po klasie, to przystając, to opierając się o improwizowaną katedrę, i głosem poważnym, gestem żywym, z młodzieńczym entuzjazmem wywoływał dawne czasy: lata spędzone w kraju i zagranicą — we Francji i Anglii.

Karol Gostkowski zmarł w 1970 roku w Londynie, pozostawiając po sobie pamięć człowieka o dużej kulturze serca i umysłu: dobrego nauczyciela i serdecznego druha.

Po przyjeździe do Anglii — w P. K. P. R.'owskim obozie Foxley pożegnaliśmy naszych profesorów by sięgnąć po nowe życie w obcym środowisku, lecz już z pewnym kapitałem wiedzy, z lekko uchylonymi horyzontami i z uczuciem wdzięczności dla naszych profesorów.

Teodozja Głodowska

PROF. MARIA DOBEK

Profesorka Maria Dobkowa, nasza polonistka, należała do tej bardzo szczupłej grupy pedagogów, których można śmiało nazwać artystami swego zawodu.

Z odległości ćwierćwiecza dzielącego mnie od tego, niemal już legendarnego okresu szkolnego, widzę jej drobną postać, jakby otoczoną aureolą natchnienia i młodego entuzjazmu. Nigdy nie określa-

łam lekcji z nią jako — „lekcje polskiego“, a jako „wykład p. Dobkowej.“ W tej różnej nomenklaturze zawiera się przepaść pomiędzy żmudnym ładowaniem wiadomości w oporne, czasem zaspane, czasem kompletnie pochłonięte marzeniami głowy uczennic, a umiejętnością spowodowania jakoby natychmiastowej transformacji audytorium na współuczestników.

Pani Dobkowa posiadała taki talent. Pełna życia i energii rzadko za profesorskim pulpitem, była w ciągłym ruchu, momentalnie potrafiła wzbudzić w nas pozytywne nastawienie i do siebie i do treści swojego wykładu. Po prostu porывała nas ze sobą.

Jej interpretacja przedmiotu była interesująca, wnikliwa, wcale nie sentymentalna ani bigoteryjna, o co było łatwo w naszej patetycznej sytuacji narodowej; często podniecająco wolnomyślna, była bardzo czuła na piękno literackie. W takiej atmosferze „polski“ był dla nas czymś o wiele większym niż jednym z przedmiotów, który musiałyśmy obkuwać do matury w tak bardzo skróconym roku szkolnym. Przedmiot ten był już zdecydowanym przeżyciem, w naukę angażowałyśmy nie tylko swoje siły intelektualne ale swoje uczucia, wyobraźnię i emocje.

Nie pamiętam, żebyśmy się zastanawiały wtedy w szkole, jak i skąd kadra nauczycielska zdobywa materiał wykładowczy, jak sama przygotowuje się do uczenia nas. I gdy dziś oceniam jak wysoki poziom zdołano osiągnąć pomimo tak szalonych braków i trudności, nie mogę się oprzeć wyrażeniu swojego ogromnego podziwu, szacunku i wdzięczności dla zespołu nauczycielstwa, z przekonaniem że przedstawiam tu vox populi całej S. M. O.

Zainteresowanie prof. Dobkowej nami nie ograniczało się bynajmniej do przepisane go programu. Była zawsze gotowa przyjść nam z pomocą, gdy stawałyśmy przed jakimś specjalnie trudnym zagadnieniem, organizując nadprogramowe wykłady. Niezapomniane są dla mnie takie właśnie wieczorne zebrania w Jeninie, ich romantyczność spotęgowana może malowniczymi zachodami słońca, może trochę nierealną atmosferą akademicką, w której czułyśmy się tajemniczo dorosłe; bez grozy wyrwania do odpowiedzi mogłyśmy puścić swobodnie wodzę fantazji i dać się przenieść natchnionymi słowami profesorki w uludną krainę poezji i prozy.

Niezapomniany jest również sceniczny wyczyn naszej klasy kiedy to, oczywiście za inspiracją pani Dobkowej i pod jej reżyserią, wystawiłyśmy melodeklamacje ballady Mickiewicza „Lilie.“ Do dziś pamiętam, jak skóra na nas cierpła z wrażenia, gdy modulując zło-wróżebne głosy deklamowałyśmy:

„...a nad nim rosną lilie.
A rosną tak wysoko,
jak Pan leży głęboko...“

Obleczone byłyśmy w białe prześcieradła, z zielonymi wiankami na głowach, same czułyśmy się jak owe lilie, a Mickiewicz był naszym mistrzem.

Wspomnień ilustrujących jej ogromne walory jako pedagoga mamy z pewnością wiele. I wiele byłych uczennic ma specjalny, bardziej osobisty dług wdzięczności za ogromną jej przychyłność i gotowość służenia radą czy po prostu pociechą tym, które nie mając swych rodzin do niej zwracały się ze swoimi młodzieńczymi problemami. Nie przesadzę, gdy stwierdzę, że fakt bycia uczennicą Marii Dobkovej był prawdziwym przywilejem.

Iwona Wojewódzka-Romer

PROFESOR MADEJ I PROFESORKA BRONCŁOWA

Gdyby trzydzieści lat temu ktoś zasugerował, że w książce S. M. O. prof. Madej i prof. Broncłowa znajdują się pod jednym nagłówkiem wszyscy bardzo zdziwiliby się, a oni sami nie tylko byliby zaskoczeni, ale może nawet mieliby coś przeciw temu. Nic ich przecież nie łączyło! Ale dla nas uczennic mieli zawsze wspólną charakterystykę: byli wspaniałymi nauczycielami. Jeszcze dzisiaj można usłyszeć na naszych zebraniach, jakby z wyższością rzucone zdanie: „nas uczył Madej i Broncłowa.“

Prof. Madej był w szkole zaledwie rok, ale wywarł na nas olbrzymi wpływ nie tylko bardzo ciekawymi lekcjami, ale także pracą poza godzinami szkolnymi.

Na początku roku dostawałyśmy do opracowania referaty. W zależności od zdolności danej uczennicy prof. Madej rozdzielał ilość referatów i tematy. W czasie roku, raz na tydzień zbierałyśmy się z profesorem na odczytywanie referatów, koreferatów i dyskusje. Był to zazwyczaj materiał, który nie mieścił się w godzinach szkolnych. Nie miałyśmy czasu przeczytać wszystkiego, co było tematem referatów, ale miałyśmy możliwość osłuchania się z wieloma rzeczami, zaostrenia apetytu do literatury. Jeszcze teraz przypominam sobie Krysię Chojecką, ile razy widzę „Króla Lear’a“, z sentymentem słuchałam niedawno przez radio wierszy Petrarci, sama nie wiedząc, czy naprawdę rozczulałam się jego lirykami, czy wspomnieniem, że czytałam je po raz pierwszy na serpentynkach w Nazarecie zachęcona przez prof. Madeja. Za pierwsze pieniądze stypendialne kupiłam sobie Boską Komedję, nad którą spędziłam wiele wieczorów i niedziel pisząc koreferat.

Referaty wymagały dużo rzetelnej pracy. Stawaliśmy na głowie, aby dostać jak najwięcej materiałów. Jeździliśmy do bibliotek do Hajfy, na uniwersytet do Jerozolimy, wydając na wyjazd swój skromny żołd.

Zanim wystawiło się referat na krytycznym forum koleżanek, przeczytywało się go profesorowi Madejowi. Dla każdej z nas wizyta z referatem u profesora była przeżyciem.

Ubierało się najporządniejszą spódnicę i bluzkę, za podwinięty rękaw wtykało najbardziej koronkową chusteczkę i szło się z sercem bijącym. Profesor często bywał sarkastyczny. Jedna uwaga o wyglądzie mogła wszystko popsuć. A profesor cierpiał na nadczynność tarczycy i nigdy nie było wiadomo, w jakim humorze go się zastanie. Niektóre po drodze wstępowały do kościoła na zdrowaśki, inne zaszywały do przeróżnych części garderoby maskotki, bo to podobno pomagało. Cały proces pisania referatu odbywał się ze stałą myślą o tej wizycie u profesora. Co on powie, jak to usłyszy. Referat był sprawdzianem wiadomości, stylu i formy, a wizyta u profesora często próbą konsekwentnego argumentowania. Nieraz trzeba było wybrnąć swoje racje i wizyta przechodziła w bardzo interesującą dyskusję. Złe wróżyło jeśli profesor nie przerywał czytania, bo zawsze komentował z miejsca jak mu się coś podobało, czy zaciekało. A już najgorzej było, gdy po pierwszych kilku stronach zaczynał się niecierpliwić, w końcu radząc delikwentce, aby jeszcze raz ten temat rozpracowała.

Prof. Madej, tak jak prof. Bronclowa, byli nauczycielami przede wszystkim dla dobrych uczennic. Słabe uczennice, jakich u nas w klasie było zaledwie kilka (wszystkie które miały więcej niż dwa dostateczne musiały po IV gimnazjalnej odejść do wojska) „umierały“ ze strachu. Dobre, też „umierały“, ale za to mogły skorzystać bardzo dużo. Lekcje z prof. Madejem i prof. Bronclową to nie były tylko lekcje polskiego i historii, to była zaprawa w logice i samodzielnym myśleniu.

U pani Bronclowej uczyliśmy się głównie z notatek robionych podczas jej nadzwyczaj sumiennie przygotowanych lekcji. Historia trzymała się mocno ziemi, konsekwentnie ubierając się w fakty. Widziałyśmy historię narastającą, jedne wypadki wypływające z drugich. Trzeba było nie tylko umieć, jak pacierz, wszystkie daty, ale równie dobrze trzeba było umieć myśleć. Nigdy nie było wiadomo, o co zaczepi pani Bronclowa, co z czym może skonfrontować, jakie wyprowadzić wnioski.

Profesorka Bronclowa miała nieprzeciętny dar podawania wiadomości i jeśli dziś nie pamiętam już nic z tego, czego uczyłam się,

to został mi posmak niezwykle ciekawego przedmiotu. Tak prof. Madej jak i Bronclowa umieli zainteresować uczennice przedmiotem i zainteresowanie wyprowadzić poza rutynę lekcji.

Nie wiem co się stało z prof. Madejem. Po wojnie wrócił do Polski.

Prof. Bronclowa uczy kroju i szycia w szkole angielskiej. Pojąc się po przyjeździe do Anglii, że nie dostanie pracy w szkole jako nauczycielka historii — a widocznie uczenie było w jej krwi — skończyła nauczycielski kurs kroju i szycia i dzięki temu była jedną z pierwszych nauczycielek Polek uczących w szkole angielskiej. Uczy w dzielnicy, gdzie mieszka dużo rodzin polskich. Wśród swoich uczennic ma sporo córek dawnych nazaretanek i od nich właśnie słyszę, że lekcje kroju i szycia prowadzi tak samo wspaniale, jak kiedyś lekcje historii. Z tą samą ironią z jaką kiedyś druzgotła nasze nonsensowne odpowiedzi z historii, teraz druzgocze uczennice, które pytają, ile mają skroić rękawów.

A ja od czasów Nazaretu miałam dużo profesorów i nauczycieli różnych narodowości, ale tylko raz spotkałam nauczyciela, który był klasy prof. Broncel i prof. Mateja. Jeśli przez 30 lat ocenia się innych miarą swoich nauczycieli z lat gimnazyjnych, to musieli być oni rzeczywiście nadzwyczajni.

Zofia Rymarska-Kosińska

PROF. JANINA HOBLER

Profesor (nie profesorka, a prawdziwy tytuł Profesor!) Janina Hobler wyglądem swym przeczy tak poważnym kwalifikacjom. Bardzo kobieca, miękka, o ślicznych oczach, zakochana w swym przedmiocie, polonistycie, zdawało by się nie nadawała się do wojska, a co tego jeszcze na komendantkę kompanii rozhułkanych dziewcząt. Funkcję tę pełniła poza pracą nauczycielską. I tu niespodzianka! Okazuje się, że ręka w miękkiej rękawiczce potrafiła być twarda i w klasie i w internacie, że dyscyplina musiała być, tylko że dzięki tej pewnej miękkości nie wiedziałyśmy, jak to się działo. Osiągała swój cel bez naszego buntu, który nas w tych czasach charakteryzował, i bez bólu. Któżby chciał zrobić przykrość „naszej Hoblerci“. Wiadomo było, że gdyby zaszła potrzeba, a zdarzało się, będzie walczyć o nas do upadłego (choć myślała, że my o tym nic nie wiemy), że wymagając lojalności od nas, sama jest najlojalniejszym przyjacielem. Całkowicie oddana młodzieży, wierząca w nią swym romantycznym sercem i idealizująca ją do dziś, gorąca patriotka, właściwie teraz jest dopiero doceniona w pełni przez swoje wdzięczne uczennice.

Danuta Polniaszek-Kossakowska

NASZ POLONISTA

Wysoka, szczupła sylwetka. Wystające spod wojskowych szortów khaki kościste kolana. Czarny wąsik. Zsuwający się energicznie na czoło kosmyk ciemnych włosów. Figlarny błysk rozumnych oczu i jakby trochę zażenowany uśmiech to nasz ulubiony, nasz przeżyły „Kwiatuszek“, profesor Walerian Kwiatkowski.

„Słuchajcie panny, czas ucieka, trzeba wracać do lekcji“ — przerywał sobie sam nagle opowiadanie, na które zapędził się z zapalem rozwijając jakąś małą dygresję. A o liczne dygresje trudno nie było, bo starałyśmy się o nie sumiennie, sprowadzając wątek wykładu na manowce.

Manowce — to właściwie nieodpowiednie określenie — na rozległe i ciekawe tematy, zabarwione żywym entuzjazmem „Kwiatuszką“. Zawsze podejrzewałam skrycie, że on sam lubił bardzo te swobodne wypadki. Odpowiadały jego bujnej naturze i pogodnemu usposobieniu.

A opowiadał bardzo ciekawie o różnych wydarzeniach i ludziach. Ludziach z krwi i kości. Co robili, jak wyglądali, jakie mieli wady i zalety i jakie ludzkie słabości.

Odwiecznym, uczniowskim instynktem szybko też odkrywałyśmy jakie tematy były słabością profesora.

Sam romantyk — był wspaniałym adwokatem romantyków literatury polskiej. Żyty z „Młodą Polską“ czuł się osobiście odpowiedzialny za dokładne zrozumienie przez nas jej pisarzy.

Zasłuchane siedziałyśmy cicho, bojąc się przerwać natchnienie — a czas, który czasem przecież potrafi pełznąć tak niemożliwie wolno, przeciągając lekcje w nieskończoność — tym razem jednak szybko rozpryskiwał dzwonkiem teczową bańkę opowiadania. Ach, jaka szkoda...

Gdybym malowała portret profesora Kwiatkowskiego, to tylko w mundurze ułana. Ten kolorowy i strojny ubiór byłby najbardziej odpowiedni.

I koniecznie na koniu. Na pędzącym, jak z Kossaka, koniu i z podniesioną, błyszczącą w słońcu szablą — szarżującego.

Danuta Zdziarska-Munnich

PROFESOROSTWO BRZESCY

„Zdania nie zaczyna się od WIĘC — to tylko chęć zdobycia czasu na zastanowienie się nad odpowiedzią.“

To nie była uwaga polonisty. To nasz historyk, prof. Brześli, powtarzał niemal codziennie. Oczywiście bez skutku!

Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego właśnie „Tata“ Brzeski był mi tak bliski. Oczywiście specjalna predylekcja dla jego przedmiotu, historii, pomogła. Nie miał on polotu pani Bronclowej; był raczej suchy, dokładny, bez specjalnej wyobraźni, co tak bardzo pomaga. A jednak... Dla mnie był on uosobieniem profesora w tym najlepszym znaczeniu. On chyba najbardziej przyczynił się do tego, że poczułam się w Nazarecie, jak w szkole z prawdziwego zdarzenia. Jego głęboka wiedza, spokojne, pozornie bezemocjonalne, ale jakże solidne podejście do młodzieży i nauczania, dało mi poczucie przybycia do spokojnej przystani, gdzie ktoś inny, właśnie „Tata“ Brzeski, bierze na siebie odpowiedzialność za wszystko, ze mną włącznie.

Jeśli by jednak, ktoś pomyślał, że przy tym wszystkim lekcje historii w naszej klasie były nudne — jakże by się pomylił. Pamiętam setki wesołych incydentów, często różnych kawałów robionych „Tacie“ naumyślnie, często przypadkowo, jak np. Irki opis bitwy pod „Dessau“, kiedy to „Tata“ wolno się rumienił i powoli się zaczynał uśmiechać ale to tak jakby się tego wstydził. Uśmiech ten, a raczej półuśmiech, zmieniał go zupełnie, był młody, ciepły i kto wie, czy właśnie tu nie leży sedno tajemnicy jego specjalnie ciepłego miejsca w naszych sercach.

Z „Tatą“ uzupełniali się idealnie. Nikt jednak nie nazwałby prof. Wandy Brzeskiej „Mama“. Uczyla francuskiego. Język ten i literaturę francuską kochała i nam starała się tę miłość przenieść. Jakże niewdzięczna praca! Dziś dopiero potrafię to ocenić i żałuję zmarowania takiej okazji. Dziś też dopiero poprzez korespondencje z nią, potrafiłam bliżej poznać panią Brzeską i zrozumieć ten specjalny stosunek „Taty“ do niej. Pod chłodną, zawsze doskonale elegancką powierzchownością, kryło się ciepłe serce i wrażliwa, pełna ideałów natura. Dowód tego dała wracając do Kraju, by dbać o chorą matkę, potem pielęgnując troskliwie chorego męża i walcząc z trudnościami i zawodowymi i dnia powszedniego w obecnych warunkach. Listy jej są zawsze pełne troski o nas i serdeczności.

Danuta Polniaszek-Kossakowska

„MAMA“ SZOSKA

Czasami jakiś moment, mały ruch czy nawet zapach nagle przynosi wspomnienie z dawnych lat, które odżywiają w mgnieniu oka, przenosząc nas do lat minionych, do czasu, który minął bezpowrotnie.

Pracuję jako nauczycielka w dwóch szkołach, które są na tym samym „camp’usie“, oddzielone od siebie 500 metrami. Idąc z jednej

szkoły do drugiej jednego wiosennego popołudnia zatrzymałam się na chwilę wśród zielonych sportowych pól, na których dopiero co ścięta trawa zaczynała pachnąć świeżym sianem. Ptaki śpiewały głośno, a słońce na czystym błękitnie delikatnie oplatało swoimi promieniami ziemię i wszystko co na ziemi.

Podniosłam głowę w górę, zmrużyłam oczy i nagle uderzyło mnie podobieństwo dwóch momentów tak odległych od siebie w czasie. „Zupełnie jak wiosna w Nazarecie!“ — pomyślałam i zaraz przyszła mi na myśl sylwetka profesorki, która była naszą drugą matką i przyjaciółką.

„Wkładajcie ciemne okulary i nie mróźcie oczu, bo kurze łapki wyskoczą szybko, dbajcie o cerę“ — mówiła „Mama“ Szoska, ile razy szłyśmy na spacer w słoneczne dni. Kto by wtedy myślał o „kurzych łapkach“, lub zmarszczkach na twarzy, przecież miśło się 18-19 lat, a od zmarszczek dzieliło całe życie.

„Mama“ Szoska uczyła nas łaciny, ale była również wychowawczynią IVD, I lic. B i II lic. B od czasu, gdy przyjechałyśmy do Jeninu z wojska, aż do naszego powrotu do oddziałów. Początkowo bałyśmy się jej trochę, tak jak bałyśmy się łaciny. Wydawała nam się surowa, trochę chłodna. Przez okres poznawania się zachowała pewien dystans, widocznie chciała oszacować ten nowy narybek młodych uczennic, które przyjechały z wojska „z belkami“, z pewnym doświadczeniem, gdyż były wśród nich świetliczarki, siostry szpitalne, łączniczki, kierowniczynie, biuralistki itp. Były one przyzwyczajone do wydawania rozkazów, nie tylko do ich spełniania, do pracy odpowiedzialnej, czasem ciężkiej, a nie do tego, aby być uczennicami.

Przyzwyczajaliśmy się do siebie powoli i stopniowo. Każda pogadanka, każda przechadzka, każda chwila spędzona w baraku w Jeninie lub w małych pokoikach w Nazarecie, zbliżała nas coraz silniej i serdeczniej wiązała głębokim węzłem wspólnego szacunku i przyjaźni. „Mama“ Szoska wiedziała jak do nas podejść, jak nam poradzić, powiedzieć, nie traktując nas jak młodzież szkolną, ale jak dorosłe studentki. Właśnie w tym kryła się jej mądrość opiekunki i wychowawczynie — i tym zyskała zupełnie nasze zaufanie i nasze serca. Wymagająca w klasie, wyrozumiała poza klasą — była tym czego nam najwięcej brakowało w latach tułaczki — autorytetem matki i wychowawczynie, łączniczki świata wiedzy z ciepłą atmosferą domu, którego nie było...

Wybuch śmiechu i wrzawa chłopców kopiących piłkę na boisku wyrwały mnie z zadumy — przeniosły ze świata przeszłości w teraźniejszość.

Podniosłam rękę i przejechałam się po czole licząc w duchu ilość zmarszczek na twarzy.

„Zdawało by się, że to tak niedawno było. Ot, trzeba było słuchać „Mamy“ Szoskiej, nosić ciemne okulary w słońcu i pielęgnować cerę, może dziś byłoby mniej zmarszczek“ — pomyślałam. Ale tu tak rzadko świeci słońce...

Zdzisława Przychodzka-Kawecka

DR. STANISŁAW KRYSZTYN ZAREMBA

On: docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nieprzeciętny umysł, którego geniusz matematyczny zawiózł w późniejszych latach na uniwersytety Teheranu, Bejrutu, Londynu, Swansea, Wisconsin (USA), Montrealu.

My: niedouczona grupa dziewcząt, wśród których nie było ani jednej, która skończyła normalne, trwające cztery lata gimnazjum.

Spotkaliśmy się w liceum humanistycznym Młodszych Ochotniczek przypadkowo, w skutek nieporozumień wojennych. Gdyby nie wojna, wybitnie zdolny docent na pewno w krótkim czasie dostałby katedrę profesorską, a my rozprószone po różnych liceach uczyłybyśmy się matematyki, kartką za kartką, pod okiem nauczycieli, którzy i tak wielkich nadziei w kobietach matematyczkach nie pokładali.

Dla prof. Zaremby matematyka była pasją, matematyka go urzekła i dopingowała. Profesor chodził z głową wysoko bujającą w obłokach matematycznych i mało zwracał uwagi na przyziemne rzeczy. A wśród tej przyziemności byłyśmy właśnie my. Jeśli nawet profesor starał się nagiąć do naszych nizin, pogrążało to nas jeszcze w większej gmatwaninie.

Taki rachunek Newtona, na przykład. „Wprawdzie nie przewidziany w programie szkół średnich, ale taki fascynujący“ — mówił profesor.

W zapale zapisywał tablicę po tablicy...

A teraz podniesiemy wszystko do potęgi minus jeden“ — brzmiało jasno i przekonująco, ale w rzeczywistości było czarną magią. Dlaczego właśnie do minus jeden?

Szybko przepisywałyśmy do zeszytów, aby zdążyć; jednym uchem tylko słuchając objaśnień, a drugim wyczekując przyjacielskich trzech kropek na tablicy i zadowolonego głosu profesora: „quod erat demonstrandum.“

Profesor nie osiadał na laurach swego błyskawicznego dowodu, tylko odwracał się do klasy i uprzejmie pytał (był człowiekiem nadzwyczaj kulturalnym):

„Czy któraś z pań ma może jakieś pytanie?“

Klasa zamierała, bo żeby pytać to trzeba było coś przecież rozumieć. Gdzie zacząć? Od jakiego początku?

Na szczęście w klasie miałyśmy Isię Witwicką, która posiadała rzadko idące w parze zalety: wybitne zdolności i nadzwyczajną koleżeńskość. Większość z nas patrzyła więc na Isię, gdy profesor czekał na pytania, bo wiedziałyśmy, że jeśli Isia zrozumie, to po lekcji nam wytłumaczy.

I tak przy dobrych chęciach profesora i bardzo wydatnej pomocy koleżeńskiej dotarłyśmy i przebrnęłyśmy przez maturę.

Z profesorem Zarembą zetknęłyśmy się po raz drugi w czasie studiów w Bejrucie. Przyjechał tam w styczniu 1946 r. w charakterze opiekuna polskich studentów.

Libańskie góry dały mu możliwość uprawiania narciarstwa. Bo drugą pasją profesora Zaremby poza matematyką było narciarstwo i obok tryumfów naukowych osiągnął on duże tryumfy narciarskie. ... Ale nas już narciarstwa nie uczył.

Zofia Rymarska-Kosińska

PROF. KPT. KUNDYCKI

Ileż on mnie zdrowia kosztował !! Przez niego o mało nie odeszłam ze szkoły. Z matematyką nigdy blisko nie byłam, ale to już było coś niesamowitego! Nie znosił mnie z całego serca i nie miałam pojęcia dlaczego. Cała szkoła wiedziała, że mnie nie znosił. Chyba antytalent matematyczny, którym niewątpliwie byłam, nie był wystarczającą przyczyną! Wchodził do klasy, dziś to jeszcze widzę i czuję dreszcze, nie podnosząc oczu wywoływał Polniaszka do tablicy, gdzie biedna ofiara, do reszty zgłupiała, stała przez całą godzinę rwąc chusteczkę, zupełnie ignorowana. Oczywiście na koniec roku dwojga (nie mówiąc już o rozstroju nerwowym!)

Ulka wisiała na powojach pod oknem sali konferencyjnej i wszystko słyszała! Była awantura! Pani Urbańska (aby Pan Bóg dał Jej zdrowie!) starała się wytłumaczyć, że to chyba niemożliwe, żeby ja była taki zupełny matoł w matematyce jeśli mam „dobrze“ z fizyki. Na to ON, że to wina pani Urbańskiej, bo jeśli ktoś jest matoł w matematyce, to nie może mieć „dobrze“ z fizyki. Postanowiono uderzyć z innego tonu, że jest wojna, że mój brat jest na froncie (był młodszy i był niedaleko, w Barbarze, ale kpt. Kundycki o tym nie potrzebował wiedzieć!). I nic! Nie chciał gadać. Argumenty, że będę musiała wracać do wojska, że nigdy nie dostanę matury, że będę miała zwichnięte życie, wpadały w próżnię.

Wreszcie zgodził się, że będę zdawała małą maturę z matematyki komisyjnie przed przedstawicielem z Ministerstwa Oświaty. Był pewny, że obleję. Ja też.

Z tą szczęsną wiadomością wróciła w nocy Ulka i zbudziła mnie, żeby się nią podzielić. Poszłam na dach Casanowy, żeby pomyśleć, co będzie dalej. Która na tym dachu nie rozmyślała?! Dobre koleżanki mnie nie odstępowały. A nuż skoczę!! Przez przeszło tydzień chodziłam jak nieprzytomna. Oczywiście musiałam się zgodzić na ten komisyjny egzamin. Co miałam robić?! Wiedziałam, że obleję i już myślałam o Kompanii Kantyn, zupełnie bez sentymentu oczywiście, kiedy gruchnęła wieść, że Kundycki uległ, że zmienił zdanie, że machnął ręką, dał za wygraną i postawił mi „dostatecznie“ z matematyki, twierdząc z pasją, że z babami i tak nie zwycięży.

Uff!! Młodsze koleżanki obchodziły mnie z daleka z szacunkiem, jak kogoś wybranego przez los najpierw na tragedię, a potem na szczęśliwe wybawienie! Ja chodziłam pijana szczęściem, zwłaszcza, że dostałam w nagrodę za promocję dwutygodniowy pobyt w Tyberiadzie. Żeby dojść do siebie po tych przeżyciach.

Dziś się z tego śmieję, ale nie było mi do śmiechu wtedy. To zupełna prawda, że moje życie inaczej by wyglądało, gdyby prof. Kundycki nie uległ.

Co było przyczyną tej niesamowitej awersji do mnie — nie wiem. Mówiono, że jakaś podlizująca się koleżanka coś mu na mnie nagadała, mówiono też, że w Rosji stracił córkę, do której ja może byłam podobna i tak nad tą stratą bolał, że nie mógł mi darować, że to ja żyję, a nie ona. Jeśli jednak to ostatnie jest prawdą, to wolę myśleć, że to właśnie było powodem zmiany jego decyzji.

Mam jego fotografię do dziś. Patrzę na nią bez żalu i pretensji, bo jeśli nawet nie matematyki mnie nauczył, to w każdym razie dał mi lekcję życia.

Danuta Polniaszek-Kossakowska

WSPÓLNE WSPOMNIENIA

Było to w lipcu 1970 roku. Siedzieliśmy pewnego wieczoru w eleganckim barze hotelu Sorra D'Or w Malgrat (Hiszpania). Moja szesnastoletnia córka Krystyna i trzynastoletni syn Jurek sączyli szampan, podczas gdy państwo Brown i ja piliśmy hiszpańską chery brandy.

Państwa Brown poznaliśmy trzy dni przedtem. Poprzedniego dnia państwo Brown byli w Montserrat i zachwycali się wycieczką: „Co za wspaniała trasa, niezwykle góry, jak w Szwajcarii albo Palestynie.“

„Szwajcaria jest przyjemna w słoneczne dni“ — powiedziałam

— „Natomiast Palestyna wydawała mi się piękna, gdy mieszkałam przed laty w Nazarecie.

Pan Brown odrzucił do tyłu głowę i parsknął głośnym śmiechem.

„Jaki mały jest świat“ — powtarzał — „Więc pani jest jedną z tych dziewcząt?“ Nagle przyjrzał mi się bardzo dokładnie.

„Any resemblance?“ — zapytałam wesoło, bo z kokieterią w moim wieku byłoby mi nie do twarzy.

Okazało się, że pan Brown był policjantem w Nazarecie przez jakiś czas, jego „girl-friend“ była Nazaretanką.

„Ach jakie to były piękne dziewczęta“ — rozwodził się pan Brown, najwidoczniej cofając się myślą o dwadzieścia pięć lat wstecz.

Wspominaliśmy przyjemne czasy w Nazarecie i Tyberiadzie. Pan Brown pamięta komendantkę Sychowską i barżo był zaskoczony wiadomością o jej śmierci. Pamięta panią Piskozub, instruktorkę gimnastyki, która wyszła za mąż za jednego z jego kolegów. Odpowiedziałem mu, jak to wdzięczna jestem pani Piskozub za to, że wysłała mnie na leczenie do Tyberiady. A zaczęło się to od małego nieporozumienia na lekcji gimnastyki. Pani Piskozub zapytała z nagłą pewnego dnia: „Dlaczego Biniewicz nie skacze?“ „Mam reumatyzm w stawach i czasami wydaje mi się, że nogi moje są sztywne“. „Dlaczego Biniewicz się nie leczy?“ podejrzliwie odpowiedziała pani Piskozub, „Dostaję proszki od pani doktor, ale jak na razie bez skutku“. „Pojedźcie Biniewicz na kurację do Tyberiady“ — zdecydowała pani Piskozub głosem stanowczym; i tak dzięki pani Piskozub wyleczyłam się z reumatyzmu.

Pani Piskozub była osobą nadzwyczaj zdecydowaną i stanowczą. Gdy wyszła za mąż za pana O'Reilly — imponowała nam jej odwagą, że oderwała się od polskiego środowiska i z sukcesem weszła w nowc.

Nic więcej nie mogłam wtedy powiedzieć panu Brown o pani O'Reilly i jej mężu Kevinie. Ale rok później dowiedziałam się, że pp. O'Reilly mieszkają teraz w Irlandii po spędzeniu wielu lat w Hong Kongu, gdzie pan O'Reilly był „Senior Assistant Commissioner of the Royal Hong Kong Police Force“. Syn pp. O'Reilly skończył Trinity College „with distinction“ i pracuje jako „financial analyst at Dominion Stock Brokers and Security Dealers on Toronto Stock Exchange“. A pani Lucyna Piskozub-O'Reilly wypisuje serdeczne listy nieskazitelną polszczyzną do swoich przyjaciółek z S. M. O. i wszystkie do siebie zaprasza. Gdy zjawiała się niespodzianie pod koniec jednego z ostatnich walnych zebrań, będąc przejazdem w Londynie, zrobiło się wielkie poruszenie. Pani Lucyna! Pierwszy raz od 30-tu lat! Mimo tego, że prawie pół swego życia spędziła

w czysto angielskim towarzystwie, dalej czuje, że jest związana z nami, z tamtymi nazaretańskimi czasami. Nie tylko jednak przeżycia, ale nawet wspólne wspomnienia łączą ludzi. I dlatego spotkany przypadkowo w Hiszpanii pan Brown wydał mi się bliski: łączyły nas wspólne wspomnienia dawnych lat.

Helena Biniewicz-Bauer



NAZARETANKI W USA

Mieszkająca na tej półkuli Nazaretanka, robiąc plany wakacyjne, normalnie oznacza trasę w ten sposób, aby „zahaczyć“ o koleżanki rozsiane w strategicznych punktach USA i Kanady.

Tak np. można przejechać z Montrealu przez Toronto do Bostonu, Nashua, New Yorku, Chicago, Cedar Rapids i przez Denver do Californii odwiedzając po drodze Isię, Zosię, Marysię, Wisię, jeszcze jedną Zosię, Alinę, Milutkę, Mirę, kilka Irenek, Jaś, Kaś i znów Marynę.

Zresztą muszę nadmienić, że pod względem ugoszczania się nawzajem, nocowania w przejazdach, spotkania na lotniskach itp. jesteśmy istną „sitwą“.

Gdy w roku 1958 spędzałam letnie wakacje u mojej siostry Olgi w Northampton, pojechałam odwiedzić Krysię Lubczyńską w Bostonie. Nie widziałyśmy się od Londynu. Przebieg wizyty był zupełnie typowy: była godzina 3 popoł. Po przywitaniu się i wyściskaniu, zasiadłyśmy sobie przy stoliku w kuchni — tak sobie, na herbatkę tylko i zabrałyśmy się do wspomnień. Gdy mąż Lubczyka wrócił tego dnia z pracy, zastał przy stole dwie kobiety z obłędem w oczach, z wypiekami na twarzy opętane niekończącymi się wspomnieniami.

Moje pierwsze spotkanie z koleżankami w Chicago było zupełnie przypadkowe, na jakiejś polskiej zabawie. Ktoś mi powiedział, że są tu moje koleżanki ze szkoły i tak odnalazłam Krysię Marchut, Irkę Piątek, Alinę Staniewską, Mirę Maciubiankę, Milutkę Wiszczak. Większość zabawy przesiedziałyśmy rozmawiając, a mężowie patrzyli na to bezradnie i dla otuchy poklepywali się po plecach.

Po tym pierwszym spotkaniu utrzymywałyśmy ze sobą bardzo bliski kontakt; nieraz gdy byłam w Chicago zbierałyśmy się wszystkie u jednej z koleżanek na tę okazję. Jakżeż miłe wspomynam te chwile! Wspaniałe chruściki i torty u Miry; imeniny u Irenki, które były tak huczne, że je odleżała w szpitalu; herbatki u Alinki i jej mamusię, która zawsze wita nas z tą samą kresową serdecznością: „Oh, jak to miło znowu zobaczyć dziewczynki“ — (od razu czujemy się

o jakieś dwadzieścia lat młodsze). Po takich odwiedzinach jest człowiekowi przez miesiąc ciepło koło serca.

W parę miesięcy po tym pierwszym spotkaniu zdarzyła się dobra okazja aby się „zebrać“.

Gościła wówczas u mnie moja siostra — Nuna — aż z Londynu. Też nazaretanka, chociaż ciut-ciut od nas starsza, ale kto jej to dzisiaj pamięta? Po moim wyjeździe do USA ta właśnie siostra odziedziczyła po mnie większość moich koleżanek, a teraz zanosilo się, że zaadoptuje i tutejsze. Postanowiłam zrobić i jej, i sobie tę przyjemność i zaprosić na „week-end“ koleżanki z Chicago wraz z mężami i dziećmi.

Na szczęście sąsiedzi wyjechali na wakacje i oddali nam swój dom do dyspozycji, bo było nas razem 25 dusz do spania. Zresztą problem spania został rozwiązany z wielką pomysłowością: wszystkie dzieci rodzaju męskiego w wieku od lat czterech wzwyż spały w komórce na półkach, gdzie zostało dla nich zaimprovizowane coś w rodzaju „Wagon-lit Cook“ z firankami, radiem i telewizją. Chłopcy byli bardzo zadowoleni, z miejsca wywiesili na drzwiach napis: „dziewczynkom wstęp wzbroniony“ i żaden smarkacz za skarby świata nie przyznałby się, że się boi spać bez mamy. Aby uzyskać wstęp do tego „sanktuarium“, musiałyśmy się legitymować pod drzwiami, że „to nie dziewczynka, to mama.“ Dla mniejszej dzieciarni znalazło się „baby-sitterów“. Rozparcelowawszy dzieciarnię na noc, zabraliśmy się do kolacji — trochę za zimnej, bo na balkonie, ale był za to piękny widok na miasto i gwiazdy na niebie. Bawiliśmy się beztrósko i tańczyli aż do chwili, gdy ktoś poddał myśl, żeby „odpływać“ tę kolację i wino — a była godzina 2 w nocy — na dworze już zaczęła zbierać się mgła, ale było jeszcze ciemno. Abyśmy nie pokrecili sobie karków, mężowie pozapalali siarczane świece. Migocące światła, zapach siarki, wisząca nad ogrodem mgła i późna godzina — wszystko to złożyło się na jakąś niezmierną atmosferę. Ktoś gdzieś szepnął: „To zupełnie jak w piekle“. Więc na wszelki wypadek przeżegnaliśmy się i wszyscy dali nurka do wody.

Na drugi dzień pokrępieni na duchu, jeśli nie na ciele, żegnaliśmy się szczęśliwi i zadowoleni, bo dzieci spisały się dobrze (nikt się nie pobił), mężowie swoją rycerskością zawojowali nasze serca a my — jak zwykle — nagadałyśmy się do woli.

EXPO w Montrealu w 1970 roku było jeszcze jedną okazją aby zobaczyć się z koleżankami. Zosię Gliszczyńską odwiedziłam parę lat temu, ale Isi Witwickiej nie widziałam od tych przysłowiowych „niepamiętnych czasów“. Na takie spotkanie po latach czeka się z lekkim biciem serca: „Czy poznamy się? A może zmieniła się? Czy znajdziemy wspólny język?“

I raz jeszcze przekonuje się człowiek, że tak jest, jakby tych lat „pomiędzy“ nie było. I jak zawsze wielką przyjemnością jest poznać rodzinę koleżanki z ławy szkolnej. Dzięki Isi i jej usłużnemu mężowi zwiedziłam nie tylko EXPO, ale Montreal i okolicę. Wyjeżdżałam z Montrealu jeszcze bardziej utwierdzona w swoim przekonaniu, że to chyba nie czysty przypadek, że mężowie koleżanek z Nazaretu są nadzwyczaj sympatyczni a dzieci bardzo udane.

W tym samym roku zaopatrzona w różne lekarstwa, które (ra wszelki wypadek i każdą zarazę) włożył mi do walizki przewidujący mąż, wylądowałam w Brazylii, aby odwiedzić moją brazylijską córkę Aronitę i poznać jej rodzinę. Bilet miałam kupiony do Buenos Aires, gdzie mieszka jedna z moich bliskich koleżanek.

Zaznaczyć trzeba, że jeśli chodzi o utrzymanie kontaktu drogą korespondencyjną jesteśmy wszystkie jednakowe. Już w Nazarecie doszliśmy do wniosku, że jest to wśród nas cierpienie nagminne, które nazwaaliśmy „piórowstrętem“ — i tym tłumaczy się każdą przerwę w korespondencji. Normalnie taka dobra koleżanka pisze raz na kilka lat kilometrowy list, dodając na końcu, że resztę napisze w następnym liście (wkrótce ma się rozumieć) ... i potem przez następnych parę lat nic.

Od Zdzichy nie miałam wiadomości przez 10 lat, — nawet nie wiedziałam, czy mieszka w Buenos Aires, co wcale nie przeszkadzało w tym, że wybierałam się ją odwiedzić. Przed wyjazdem wystosowałam kilka krótkich trafiających w sedno rzeczy listów: „Upłynęło ćwierć wieku od naszej matury, nie widziałyśmy się 20 lat, ostatni Twój list był 10 lat temu, będę w Buenos Aires...“ I tak po trzech tygodniach włóczenia się po Brazylii wylądowałam w Buenos Aires prosto w otwartych ramionach serdecznej koleżanki. Takiej chwili i uczuć nie da się opisać żadnym ludzkim językiem. Chodziliśmy ze Zdzichą po Buenos Aires i rozmawiały tak, jak chodziłyśmy kiedyś po Bejrucie, z tą różnicą, że tym razem asystowały nam dzieci i dopiero gdy człowiek spojrział na 20-letniego dryblasza, wiadomo było, że minęło ćwierć wieku.

Niemałą przyjemnością dla mnie było spotkanie rodziców Zdzichy, których znałam z Nazaretu. Od razu poczułam się u Zdzichy jak u siebie w domu. Przekonałam się, że rodzice nic się nie zmienili, że mąż Zdzichy ma ten sam młodociany uśmiech, z którym żegnał się z nami w Londynie przed wyjazdem do Argentyny.

Miałam okazje spotkać również i inne nazaretanki mieszkające w Buenos Aires i okolicy, — niektóre przyszły do Zdzichy, do innych my poszłyśmy, dokąd z kolei przyszły inne. Za tę gościnność i serdeczność jestem im wszystkim bardzo wdzięczna i nigdy nie zapomnę

ich miłych, roześmianych twarzy. Żegnając się ze Zdziłą na lotnisku obie z trudem powstrzymywałyśmy się od płaczu, ale w końcu moja twarz i kłapy od kostiumu były mokre od łez.

Czasem nawiązanie nagle kontaktu z koleżanką spada zupełnie nieoczekiwanie, jak piorun z nieba. I tak gdy pewnego dnia odezwał się przez telefon polski głos z zapytaniem: „Zgadnij kto mówi?” — byłam w kropce. Zaczęłam od Irenki (bo tych jest najwięcej), w końcu dałam za wygraną i dowiedziałam się, że to Zosia Tomaszewska. „Dzwonię z biura w czasie przerwy obiadowej, koleżanki dały mi swoje chusteczki do nosa na wszelki wypadek.“ Ile to lat upłynęło; — Myślę. Ostatni raz widziałyśmy się 22 lata temu w Londynie. „Pamiętasz? Miałam małą córeczkę — wyszła już za męża; syn na studiach. Boże, jak ten czas szybko leci! Musimy się koniecznie zobaczyć — przyjedź — dobrze — a więc — razem — jeszcze do ciebie zadzwonię — napiszemy do siebie — przyjedziemy.“

Tak nawiązałam kontakt z jeszcze jedną koleżanką.

Gdy dwa lata temu obwoziliśmy po Europie (w celach dokształcających) swoje dzieci, patrząc na bliskie mi twarze koleżanek zebranych u mojej siostry w Londynie, raz jeszcze poczułam jak silne są więzy młodości. Szczególnie naszej młodości, przeżytej w tak trudnych i burzliwych czasach.

Zofia Strzelec-Pietrzak

II

Płynąc po wodach świata, można dopłynąć do każdego kontynentu. Nas zaniósł do Ameryki!

Ameryka! Ciekawa, gościnna kraina — przygaraia wszystkich rozbitków zawijających do jej portów po azyl życiowy.

Kraj ryzyka... wyczynów... wyścigów... osiągnięć! Kraj praworządności i — anarchii; dobrobytu i — biedy; skąpstwa i — marnotrawstwa; rozmachu i zahamowania. W kipiącym tyglu konglomeratu narodowego, w dynamicznym tempie miliardowych obrotów dolarem, trwa proces pomyślnej koniunktury i każdy ma jednakowe życiowe szanse!

Jedziemy z Nowego Jorku na Florydę! Celem naszym Naples, miasto położone na wysokości Miami, nad Zatoką Meksykańską. Jeździmy co parę lat na te ciepłe wody, aby w nasłonecznionym klimacie Dixieland'u porównać północ z południem i wyciągnąć z tego korzyści dla zdrowia. Podróż — 1300 mil — nawet przy zawrotnej szybkości trwa prawie 3 dni w jedną stronę. Noclegi wypadają po drodze.

Motele, hotele dla podróżujących, rozsiane wzdłuż autostrad co kilka czy kilkanaście mil — jak i stacje benzynowe — czekają na znużonych jazdą, aby komfortem pomieszczeń dać im wypoczynek i uczucie zadowolenia.

Żona w strachu powiedziała: — „80 mil! To ja orłem nie będę i za kółko nie siądę“. Pan mąż prowadzi sam. Znużony kierownicą skręca z głównej drogi w boczną wiodącą do malowniczo położonych budynków, w których dziesiątki pokoi czeka na przybyszów. Podjeżdżamy pod same drzwi. Troje naszych dzieci wysypuje się z wozu zadowolone, bo zobaczyły huśtawki i basen z trampoliną. Od razu zabawa i ochota na pływanie, ale regulamin przewiduje co innego.

Odświeżeni, przebrani idziemy do restauracji na kolację. Witają nas tony muzyki z taśm (magnetofonowych). Światła przyćmione. Klimatyzacja aż ziębi. Kolacja gorąca — przyjemnie...

Na sali chwila ciszy. Do stojącego obok pianina podchodzi młody człowiek. Parę wstępnych akordów... gra. Wyćwiczone palce wyczarowują każdą melodię z subtelnym wyczuciem nasilenia dźwięków. Sala reaguje. Ze zmianą melodii i nastroj się zmienia. Znow spokojne przejście w melodię, z której wylania się tango Comparsita. „Comparsita! Mamo! — czy pamiętasz? — ... Nazaret, szkoła SMO zrozumie to — śpiewam!“ Jadąca z nami Mama pamięta. Była instruktorką i wychowawczynią w liceum humanistycznym.

Mój Boże — rozsypał nas wiatr tu!aczy po świecie jak jesienne liście. W wielu miejscach nazwiewał, zagęścił — to Anglia — częściej, rozwiął w pojedynkę w różne części globu. Gdzie nas nie ma?

Na wielkim kontynencie Ameryki szukamy się, pytamy się o siebie. Z tego co wiem w stanie New Jersey, New York, zaledwie kilka. Spotkania rzadkie — czas, odległość, ale kontakt serdeczny — życzliwy. Dawna różnica wieku zatarła się zupełnie. A była! — zwłaszcza, kiedy starsze koleżanki tańczyły z Kadetami — oh! — taką Comparsitę. Patrzyłyśmy zazdrośnie, że już dorosłe i dlatego otoczone rojem wielbicieli z Barbary, a Kadeci mając taki wybór dorodnych koleżanek, na nas uwagi nie zwracają.

Po przyjeździe do Anglii, po rozwiązaniu SMO poszłam do szkoły angielskiej w Stone, Staffordshire. W pokonaniu trudności językowych pomógł pobyt w internacie, konieczność obcowania w środowisku czysto angielskim. Przyjaźni koleżeńskich było sporo, czas jednak rozwiął je bez śladu.

Potem Queen Mary College — języki. Znow byli koledzy, kole-

żanki, wspólne prace, życie studenckie. Choć otoczenie przyjazne, zabrakło więzi cementującej przyjaźń na długie lata.

Szkola Młodszych Ochotniczek w Nazarecie, to wyjątkowa „przygoda wojenna“. W specyficznych warunkach, narzucenych sytuacją rozgrywającej się wojny, SMO było przystanią, w której setki dziewcząt kontynuowało przerwana Sybirem naukę.

Duch tego okresu, cała atmosfera życia w gromadzie, przepojona była polskością: mową, historią, literaturą, tradycją polską. Był to kapitał wartości na drogę, która miała prowadzić do Polski!

W tych warunkach rodziła się przyjaźń, wzajemna życzliwość, koleżeństwo, które do dziś łączy nas więzią wytworzoną specjalnym charakterem Szkoły. Zasługi zespołu nauczycielsko-wychowawczego i administracyjnego były ogromne. Każda funkcja była ważna, wykonanie musiało być bezbłędne. Pracy kadry nie dostrzegaliśmy, pochłonięte nauką, sobą i tylko nam wiadomym przeżywaniem okresu dojrzewania. Udostępniano nam całe bogactwo wiadomości, radzici w wycieczkach i obozach wakacyjnych. Zwiedzanie Ziemi Świętej, wakacje w Jerozolimie, dojazdy do Jerycho, kąpiele w Morzu Martwym itd.

Wycieczki do Egiptu: Kair, muzea, piramidy, Luxor, Karnak, Teby, Dolina Królów, groby faranonów. Przeprowa z Luxoru na drugą stronę Nilu do Teb, gdzie na brzegu czekały na nas osły! Osłe grzbiety niosły nas po kamienistych wzgórzach nad przełęczami do ruin świątyni Hatszepsut, którą dzisiaj rekonstruuja Polacy. Jakże byliśmy rozczarowane małością „Kolosów Memnona“...

Co to było za bogactwo wrażeń, przeżyć, doznań. A nasze curiosum, Helenka. Chętna, obecna na każdej prawie wycieczce, cóż — organicznie uparta. Ledwie autobus do Tyberiady czy Cesari ruszył z miejsca ona już „jechała na Łotwę“. Nie było ratunku, przytomniała dopiero wówczas, kiedy poczuła grunt pod nogami.

Wakacyjny obóz w Atlicie to znów inny rodzaj przeżywania: słońce, woda, zawody pływackie do „skałek“, wilczy apetyt, a kuchnia wojskowa, no i wieczorem zabawa! Nasłonecznicne, złote piaski plaży obmywane łagodną falą Morza Śródziemnego nieraz widziały śmierć niebieskiej meduzy, którą wylawialiśmy z morza i ze strachu, aby nie parzyła, zakopywały głęboko. Tego koloru meduz nie spotkałam już nigdzie. Urozmaiceniem były potańcówki: podium z betonu, trzy płyty, puculowaty księżyc, kilku kadetów na okrasę i — my! Zachrypnięty patefon wygrywał tanga „Jealousie“, albo „Comparsite“, a my... a ja w sukience! Sukienka cywilna z falbanką! To Jasia przywiozła ze sobą w plecaku. Było nas trzy koleżanki od serca; wspinałomyślna właścicielka sukni, jednego dnia wkładała

ją sama, drugiego pozwalała Kitce, a trzeciego to szczęście przypadało mnie. Zaczarowana falbanka — ochotniczki zamieniała w księżniczki. O! Jakie dawała wyobrażenie o sobie! O czasy! W tej sukience oparta o ramię Kadeta pouczana, stawiałam — nie podskakując — pierwsze kroki w tańcu. Stary księżyc, który już tyle widział, mojego rumieńca nikomu nie zdradził, ale ja od tamtej pory zaczęłam tańczyć.

Szło nowe... Ustne pogłoski, że wyjeżdżamy do Anglii znalazły potwierdzenie w rozkazie. Wyjeżdżamy! Młodość cieszyła się nadzieją zmiany. Smutno było żegnać Nazaret. Do dzisiaj pewnie błądzą w nim echa naszych śpiewów na spacerach, marszach i wypadach po anemony. Nazaret jednak zabrałyśmy ze sobą, schowały w pamięci serdecznej i w Pont Saidzie, załadowane jak śledzie w beczce na angielski frachtowiec „Mataroa“, popłynęłyśmy do Anglii.

Na statku byłyśmy jeszcze bardziej zwartą gromadą, bo szczupłość miejsca ścieśniała nas bardzo. Starsi narzekali, dla nas wszystko było nowe, ciekawe: od kół ratunkowych, hamaków, w których spaliśmy pod pokładem jak marynarze, poprzez jadalnię żołnierską z porridge'm angielskim na śniadanie, aż do wyjścia z luków na zewnątrz, ażeby popatrzeć na morze, zaczerpnąć świeżego powietrza. A morze — spokojne. Słońce dogrzewa. Powietrze kryształowe. W dali pływające delfiny i „Mataroa“ na płaszczyźnie morza, rozpychająca władczo mieniącą się falę, zostawiając smugę spienionej wody za sobą.

Po paru dniach podróży, odczuwamy bliskość Sahary. Bucha gorącym powietrzem jak z pieca, którego idąca w dziesiątki mil odległość od brzegów Afryki zhytnio nie oziębila. Przydałoby się choć trochę wiatru — nie ma. Poleciał w inne strony. Morze Śródziemne odpoczywa. Płyniemy równo bez przechybów i kołysań. Huśtawka zaczyna się za Gibraltarem na Atlantyku. Narazie wszystkie nasze ważne i mało ważne sprawy, zapakowane w jedno, płyną po tajemniczej głębinie do swego przeznaczenia. Pod opiekuńczą kopułę nieba leci potężny chór tysiąca głosów „O Panie, Któryś jest na Niebie“. To płynące SMO bierze udział w odprawianej na pokładzie statku mszy św. Modlitwa osiąga zenit w Podniesieniu. Słychać dzwonki... Ksiądz z białą Hostią na tle błękitu... nasze pochylone głowy w zamarym na moment bezruchu... cisza... chwila błogości wewnętrznej ... Władco świata... Boże!...

W czasie prawie dwutygodniowej podróży częste próbne alarmy i ekwipunek ratowniczy przypominały, że wody na naszej drodze kryją jeszcze w sobie wiele zdradliwych min z czasów niedawnej wojny.

Snują się wspomnienia, jak nić Ariadny, budząc zadumę nad minionym...

Nad Północną Karoliną zapadła noc. Komary rozpoczęły swoje panowanie. Jutro czeka nas dalsza droga na Florydę — najlepszy dowód, że nasza „Mataroa“ pomimo tonped szczęśliwie dopłynęła do Anglii.

Epilog Szkoły Młodszych Ochotniczek był krótki — likwidacja! A dla nas takie życie w polskiej zwartej gromadzie nie powtórzyło się więcej. Sielskie lata przeleciały wichrem. Teraz każdy musiał stanąć o sobie. Trzeba było tworzyć warunki bytowania na zupełnie obcym, nieznanym terenie — kraju osiedlenia. Stworzyliśmy, często „hojnie, strojnie i bogato...“ Świadomość jednak, że to wszystko nie u siebie — uwiera.

Największa troska — dzieci. Bastionem języka polskiego powinien być dom: jak tu utrwalić, ukorzenie mowę polską, wpoić, zachęcić dzieci do poznania, kontynuowania historii, literatury kraju ich rodziców; jak ochronić ten bastion polskości przed zalewem tego drugiego języka, który wciska się każdą przeoczoną szczeliną, poczawszy od szkoły, kolegów itd. Żmudna to praca, wymagająca wiele poświęcenia i wyrzeczeń ze strony rodziców. W niektórych skupiskach polskich są tzw. „Sobotnie Szkółki“. Jeśli dziecko nie mówi po polsku w domu, dwie godziny tygodniowo języka nie nauczy. Ogromnie pomaga, jeśli matka nie pracuje poza domem. Nie wszystkie z nas chcą pracować, ale czasami zmuszają warunki. Jedną z Nazaretanek owdowiała — troje dzieci. Druga „osamotniała“ — dwóch synów. Obie dzielne nad podziw — pracują.

Dwie z nas należą do polskiego klubu kulturalnego w Nowym Jorku. Udzielamy się w miarę możliwości i potrzeb. Z tego, co widzę, nasza generacja, przynajmniej tutaj na wschodnim wybrzeżu Ameryki, korzeni głęboko nie zapuszcza. Szowinizm? — może. Nie tworzymy gett, ale szukamy się. Czytamy polską prasę, popieramy polskie imprezy i wszystko, co nasze i nas dotyczy, nie jest nam obce.

Tak się złożyło, że mieszkamy w „suburbii“, czysto amerykańskim sąsiedztwie. Patrzone na nas z zaciekawieniem, że Polacy i tacy, i tutaj... Stosunki sąsiedzkie ułożyły się przyjemnie, kontakty osobiste umilają współżycie. Trzeba było podbudować je głębiej. W czasie obchodów millenijnych urządziłam w miejscowej bibliotece w Maplewood wystawę polską: książki, historia, sztuka ludowa. Mapy ilustrowały położenie Polski, jej granice, opisy itd. Byłam z tego dumna, bo rezonans w prasie miejscowej, bardzo przyjemny w tonie, spopularyzował wysiłek. Zachęcona, zorganizowałam wystawę obrazów jednej z naszych polskich malarek. Po wywiadzie z nami dwiema,

wystawa obrazów z naszym curriculum vitae odbiła się echem już na szczelbu prasy wielkiego miasta. I znów choć trochę przyjemnie o Polakach. Życie zmusza do angażowania się. Chciałam posłać dzieci na religię do parafii polskiej, poświęcając czas na daleki dojazd. Odpowiedź księdza była, że uczą religii tylko po angielsku. Wróciłam do swojej amerykańskiej parafii, bo też po angielsku, a bliżej. Na prośbę proboszcza uczyć w tej parafii raz w tygodniu religii.

Należymy z mężem do Confraternity of Christian Doctrin. Jest to posoborowy ruch ekumeniczny, który tłumaczy uprzedzenia, szuka dróg do wzajemnego zrozumienia, tolerancji, pojednania — „abyście byli jedno“. Zebrania nasze w stosunku do dawnych pojęć o katolikach są arcyciekawe. Czasami ksiądz, rabin, protestant czy katolik — laikat ludzi świeckich — szuka w religii, dyskutując, tego, co łączy, a nie dzieli. Często jest okazja uświadomić, złagodzić wzajemne uprzedzenia, szowinizmy narodowe itp. W zasadzie w USA wszyscy są Amerykanami, tyle, że dzielą ich pochodzenia: Polak, Żyd, Niemiec, Szwed, Irlandczyk, Włoch, bo lista nie wymienia Murzynów, Portorykańczyków, czy Chińczyków. Każda z tych grup uważa, że jest wyjątkowa! Wkład swój w życie i kulturę amerykańską uważa za ogromny. Wszyscy jednak zapominają, że panami tej ziemi byli Indianie, którzy jeszcze dzisiaj żyją w rezerwach z łaski federalnych, stanowych czy charytatywnych zapomóg.

Ameryka to paradoks, który z wieży Babel stworzył potęgę, jedyną na świecie, jako równowagę i nadzieję dla słabszych. Na takiej głębi, obsianej etnicznym ziarnem, żyjemy my i rosną nasze dzieci. Dałby to Bóg, aby nasza polska krew przetrwała w nich i w następnych pokoleniach. To są nasze pobożne życzenia. Czas często pokazuje zupełnie co innego. Miejmy nadzieję...

Danuta Grajska-Kozłowska

NAZARETANKI W ARGENTYNIE

Marzyły kiedyś... Głośno i cicho marzyły nasze dzieci-junaczki, młodsze ochotniczki — o powrocie do wolnej Polski po skończonej wojnie. Roił się tym naszym dzieciom-żołnierzom powrót w zwartych szeregach SMO, lądowanie w Gdyni w pełnym ordynku, całym batalionem, a potem... ziemia swoja, ludzie swoi, i szczęście, i radość i przyszłość.

Tymczasem rzeczywistość okazała się tak daleka od marzeń!

...Syreny statków w porcie londyńskim huczają. Już bagaż załadowany. Jeszcze krótkie, ostatnie formalności w kasie biletowej.

Wejście na molo. Kilka schodków wyżej i już pod stopami nie ziemia, a pokład wytwornego statku angielskiego „Highland Brigade“.

Jeszcze jesteśmy umocowani linami do lądu, jeszcze całą duszą trzymamy się tego skrawka ziemi, przy którym, jakby tuż obok, jest ziemia polska. Już... Już statek drgnął, zachwiał się, zakolysał. Już coraz szersza wstęga wody między nami a lądem. Tak jakoś w ustach słono. W gardle nieprzyjazny ucisk. Śliny przełknąć nie można.

... Już pełne morze.

Statek zdecydowanie ciągnie nas coraz dalej i dalej, na południe do Argentyny. Mówisz, że to auto-zsyłka.

Pytasz: po co? I dlaczego?

... Wjeżdżamy do Portu Buenos Aires. Wita nas chmurna, lipcowa zima. Dokuczliwy wiatr smaga twarze, wilgocią nasycone powietrze dusi, ołowiane niebo przytłacza.

Wpłynęliśmy tu nie pierwszą falą emigracyjną. Już przeszło sto lat temu — w ciągu całego XIX wieku — dobijał do brzegów Argentyny Polacy, weterani naszych powstań. Przybywali tu wraz ze swoją ideą walki o wolność, wciągali się w szeregi armii argentyńskiej i pod aktualnym wówczas hasłem „Za naszą wolność i waszą“ walczyli o niepodległość Argentyny a w późniejszych latach brali udział w wojnie argentyńsko-paragwajskiej. W muzeach historycznych są portrety niektórych z nich. W archiwach wojskowych są karty służby wojskowej, stopnie, odznaczenia; na cmentarzach ich groby i pomniki.

Napływali tu potem dużą falą nasi robotnicy i chłopci na zarobek i łatwe nabywanie ziemi, na bardzo, bardzo ciężką pracę przy wydzieraniu puszczki ziemi pod uprawę.

Wpływali na północne obszary Argentyny w Misiones osadnicy-koloniści polscy w ramach planu Ligi Morskiej i Kolonialnej Polski Niedopleglej.

A kraj tu przestronny, rozległy.

Nam mija tu rok za rokiem. Toczy się życie nie do darowania losowi. Nieduża ilość osób tylko zdołała urządzić się jakoś znośnie od samego początku. Większość długo borykała się w obcym świecie z bytowaniem często bardzo ciężkim. Praca zarobkowa fizyczna, często dorywcza, szydziła sobie ze wszystkich zainteresowań intelektualnych, wykształcenia, dawnych stanowisk. Niejednokrotnie troska o dach nad głową (bo brak tu tych „dachów“) zmuszała do wojowania kielnią, cegłą i cementem, do budowania własnego domu, własnymi rękoma. Aż dziw brał, że te domy się nie waliły, skąd ta nagła fachowość!

Bardzo często, po kilku czy kilkanastu latach, ten wzniesiony własnymi rękoma, a potem sprzedany domek, opłacał podróż całej rodzinie do Ameryki Północnej, w poszukiwaniu lepszej doli. Innym, którzy tu zostali, nielaska losu spowszedniała, w niektórych wypadkach przetrwały się trudności.

Powiększają się rodziny polskie. W miastach i miasteczkach nad brzegami wielkiej rzeki La Plata pojawia się coraz więcej jasnowłosych główek dzieci polskich. Słyszysz się polski szczebiot w pociągach, autobusach, parkach, na ulicy. Wiele z nich to dzieci naszych dzieci, byłych młodszych ochotniczek; aż mnie korei aby powiedzieć: „To nasze wnuczęta“, bo po rodzinie, najbliżsi mi są wszyscy z SMO. Dlatego spotkanie z każdą nazaretanką jest dla mnie spotkaniem serdecznym.

Widziałam je w 1942 roku przybywające do szkoły w Karkin-Batasz w stanie zupełnego wyczerpania z dalekich szlaków zesłania, widziałam je potem — przez lata — w S. M. O. na terenie Palestyny, w okresie ich pięknej, rozbujanej i pracowitej młodości. Spotykam garstkę ich teraz tu w Argentynie, już dorosłe i wciągnięte w kołowrót życia codziennego, poświęcające swój drogi, wolny czas pracy społecznej, pracy nad młodzieżą polską.

...Obóz harcerski w El Tajamar, w górach w okolicy Kordoby. Upalny styczeń. Komendantką harcerek na obozie jest Zdzicha Bałandiuk-Wojno. Jest ona też referentką wychowania narodowego. Opracowała „Minimalno-maksymalny“ program nauki o Polsce i srogo przestrzega, aby każdy harcerz czy harcerka umiała historię Polski „na blachę“. A w wolnych chwilach komendantka Bałandiuk-Wojno wyśpiewuje ze swoimi harcerkami:

„Czy ci dobrze, czy ci źle,
ty się zawsze tylko śmiejesz...“

Wyśpiewuje, jak kiedyś śpiewała z Krysią Lubczyńską, Ludką Siewierow i Kitą Kwiatkowską, czy z całą kompanią swego dziewczęcego wojska w S. M. O.

Tę ulubioną piosenkę ze swoich żołniersko-uczniowskich czasów w S. M. O. przerzuciła Zdzicha ponad oceany wody i czasu, do Argentyny w miasto domków z płótna w El Tajamar. Podchwyciły ją harcerki i na wycieczce, w marszu, w drodze do kuchni po obiad, w kąpielni w jeziorze śpiewają:

„Śmiech to zdrowie,
zapamiętaj sobie to“.

„Na polanie dogasa ognisko“ — żarzą się jeszcze niedopalone głównie, gdzieniegdzie ostatni płomyk błyska. W szarej powłoce wieczoru, w ciemnej oprawie drzew i gór stoją w kręgu ledwie zarysowujące się sylwetki całej obozowej, harcerskiej rodziny. Nietrudno mi w tym kręgu rozpoznać i wybrać nazaretanki i ich rodziny.

Oto drużna Danuta Pobereżna-Wojciechowska, kierowniczką działu gospodarczego na tym obozie. Harcerka Hania, córka Róży Bratko-Czajkowskiej. Dalej druhenki Bożenka i Ewa, oraz mała zuhenka Basia — córki Danuty Pobereżnej. Harcerz Adam i harcerka Ewa, dzieci Stefani Frasz-Wajszczukowej. Harcerz Zdzisław, syn Urszuli Stefanowskiej-Kozłowskiej i wreszcie Andrzej i Alicja Wojno — dzieci Zdzichy Bałanduk-Wojno — i jej mąż Jerzy, ówczesny komendant obozu harcerzy.

Inny obóz, w San Luis. W komendzie obozu te same co w El Tajamar nazaretańskie twarze i nowe. Kwatermistrz: drużna Maria Oskierka-Jasińska. Komendantka gromad zuchowych: drużna Róża Bratko-Czajkowska, pamiętny diabeł z jasełek w Nazarecie. I znowu pełno „wnucząt“ nazaretańskich.

Podczas obozu w San Luis urządza się specjalnie ognisko dla argentyńskich gospodarzy prowincji San Luis. Goście są oczarowani. Zapraszają cały zespół na półgodzinny występ w telewizji w programie „Polonia canta y baila“. Polski śpiew i taniec wchodzi do domów argentyńskich. I znowu przypomina się Nazaret, nasze występy w radio jerozolimskim, w Bejrucie, w Damaszku. Tam dzisiejsze komendantki obozów harcerskich nauczyły się propagować Polskę.

Ale nie tylko w harcerstwie widać pracę naszych nazaretanek. Często tu harcerstwo łączy się ze szkołą sobotnią. Drużna Bałanduk-Wojno jest też kierowniczką i nauczycielką w szkole sobotniej Polskiej Macierzy Szkolnej przy Towarzystwie Polskim w Lavallol. W nauce języka ojczystego pomaga jej starsza młodzież, włączając jej syna Andrzeja, który uczy najmłodszą grupę dzieci. Córka jej, Lala, ma grupę dzieci nie mówiących po polsku. Uczy je, entuzjazmuje, cieszy się postępami.

Andrzej i Lala Wojno nauczyli się pracować dla „sprawy polskiej“ od najmłodszych lat patrząc nie tylko na swoich rodziców ale też na oboje dziadków. Śp. Eugeniusz Bałanduk był długoletnim referentem szkolnym, a swego czasu też prezesem Polskiej Macierzy Szkolnej w Argentynie.

W macierzy Szkolnej pracuje bardzo czynnie Helena Kacmajer-Wurzel, była abiturientka liceum pedagogicznego. W Lavallol Joanna Wróbel-Wojciechowska jest aktywną członkinią Koła Przyjaciół Harcerstwa, w Quimes Bronia Buniowska-Kozłowska. W Bernal pracowała

wśród zastępów harcerzy i gromad zachowych śp. Stanisława Jagielska-Wilejto. Zmarła ona w 1964 roku. W Villa Nueva Stefania Frasz-Wajszczukowa była współzałożycielką szkółki sobotniej. Z wielką energią wojowała o uzyskanie sprzętów szkolnych dla swojej szkoły, pomagała w administracji.

Coraz natrafia się tu nie tylko na pracę i pomoc nazaretanek.

Ilekróć zdarzy mi się spotkać Julię Gil-Gebertową zawsze jest uśmiechnięta, pełna humoru, jakby urągająca kłopotom.

„Co? Nie macie lokalu na szkołę sobotnią w San Jose?”

„Oddaję pokój w moim domu, stół, krzesła.”

Długo służył pokój ten Polskiej Macierzy Szkolnej aż w końcu wybudowano Dom Towarzystwa Polskiego w San Jose.

W Argentynie mieszka też wiele innych nazaretanek, z którymi kontakt się przerwał i tylko czasem dochodzą wieści o nich.

Jest tu Ewa Tomczyńska-Hajdukowa z matką, kiedyś siostrą na Izbie Chorych w S. M. O. Jest Henryka Toczko-Piszczek z matką. Ojciec jej, śp. Jan Toczko był bibliotekarz w S. M. O., zmarł w 1958 roku. Jest Danuta Skoczylas-Kostecka, Krystyna Schmidt-Muszyńska. Halina Mierzwiak-Michałowska z matką, też weteranka S. M. O. W sąsiedztwie — jakby za ścianą — w Sao Paulo w Brazylii mieszka Franciszka Oskierka-Godlewska. Odwiedzając często swą córkę, Marię, przywoziła zawsze najświeższe wiadomości o komendantce Sychowskiej.

W prowincji Mendoza mieszka Dada Kiper-Więckowska z rodzicami. Oboje rodzice uczyli w S. M. O. Chcąc widocznie uniknąć zgiełku miasta stołecznego, niezbyt dobrego klimatu, i licząc na lepsze możliwości urzędzenia się na prowincji, państwo Kiperowie i Więckowscy przenieśli się kilkakrotnie szukając lepszej doli, ale podobno zawsze poszukiwania zawodziły. Oni na pewno szukali na rozległych, argentyńskich obszarach miejsca cichego, przychylnego, swojskiego, szukali, aby przekonać się, że taki zakątek, do którego sercem przyłągnąć można zostawiliśmy wszyscy w Polsce i lepiej nie szukać go tutaj.

Maria Bałandiuk

ECHO Z KRAJU

Moje wspomnienia związane ze Szkołą Młodszych Ochotniczek dzielą się na dwa okresy. Pierwszy — dłuższy — to praca wychowawczo-instruktorska na funkcji szefa kompanii. Najszczęśliwszy okres mojego życia. Praca, która dała mi pełne zadowolenie i do której często wracam myślami. Drugi okres to powrót na ławę szkolną.

Gdy klasa, w której byłam przez kilka lat instruktorką, zdała maturę i odeszła ze szkoły ja sama postanowiłam zabrać się do nauki i ukończyć liceum administracyjno-handlowe. Dyrekcja nie tylko wyraziła zgodę na moją nagłą zmianę statusu z kadry na uczennicę, ale dodała otuchy, odwagi, że wszystkiemu podołam. Trudności wynikały z 6-letniej przerwy w nauce. Nie zawsze było łatwo. Nieprzespane noce. Wkuwanie. Chęć pokazania, że poprzedni szef kompanii równie sprawnie wywiąże się z roli uczennicy. Aż wreszcie rok 1947. Matura. Trudności pokonane. Świadectwo dojrzałości w rękę. Wszystko nabrało blasku!

Tymczasem coraz częściej dochodzą listy z Kraju od bliskich. Tęsknota coraz silniejsza, coraz bardziej natarczywa. Wahanie i wreszcie decyzja. Lato 1947 roku: powrót do Kraju.

Druga karta dziejów. Własna wielka tragedia. Bliscy, którzy pragnęli mego powrotu, okazali się zgołą innymi luźmi, niż ci z listów. Brak zrozumienia, brak wspólnego języka przyczynił się do opuszczenia przeze mnie rodzinnego miasta i rozpoczęcia wędrówki, tym razem po własnym kraju.

Minęły lata. Założyłam dom. Dzieci stworzyły świat, którym wypełniłam pustkę życia osobistego. Siłą wszystkich pragnień i umiejętności wychowawczych próbowałam wszczepić w dzieci to co wzięłam z S. M. O.: wiarę, zaufanie i życzliwość do ludzi, pogodę ducha i uśmiech. Ten jasny, prawdziwy szczery uśmiech, jakim obdarzała nas Komendantka.

Nieustanny pośpiech, borykanie się z trudnościami dnia codziennego, praca poza domem i przeżycia natury osobistej nie dały mi stworzyć dzieciom najlepszej atmosfery domowej. Niemniej jednak dzieci jak dotychczas nie sprawiły mi zawodu. Znają one losy S. M. O. Wiedzą jak bliska była ona memu sercu.

Przez długie lata żyłam wspomnieniami. Zwrot silniejszy nastąpił w roku 1968. Koleżanka Lucyna Prus była w Anglii. W Londynie spotkała dużo znajomych ze szkoły. Zaraz po powrocie zadzwoniła do mnie. Wymieniała kolejno nazwiska: z kim rozmawiała, kogo spotkała, jak kto wygląda, a ja... ja płakałam. Prosiłam tylko aby nie przerywała i mówiła dalej. Przez łzy widziałam twarze bliskich i znajomych. Wydawało mi się, że znowu jestem w S. M. O. i byłam szczęśliwa.

We wrześniu 1968 roku dostałam niespodziewanie tragiczną wiadomość: Komendantka S. M. O. nie żyje. Zmarła w Brazylii. Dotąd nic o niej nie wiedziałam. O śmierci dowiedziałam się od kolegi, którego przypadkowo spotkała Lucyna Prus i prosiła, aby mnie zawiadomił, że msza żałobna odbędzie się 5 września w Warszawie.

Momentalnie postawiłam wszystko na nogi, wzięłam jeden dzień urlopu i 5 września byłam w Warszawie. Na dworcu czekały Lucyna i Róża Prus. Z Różą nie widziałam się 20 lat. Wspomnienia, pytania, urywane odpowiedzi. Wchodzimy do kościoła Św. Marcina. Zajmujemy miejsca przy drzwiach, aby mieć dobry punkt obserwacyjny. Konsternacja... czy po 20 latach poznamy się wzajemnie? Serce zaczyna walić coraz mocniej. Wchodzi p. Dyrektorka z p. Stenieczką. Tak samo jak dawniej. Obie panie razem. Nic się nie zmieniły. Poznałabym je wszędzie. Potem słyszę szept Róży: „A to obok to chyba ‘Kropeczka’ — łacinniczka, tylko teraz o wiele chudsza.“

Ja musiałam się przedstawić, bo mnie nikt nie poznał. Szła na oczach, inny kolor włosów i na grzbiecie 20 bardzo chudych lat.

Serdeczną wymianę uścisków przerwał dzwonek ogłaszający wyjście księdza ze mszą św. Krótka zapowiedź księdza, że msza odbędzie się za zmarłą Komendantką i śp. p. Zdziarską przykro nas zaskoczyła, bo o śmierci p. Zdziarskiej nic nie wiedzieliśmy.

Po zakończeniu nabożeństwa niewiele było czasu na rozmowę. Każda z nas się spieszyła. W kruchej klasztornej nasze krótkie spotkanie nie dało możliwości upragnionej wyczerpującej rozmowy. Pożegnaliśmy się, obiecując sobie, że przy następnym spotkaniu będzie inaczej. Każda wygospodaruje więcej czasu. Ale i tak wracałam do domu szczęśliwa. Widziałam p. Dyrektorkę, p. Stenieczkę, spotkałam koleżanki. Wyczułam, że nic się nie zmieniło, że jesteśmy sobie nadal bliskie. W domu dzieciarnia zauważyła, że matka coraz częściej się uśmiecha, że jakoś odmłodziła.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Otrzymałam zawiadomienie o nadejściu paczki z Anglii. Po odbiór poszłam z córką. Nadawcą było S. M. O. Znowu wzruszenie nie do opanowania. W domu uroczyste otwarcie paczki i ogólna wielka radość. Dzieci uradowane na widok pięknych rzeczy z zagranicy a ja wruszona do łez, że pamiętaliście o mnie, że znowu mam kontakt z wami.

Renia Miłaszewicz-Wasilewska

NAZARETANKI W ANGLII

Po zakończeniu wojny zaczęły się wielkie ruchy migracyjne Polaków, których przypadki wojenne zagnały w najodleglejsze zakątki świata. Dla większości Wielka Brytania stała się centrum tranzytowym. W ramach ewakuacji wojsk polskich w roku 1946 przybyły transporty z Włoch, a w roku 1947 ze Środkowego Wschodu. Z nimi przyjechała Szkoła Młodszych Ochotniczek i jej były wychowanki, przydzielone po maturze na funkcje do oddziałów wojskowych, a

także transport studencki, złożony z byłych uczennic Szkoły, odkomenderowanych na wyższe studia do Bejrutu, na oba tego miasta uniwersytety: Francuski i Amerykański.

Po krótkim pobycie w obozach wojskowych P. K. P. R. nastąpiła demobilizacja. Zaczął się nowy etap dla wychowanek S. M. O. — życie emigracyjne w „cywilu“, wypełnione zabiegami o dalsze studia, poszukiwaniami odpowiedniej pracy, zakładaniem rodzin. „Nazaretanki“ zabrały się z wyniesioną ze Szkoły wiarą we własne siły do pokonywania trudności zwykłego, emigracyjnego dnia. Wiele, po krótkotrwałych próbach przystosowania się do specyficznej atmosfery Anglii, emigrowało dalej: do Kanady, Stanów Zjednoczonych, do Południowej Ameryki, Australii a nawet Afryki. Niemniej okazała liczebnie gromada osiadła na stałe w hrabstwach Zjednoczonego Królestwa.

W owych trudnych początkach więź łączącą „dziewczęta z S. M. O.“ rozluźniła się nieco. Trzymały się ściślej małymi, zaprzyjaźnionymi grupami, po kilka, z jednej klasy najczęściej, wspierając się i podtrzymując na duchu. Pracowały one różnych. Część szczęśliwych uzyskała stypendia na dalsze studia. Niestety, wiele z nich odpadło po pierwszym roku ze względu na brak przygotowania do nauk ścisłych, na które to działy głównie można było otrzymać stypendia. Mimo początkowych trudności, mamy w naszym gronie lekarki, cęntystki, chemiczki, nauczycielki, farmaceutki, siostry szpitalne. Kilka skończyło sztukę stosowaną; inne zrobiły kursy sekretarskie, pokończyły szkoły hotelarskie, gospodarstwa domowego, zarządu kanton w przemyśle, lub szkoły kroju i szycia. Mamy też w naszym gronie znaną dziś w Anglii malarzkę, Janinę Baranowską. Wystawy jej obrazów ściągają wielu znawców i miłośników sztuki, a pisma emigracyjne poświęcają jej częste artykuły.

Powoli z latami, po opanowaniu języka i przystosowaniu się do przyjętych form obyczajowych, „Nazaretanki“ osiągnęły pewną stabilizację. Podniosła się stopa życiowa. Coraz liczniejsza grupa mieszka we własnych domach. Podrastały dzieci. Można było pomyśleć o pracy społecznej, włączyć się wydatniej w nurt działalności emigracyjnej.

Poza zajęciami domowymi, wychowaniem dzieci i pracą społeczną, większość wychowanek S. M. O. pracuje także zawodowo. Wykształcenie wyniesione ze Szkoły wystarczyło zupełnie na otrzymanie pracy w biurach, bankach, szpitalach, laboratoriach, gdzie niejedna osiągnęła dziś kierownicze stanowisko. Są wśród nas takie, które po latach pracy zawodowej zdobyły się na wielki wysiłek ukończenia wyższych

studiów czy to na kursach wieczornych, czy po otrzymaniu stypendiów angielskich.

Pierwsze wielkie spotkanie byłych wychowanek i kadry S. M. O. odbyło się w maju 1952 roku, w dziesiątą rocznicę powstania Szkoły w Rosji, o czym tak pisze por. Seweryna Stanisławska-Oberleitner:

„Było to pewnej soboty, jesienią 1951 roku, gdy po wieczornym nabożeństwie spotkałyśmy się przed kościołem na Devonii ze śp. dyrektorką Marią Kościalkowską. Było nas kilka z kadry i kilka byłych uczennic S. M. O. Wtedy to zgadałyśmy się o Szkole, a pod koniec naszej rozmowy zaczęło się mówić o możliwości spotkania się w liczniejszym gronie.

Ponieważ komendantka Szkoły Teodora Sychowska przebywała w dalekiej Brazylii, kierownictwo ewentualnego zjazdu miało przypaść na dyrektorkę Kościalkowską. Powstał komitet, rozpoczęło się zbieranie adresów drogą ustnej informacji i ogłoszeń w prasie. Odzew był ze wszech miar pozytywny. Zachęczone takim odgłosem zabrałyśmy się do bezpośredniej organizacji zjazdu.

Nadszedł wreszcie dzień 15 czerwca 1952 roku, dzień zjazdu. Zjechało ponad 150 uczestniczek związanych ze Szkołą pracą, nauką, żywymi wciąż przeżyciami i wspomnieniami.

Zebrańnię poprzedziła msza święta, odprawiona przez prefekta S. M. O. ks. Wacława Kołodziejczyka. Zjazd zagała dyr. Kościalkowska serdecznym przywitaniem zgromadzonych uczestników. Odczytano listy i telegramy nadesłane przez tych, którzy nie mogli być w tym dniu obecni, wśród nich przede wszystkim od komendantki Sychowskiej-Czarlińskiej. Były też listy z Ameryki, Urugwaju, Nazaretu i Warszawy. Potem przemawiali ks. Kołodziejczyk, były dowódca wojskowych szkół młodzieżowych na Śr. Wschodzie płk. dypl. Kazimierz Rzyński, profesorowie: Maria Dobek i dr. Walerian Kwiatkowski; były uczennice: Wala Luro, Nuna Strzelec, Dyzia Berdych i Zdzicha Przychodzka. Na zakończenie zjazdu wysłano listy do generałów: Andersa, Tokarzewskiego, Sulika i Wiatra; inspektorek P. W. S. K.: Leśniakowej, Płońskiej oraz do komendantki Sychowskiej.

Wygłoszone przemówienia cechowała przede wszystkim serdeczność i wzajemna szczerza życzliwość, wiążąc wspomnienia z myślą o przyszłości — już nie własnej nawet, ale i następnego pokolenia.

Zjazd zgromadził kadrę i były uczennice przebywające w Anglii z udziałem jednej byłej wychowanki stale zamieszkałej w Nazarecie. Wśród wychowanek były studentki, pracująca już młoda inteligencja, a także liczne młode matki.

Po zebraniu odbył się wspólny obiad — na dwie zmiany, gdyż

sala parafialna nie pomieściła wszystkich uczestników. Tu śmiechem i gwarem dopełniono część „oficjalną“. Odczuwało się, jak bardzo związały tę gromadę młodych kobiet ze sobą i z kadrami ich losy z lat szkolnych. Lat trudnych, wojennych, w których wyrywano je śmierci, tworzone dom-szkołę, przygotowywano do późniejszych trudów życia.

Zjazd w roku 1952 związał nas jeszcze ściślej i serdeczniej, pozostając na zawsze w pamięci.“

* * *

I popłynęło znów życie... życie pracowite, wypełnione rodziną i jakże często pracą zarobkową. Niemalby wykazały hart ducha owe „dziewczęta z S. M. O.“. Do walki o byt w warunkach emigracyjnych doszła troska o zachowanie polskości wśród młodego pokolenia, wzrastającego w Anglii. Jak ongiś prababki i babki, tak teraz i one, świadome odpowiedzialności, skrupulatnie przestrzegały w domach polskich tradycji, by dzieci wzrastały w kulturze ojczystej; dbały, by rodzimym językiem władały jak najpoprawniej. Sobota, nie bez wysiłku i poświęcenia ze strony rodziców i dzieci, stała się we wszystkich prawie domach, dniem Polskiej Szkoły. Wiele „Nazaretanek“ zaczęło ściśle współpracować z Sobotnimi Szkołami czy to jako nauczycielki, czy też w Zarządach, Kołach Rodzicielskich, w polskim harcerstwie przy szkołach. Trud ten nie poszedł na marne. Dzieci wychowanek S. M. O. nie tylko władają językiem ojczystym, ale wiele z nich może pochlubić się zdanymi egzaminami na „O“ i „A“ level a są i takie, które studiują polonistykę na uniwersytetach.

Rok 1966 stał się punktem zwrotnym w życiu wychowanek S. M. O. W roku tym, w sierpniu, po raz pierwszy od jej wyjazdu do Brazylii, miała zawitać do Londynu komendantka Sychowska-Czarlińska. Tak pisze o tym doniosłym wydarzeniu Zosia Kosińska:

„Pewnego wieczora zawrzało w „Ognisku“. Czego innego można było się spodziewać: kilkadziesiąt kobiet spotkało się po kilku czy kilkanastu latach niewidzenia się. Wokół dobrze znane twarze, choć czasem nazwiska wyleciały z pamięci. Kilka tylko takich, których nie można nigdzie umieścić, bo albo bardzo się zmieniły, albo były w szkole krótko. Widocznie jednak zachowały o niej jak najlepsze wspomnienia, skoro przyszły na kolację z okazji przejazdu przez Londyn komendantki Szkół Młodszych Ochotniczek, Teodory Sychowskiej-Czarlińskiej.

Na środku sali zaafierowana główna organizatorka zebrania, Seweryna Stanisławska-Oberleitner. Tak jak kiedyś w szkole, zawsze w pół-biegu za czymś, zawsze dogładająca, aby administracja szła

sprawnie. Tak samo jak kiedyś pełna werwy, mimo że dziś po dniu ciężkiej pracy.

Z grona nauczycielskiego, wśród „dziewczynek“ pani Dobek, z którą przy każdym spotkaniu rozmawia się bardzo serdecznie i bezpośrednio. Przy głównym stole pani Lisowska, jedyna reprezentantka kadry dyrektorskiej. (Oczywiście brakowało wszystkim dyrektorki, Marii Kościalkowskiej, która była na wakacjach). Ksiądz Kołodziejczyk, jeden z najlepszych katechetów, pani Kamińska, która z wielkim oddaniem chciała nauczyć nas śpiewu i muzyki; pani Irena Müller z córką Ewą, kiedyś „najmłodszą“ młodszą ochotniczką, dziś odpowiedzialną siostrą szpitalną. I nasz gość główny — pani Sychowska. Przybyło jej lat, jak nam wszystkim, ale nic się nie zmieniła. Ta sama życzliwość bije jej z oczu, ten sam uśmiech, pod którym kryła się nieustanna troska o szkołę.

Niekończące się powitania, uściski i okrzyki: — „Ach to ty Jadziu, a co z mamą, z siostrą?“ Zadziwiająco jak żywo Komendantka pamięta nie tylko swoje wychowanki, ale też ich rodziny, które otarły się o szkołę.

Na ten jeden wieczór chcemy zapomnieć o 20 latach, które minęły od ostatniego spotkania z Komendantką, o wszystkich obowiązkach, doświadczeniach i rozczarowaniach, które w tym czasie na nas spadały; chcemy aby wieczór ten minął w beztrudnej atmosferze tamtych młodzieńczych lat.

Mijają godziny, trzeba się żegnać. Komendantka wylatuje nazajutrz do Polski, do swojej matki, której nie widziała od 1939 roku.

Jeszcze ostatnie uściski na schodach „Ogniska“ i prośby: — „Pani Komendantka musi znowu do nas przyjechać, ale na dłużej.“ Komendantka jakby smutnieje. Może myśli, po co ona właściwie wyjechała do tej dalekiej Brazylii?“

* * *

Wizyta komendantki Sychowskiej pobudziła do działalności byle młodsze ochotniczki. Powoli, nieśmiało jeszcze, zaczęła powstawać idea zrzeszenia się, nawiązania ściślejszej łączności, nawrotu, w najtrudniejszych nawet okolicznościach, do „uśmiechu S. M. O.“ — hasła rzuconego kiedyś w Nazarecie przez kom. Sychowską, a podchwyconego przez całą szkołę. Chciałyśmy od nowa „poznawać się po uśmiechu.“ Zbliżało się 25-lecie Szkoły. Tak o tym pisze Zosia Kosińska:

„27 maja 1967 roku. Wielki raut 25-lecia! Pomysł rodzi się prawie w ostatniej chwili, przy szklance herbaty. Potem kilka telefonów i już jest komitet organizacyjny z Anielą Wieliczko-Stepan na czele-

Tak jak kiedyś w szkole: padł pomysł, znalazło się kilka entuzjastek i z miejsca zaczynają się przygotowania. Szybko, sprawnie i z zapałem. Koleżanki: Wanda Kelsey, Irma Nagórska, Maryla Kotulańska, Jadzia Grzesik, Loda Skrzywanek odkładają wszystkie swoje codzienne zajęcia na bok i poświęcają cały wolny czas przygotowaniu rautu. Jest to nie tylko wielka okazja do świętowania — 25-lecie powstania szkoły — ale i pierwsze wyjście S. M. O. jako grupy na zewnątrz. Zaczynamy myśleć o stworzeniu Związku. Zapraszamy do współudziału w raucie naszych kolegów kadetów z Barbary, bo to też ich rocznica.

Na raut zostaje wybrany Royal Garden Hotel — elegancki, nowoczesny hotel w samym centrum londyńskiego „West-end’u.“ Drukuje się zaproszenia, pisze listy do naszych dawnych zwierzchników i przyjaciół z generałem Andersem na czele. Piszemy listy do kom. Sychowskiej w Brazylii, choć małą mamy nadzieję, że uda się nam ubłagać, aby przyjechała. Przychodzi wkrótce od niej list potwierdzający nasze obawy. Piszemy z miejsca następny, bo czym bliżej jest naszej uroczystości, tym bardziej myślimy o Komendancie i tym bardziej pragniemy aby była na to nasze święto z nami. A jest już połowa maja. Naradzamy się co robić. Pada pomysł posłania biletu samolotowego i zostaje natychmiast zrealizowany. Zostaje już tylko kilka dni.

Czekamy. Napięcie wzrasta.

Na dzień przed rautem pani Wera Oberleitner dostaje telegram — „Przyjeżdżam“.

I przychodzi dzień rautu. W Royal Garden Hotel tłumy. Panie w sukniach według ostatniej mody, panowie w wieczorowych ubraniach. Niekończące się powitania, okrzyki.

Czas kolacji się zbliża. Zasiadamy przy stołach w grupach bliskich koleżanek. Przy głównym stole gen. Anders i inni zaproszeni goście. Pani dyrektorka Kościalkowska z trudem dociera do głównego stołu zatrzymywana stale i ściskana przez swoje „dziewczynki“. Nie można wątpić, że naprawdę kochamy naszą dyrektorkę.

Koleżanka Jadzia Grzesik chce powitać zebranych.

W tym poruszenie. Zjawia się Komendantka.

Wrażenie ogromne! Nie jedna podnosi się z miejsca, by sprawdzić, że to naprawdę Ona — nasza komendantka Sychowska.

Tak, to Ona; przyjechała wprost z lotniska.

Zaczynają się oficjalne powitania; mówi gen. Anders, płk. Rzyński, kol. Korbusz — prezes Związku Kadetów — i mówi nasza Komendantka. Po kilku słowach głos Jej załamuje się i po raz pierwszy

widzimy, że Komendantka nie może mówić. Chcemy krzyknąć: „Czołem Pani Komendantko“, ale i my ulegamy wzruszeniu.

Po kolacji zabawa. Najwięcej radości i wrzawy dochodzi z kąta, gdzie siedzi Komendantka. Opowiadania, wspomnienia, śmiechy! Stale tylko zmienia się krąg, bo Komendantka chce ze wszystkimi porozmawiać, wszystkie uściskać. Cieszymy się, że Komendantka zostaje w Londynie jeszcze przez kilka dni.



Komendantka w Londynie 1967

W niedzielę 28 maja odbywa się bardziej poważna część uroczystości 25-lecia. Rano msza święta w kościele Andrzeja Boboli, odprawiona przez byłego wychowanka Junackiej Szkoły Kadetów, ks. W. Gurgula, potem obiad w „Ognisku“ i nadzwyczajne zebranie organizacyjne, na którym zapada decyzja zrzeszenia się w niezależnym Związku S. M. O. Zebranie odbywa się pod przewodnictwem dyrektorki Kościalkowskiej, a obecność komendantki Sychowskiej, pani Lisowskiej, wielu członków kadry i byłych uczennic wprowadza swojską atmosferę. To znowu tak jak w Nazarecie. Na tymże zebraniu rzuca komendantka Sychowska projekt wydania książki pamiątkowej S. M. O.

Po tygodniowym pobycie Komendantki w Londynie, który dzieli ona między sprawy osobiste a niekończące się spotkania, przychodzi moment rozstania. W sobotę 3 czerwca urządzamy pożegnanie Komendantki. Zebranie towarzyskie, we własnym zakresie, na które przychodzi 79 osób. Jest bardzo przyjemnie. Duszą tego zebrania jest Lodzia Skrzywanek, która przyjeżdża z kilkoma tacami pączków. Gdy trzeba było pomocy, Lodzi nigdy nie zabrakło. Jej niezwykła energia i przedsiębiorczość udzielała się wszystkim, tym bardziej, że nie było rzeczy, której Lodzia nie zrobiłaby dla „swojej“ Komendantki. Toteż nie kto inny, tylko właśnie Lodzia zaofiarowała się, że zawiezie Komendantkę następnego dnia, 4 czerwca, do Nottingham na zjazd Nazaretanek z Midlandów.



Komendantka w Nottingham 1967

W drodze, tuż pod Nottingham ulegają wypadkowi samochodowemu. Lodzia Skrzywanek zostaje zabita, Komendantka ma złamane żebra, jest bardzo potłuczona. Pani Lisowska, która jedzie z nimi tym samym samochodem, wychodzi bez szwanku.

Wiadomość o wypadku wstrząsa nami wszystkimi do głębi. Po kilku dniach wraca ze szpitala z Nottingham posiniaczona Komendantka. Dostęć duża grupa byłych uczennic spotyka ją na stacji King's Cross, a za kilka dni żegnamy ją na Gatwick Airport. Ko-

mendantka wraca do domu z ciężkim sercem. Bardzo smutne to pożegnanie. Dobrze, że nie wiemy, że to już ostatnie.

Po przyjeździe do Brazylii Komendantka jeszcze stale żyje swoją wizytą i ostatnimi tragicznymi wypadkami. I tak pisze do dyrektorki Kościalkowskiej, z którą łączyły ją bardzo serdeczne stosunki:

„...tak mi się wydaje, że poszłam do Pani pokoju, usiadłam na łóżku i zaczęłam się radzić, tak jak to kiedyś bywało, gdy ten czy ów zwierzchnik zatruwał mi życie, pamięta Pani?

Tak wszystko chcę wiedzieć, co się po moim wyjeździe działo. jak się odbył pogrzeb Łodzi — co pisano, co mówiono, wszystko dobre i złe — proszę pisać — czy dziewczynki się do Pani odzywają. które? Czy coś robią i co?

Chyba Pani czuje jaki niedosyt mam wiadomości, jaką pustkę, która się wytworzyła po tych mi drogich przyjeźdźciach i spotkaniach. tak brutalnie zaćmionych tym tragicznym wypadkiem, i tym odwróceniem się od tego wszystkiego przez mój wyjazd konieczny, ale za nagły, jakby w połowie czegoś bardzo ważnego“...

* * *

W roku 1967 Związek byłych uczenic S. M. O. stał się rzeczywistością, pod oficjalną nazwą S. M. O. Benevolent Association. Obejmuje on wszystkie byłe uczennice i kadrę S. M. O. Statut nasz zatwierdzony przez „Registrar of Benevolent Association“ ściśle określa zadania i cele związku, obowiązki i przywileje jego członków.

Pomysł założenia Związku wynikł z potrzeby nawiązania silniejszej łączności, udzielania sobie wzajemnej pomocy, opieki nad młodzieżą oraz wydania książki pamiątkowej S. M. O. Siedzibą Związku jest Londyn, a koła terenowe, jak Nottingham, Birmingham i Porto San Georgio, są składową jego częścią mając równocześnie własne zarządy.

Wylonilo się kilka sekcji i tak: Sekcja Koordynacyjna, której zadaniem jest utrzymanie kontaktu nie tylko z Kołami w Anglii, ale również ze wszystkimi koleżankami i kadrą zamieszkałą poza W. Brytanią.

Sekcja Samopomocy, jak sama nazwa wskazuje zajmuje się udzielaniem pomocy w każdej formie potrzebującym koleżankom i kadrze tak w Anglii jak i w Polsce.

Sekcja Towarzyska dostarcza urozmaicenia w życiu towarzyskim organizując sprawnie bardzo udane imprezy, jak doroczny bal S. M. O., wspólne oplatki i święcone, tombole, herbatki towarzyskie.

Związek wydaje regularnie „Komunikat Związku“, który stał się źródłem S. M. O.'owskich informacji i ciekawostek. Komunikat rozsyłany jest do koleżanek i ośrodków również poza granicami Anglii.

Komitet Redakcyjny z Zosią Kosińską na czele włożył dużo móżalnej pracy w przygotowanie tej książki i gdyby nie wytrwałość i poświęcenie, z jakim oddały się tej pracy członkinie Komitetu Redakcyjnego, książki tej dziś by nie było.

Dzięki zapobiegliwości, energii i ofiarnej pracy Anieli Stepan, Aliny Terpiłowskiej, a zwłaszcza Danki Kossakowskiej — pięciokrotnie obranej prezeską. Związek nie tylko zgromadził pewne zasoby materialne, ale także jako całość organizacyjna zaczął brać udział w życiu emigracyjnym Polonii na terenie W. Brytanii. W roku 1970 Związek wydelegował reprezentację na pogrzeb gen. Andersa we Włoszech; wszedł do Zjednoczenia Polskiego; stał się członkiem zwyczajnym i członkiem-fundatorem POSK; zaproszony został do współpracy z polskimi organizacjami kobiecymi.

Niemaly to bilans na dziewięć lat formalnej działalności.

30 czerwca 1968 roku odeszła od nas na zawsze nasza Komendantka. Spontanicznie powstał fundusz imienia Komendantki Sychowskiej-Czarlińskiej, który wydajnie zasilił kasę komitetu wydawniczego książki S. M. O. Dla uczczenia pamięci Komendantki, w pierwszą rocznicę Jej śmierci, wyłoniony komitet pod przewodnictwem Ali Korczyńskiej i przy fachowej pomocy reżyserskiej pani Barbary Reńskiej, a w opracowaniu pani profesorki Kamińskiej, przygotował wieczór w „Ognisku“ — „Byłe Młodsze Ochotniczki w hołdzie swojej Komendantce“ — i jak pisał „Dziennik Polski“ — wieczór był rzadko spotykanym dowodem wdzięcznej pamięci uczennic dla swojej wybitnej opiekunki i wychowawczyni“...

Opiekunki i Wychowawczyni, której osobowość silnie i trwale wpłynęła na charakter Szkoły, tworząc w ciężkich wojennych warunkach jej specyficzną atmosferę uśmiechu.

My, wychowanki Szkoły Młodszych Ochotniczek kartami tej książki dokumentujemy naszą szczerą wdzięczność wobec wszystkich, którzy przyczynili się do powstania i istnienia S. M. O. i przekazujemy historii dzieje pierwszej wojskowej szkoły dla dziewcząt, wypełniając tym samym życzenie Komendantki Sychowskiej, która w ostatnim już swoim liście z maja 1968 roku tak pisała:

**„TO TAKIE WAŻNE MIEĆ COŚ O S. M. O. NAPISANE,
DRUKOWANE, ABY W TŁUMIE NIE ZGINĘŁO.“...**

**Maria Suracka-Muchlińska
Nuna Strzelec-Zakrzewska**

S P I S T R E Ś C I

Strona

5—6	P r z e d m o w a	<i>Komitet Redakcyjny</i>
13—16	Nasz Generał	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i>
17—18	Po trzydziestu latach	<i>Zygmunt Bohusz-Szyszko</i>
19—43	Powstanie i organizacja Szkoły	
44—47	Komendantka Teodora Zofia Sychowska	<i>Opracowała Danuta Polniaszek-Kossakowska</i>
47—48	W obozie Stupinowo	<i>Stefania Dąmbrowska</i>
49—50	W Czok-Paku	<i>Janina Schramm-Hening</i>
50—52	W Szkole	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i>
52—54	Od wdzięcznych uczennic z USA	<i>Zofia Strzelec-Pietrzak</i>
54—57	Dyrektorka Maria Kościalkowska	<i>Opracowała Zofia Rymarska-Kosińska</i>
57—59	Komendantka o Kronikarce	<i>Teodora Sychowska</i>
59—63	O SMO to i owo	<i>Dr Wit Tarnawski</i>
64—65	Kraj lat dzieciennych	<i>Aniela Wielgosz</i>
65—66	Dwie szkoły	<i>Luna Klausner</i>
66—69	Sybir 1941	
	1)	<i>Danuta Glińska</i>
	2)	<i>K. B.</i>
	3)	<i>Halina Korbińska</i>
69—75	Karkin-Bataasz	<i>Stefania Dąmbrowska</i>
75—77	Byłam jedna z pierwszych	<i>Maria Hendel-Domańska</i>
77—78	Pierwsza msza święta	<i>J. B.</i>
78—80	Nareszcie już moje	<i>Luna Klausner</i>

<i>Strona</i>		
81—86	Ściany mówią	<i>Maria Kościółkowska</i>
86—90	Do migawek dyr. Marii Kościałkowskiej	<i>Wybrała i opracowała Danuta Polmaszek- Kossakowska</i>
90—103	Jeden z filarów SMO	<i>Maria Balandiuk</i>
103—106	Dziesięcioraczki	<i>Danuta Lubczyńska</i>
107—109	Jak byłam adiutancikiem	<i>Ewa Müller</i>
109—110	Festyn na Wygwizdowie	<i>J. S.</i>
110—115	Kartki z pamiętnika nauczycielki	<i>Julia Kwiatkowska</i>
116—118	Przychodzę do Szkoły	<i>Emilia Pszonko Emilia Baranowska</i>
118—125	Odkomenderowanie do Szkoły	<i>W. K.</i>
126—127	Jedziemy do Szkoły	<i>Irka Radwańska</i>
128	Rocznica kapitulacji	<i>Teresa Marszałek</i>
128—130	Pierwsze kroki	<i>Maria Suracka-Muchlińska</i>
130—134	Po raz trzeci	<i>Nuna Strzelec</i>
134—136	Znowu w gnieździe	<i>Isia Witwicka</i>
136—138	Absolwentki SMO — El Kantara	
	1)	<i>Baska Pstrokońska</i>
	2)	<i>Irena Müller</i>
138—140	Oj, matura	<i>Hanna Broncel</i>
141—145	Jeszcze jedno wspomnienie — matura	<i>Zofia Piątek</i>
145—149	Złoty łańcuch	<i>Maria Dobek</i>
150—151	Nazaret	<i>Maria Hendel-Domańska</i>
151—154	Sodalicja	<i>Aniela Wieliczko-Stepan</i>
154—157	20 maja 1942—1944	<i>J. Badjan</i>
157—158	Arabowie w Nazarecie uczą się po polsku	<i>Xawery Glinka</i>

<i>Strona</i>		
158—159	Nazaretański pokoik	<i>Maria Suracka-Muchlińska</i>
159—161	Czuwaj	<i>Iwona Wojewódzka-Romer</i>
162—166	Imprezy SMO	<i>Aniela Wieliczko-Stepan</i>
166—167	Dzień podchorążego	<i>Wandzia Matuszak</i>
168—170	Autostopem do Jeninu	<i>Renek Ozimek</i>
170—172	Sztubackie flirty	<i>J. Dziewulak</i>
172—173	Na bezrybiu i rak ryba	<i>Kita Kwiatkowska-Sharpleś</i>
174—178	Polish Forces M.E.—X.Y.Z.	<i>Aleksandra Dąbrowska</i>
178—182	Listy	<i>Maria Suracka-Muchlińska</i>
182—183	Znałam ich wielu	<i>Wanda Kłosowska</i>
183—187	Ośrodek Uzdrawieńczy w Tyberiadzie	<i>Dr Wit Tarnawski</i>
187—191	Na wakacjach 1) Atlit 2) Cedry	<i>Wacia Marcolla</i> <i>Irena Leszkiewicz-Wajzer</i>
191—192	Stopem w nieznane 1) 2)	<i>Maria Lasocka</i> <i>Zafia Matuszak</i>
193	Wiosna	<i>Teresa Marszałek</i>
193—195	Nasze psy	<i>Kika Kulwieć</i>
195—197	Z pamiętnika starego nauczyciela	<i>Dawid Jarząbek</i>
198—199	Studia w Bejrucie	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i>
199—201	Cynamon i marynarka	<i>H. Rabinowicz-Rqvel</i>
201—207	Gdyby los chciał inaczej	<i>Maria Suracka-Muchlińska</i>
207—209	Pierwszy rok	<i>Danuta Zdziarska-Munnich</i>

Strona

210—213	Nasi profesorowie	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i> <i>Stanisława Bahrynowska-Merkel</i> <i>Stefania Orczyk-Wolańska</i> <i>Danuta Polniaszek-Kossakowska</i>
213—215	Prof. Emilia Drozdowska	<i>Stenia Jaworska-Zasławska</i>
	Prof. Florian Kotowicz	„ „
	Prof. Zofia Dzierzbicka	„ „
215	Prof. Walerian Węglewski	<i>Hanka Rychter-Schramm</i>
215—216	Prof. Ziemiański	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i>
217—220	Nasi katecheci	<i>Aniela Wieliczko-Stepan</i>
220—221	Dr Emilia Zdziarska	<i>Hanka Rychter-Schramm</i>
221—223	Dyrektorka Irena Nowotna	<i>Teodozja Głodowska</i>
223—224	Dyrektorka Danuta Marszałik	<i>Renia Milaszewicz-Wasilewska</i>
224—227	U nas w Handlowym	<i>Teodozja Głodowska</i>
227—229	Prof. Maria Dobek	<i>Iwona Wojewódzka-Romer</i>
229—231	Prof. Madej i prof. Bronclowa	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i>
231	Prof. Janina Hobler	<i>Danuta Polniaszek-Kossakowska</i>
232	Nasz polonista	<i>Danuta Zdziarska-Munnich</i>
232—233	Profesorostwo Brzescy	<i>Danuta Polniaszek-Kossakowska</i>
233—235	„Mama“ Szoska	<i>Zdzisława Przychodzka-Kawecka</i>
235—236	Dr Stanisław Krystyn Zaremba	<i>Zofia Rymarska-Kosińska</i>
236—237	Prof. kpt. Kundycki	<i>Danuta Polniaszek-Kossakowska</i>

<i>Strona</i>		
237—239	Wspólne wspomnienia	<i>Helena Biniewicz-Bauer</i>
240—248	Nazaretanki w USA	
	1)	<i>Zofia Strzelec-Pietrzak</i>
	2)	<i>Danuta Grajska-Kozłowska</i>
248—252	Nazaretanki w Argentynie	<i>Maria Balandiuk</i>
252—254	Echo z Kraju	<i>Renia Milaszewicz- Wasilewska</i>
254 263	Nazaretanki w Anglii	<i>Maria Suracka-Muchlińska Nuna Strzelec-Zakrzewska</i>

